

MIESZANKA KLASYCZNEGO KRYMINAŁU, DRAMATU RODZINNEGO
I THRILLERA PSYCHOLOGICZNEGO

CAMILLA GREBE

WITAJCIE W WIECZNOŚCI



CAMILLA GREBE

WITAJCIE

W WIECZNOŚCI

Z języka szwedzkiego przełożyła
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Välkommen till Evigheten

Copyright © Camilla Grebe 2022

Published by agreement with Ahlander Agency

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2023 for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autorki: © Viktor Fremling

Redakcja: Marta Chmarzyńska

Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8230-657-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

Spis treści

Lykke. Obecnie

1

Lykke. Osiem lat wcześniej

2

3

4

Lykke. Obecnie

5

6

7

Lykke. Osiem lat wcześniej

8

9

10

Manfred. Obecnie

11

Manfred. Osiem lat wcześniej

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

Lykke. Obecnie

24

Lykke. Osiem lat wcześniej

25

26

27

Manfred. Obecnie

28

Manfred. Osiem lat wcześniej

29

30

31

32

33

Lykke. Obecnie

34

Lykke. Osiem lat wcześniej

35

36

37

38

39

40

Manfred. Obecnie

41

Manfred. Osiem lat wcześniej

42

43

44

45

Lykke. Obecnie

46

Lykke. Osiem lat wcześniej

47

48

49

50

51

52

Manfred. Obecnie

53

54

Lykke. Tydzień wcześniej

55

56

57

58

Manfred. Obecnie

59

Lykke. Tydzień wcześniej

60

Manfred. Obecnie

61

Lykke. Obecnie

62

Lykke. Tydzień wcześniej

63

Manfred. Obecnie

64

65

66

Lykke. Obecnie

67

Lykke. Tydzień wcześniej

68

Manfred. Obecnie

69

Manfred. Osiem lat wcześniej

70

Lykke. Obecnie

71

72

Podziękowania

Przypisy

dla Pernilli

To historia fikcyjna. Wszelkie podobieństwo bohaterów powieści do prawdziwych osób – żyjących lub zmarłych – jest przypadkowe. Ze względów dramaturgicznych zmieniono opis niektórych procedur prawnych i policyjnych, zwłaszcza tych, które dotyczą zatrzymania w areszcie.

Wszystko zaczyna i kończy się wraz z dziećmi, powiedziałaś. Pojawiły się w naszym życiu jako dar, jako obietnica czegoś większego niż samo życie.

Oczywiście nie byliśmy przygotowani – bo kto by był? I jako nieprzygotowani nie potrafiliśmy wyobrazić sobie bezmiaru miłości, trosk, lęku, który nas czekał.

Na początku polegaliśmy na instynkcie – przecież sami byliśmy ludzkimi dziećmi, zatem musieliśmy rozumieć, czego potrzebują takie maluchy.

Koiliśmy, pieściliśmy, wspieraliśmy, karciliśmy.

Tłusciutki małe nóżki urosły i niedługo ruszyły w rejony nazywane życiem.

Przyglądaliśmy się z niepokojem, serca drżały nam w piersiach i łzy paliły pod powiekami. Byliśmy gotowi chronić owoc naszej krwi i ciała przed całym złem świata, przed wszelkimi rozczarowaniami i porażkami, o których wiedzieliśmy, że czekają.

To jest najsilniejsza z więzi, mówiłaś.

To najpiękniejszy i najsensowniejszy z mozołów, powtarzałaś. Najczystsza ze wszystkich odmian miłości, bo jak to się mówi: ona wszystko zniesie, we wszystko uwierzy, wszystko wytrzyma, nie ograbi z nadziei. Oznacza sens naszego życia, wszelkiego życia, jest samym jądrem istnienia i jednocześnie jego paląco bolesnym punktem.

Jest warta wszelkiego trudu i niepokoju, mówiłaś. To jasne, że jest tego warta.

Myślałam, że masz rację, że zawsze masz rację.

Aż do dnia, kiedy zostaliśmy zmuszeni do dogłębnego zastanowienia się nad sobą.

Co my właściwie zrobiliśmy? Do czego doprowadziły nasze wysiłki?

I to właśnie wtedy, w tamtym momencie, zadałam sobie pytanie: czy stworzyliśmy potwora?

Lykke
Obecnie

1

Wygląda jak dowolna sala szpitalna, chociaż znajdujemy się na oddziale medycyny sądowej Instytutu Karolinska: pomalowane na biało ściany, lśniąca linoleum na podłodze i okno wychodzące na parking z niekończącymi się rzędami samochodów. Pod jedną ścianą stoi kozetka z niebieskim plastikowym obiciem, najwyraźniej świeżo umytem, bo wciąż błyszczącym wilgocią. Za biurkiem pokrytym brzoową okleiną siedzi otyła trzydziestolatka ubrana w zielony szpitalny strój. Zniżonym głosem mówi szybko, trzymając komórkę przy uchu.

Policjantka, która mnie tutaj wprowadziła, puszcza moją rękę, a kobieta w zieleni obrzuca nas przelotnym spojrzeniem.

– Muszę kończyć – mamrocze. – Mam żywego pacjenta.

Następnie kładzie komórkę obok komputera i pyta:

– Lykke Andersen?

Potakuję.

– Można zdjąć jej kajdanki.

Policjantka, prawdopodobnie moja równolatka, gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką, wyjmuje kluczyki. Słysząc lekki brzęk i metalowe bransoletki zwalniają uścisk na moich nadgarstkach. Od razu zaczynam je rozcierać.

– Proszę tak nie robić – zwraca się do mnie kobieta przy biurku, zbierając długie jasnoblonde włosy w węzeł na karku. – I proszę starać się niczego nie dotykać.

Potem wstaje i obrzuca mnie uważnym spojrzeniem. Muszę wyglądać okropnie: włosy w strąkach, ubranie i dłonie w plamach krwi. Ale jeśli jest zszokowana moim widokiem, to w ogóle tego nie okazuje.

– Nazywam się Ylva Berggren – przedstawia się. – Jestem lekarzem medycyny sądowej. Zbadam panią i zabezpieczę na pani ciele oraz na ubraniu ewentualne dowody.

To nie otyłość. Teraz to widzę. Jest w ciąży. Pewnie nie może się już doczekać, żeby powitać na świecie tę małą istotkę, która rośnie w jej brzuchu. Pewnie jest pełna nadziei i marzeń na przyszłość.

Mogłabym jej co nieco opowiedzieć o rodzicielstwie, ale nic nie mówię.

– Proszę usiąść tutaj.

Ylva wskazuje na metalowy taboret, posłusznie wykonuję jej polecenie.

Najpierw sprawdza moje dane osobowe, a następnie zaczyna zadawać mi pytania: czy na coś choruję lub mam trwałe kontuzje? Czy zażywam jakieś lekarstwa? Czy przeszłam jakieś operacje?

Na wszystko odpowiadam przecząco.

Ona kontynuuje: czy w ciągu ostatnich dwóch godzin wzięłam prysznic albo się umyłam? Czy korzystałam z toalety, przebrałam się? Ile mam wzrostu? Ile ważę? Czy jestem prawo-, czy leworęczna?

Pytania zdają się nie mieć końca, a kiedy wreszcie ich lista zostaje wyczerpana, kobieta wstaje i wkłada parę jasnofioletowych lateksowych rękawiczek, naciągając je na dłonie wprawnym ruchem. Potem sięga po dwa duże podkłady papierowe o jasnoniebieskich krawędziach, które kojarzą się z salą operacyjną albo porodówką. Rozkłada je na podłodze – jeden na drugim.

– Proszę się rozebrać. Najpierw buty. Proszę je zdjąć, nie dotykając stopami posadzki, a następnie stanąć na papierze.

Robię, co mi każe. Buty, które przykleiły się do podłogi, wydają głośne kłębienie, kiedy lekarka nie bez wysiłku je z niej podnosi.

Na linoleum pozostają dwa czerwone odciski.

Uważnie przygląda się czółenkom i po chwili ostrożnie chowa je do brązowej papierowej torby, którą opatruje etykietą. Potem wkłada ją do kolejnej torby i stawia na podłodze.

– W porządku. A teraz proszę po kolei zdjąć ubranie i upuścić je na podkład, ale tak, żeby każda rzecz leżała oddzielnie.

– Mam zdjąć wszystko?

Spogląda na mnie, jej spojrzenie nie zdradza, co myśli.

– Tak, wszystko. Dostanie pani nowe.

W starej koronkowej sukience ozdobionej perełkami, która kiedyś należała do mojej mamy, rozpinam najpierw haftkę na karku, po czym zwracam się do Ylvy:

– Pomoże mi pani?

Podchodzi, rozchyła suwak i się cofa.

Opuszczam sukienkę na podłogę. Łąduje u moich stóp, materiał jest sztywny od na wpół zakrzepłej krwi. Kilka perełek odrywa się z rękawów i toczy po podłodze. Stanik rzucam na lewą stronę, ale majtki upadają na sukienkę.

– Przepraszam – mówię. – Zdaje się, że miały leżeć osobno.

– Nie szkodzi.

Ylva przykłęka z wyraźnym trudem i zaczyna zbierać części garderoby. Składa po kolei jedną po drugiej i umieszcza je w osobnych papierowych torbach, które

starannie opisuje. W końcu zostaje pusty podkład. No i oczywiście ja, jak mnie Pan Bóg stworzył, pośrodku jasno oświetlonej sali, drżąca z zimna.

– Chce pani skarpetki? – pyta Ylva, zbierając koraliki spod biurka.

– Nie.

Sięga po cienką i długą białą koszulę, jaką dostaje się w szpitalu.

– Może ją pani włożyć i usiąść na leżance.

Kiedy wykonuję jej polecenie, ona pieczołowicie uprzęta z podłogi wierzchnią papierową płachtę, składa ją starannie i wsuwa do kolejnej torby. Dolną – leżącą bezpośrednio na linoleum – wyrzuca.

– No dobrze. Teraz panią zbadam. Wzrokowo i palpacyjnie, to znaczy sprawdzę dotykiem, czy nie ma jakichś uszkodzeń. Zrobię zdjęcia i pobiorę próbki.

Zaczyna od głowy, obmacuje ją pod włosami, potem małą latarką świeci mi w oczy i zagląda do ust. Kiedy dotyka szyi, jej ruchy stają się delikatniejsze. Ale i tak czuję ból i wykrzywiam twarz.

– Muszę wykonać kilka zdjęć – mówi i sięga po aparat, który stoi na stoliku obok.

Cofa się o kilka kroków, sekundę później następuje błysk, odruchowo zamykam oczy.

– I jeszcze trochę bliżej – dodaje.

Kolejny błysk.

Prosi, żebym się położyła, po czym kładzie mi na szyi małą plastikową linijkę i robi kolejną fotkę. Następnie odstawia aparat i zaczyna metodycznie obmacywać od góry do dołu mój tułów. Zbiera wymazy z plam krwi na dłoniach i nogach, dłubie pod paznokciami czymś w rodzaju wykałaczki i ucina cienkie kosmyki włosów. I wszystko, co było dotąd mną albo przynajmniej znajdowało się na mojej skórze, ląduje teraz w małych probówkach i torebkach w oczekiwaniu na przekazanie do laboratorium.

Czuję się niczym jakieś wykopalisko, odkrywane, badane i analizowane przez archeologów. Moje ciało stało się reliktem, w którego ciemnej otchłani być może kryje się rozwiązanie jakiejś zagadki.

Po zakończeniu oględzin siadam na kozetce. Ylva stoi przez sekundę bez ruchu. Rysy jej twarzy łagodnieją, spojrzenie przesuwają się po moim ciele i zatrzymuje na szyi. Jedną dłoń kładzie mi na ramieniu, a drugą delikatnie dotyka obolałych, czerwonych śladów. Stoi tak blisko, że jej ciężowy brzuch niemal opiera się o mnie.

– To wszystko ładnie się zagoi – mówi. – Nie ma się czym martwić.

Dwie godziny później znajduję się w pokoju przesłuchań.

Obok mnie siedzi Fariba Johansson, adwokatka, z którą zdążyłam zamienić kilka słów. Wydaje się godna zaufania – w średnim wieku, ciemne, lśniące włosy obcięte na

zgrabnego pazia. Okazała biżuteria, staranny makijaż. Niewzruszone spojrzenie i ręce, które gdy mówi, wciąż są w ruchu.

Jakby była szczerze zaangażowana.

Naprzeciwko siedzi para funkcjonariuszy – starszy policjant i młoda policjantka. Mężczyzna, który najwyraźniej będzie prowadził przesłuchanie, nazywa się Lennart. Ma rzadkie siwe włosy i chyba jakąś egzemę na skórze głowy, bo nieustannie drapie się po niej kościstymi palcami.

Uruchamia nagrywanie i najpierw odczytuje wszystkie obowiązkowe formuлки. Mówi o przysługującym mi prawie do obrońcy i do wglądu w przebieg śledztwa.

– Lykke Andersen – zwraca się do mnie. – Jest pani podejrzana o morderstwo, ewentualnie zabójstwo. Czy rozumie pani zarzut?

Kiwam głową i przesuwam dłonią po bolącym sińcu na szyi.

Policjantka, która nie wygląda na więcej niż dwadzieścia pięć lat, pochyła się do przodu i wskazuje na mikrofon zwisający z sufitu.

– Musi to pani głośno powiedzieć.

– Tak – potwierdzam. – Rozumiem zarzut.

Lennart kiwa głową.

– I jak się pani do niego odnosi?

Patrzę na Faribę.

– Muszę?

Kręci głową.

– Nie masz obowiązku odpowiadać na żadne pytanie.

Zastanawiam się, zamykam oczy i po chwili oznajmiam:

– Chcę rozmawiać z Manfredem Olssonem. Nie będę mówić z nikim innym poza Manfredem.

Lennart odchrząkuje, opiera się wygodnie na krześle i nerwowo spogląda na swoją koleżankę.

– Przykro mi, ale nie wiem, kim jest Manfred Olsson.

– To śledczy z wydziału zabójstw – wyjaśniam. – Pracuje w kryminalnej.

Policjanci znów wymieniają spojrzenia. Lennart drapie się po głowie, drobne płatki skóry spadają na blat biurka jak pierwszy śnieg na ogród przy moim domu albo jak wiórki kokosowe na ciastka, które zwykle piekłam – wcześniej, zanim wszystko się schrzaniło.

– W policji kryminalnej. Ten wydział nosi teraz nazwę Narodowy Wydział Operacyjny – poprawia mnie mężczyzna, a po chwili dodaje: – Czy to ma coś wspólnego z tym, co wydarzyło się latem osiem lat temu?

Lykke
Osiem lat wcześniej

2

Tik, tak. Tik, tak.

Zaczął się odliczanie, zegar tykał, powoli zbliżając nas do katastrofy, lecz nikt z nas tego nie słyszał. To boleśnie piękne sierpniowe przedpołudnie było tylko kolejnym z roziskrzonych, olśniewających upalnych dni lata, jakie mieliśmy w tym roku.

Gdyby przyjrzeć się dokładnie, gdyby uważnie poobserwować przyrodę, dałoby się już dostrzec drobne oznaki zapowiadające nadciągającą jesień: letnie jabłka dojrzały kilka tygodni temu, a ich jędrna świeżość zaczęła ustępować mdłej, pachnącej drożdżami słodyczy. Wokół domu w kolorze faluńskiej czerwieni kwitły w ogródku rozchodniki, astry i malwy, a dzikie wino pnące się po werandzie miało już sporo czerwonych liści.

Przymknęłam powieki, wciągnęłam zapach świeżo skoszonej trawy i nagrzanego słońcem szczap drewna, które piętrzyły się obok pieńka do rąbania w oczekiwaniu na wniesienie do drewnutni.

– Zamierzasz wypić całe wino, zanim zaczniesz się przyjąć?

Otworzyłam oczy i spojrzałam prosto w twarz Gabriela.

Pociągnął mnie zaczepnie za ucho, zabrał mi z ręki kieliszek i wziął solidny łyk rosé. Chociaż dochodziła już dwunasta w południe, on wciąż miał na sobie ulubioną pasiastą piżamę, którą dostał od swej dawnej redaktorki. W ręce trzymał egzemplarz „The Paris Review”. Okulary do czytania wisały mu na dekolcie, a ciemne, przyprószone siwizną włosy stały dęba. Tak, wyglądał tak nieprzyzwoicie przystojnie, jak zwykły opisywać go popołudniówki.

– I to mówi ktoś, kto żłopie wino w piżamie – zażartowałam.

Oddał mi kieliszek, uśmiechając się, co dodatkowo uwydatniło jego i tak już dosyć głębokie zmarszczki wokół oczu. W ostrym słonecznym świetle przypominały szkielec wachlarza wycięty siekierą w kawałku drewna. Potem się odwrócił i objął wzrokiem ogrodzoną łąkę, która rozpościerała się aż do jeziora. Tu i ówdzie żółciły się w słońcu kępki dziurawca, a wzdłuż rowu rosły przekwitłe derenie i smółki pospolite. Po dwóch stronach wznosiła się wysoka ściana iglastego lasu – lasu, który ciągnął się wiele kilometrów w obu kierunkach.

Na zielonej trawie spokojnie pasła się para koni. Chociaż łąka stanowiła część naszej działki, zgodziliśmy się, aby była wykorzystywana jako pastwisko przez

najbliższego sąsiada. Układ wydawał się zadowolający i dla nich, i dla nas – my nie musieliśmy kosić trawy, a ich zwierzęta miały co jeść.

Odstawiłam kieliszek i machnęłam ręką, żeby odpędzić natrętną późną osę. Potem odłożyłam maszynopis i podniosłam się z leżaka.

– Co czytasz? – spytał Gabriel.

– Redaguję nowy zbiór wierszy Alego Hizamiego.

Zerknął na plik papierów na ziemi.

– Dobre są?

– Bardzo.

– Hm – bąknął, drapiąc się po brodzie. – Szkoda, że ma tak mało czytelników.

– To prawda.

Zamilkłam i pomyślałam o Alim: szczupłym i upartym poecie o pałających oczach. Poznałam go pięć lat wcześniej, kiedy wydawnictwo Forss & Stierna, w którym pracowałam, opublikowało pierwszy tomik jego wierszy. Był wtedy młody – bardzo młody – obiecujący i bezkompromisowy w typowy dla poetów sposób.

W miarę upływu lat jego dziwactwa się nasiliły – co nie wpłynęło jednak na ocenę jego dorobku przez wydawnictwo, ponieważ tolerancja dla twórców o przeróżnych dziwactwach była w branży wysoka.

– Wiesz, że on mieszka teraz w przyczepie kempingowej? – spytałam. – Na parkingu koło wysypiska śmieci.

– A niech mnie! Myślałem, że dostał sowite stypendium od Akademii Szwedzkiej.

Letni wiatr zdmuchnął pierwszą kartkę maszynopisu pod leżak.

Przykucnęłam, podniosłam ją i położyłam z powrotem na stosie, a na wierzchu postawiłam dla obciążenia kieliszek. Pierścień wilgoci od zaparowanej szklanej nóżki odcisnął się na kartce i rozpuścił jakiś znak korektorski napisany tuszem, zamieniając go w małą, połyskującą i bardzo tajemniczą akwarelę.

– Owszem, przyznali mu stypendium. Tyle że on go nie przyjął. Bo nie chce zaprzętać sobie głowy pieniędzmi. W tym właśnie rzecz, że ten człowiek postanowił żyć zupełnie poza systemem kapitalistycznym.

– Ale dlaczego?

– Tak naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że to ma związek z jego twórczością, że cały ten projekt pod tytułem życie-pozza-systemem stopniowo zamieni się w zbiór wierszy. Albo może esejów, bo ostatnio wspomniał, że chciałby pisać eseje. I z pewnością byłby w tym dobry, zresztą krytycy kochają wszystko, co wychodzi spod jego pióra.

– Ale z czego on żyje, skoro nie przyjmuje pieniędzy? Skąd ma na jedzenie? Dyplomami i recenzjami przecież się nie naje.

– Zdaje się, że trochę pomaga mu matka. Podrzuca mu prowiant i tak dalej.
– Rany boskie – rzucił Gabriel, wykrzywiając twarz z obrzydzeniem. – Matka? A ile on ma lat? Czy przypadkiem nie jest po czterdziestce?

– Skończył trzydzieści siedem.

Gabriel pokręcił głową i w zadumie podrapał się po karku.

– Czyli to musi być, kurczę, prawdziwy artysta.

Wzruszyłam ramionami.

– Kto jak kto, ale ty chyba powinienesz to wiedzieć?

Prychnął.

– Och, ja nie jestem artystą.

– To kim jesteś? – spytałam i wsunąwszy palec za pasek jego spodni od piżamy, przyciągnęłam go do siebie.

Udawanie skromnego – to cały Gabriel, podczas gdy oczywiście i on, i ja doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z jego szczególnej pozycji na literackiej scenie Szwecji. Jego powieści były zarówno przystępne, jak i wartościowe pod względem artystycznym. Trafiał z nimi pod strzechy i przemawiał do krytyków. Otrzymywał nagrody i osiągał wysokie nakłady. Nazywano go „najwybitniejszym interpretatorem nieznośnej lekkości bytu szwedzkiej klasy średniej”, a także „niewyczerpaną dojną krową Forss & Stierna”.

To nie było typowe, w świecie literatury bowiem granica między komercyjnym pisarstwem gatunkowym a skierowaną do węższej publiczności, bardziej wysmakowaną twórczością była ostra jak brzytwa. Innymi słowy: albo miałeś uznanie krytyków, albo zarabiałeś pieniądze, nic pomiędzy nie istniało.

Ta prawidłowość nie odnosiła się jednak do Gabriela Andersena.

Otoczył mnie ramionami, a ja oparłam policzek o jego szyję. Kłula nieogolonym zarostem i pachniała rozgrzaną skórą.

– Dzisiaj ma być gorąco – powiedziałam.

– Znowu – odpowiedział z westchnieniem, odpychając mnie lekko i przesuwając palcem po zaczerwienionej linii mojego dekoltu.

– Powinnaś użyć balsamu przeciwsłonecznego – dodał.

– Będę głównie w środku, zajęta przygotowaniami.

– Posmaruj się, proszę. Inaczej zrobi ci się między piersiami jaszczurcza skóra. Nie jestem pewien, czy wtedy będę w stanie jeszcze cię kochać.

Roześmiałam się i spojrzałam na jego opaloną twarz.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – kontynuował. – Ale ja mam inną karnację. – Przerwał na krótko, po czym uzupełnił: – I... Jestem mężczyzną.

– Idź do diabła, Gabrielu.

W tym momencie trzasnęły drzwi w małym domku, gdzie od roku mieszkali bliźniacy – było to genialne rozwiązanie, ponieważ dzięki niemu oni czuli się dorośli, a w dużym domu zapanował błogosławiony spokój.

Zbliżały się czyjeś kroki.

Harry wyłonił się zza węgła głównego budynku, ubrany tylko w czerwone slipy. Tułów i muskularne uda były blade, natomiast twarz, łydki i ręce – brązowe od słońca. Odgarnął kosmyk gęstych, ciemnych włosów, które niewątpliwie odziedziczył po ojcu.

Prawie zaraz za nim pokazał się David ze sfatygowanym ręcznikiem okręconym wokół bioder i z odtwarzaczem CD w jednej ręce. W przeciwieństwie do brata on całe ciało miał blade, a właściwie lekko różowawe, a jego potargana czupryna kłuła w oczy jasnym blondem. Poza tym był chudy, szedł lekko pochylony do przodu, jakby szukał czegoś w trawie.

Po raz nie wiadomo który poczułam się niemal zdumiona, że obaj są tak różni, chociaż są bliźniakami. Gabriel i ja czasami żartowaliśmy, że z całą pewnością mają różnych ojców.

– I... i... idziemy nad wodę się wykapać – wyjąkał Harry i nie czekając na odpowiedź, pomaszerował dalej.

– Kiedy wszyscy się zjawią? – spytał David, mrużąc oczy i zasłaniając się ręką przed słońcem.

– Około szóstej – odpowiedziałam. – Nie wiecie, czy Bonnie przyjdzie?

– Tak – odpowiedzieli obaj chórem i poszli razem nad jezioro. Kiedy dotarli do pastwiska, Harry zwolnił elektrozaczep przy bramce w elektrycznym ogrodzeniu, przepuścił Davida, a potem zamknął za sobą.

Spotkałam spojrzenie Gabriela.

– Kiedy oni tak urosli? – spytałam. – Kiedy to się stało? – Zamyśliłam się, a po chwili dodałam: – Jak to możliwe, żeby siedemnaście lat minęło jak mgnienie?

– Oni wcale nie są tacy dorośli, jak im się wydaje. Wczoraj Harry zapytał mnie, co to jest kod pocztowy.

– Boże drogi, jak oni sobie bez nas poradzą?

– Nie poradzą. To dlatego Bóg stworzył rodziców. Pójdę zrobić kawę. Dla ciebie też?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam, nie wspominając, że zanim on się obudził, zdążyłam już wypić dwa kubki – nie dlatego, że wstałam jakoś wyjątkowo wcześnie, po prostu poprzedniego wieczoru Gabriel wytrąbił całą butelkę wina i rano nie mógł się zwlec z łóżka.

Zniknął we wnętrzu dużego domu, tymczasem ja stałam na trawniku i odprowadzałam wzrokiem swoich synów. Miarowym krokiem szli zygzakiem między

dołkami, kamieniami i końskimi kupami w kierunku pomostu i domku na brzegu. Pierwszy Harry, za nim David, tak samo jak wtedy, kiedy przyszli na świat.

*

Miałam dwadzieścia lat i tamtego wieczoru, kiedy poznałam Gabriela na dorocznym przyjęciu branżowym zorganizowanym przez wydawnictwo Forss & Stierna, właściwie szukałam jedynie trochę rozrywki.

Byłam nieopierzoną, dosyć trzpiotowatą asystentką w firmie wydawniczej, bez specjalnych ambicji życiowych, poza imprezowaniem na maksa – i tym samym nadrobieniem wszystkiego, co mnie ominęło podczas spokojnych lat grzecznej nauki szkolnej – oraz znalezieniem pracy, w której mogłabym oddawać się swojej pasji, czyli książkom.

Gabriel Andersen był wówczas największą gwiazdą Forss & Stierna, pisarzem, który sprawił, że cała Szwecja porzuciła kanapy przed telewizorami, zaniedbywała treningi fitness i odrabianie prac domowych z dziećmi, żeby zatracić się we *Wspomnieniach*, w serii powieści o Helene i Siv, dwóch kobietach z małego miasteczka.

Właściwie to całkiem zabawne, że Gabriel zdołał oczarować czytelników opowieścią właśnie o kobietach z klasy średniej – bo sam ani nie był kobietą, ani nie pochodził z klasy średniej. Ale dla mnie dowodziło to po prostu tego, co wiedziałam od zawsze: dobry tekst to dobry tekst. Jest wartością samą w sobie i nie potrzebuje wsparcia w pochodzeniu autora, jego wyglądzie albo – dziwna myśl – jego płci, aby być przekonującym.

Czy mężczyzna z klasy wyższej mógł przedstawić wiarygodnie kobiecie frustracje w piekle szeregowców z początku lat sześćdziesiątych? Oczywiście. Czy *wolno* mu było to robić w kontekście coraz intensywniejszej koncentracji dyskursu kulturowego na reprezentacji i zawłaszczeniu?

To już zupełnie inna kwestia.

Ale Gabrielowi uszło to na sucho – być może dlatego, że jego książki zdążyły się ukazać, zanim to zagadnienie stało się tak bardzo palące, a może zawdzięczał to swojemu sympatycznemu i nieco nieporadnemu wizerunkowi. Tak, tak, wygląd mógł jednak odegrać tu pewną rolę.

Pamiętam obszerny wywiad telewizyjny, jakiego udzielił po zdobyciu Nagrody Augusta¹ za *Prawda jest czerwona*.

– Helene jest przecież typową kobietą swoich czasów – zaczął prowadzący, śmiertelnie poważny mężczyzna w kwadratowych okularach i z fioletowym szalikiem na szyi mającym mu prawdopodobnie dodawać kulturalnego sznytu.

Po krótkiej przerwie kontynuował:

– A lęk, który odczuwa, ma zasadniczo swe źródło w jej małym, ograniczonym świecie. Choroba syna, niewierność męża. Oczywiście jako tło wybrałaś upadek osiedli robotniczych, bezrobocie i konsekwencje tych zjawisk dla kobiet w postaci zwiększonej podatności na różnego rodzaju zagrożenia. Ale jądro twojej opowieści stanowią jednak dom i małżeństwo. Co cię skłoniło do stworzenia tego portretu?

Gabriel potargał sobie włosy, które rzecz jasna i tak sterczały mu na wszystkie strony, wyraźnie sygnalizując, że jest mu kompletnie wszystko jedno, jak wygląda na ekranie telewizora. Następnie potarł nos dwoma palcami, po czym zamarł w cichej zadumie, która trwała na tyle długo, że moderator zaczął się nie na żarty denerwować.

W końcu powiedział:

– To było proste. Wychowywała mnie samotna matka, która pracowała na dwóch etatach, żeby związać koniec z końcem. Bo chociaż pochodzę z tak zwanego lepszego środowiska, nigdy nam się nie przelewało. Wszystkiego, co potrafię, nauczyłem się od niej. A moim pragnieniem jest być choćby w połowie tak silnym jak ona. Młodzieńcze lata dały mi sporo do myślenia i w końcu doszedłem do wniosku, że kobiety są lepsze od mężczyzn. Pod każdym względem.

Sukces był gwarantowany.

Trzy czwarte czytelników literatury pięknej w Szwecji to kobiety i te kobiety, które pokochały Helene i Siv, które dzieliły ich ból i cieszyły się z ich sukcesów w Lillängen, teraz pokochały także Gabriela.

A ja nie byłam oczywiście wyjątkiem.

Jako literaturoznawczyni i młoda pracowniczka wydawnictwa przeczytałam – co zrozumiałe – wszystkie jego książki. Zresztą nie tylko przeczytałam – godzinami dyskutowałam o nich z moimi przyjaciółmi. Dokonywałam wiwisekcji rozpadającego się małżeństwa Helen i sekretnego romansu Siv ze starszą o dziesięć lat nauczycielką Brittą. Poddawałam analizie perspektywę narracji, różne plany czasowe, które tak umiejętnie zostały ze sobą przeplecione, oraz wręcz niesamowitą umiejętność Gabriela do konstruowania wartkiej akcji – co koledzy w wydawnictwie zwykli nazywać „czytelniczym cugiem” – bez uszczerbku dla walorów literackich.

I oto on we własnej osobie stanął przede mną w naszej firmowej kuchence, ubrany w wymiętą lnianą marynarkę i jeszcze bardziej wymiętą zgniłozieloną koszulę. Włosy na baczność, w jednej ręce książka, a w drugiej miękki plastikowy kubek z czerwonym winem. Był równie przystojny jak na zdjęciach i – co dużo ważniejsze – był mężczyzną liczącym się na mapie kulturalnej Szwecji, pisarzem zapraszany do niemal każdego prestiżowego telewizyjnego talk-show i wyróżnianym najcenniejszymi nagrodami.

Wszystko, na czym mi w tamtej chwili zależało, to żeby mnie zobaczył, wejrzał we mnie i być może dzięki tej dogłębnej wnikliwości, jakiej dawał próbkę w swoich

działach, mnie zrozumiał.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odpowiedziałam. – Gdzie się podziewałeś przez całe moje życie?

Nie, nie byłam nieśmiałą trusią. A Gabriel bynajmniej się nie zawahał, by podjąć moje zaproszenie.

Spędziliśmy w wydawnictwie kilka godzin, popijając kwaśne wino i pogryzając miękkie chipsy. On opowiadał o swojej niedawno zmarłej matce i o książkach, które zmieniły jego życie. Ja z kolei przedstawiałam mu wybrane fragmenty z lat mojej wczesnej młodości, doprawiając je odniesieniami literackimi, podczas gdy ciasne pomieszczenie, w którym się znajdowaliśmy, sprawiało, że powoli, ale nieuchronnie przysuwaliśmy się do siebie.

W końcu staliśmy tak blisko, że mogłam poczuć ciepło jego ciała, a kiedy uniósł rękę, aby odgarnąć mi kosmyk włosów, który utkwiał w kąciку ust, poczułam zapach papierosów wypalonych przez niego w ciągu wieczoru.

Po bankiecie w wydawnictwie pojechaliśmy na Stare Miasto do domu jednego z jego kolegów pisarzy i kontynuowaliśmy imprezę. Tam wręcz roiło się od znanych twarzy kulturalnej elity Szwecji – jeśli mam być szczerą: przeważali mężczyźni w średnim wieku. Kobiety były młode, wszystkie ubrane na czarno, chodziły na Mejan² albo studiowały literaturę bądź chciały chodzić na Mejan lub studiować literaturę.

Muzyka dudniła w uszach, alkohol lał się strumieniami i dym ciężko wisiał w powietrzu. Widziałam, jak niektórzy wciągali biały proszek z gładkich blatów, papierowych talerzy, a w jednym przypadku – z tylnej okładki *Trylogii nowojorskiej* Paula Austera.

Nie wiem, co sobie myślałam, o ile w ogóle myślałam. Rzecz jasna wiedziałam, że narkotyki są nielegalne, ale w tym przypadku to chyba nie miało znaczenia? Znalazłam się przecież z wizytą w innym świecie, ważniejszym, zamieszkanym przez ludzi wyrastających ponad drobnomieszczańskie konwencje. Tutaj poszukiwano Prawdy w imieniu Sztuki. Zatem to chyba nic dziwnego, że człowiek musiał wciągnąć jedną czy nawet dwie kreski, żeby ją znaleźć?

Zresztą narkotyki to tylko jedna z wielu rzeczy, nad którymi nie zastanawiałam się tamtego wieczoru.

W ogóle nie przyszło mi do głowy, że nawiązanie bliskiej relacji z głównym autorem wydawnictwa może być niewłaściwe. Nie myślałam też o różnicy wieku – Gabriel jest prawie piętnaście lat starszy ode mnie – ale akurat to było chyba mniej istotne, ponieważ nie planowałam z nim wspólnej przyszłości.

A jednak się stało.

3

Bonnie Högberg zjawiała się około piątej.

Gdy stałam w kuchni i kroiałam tartę serową³, usłyszałam warkot jej motoroweru. Alkohol chłodził się w lodówce, a raki rozmrażały w letniej wodzie w wiadrach – jak zwykle zapomniałam je wyjąć odpowiednio wcześniej.

Motorower popyrkotał, po chwili ucichł, rozległ się odgłos kroków, a zaraz potem usłyszałam zza otwartych drzwi frontowych:

– Halo, jest tu kto? – zawołała Bonnie.

– Jestem w kuchni – odpowiedziałam.

Kilka sekund później weszła, ubrana w koledżówkę, dżinsowe ogrodniczki i znoszone tenisówki. Na głowę, mimo gorąca, miała naciągniętą cienką niebieską czapkę, a na ramieniu trzymała płócienną torbę, której kształt zdradzał, że w środku może się kryć butelka wina. Długie kasztanowe włosy opadały na barki, a w uszach lśniły liczne kolczyki.

– Cześć – rzuciła, odsłaniając w szerokim uśmiechu cały aparat ortodontyczny.

– Cześć – odparłam i mocno ją przytuliłam.

Bonnie była Harry’ego i Davida – no właśnie, *kim?*

Zdecydowanie kimś więcej niż zwykłą koleżanką, tyle wiedziałam. Ale gdy któregoś razu spytałam, czy jest ich przyjaciółką, przewrócili oczami.

– Przyjaciółki to mają czterdziestolatki – prychnął Harry.

– Przyjaciółka – powtórzył David, marszcząc czoło. – To trochę wewnętrznie sprzeczne, żeby używać zdrobnienia dla tego słowa, no nie?

Westchnąwszy, stwierdziłam nie pierwszy raz, że w charakterystyczny dla nich sposób udało im się odwrócić moją uwagę od zasadniczego tematu.

Pytanie pozostało jednak otwarte: jaka relacja łączyła Bonnie z moimi synami? Kim dla nich była? Kimś w rodzaju powiernicy? Zdecydowanie, to nie ulegało wątpliwości. Ich najlepszą kumpelą? Tak mi się wydawało. Czy może obaj się w niej podkochiwali? Niewykluczone, w ciągu ostatnich miesięcy bowiem nierzadko przyłapywałam ich na rzucanych ukradkiem spojrzeń, kiedy im się zdawało, że nikt na nich nie patrzy. Widziałam, jak Harry z hamaka przyglądał się Bonnie, gdy wracała przez łąkę z mokrym kostiumem kąpielowym w dłoni. Wiódł za nią wzrokiem przez całą drogę, aż do samego domu, i nie pociągnął ani jednego łyka coli z puszki, którą właśnie otworzył. David z kolei, rozmawiając z nią przez komórkę, nieustannie się uśmiechał

i dreptał tam i z powrotem po trawniku z rozpalonymi policzkami i z jedną dłonią ukrytą w swoich jasnych włosach.

Znali się od pierwszej klasy i w zasadzie byli nierozłączni – niezwykle trio, które zawsze razem przeżywało chwile radości i smutku. Jak choćby wieczór, gdy pies Bonnie wpadł pod samochód i odszedł, nieszczęsna impreza, gdy cała trójka upiła się w sztok i o trzeciej nad ranem musiałam jechać po nich parę kilometrów. No i oczywiście bezowocna wojna z sadystycznym wuefistą, który uparł się, że nauczy Davida pływać, mimo że on śmiertelnie bał się wody. Ją także przeżywali solidarnie wszyscy troje.

Oczywiście mieli też masę innych wspólnych doświadczeń, większych i mniejszych, których nie znałam – nie jestem naiwna i zdawałam sobie sprawę, że o wielu rzeczach nie wiem. Ale uważałam, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, bo przecież żaden nastolatek nie opowiada o wszystkim mamie.

– Mogę jakoś pomóc? – spytała Bonnie, spoglądając na tartę.

Rozejrzałam się po kuchni.

– Wiesz, akurat teraz nie ma nic specjalnego do roboty. A jeszcze trochę za wcześnie, żeby zacząć nakrywać do stołu. Idź do chłopców, w razie czego was zawałam.

– Okej – odpowiedziała, odwróciła się na pięcie i poszła.

Jej kroki oddalały się w kierunku małego domku, a wkrótce potem przez otwarte okno dotarły do mnie krzyki i śmiechy.

Szczerze lubiłam Bonnie. Nie tylko dlatego, że lubili ją chłopcy, ale także z powodu otwartości i uczciwości, które w niej ceniłam. Zawsze mówiła wprost, co myśli – a własne zdanie miała na każdy temat, bez względu na to, czy chodziło o politykę, związki czy muzykę.

– Wszyscy w Szwecji powinni dostawać pensję obywatelską – oświadczyła pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w kuchni i piliśmy herbatę.

Gabriel uniósł kubek do ust, po czym zerknął na mnie z rozbawieniem.

– Co masz dokładnie na myśli? – spytał Harry.

– Po prostu. Każdy pracuje tyle, ile może. I każdy dostaje od społeczeństwa tyle, ile potrzebuje. Ani więcej, ani mniej. Po co komu dziesięć samochodów? Tak czy nie?

Gabriel uśmiechnął się jeszcze szerzej i dyskretnie uniósł jedną krzaczastą brew.

– To ty jesteś komunistką – stwierdził David.

Powiedział to obojętnym tonem, ale jego oczy zdradzały żywe zainteresowanie, jak zawsze, gdy zwykle, codzienne rozmowy zbaczały na intelektualne tory.

Pozbawiona choćby śladu makijażu twarz Bonnie wyrażała autentyczne zdziwienie.

– Jasne, że nie jestem – odparła.

Gabriel odchrząknął i postawił kubek na stole.

– Stwierdzenie Davida nie jest pozbawione racji. Pogląd na to, jak powinny wyglądać konsumpcja i produkcja w społeczeństwie komunistycznym, zwykle ilustruje się hasłem: od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb. Swoją drogą, kto to powiedział?

Automatycznie obrócił się w stronę Davida, podczas gdy Harry też automatycznie utkwiał wzrok w swojej herbacie.

Wielokrotnie zwracałam Gabrielowi uwagę na to, że zakładając niemal zawsze z góry, iż to David jest tym zdolniejszym i mądrzejszym, jednocześnie rani swojego drugiego syna. Za każdym razem, gdy byłam świadkiem cichej kapitulacji Harry'ego przed intelektualną przewagą brata, czułam dotkliwy ból.

– Marks – odpowiedział David bez wahania, drapiąc się po szczupłym ramieniu w miejscu, gdzie ugryzł go komar.

– Owszem – odparł Gabriel. – Powiedział to Marks, ale hasło wymyślił chyba Louis Blanc. Co więcej, sama zasada jest wspomniana gdzieś w Nowym Testamencie. Sprawdźmy, to może być w...

– Ale – przerwała Bonnie z wyraźnie zachmurzoną twarzą. – Mam gdzieś, czy to jest komunizm, czy coś innego. Mnie chodzi o sprawiedliwość. Nikt nie powinien się zaharowywać, żeby ktoś drugi mógł sobie kupić na przykład dom z czternastoma sypialniami. Takie jest moje zdanie. Ale widzę, że dla was to jest problem, tak?

Bonnie miała wykrystalizowane poglądy. I łatwo się emocjonowała.

Kiedyś zastałam ją na kanapie, jak ze wzrokiem utkwionym w telewizorze głośno płakała.

– Co ci się stało? – spytałam, podbiegając do niej.

– Oskórowują młode foki, choć one są jeszcze żywe – wykrztusiła między spazmami.

Nic nie mówiąc, pogłaskałam ją po ramieniu. Byłam zaskoczona, że dziewczyna wychowana na wsi, w gospodarstwie, jest tak wyczulona na brutalne realia życia. Że jest tak wrażliwa, choć jednocześnie wydawała się twarda i pragmatyczna.

Bonnie była też tak zwaną chłopczycą – nie bawiła się w przybieranie żadnych sztucznych póz charakterystycznych dla dziewcząt kręcących się nieustannie przy wiejskiej budce z hot dogami. Nie malowała się, nie próbowała się nikomu przypodobać i nie cierpiała, kiedy nie traktowano jej poważnie. Nie tylko nie cierpiała – ona tego nie akceptowała. Podnosiła wtedy głos, waliła pięścią w stół i reagowała bez wahania, jeżeli tylko ktokolwiek usiłował ją zlekceważyć.

Miała też wielkie serce.

Zawsze, gdy David chorował – a zdarzało mu się to często, ponieważ był astmatykiem i od dziecka nieustannie zapadał na infekcje dróg oddechowych – przychodziła do nas ze słodyczami i z filmami wideo. Kiedyś jej powiedziałam, że to bardzo miłe z jej strony, że jest taka troskliwa. Wtedy zmarszczyła czoło i popatrzyła na mnie tak, jakby usłyszała ode mnie coś wyjątkowo głupiego.

– Jaka byłaby ze mnie koleżanka, gdybym nie odwiedziła Davida, kiedy jest chory?

Tak, Bonnie to prawdziwy skarb. Co może się wydawać tym bardziej dziwne, że jest córką Leny Högberg.

Dorastałam w tej okolicy i przez całą szkołę podstawową Lena Högberg chodziła do równoległej klasy.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że miło wspominałam tamten czas – nosiłam duże okulary, byłam wysoka i chuda jak patyk. Ponadto miałam rodziców ekscentrycznych naukowców, którzy przeprowadzili się na wieś podczas zielonej fali⁴. Co w sumie okazało się nie do przełknięcia dla moich kolegów z klasy. Przez wszystkie szkolne lata nie zostałam zaproszona na ani jedną prywatkę i musiałam się zadowolić ślęczeniem w domu nad książkami.

Natomiast Lena należała do najbardziej podziwianej i nie dla każdego dostępnej paczki w szkole – robiła sobie trwałą, za salą gimnastyczną paliła po kryjomu papierosy i brała tabletki antykoncepcyjne już jako piętnastolatka – to znaczy tak opowiadała każdemu, kto tylko chciał słuchać.

Nie była niemiła, raczej mnie po prostu nie zauważała. A kiedy czasami ją o coś spytałam, przewracała oczami za pociągniętymi szafirowym tuszem rzęsami i demonstracyjnie wolno obracała się na pięcie, nie udzielając mi odpowiedzi.

Gdyby nie to, że Gabriel kupił tę posesję, raczej już nigdy w życiu nie natknęłabym się na Lenę. A teraz mieszkaliśmy zaledwie kilka kilometrów od siebie, na dodatek nasze dzieci chodziły do jednej klasy od początku podstawówki.

Jeżeli przypadkiem wpadłyśmy na siebie w sklepie, zwykle pozdrawiałyśmy się skinieniem głowy, niekiedy zamieniłyśmy parę słów na temat dzieci i to wszystko. Rodzina Högbergów trzymała się na uboczu i jeśli mam być szczerą, my chyba też.

Lecz za każdym razem, gdy spotykałam Lenę, od razu myślałam o Bonnie i nie mogłam się nadziwić, że ktoś taki jak ona urodził i wychował takie dziecko.

To była dla mnie jedna z największych tajemnic wszechświata. Gabriel zażartował nawet kiedyś, że to może być dowód na istnienie Boga.

Wybiła szósta, gdy usłyszałam nadjeżdżający samochód.

Gabriel stał z gołym torsem przed lustrem w sypialni i odpakowywał z folii nową koszulę.

Podeszłam do okna i zobaczyłam zatrzymujące się pod płotem auto Olofa Forssa – stare czerwone renault z zardzewiałymi nadkolami i z naklejką na tylnej szybie „Dziecko na pokładzie”.

Wygląd samochodu nie pozwalał się domyślić, kto może być jego właścicielem, w gruncie rzeczy był wręcz mylący. Olof Forss bowiem nie jest bynajmniej biednym jak mysz kościelna ojcem małych dzieci. Przeciwnie: to majątny wydawca między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką nieposiadający ani dzieci, ani partnerki. Tak naprawdę nie znałam jego dokładnego wieku ani orientacji seksualnej – od początku naszej znajomości nigdy nie widziałam u jego boku żadnej kobiety ani mężczyzny. A znaliśmy się długo – to on zatrudnił mnie przed laty w Forss & Stierna.

Wraz z dwoma współnikami założył wydawnictwo dziesięć lat przed tym, jak zaczęłam w nim pracować, i teraz we trzech byli jego współwłaścicielami. Olof jednak zdecydowanie wyrastał ponad pozostałych między innymi ze względu na ogromną rozpoznawalność w branży, ponadto zajmował się wyłącznie ambitną twórczością literacką i opiekował się jej autorami. Gabriel niewątpliwie należał do tej grupy, ale w przeciwieństwie do wielu innych pisarzy przynosił też dochody, co czyniło go podwójnie wartościowym dla wydawcy.

Po sukcesie *Wspomnień* zdążył napisać siedem kolejnych powieści. I chociaż nie sprzedawały się równie dobrze jak tamten superhit, to znalazły się na listach bestsellerów i otrzymały dobre recenzje.

Razem z Gabrielem wyszliśmy mu na powitanie. Gdy przyspieszyłam, żeby dotrzeć kroku mojemu mężowi, niechcący rzuciłam okiem na jego nową koszulę – miała srebrne guziki ozdobione emaliowanymi czerwonymi rakami oraz nadruk na plecach w postaci dużego, również czerwonego raka.

– Rany boskie. – Zachichotałam. – Skąd ty ją wytrzasnąłeś?

Uśmiechnął się.

– Wypatrzyłem w niedużym butiku z męską odzieżą na Söder.

Upał już trochę zelżał, ale nadal było duszno. Machnęłam ręką, aby odpędzić natrętną końską muchę, a kiedy doszliśmy do samochodu, wzięłam Gabriela za rękę.

Olof wysiadł z auta. Miał na sobie tę samą ciemnozieloną sztruksową marynarkę co zawsze. Materiał na łokciach był wytarty tak bardzo, że aż błyszczał, a koszula ciasno opinała mu brzuch. Okulary w rogowej oprawie z jednym sklejonym taśmą zausznikiem tkwiły krzywo na jego nosie.

W branży panował swego rodzaju odwrócony snobizm – istniało życzliwe przyzwolenie na noszenie rzeczy wysłużonych i niemodnych – jeśli było się w wieku Olofa – lub szalonych i tak niemodnych, że aż modnych – jeżeli miało się tyle lat co ja lub mniej.

Olof uniósł rękę w geście pozdrowienia, po czym przesunął nią po głowie, żeby przygłodzić włosy – z przodu ich prawie nie miał, za to tył czaszki był porośnięty gęsto i bujnie, co sprawiało wrażenie, jakby wciąż zmagał się z przeciwnym wiatrem.

Po drugiej stronie auta otworzyły się drzwi. Z samochodu wysiadła kobieta. Wyglądała na trzydziestokilkulatkę – drobna, ładna, z krótko obciętymi ciemnymi włosami i z grzywką kończącą się w połowie czoła. Wąskie usta były pociągnięte wściekle czerwoną szminką.

Ruszyli ku nam z reklamówkami w rękach. Olof dał mi szybkiego buziaka w policzek i uścisnął mnie mocno.

– Wyglądasz kwitnąco – powiedział dosyć przekonująco.

– I wzajemnie – odrzekłam, biorąc od niego kosz prezentowy, który mi podał. Uchyliłam szare płótno i dostrzegłam coś w rodzaju czekoladowych pralinek zawiniętych w szeleszczący celofan.

Prezenty to specjalność Olofa. On nigdy nie przyszedłby z pudełkiem popularnych czekoladek typu Aladdin czy z zawiniętym w folię bukietem przywiedłych tulipanów. Każdy jego upominek był starannie przemyślany, niezwykle wysmakowany i zazwyczaj kryła się za nim jakaś historia.

– Tego *chocolatière'a* poznałem trzy lata temu w Algierii, kiedy odwiedzałem poetę, który utopił się potem w Sekwanie. Pewnie go pamiętasz, prawda? – zwrócił się do Gabriela. – Ów *chocolatière* był bratem poety. Mieszkał w Belgii, ale akurat przyjechał w odwiedziny i poczęstował mnie najcudowniejszymi pralinami. Od tamtej pory specjalnie sprowadzam je z jego sklepu w Brukseli.

Kobieta wygładziła sztywny brokatowy materiał swojej sukienki w stylu lat pięćdziesiątych i wyciągnęła do mnie rękę.

– Jestem Teresa, ale wszyscy nazywają mnie Tuss – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Jestem nową redaktorką Gabriela.

– Witamy – odrzekłam i zrobiłam zapraszający gest w stronę naszego czerwonego domu. – Witamy w Wieczności.

Lykke Obecnie

Długo, przez wiele lat myślałam, że tak właśnie powinno być. Że życie, które zbudowaliśmy, jest tym, na jakie zasługujemy. Że szczęście jest nagrodą, medalem za wytrwałą i wierną służbę. Z dumą pokazywałam go każdemu, kto miał ochotę zobaczyć, no bo kto nie chciałby pochwalić się medalem? Cały świat zapraszałam do mojej kuchni, do mojej rodziny, do mojej prywatności.

Potem ludzie powiedzą, że byłam naiwna.

Ale ja nie byłam naiwna. W każdym razie nie bardziej niż ktokolwiek inny. Katastrofa zawsze czai się na skraju pola widzenia, w bezpiecznej odległości od tych, którzy jej wypatrują. Katastrofa to rzadki ptak, niespotykany gość w moich szerokościach geograficznych. Albo całkiem nowy gatunek, którego istnienia nikt sobie nie wyobrażał.

Ale to, co wydaje się nie do pomyślenia, jest nie do pomyślenia tylko do momentu, gdy się wydarzy, gdy ten osobliwy ptaszek wyląduje za oknem – wiatr w jego piórach, drapanie pazurami o szybę, pustka w jego małych czarnych oczkach.

W małym pokoju bez okien stoją wysoki, muskularny mężczyzna i rudawa kobieta po trzydziestce o zaróżowionych policzkach. Oboje są w granatowych uniformach z emblematem służby więziennej na ramieniu. Do paska mają przyczipione krótkofalówki i coś, co wygląda jak pałka.

Kobieta mówi mi dzień dobry, przedstawia się jako Sara, osoba kontaktowa w więzieniu Kronoberg. Funkcjonariusz, który przyprowadził mnie do rejestracji, przekazuje jej moją torebkę z telefonem komórkowym, portfelem i carmexem, po czym znika w kierunku wyjścia.

Sara odsuwa na bok moje rzeczy i podaje mi plik papierów i długopis.

– Zaczynij wypełniać oświadczenie o stanie zdrowia.

Przebiegam wzrokiem listę pytań: czy jestem przewlekle chora? Czy przyjmuję jakieś leki? Czy w ostatnim czasie miałam zabieg chirurgiczny? Czy zażywam narkotyki?

Raz za razem stawiam krzyżyk w okienku „nie”, ale potem robi się trochę trudniej, stoję więc z długopisem w dłoni i niepokojem ściskającym mi gardło.

Czy czujesz się przygnębiona?

Zastanawiam się, w końcu jednak zaznaczam „nie”.

Czy zdarzyło ci się kiedyś pragnąć śmierci lub chcieć zasnąć i się nie obudzić?

Codziennie tak myślę. Ale takiej możliwości nie ma, wpisuję zatem ponownie „nie”. Nie znoszę być upierdliwcem, który ciągle skupia się tylko na swoich lękach.

Czy miewasz myśli samobójcze?

Sądzę, że każdy, każdy bez wyjątku, kto znalazłby się w mojej sytuacji, rozważałby odebranie sobie życia, bo nawet śmierć nie może być tak okrutna jak to, przez co przeszłam.

Stawiam krzyżyk w okienku „nie” i odkładam formularz.

– Gotowe? – pyta Sara i odgarnia kosmyk rudawych włosów z wilgotnego czoła.

Potakuję.

– To dobrze.

Wiedzie wzrokiem po szarzielonym dresie i białych plastikowych klapkach, które po badaniu dostałam od ciężarnej lekarki medycyny sądowej.

– Widzę, że ciuchy już ci dali – kontynuuje. – Musisz teraz oddać próbkę moczu.

– Znowu? Lekarka już jedną wzięła.

– Znowu – oznajmia krótko, po czym daje mi znak, żebym poszła za nią.zzzzzzzzzzzzzzz

Po załatwieniu wszystkich formalności Sara odprowadza mnie do mojej celi. Przy każdym jej kroku pęk kluczy uderza z brzękiem o kajdanki przypięte do paska.

Odchrząkuje.

– Podlegasz zaostrzonemu rygorowi. To znaczy, że nie możesz się spotykać z żadnymi innymi osadzonymi. Nie masz prawa do odwiedzin, listów ani telefonów, z wyjątkiem kontaktu z twoją adwokatką. Nie wolno ci też czytać gazet, oglądać telewizji ani słuchać radia. Ale możesz zamówić...

– Książkę – wchodzę jej w słowo. – Czy mogłabym dostać książkę?

Potakuje.

– Książki rozdawane są jutro. Albo pojutrze, nie pamiętam dokładnie. Mogę sprawdzić.

Idziemy długim korytarzem pomalowanym całkowicie na biało. Po lewej stronie znajdują się grube, numerowane metalowe drzwi z judaszami na wysokości oczu.

Sara wskazuje na jedno z nich.

– Będziesz w celi numer siedem.

Spoglądam na przeciwległą ścianę.

– Tam jest sala spotkań.

– Sala spotkań?

– Do rozmów z obrońcą albo ze śledczym. Z policji oczywiście. A tam w głębi, za wartownią, jest spaceriak.

– Tu, na górze?

Jesteśmy na najwyższym piętrze komendy policji przy Kronobergsparken. Próbuje sobie wyobrazić, jak może wyglądać spaceriak na dachu. Czy są tam jakieś rośliny, ławki, na których można posiedzieć w słońcu?

Sara zatrzymuje się i otwiera celę numer siedem. Wchodzę do pomieszczenia, które nie ma więcej niż dziesięć metrów kwadratowych. Długie i wąskie, też pomalowane na biało, przywodzi na myśl tanią kajutę na promie. Na drugim końcu podłużnej klitki znajduje się zakratowane okno. Na lewo od niego stoi prycza, chociaż właściwie nie stoi, tylko jest przymocowana do ściany i do podłogi wyłożonej szarym linoleum. Na wierzchu leżą żółty koc i dwa złożone prześcieradła.

Pod oknem jest wisząca półka z jasnego drewna, która chyba ma służyć jako biurko, a obok drewniana ławka, również przykręcona do ściany. W celi znajduje się także nieduża umywalka, a nad nią – przytwierdzony do ściany jak wszystko – kawałek wypolerowanej blachy: bezpieczny, choć niezbyt funkcjonalny substytut lustra.

– Gdzie jest toaleta? – pytam.

– Toaleta i prysznic są na zewnątrz. Wystarczy zadzwonić, a ktoś po ciebie przyjdzie.

Wskazuje na przycisk na ścianie.

– W środku nie ma toalety?

Patrzy na mnie wymownie.

– To nie hotel. W razie czego dzwoń. Za godzinę dostaniesz obiad. Na spacerki możesz iść jutro, jeśli będziesz chciała. Zgłoś to, jak przyniosą ci śniadanie, wpiszemy cię na listę.

Następnie cofa się na korytarz i zamyka za sobą drzwi.

Opadam na pryczę, siedzę nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w białej nicości przeciwległej ściany. Nie mam pojęcia, jak długo to trwa – może dziesięć minut, a może pół godziny – potem się kładę i patrzę w sufit, podczas gdy moje myśli krążą ospale.

Sara nie jest właściwie niemą, nikt, z kim do tej pory miałam do czynienia, nie traktował mnie źle – ani policjanci, ani lekarka, ani personel więzienny.

Zabiera mi chwilę, zanim zaczynam rozumieć, co mi przeszkadza w ich zachowaniu. A kiedy to sobie uzmysławiam, rodzi to we mnie potrzebę swego rodzaju autorefleksji – ja ich po prostu nie obchodzę, jestem im całkowicie obojętna.

Właściwie dlaczego miałyby być inaczej?

Jestem tylko jedną z niezliczonych anonimowych osób, które co roku stają się klientami systemu sprawiedliwości.

Ale nie przywykłam do tego, by być anonimowa i pozbawiona znaczenia.

Przyzwyczałam się być żoną Gabriela Andersena, kogoś, kto niewątpliwie nie jest byle kim. Przyzwyczałam się być matką Davida i Harry’ego oraz oczywistą osią ich życia. Przyzwyczałam się być redaktorką, z której zdaniem liczą się pisarze. Kimś, kto ma wpływ na narrację, postacie i język ich opowieści.

A teraz jestem nikim: to nowe i niezbyt przyjemne doświadczenie.

Jakiś czas później – po godzinie, po dwóch? – słychać pukanie do drzwi. Uchyła się okienko i ukazuje się w nim rumiana twarz Sary.

– Obiad – mówi i po kilku sekundach drzwi się otwierają.

Podchodzę i dostaję od niej plastikową tacę, którą ona bierze z wózka na kółkach.

– Co teraz? – pytam.

Marszczy czoło.

– Jak to: co teraz? Zjesz obiad. A potem cię zamknę.

– Czy mój adwokat się pojawi? Albo ktoś z policji? Prosiłam o spotkanie ze śledczym Manfredem Olssonem.

– Nic o tym nie wiem. Przyjdziemy po ciebie, jak ktoś będzie chciał z tobą rozmawiać, ale to najwcześniej jutro.

Przyciąga drzwi, które zatrzasują się z głuchym echem, i po chwili jej kroki oddalają się w korytarzu.

O dziesiątej zamykane jest wszystko i gaśnie światło, a wraz z ciemnością wkrada się strach. Leżę na twardej pryczy, kiedy nagle paraliżujące zimno zaczyna rozchodzić się po moim ciele – najpierw czuję je w klatce piersiowej, wokół serca, potem rozsnuwa się dalej, sięga ramion i nóg. Trzęsę się i chociaż szczelnie okrywam się kocem, nie jest mi w ogóle ciepłej.

Brak mi mojej rodziny, brak mi Wieczności. Brakuje mi wszystkiego, co kiedyś miałam i co nieodwołalnie straciłam. Ale najbardziej brak mi siebie takiej, jaką byłam, ponieważ wiem, że już nigdy nie będę taka sama.

I myślę o dzieciach, to oczywiste, że myślę o dzieciach.

Wszystko zaczyna i kończy się wraz z nimi.

6

Zaledwie kilka miesięcy po poznaniu Gabriela zaszłam w ciążę. Rzecz jasna nie planowaliśmy tego, ale z drugiej strony nie byłam szczególnie ostrożna. Wiedziałam, że spotkałam człowieka, z którym chcę spędzić resztę życia, a przynajmniej tak mi się wydawało. Co jednak można wiedzieć na pewno, kiedy ma się dwadzieścia lat?

Po imprezie firmowej widywaliśmy się niemal codziennie, ukrywając nasz związek i ciesząc się ową tajemnicą niemal na równi z nawałnicą miłości, która na nas spadła.

Początkowo miałam pewne wątpliwości, czy kontynuować tę relację – nie z powodu braku uczucia do Gabriela, tylko pod wpływem obawy, że on po prostu się mną bawi. Byłam przecież nikim, zwykłą dziewczyną z prowincji, która w dzień parzyła kawę i robiła korekty w wydawnictwie, a po nocach imprezowała. Lecz wraz z upływem tygodni nabierałam coraz większej pewności – to człowiek, z którym chcę spędzić życie.

Podzieliłam się z nim nowiną o ciąży w pewien duszny letni dzień w zadymionej małej kawiarence. Zanim mu to powiedziałam, zauważyłam, że jest zestresowany, ponieważ wybierał się na spotkanie z Olofem w sprawie wydania jego kolejnej książki.

– Chyba muszę już... – zaczął, zerkając na zegarek.

Położyłam dłonie na jego dłoniach i spojrzałam mu w oczy. Czekałam na odpowiednią chwilę, jakby taka w ogóle istniała.

– Słucham? – odezwał się i wyglądał na zdezorientowanego.

– Jestem w ciąży.

Jego twarz zmieniła kolor z białego na popielatoszary. Oddech stał się ciężki, niemal astmatyczny. Wyciągnął rękę i chwycił się stolika.

– Do diabła, Lykke – szepnął i rozejrzał się nerwowo, jakby się bał, że ktoś coś usłyszy. Po czym rzucił: – Jak, do cholery, mogłaś być tak głupia i się nie zabezpieczać?

– Brzmisz jak moja mama.

Poblądł jeszcze bardziej, przez moment bałam się, że zaraz zemdleje.

– Przecież ja prawie mógłbym być twoim ojcem – wymamrotał, jakby właśnie zdał sobie z tego sprawę.

– W takim razie chyba raczej powinieneś wiedzieć, skąd się biorą dzieci.

Nic nie powiedział, ja jednak czułam się dziwnie spokojna, być może dlatego, że przewidziałam jego reakcję. Byłam przekonana, że ochłonie i z czasem oswoi się z myślą, że zostanie tatą.

Ostatecznie to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Poza tym Gabriel był już raz żonaty z dosyć znaną aktorką. Przez lata starali się o dziecko, ale bez powodzenia. Według niego między innymi to przyczyniło się do rozpadu małżeństwa – w końcu żona odeszła od niego i związała się z kolegą z pracy, a niedługo potem oboje adoptowali dziewczynkę z Chin.

A teraz ja siedziałam przed nim, gotowa dać mu nie tylko miłość na całe życie, ale także rodzinę, za którą – jak twierdził – zawsze tęsknił, ponieważ, jako wychowywany przez samotną matkę, od dawna marzył o stworzeniu prawdziwego ogniska domowego, jakiego nigdy nie miał.

Tak, nie wątpiłam, że Gabriel oswoi się z myślą, iż zostanie rodzicem, a nawet nie będzie mógł się tego doczekać.

I tak się stało. W miarę jak mijały dni i zamieniały się w tygodnie, a zieleń gorącego lata ustępowała miejsca bogactwu płomiennych kolorów jesieni, zaczęliśmy się przygotowywać do powitania na świecie naszych dzieci. Jak się bowiem okazało w badaniu ultrasonograficznym, spodziewałam się bliźniaków.

Problemem było wspólne lokum.

Gabriel wynajmował mieszkanie w dużym domu w Djurgården należącym do pewnej kobiety mającej dużo pieniędzy, a mało smaku. Z jakiegoś powodu ta bogaczka postanowiła zostać jego protektorką i nie zgadzała się na to, abym zamieszkała pod jej dachem. Oczywiście sypiałam u niego nie raz i nie dwa, a nawet całkiem często. Ale Gabriel zawsze pilnował, aby wygonić mnie odpowiednio wcześnie rano, byle tylko ona mnie nie zobaczyła.

Nienawidziłam tego wymykania się o świcie, czułam się przez to jak gdyby brudna, toteż Gabriel przysięgł, że gdy urodzą się dzieci, na pewno będziemy mieli coś własnego.

Na swoich książkach zarobił całkiem niemało, a razem ze spadkiem po wuju w zupełności wystarczyłoby to na mieszkanie w mieście. Chodziliśmy więc oglądać różne oferty, obejrzelśmy chyba ze dwadzieścia lokali, ale według Gabriela żaden się nie nadawał.

– Nie umiałbym tam pisać – narzekał.

Z różnych powodów: mieszkania były zbyt brzydkie, zbyt ostentacyjne. Albo były jakie i nudne.

Nie śmiałam oponować, w końcu oboje żyliśmy z jego pisania, a co ja mogłam wiedzieć o tym, czego pisarz potrzebuje do pełni szczęścia?

Powoli coraz bardziej zbliżaliśmy się do siebie.

Gabriel miał wszystko, o czym marzyłam – był wykształcony, empatyczny i uwielbiał literaturę co najmniej tak mocno jak ja.

Byłam szaleńczo zakochana, i to nie tylko w znanym pisarzu, którego poderwałam na imprezie firmowej, ale też w mężczyźnie, którego teraz coraz lepiej poznawałam. W mężczyźnie zaskakująco wrażliwym, ciepłym, wręcz nieco kobiecym, w sposób, jakiemu trudno się oprzeć, ponadto wydawał się mnie naprawdę szanować – niewiele znaczącą asystentkę w wydawnictwie.

– Jesteś moją opoką – mówił, a ja czułam, że ma na myśli nie tylko wszystkie praktyczne sprawy, w których mu pomagałam, ale także to, że jestem wyważona, stabilna i pełna woli działania.

Stanowiłam też dla niego towarzyskie wsparcie w wielu niezręcznych sytuacjach, na przykład gdy podczas dyskusji nagle tracił zainteresowanie tematem lub gdy w typowy dla niego sposób nieoczekiwanie blokował się na jakimś przyjęciu czy bankiecie, na które nieustannie biegaliśmy, zanim pojawiły się dzieci. Ratowałam go wtedy, starając się podtrzymać rozmowę.

A kiedy miał kryzys twórczy, robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

Któregoś razu po powrocie do domu zastałam go siedzącego w wannie. Woda, która w niej pozostała, sięgała mu jedynie do ud i była lodowato zimna. Twarz miał wykrzywioną z bólu i cały dygotał.

– Co ty wyprawiasz? – spytałam, zarzucając mu ręcznik na ramiona.

Ukrył głowę w dłoniach.

– To mnie przerasta, nie daję rady, nie potrafię – wymamrotał.

Zamarłam. Po chwili wyprostowałam się, a moja ręka odruchowo spoczęła na mym coraz większym brzuchu.

– Szkoda, że nie pomyślałeś o tym wcześniej – rzekłam.

– Nie, chodzi o książkę. Nie potrafię jej napisać.

Książka, która miała nosić tytuł *Grzech*, byłaby jego pierwszą publikacją po *Wspomnieniach*, a opowiadała o nauczycielu nawiązującym romans z uczennicą. Gabriel wielokrotnie przedyskutował ten pomysł ze mną, ale jednocześnie zaznaczył z góry, że nie da mi maszynopisu do przeczytania, dopóki go nie skończy.

– Ależ oczywiście, że potrafisz – zapewniłam go.

Pokręcił głową, a po policzku popłynęły mu łzy.

– Nie panikuj – usiłowałam go uspokoić. – Masz setki tysięcy czytelników, dostałeś Nagrodę Augusta.

– No właśnie – jęknął. – I teraz wszyscy tylko na to czekają, żeby moja kolejna książka okazała się niewypałem. Zwłaszcza ta wkurzająca krytyczka z „Borås

Tidning”. Ona mnie nie cierpi.

Objęłam go, pocałowałam w mokry policzek i zastanowiłam się nad jego słowami. Miałam mieszane uczucia: z jednej strony było to nawet wzruszające, że akurat on, odnoszący triumfy, wątpi w swoje możliwości, z drugiej jednak trochę mnie to zirykowało, że zachowuje się tak egocentrycznie, biorąc pod uwagę fakt, że wkrótce mieliśmy powitać na świecie dwójkę naszych dzieci.

W moich oczach to było ważniejsze od wszystkich książek.

Jednocześnie wiedziałam, że Gabriel musiał ciężko walczyć o swój sukces. Zanim się przebił, był odrzucany przez lata. Chwytał się przeróżnych dodatkowych prac, nierzadko musiał od krewnych i przyjaciół pożyczać pieniądze na życie.

Może więc nie należało się dziwić, że nie uważał sukcesu ani własnych zdolności twórczych za coś oczywistego?

– Dlaczego sądzisz, że nie potrafisz pisać? – spytałam, próbując być konstruktywna.

– Nie mam już tego w sobie – szlochał. – Nie wiem, jak to się robi.

Później miało się okazać, że wiedział dokładnie, jak to się robi, ja natomiast z czasem nauczyłam się bezbłędnie rozpoznawać różne fazy jego procesu twórczego: niepokój na etapie kształtowania się pomysłu, stadium maniakalnego pisania, które mogło trwać od jednego kwartału do roku, przerywane co pewien czas głębokim zwątpieniem i pogardą dla samego siebie. Potem następował w najlepszym razie okres umiarkowanego spokoju i ufności.

To znaczy do momentu ukazania się recenzji, bo wtedy stawał się tak nerwowy, że nie sposób było w ogóle do niego dotrzeć. Sam nigdy nie czytał tego, co napisali krytycy, robiliśmy to za niego my z Olofem, a kiedy znaleźliśmy jakąś przychylną opinię – co zdarzało się bardzo często – czytaliśmy mu ją na głos.

Moje przyjaciółki – w większości również zagorzałe miłośniczki książek – były zazdrosne o nasz związek. Uważały, że trafił mi się rzadki los na loterii: nie dość, że znalazłam mężczyznę, który mnie wielbi, to na dodatek jest nim najbardziej znany pisarz w Szwecji.

Koleżeństwo z wydawnictwa odnosiło się do naszej znajomości dosyć chłodno. Gdy tylko Gabriel i ja przyznaliśmy oficjalnie, że jesteśmy parą, od razu zaczęły się plotki. Rozmowy przy ekspresie do kawy milkły natychmiast, kiedy przechodziłam obok, a redaktorzy, którzy zwykli jadać lunch na kanapach przy wejściu, na mój widok rzucali wymowne spojrzenia. Gdy zaś kilka miesięcy później ogłosiłam, że będziemy mieli dzieci, szefowa redakcji – gburowata pół Finka, pół Szwedka po czterdziestce – wzięła mnie na bok i swoim śpiewającym szwedzkim Muminków oznajmiła, żebym przypadkiem się nie spodziewała jakichś specjalnych przywilejów tylko dlatego, że puściłam się z Gabrielem.

Przyjmowałam to wszystko ze spokojem, byłam bowiem tak młoda, naiwna i zakochana, że reakcje kolegów w ogóle mi nie przeszkadzały. Można nawet powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Nosiłam się dumnie, specjalnie wybierałam stroje podkreślające brzuch i opowiadałam na lewo i prawo o wszystkich swoich ciążowych dolegliwościach.

– Ups, maluszek znowu kopnął mnie w pęcherz. Muszę iść się wysikać!

Gapili się na mnie, gdy spieszyłam do toalety – ja zaś uśmiechałam się od ucha do ucha, uradowana, że udało mi się ich sprowokować.

Z mamą sprawa była bardziej skomplikowana. Znacznie bardziej skomplikowana.

Mniej więcej tydzień po tym, jak ją poinformowałam, że spodziewam się dziecka, przyjechała do Sztokholmu mnie odwiedzić. Ledwie zdążyła odstawić torebkę i torbę z niewątpliwie ekologicznymi ziemniakami własnej uprawy, obrzuciła mnie surowym spojrzeniem, popchnęła na kanapę i spytała:

– Co ty w nim widzisz, Lykke? Jest piętnaście lat starszy i rozwiedziony.

Pokręciłam głową, zupełnie oszołomiona jej słowami.

– Śmierć ojca – ciągnęła, poprawiając sobie zieloną lnianą sukienkę uszytą przez krawcową. – Może ty szukasz w nim ojca?

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

– Miałam siedemnaście lat, kiedy umarł tata – odparłam. – Czyli wcale nie dorastałam bez ojca. A Gabriela kocham, po prostu.

Powiedziałam jedynie tyle, ponieważ nie mogłam opowiedzieć jej o naszej namiętności, o godzinach spędzanych w jego wąskim łóżku, gdy tylko nadarzyła się okazja. Nie mogłam jej też wyjaśnić, jak bardzo czułam się odurzona, gdy po raz pierwszy usłyszałam z ust mężczyzny, że jestem piękna – ja, która przez wszystkie lata młodości byłam zawsze odtrącana, której nikt nigdy nie zapraszał na żadne szkolne imprezy, która nigdy nie miała chłopaka. A wspomnianie jej o tym, jak nagle zmieniła się i urosła moja pozycja w branży, byłoby bezcelowe, ponieważ uznałaby mnie za powierzchowną i naiwną – i prawdopodobnie miałyby rację.

– Ona go kocha – wymamrotała mama, ciężko wzdychając, po czym ukryła twarz w swoich pomarszczonych dłoniach.

– Nawet nie wiesz, ile on okazuje mi miłości i szacunku – zaczęłam. – I niesamowicie mnie wspiera.

To wszystko prawda. Ale było też odwrotnie – ja wspierałam Gabriela, stanowiłam dla niego opokę, o czym często mówił. On sprawił, że poczułam się potrzebna, jakby wszechświat z jakiegoś niezgłębionego powodu wreszcie wyznaczył mi ważne zadanie do wypełnienia.

– I mamy wspólne zainteresowania – kontynuowałam. – Oboje kochamy literaturę, potrafimy godzinami rozmawiać o książkach i filmach.

Mama, pocierając sobie skronie, spojrzała mi w oczy.

– Po prostu nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

Milczałam, ale jej słowa jeszcze długo brzmiały mi w uszach.

W miarę jak stawałam się coraz grubsza, tryb życia mój i Gabriela też się zmieniał.

Przestaliśmy chadzać na imprezy z jego kolegami pisarzami, a jeśli już się na jakąś wybraliśmy, to zachowywaliśmy się z umiarem – oczywiście nie piłam, nie tańczyłam już na stole, nie krzyczałam ani nie byłam rozbrykana jak wcześniej.

Kiedy jednak zdarzyło mi się czasem nieco stracić kontrolę, jak na imprezie Bonniera w willi Nedre Manilla na Djurgården, Gabriel natychmiast zareagował.

– Co ty wyprawiasz? – syknął, chwytając mnie za ramię, kiedy razem z kompletnie wstawioną dziennikarką z działu kulturalnego jednego z największych dzienników biegłam przez trawnik w kierunku wody.

– Idziemy się kąpać – oznajmiłam.

– Otóż to – wybełkotała dziennikarka, która miała na imię Maja, po czym zdjęła kopertową sukienkę we wzór Marimekko, ani na chwilę nie wypuszczając papierosa z kącika ust, i bez skrępowania weszła w tłum ludzi, mając na sobie tylko bawełniane majtki w paski i stanik w cielistym kolorze.

– Kompromitujesz się, Lykke – syknął znowu Gabriel, rozglądając się dookoła.

Żaden z gości nie zareagował, wszyscy wydawali się całkowicie zajęci sobą. To był właśnie obraz branży w pigułce – chodziło o to, aby być widzianym, a nie o to, by widzieć.

– Daj spokój – odpowiedziałam. – Przecież nic się nie dzieje.

– Jesteś w ciąży. Nosisz *moje* dzieci.

– I co z tego?

Zrzuciłam najpierw jeden sandałek, potem drugi. Schyliłam się i podniosłam je za paski. Gabriel zachwiał się nagle i wylał połowę drinka na swoją koszulę.

– Niech to szlag – mruknął i spojrzał na plamę ze zdziwioną miną.

Korzystając z okazji, chwyciłam Maję za rękę i pociągnęłam ją w stronę wody.

W ciągu najbliższych lat podobne sceny rozegrały się wiele razy – im bardziej wchodziłam w rolę mamy, tym bardziej kochający i opiekuńczy stawał się Gabriel, ale jednocześnie nie przestawał zarzucać mnie pomysłami, jak powinna się zachowywać matka jego dzieci.

A mnie, uwielbiającej imprezowanie, to przeszkadzało. Oczywiście nie próbował mnie kontrolować w tak przerażający sposób, jaki niekiedy opisują kobiety doświadczające maltretowania, on po prostu miał dziwnie staromodne, niemal reakcyjne wyobrażenie tego, jak powinna się prowadzić kobieta będąca matką.

I co z tego, że piłam, jeśli dzieci były w domu z opiekunką? I co z tego, że pokazałam trochę więcej nogi oświeconym poetom albo tańczyłam całkiem blisko z na wpół ślepym osiemdziesięcioletnim literaturoznawcą, który poświęcił życie naturalizmowi i napisał nie jedną, ale dwie biografie Augusta Strindberga?

Dla Gabriela było to jednak ogromnie ważne.

Może jakoś mi się uda znieść te jego małe dziwactwa, myślałam. Bo ogólnie rzecz biorąc, żyło nam się razem bardzo dobrze. Gabriel był cudownym tatą, lubił krzątać się przy chłopcach i mógł się z nimi bawić godzinami. Poza tym wielbił mnie i wiedliśmy ekscytujące i uprzywilejowane życie w blasku jego sławy.

A ów blask rozlał się na wszystkie sfery mojej egzystencji.

Nawet mama, początkowo tak negatywnie do niego nastawiona, dała się obłąskawić. Uważała, że jest wspaniały – wykształcony, inteligentny, a jednocześnie ani trochę snob, no i bezgranicznie kochający ojciec. Z radością przyjmowała zaproszenia na bankiety i kolacje, a nawet trochę się zauroczyła przyjacielem Gabriela piszącym sztuki. Pierwszy i jedyny raz od śmierci taty widziałam, by mama patrzyła na mężczyznę w taki sposób. Ale czy rzeczywiście coś między nimi było, tego nie wiem – ona zabrała tę tajemnicę ze sobą do grobu.

Olof, który ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu nie miał nic przeciwko naszemu związkowi, zaproponował mi etat redaktorki i gdy tylko po urlopie macierzyńskim wróciłam do pracy, podniósł mi pensję. Nagle zapraszano mnie na wszystkie spotkania branżowe, musiałam jeździć na wielkie targi książki w Londynie i we Frankfurcie i chodzić na kolacje w pięknych salonach.

Nasze podróże wakacyjne były najczęściej opłacane, choć zwykle nie wiedzieliśmy, na jakiej zasadzie i przez kogo. W ten sposób spędziliśmy z Gabrielem cały tydzień w tokańskiej winnicy, innym razem mogliśmy wynająć na czas nieokreślony niedużą posiadłość w Österlen.

Dziennikarze ustawiali się w kolejce, żeby przeprowadzać z nami wywiady – chcieli wiedzieć, czy Gabriel korzysta z mojej pomocy przy pisaniu, jak się poznaliśmy i co zwykle gotuję na obiad – oczywiście wychodzili z założenia, że to ja wiodę prym w kuchni, podczas gdy w rzeczywistości znacznie częściej można było zastać w niej w akcji Gabriela.

No i oczywiście pytali o noc, kiedy urodziły się bliźniaki.

Poród zaczął się zgodnie z planem, w mroźne zimowe popołudnie – uporczywy ból, odczuwany szczególnie w dolnej części pleców, nie był jakoś dramatycznie silny, pomyślałam nawet, że pewnie zjadłam coś, co mi zaszkodziło. Ale wraz z upływem godzin stało się dla mnie jasne, o co chodzi.

Zadzwoiłam do Gabriela z pytaniem, czy mógłby zaraz po mnie przyjechać. Błyskawicznie zjawił się swoim starym garbusem i razem popędziliśmy do szpitala.

Kolejne godziny pamiętam jak przez mgłę. Miałam tak ostre bóle, że prawie nie kojarzyłam. A podtlenek azotu, czyli głupi jaś, który wszyscy tak polecali, przyprawił

mnie o zawroty głowy i mdłości. Wyrzuciłam ustnik, gdy tylko położna wcisnęła mi go do ręki.

– Nie chcę – krzyknęłam. – Żadnego. Cholernego. Gazu. Rozweselającego.

Pierwszy pojawił się Harry. Świat przywitał wrzaskiem, był pulchny i pełen życia. David urodził się pół godziny później, blady i bezwładny.

Atmosfera na sali porodowej natychmiast się zmieniła: zaczęła się gorączkowa bieganina, zewsząd napływał personel. Do maleńkiego ciała Davida podłączono jakieś przewody, włożono go do inkubatora i odwieziono. I bez względu na to, jak mocno położna mnie zapewniała, że to tylko środek ostrożności, byłam zdruzgotana.

Gabriel przyjął to spokojnie, stał w korytarzu przed porodówką i długo rozmawiał z jednym z lekarzy. Widziałam ich przez szparę w drzwiach, ale nie słyszałam, co mówią.

Kiedy wrócił, miał uśmiech na twarzy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

Oczywiście się nie mylił. David przeżył i już dzień później został przeniesiony z oddziału neonatologii do mojej sali.

Następnego ranka leżałam ze śpiącymi noworodkami w ramionach. Przyglądałam się im, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo są różni. I jak wszyscy świeżo upieczeni rodzice zastanawiałam się, jacy będą, gdy dorosną. Do kogo będą podobni? Jak ułoży się im życie?

W porze lunchu przyszedł nas odwiedzić Gabriel.

Przyniósł kwiaty, duży bukiet czerwonych róż. A pod pachą dostrzegłam coś jeszcze: plik papierów.

Uśmiechnął się i usiadł na brzegu łóżka. Pocałował najpierw mnie, a potem Davida i wreszcie Harry'ego. David trochę kwilił, ale po chwili ucichł.

– Jaki on jest malutki – powiedział, głaszcząc jednym palcem jego bezwłosą główkę.
– A jaki duży...

Wskazał na Harry'ego, który miał już ciemną czuprynę. Potem zamrugał, aby powstrzymać łzy.

– Jak Dawid i Goliat. – Zachichotałam.

Gabriel musnął opuszkami palców policzek Davida.

– David to dobre imię – powiedział. – Poza tym lubię Davida Lyncha.

– Brzmi całkiem ładnie – przyznałam.

– A drugi krasnal? Bo Goliat to raczej zły pomysł. – Przerwał, a po chwili spytał: – Naprawdę nie podoba ci się Harry?

Od miesiący suszył mi głowę, że jeden z chłopców powinien mieć na imię Harry, na cześć Harry'ego Martinsona, którego uważał za zdecydowanie najlepszego

szwedzkiego pisarza proletariackiego. Być może pewną rolę odegrało również to, że kilka lat wcześniej otrzymał stypendium Akademii Szwedzkiej imienia tego autora.

– Okej, on wygląda jak Harry – odpowiedziałam i pomyślałam, że przynajmniej lubię Moę Martinson⁵.

Potem zatrzymałam spojrzenie na papierach pod pachą Gabriela.

– Co tam masz? – spytałam, próbując unieść się nieco na łóżku, ale ciężar dzieci mi to uniemożliwił.

– Kupiłem dla nas dom – oznajmił. – Niedużą nieruchomość z działką między Mölnbo a Vagnhärad.

Wyjął dokumenty, które okazały się umową kupna-sprzedaży, i rozłożył przede mną wachlarz zdjęć.

Nie wiedziałam, co myśleć: kupił dom, nie konsultując tego ze mną? Co więcej: niedaleko miejsca, gdzie dorastałam.

To nie było mądre, tak się nie robi.

A jednocześnie nie mogłam nie ulec urokowi pięknych widoków ukazujących dwa drewniane domy w kolorze faluńskiej czerwieni z białymi oknami i drzwiami. Ogród był pełen starych, sękatych drzew owocowych, a widoczna za nim łąka ciągnęła się w dół, aż po gładkie jak lustro jezioro.

No i ta nazwa.

Kto by nie chciał żyć w miejscu zwanym Wieczność.

Głuchy łoskot dochodzący z korytarza wrywa mnie ze wspomnień. Zbliżają się kroki. Słyszę podniesione głosy, potem drzwi znów się zatrząskują i zapada cisza.

Widocznie więzienie nie śpi nigdy. I dopóki w nim będę, nie zaznam spokoju.

Zamykam oczy i mocniej otulam się kocem. Myślę o Wieczności, bo wszystko zaczęło się właśnie tam.

Wydarzenia sprzed ośmiu lat w jednej chwili wymazały to, kim byłam, pozbawiły mnie beztroski i ufności, które niosły mnie przez życie. Zmusiły do zgięcia kolan i okazania po raz pierwszy pokory wobec faktu, że nie zawsze można kierować własnym losem.

Lykke
Osiem lat wcześniej

Tik, tak. Tik, tak.

Tylko godziny dzielą nas od niepojętego. Ostatnie godziny naszej beztroskiej, sielskiej egzystencji w raju, który nazywaliśmy Wieczność.

Od stołu – składającego się z trzech kozłów i płyty wiórowej nakrytej obrusem – mieliśmy widok na łąkę i jezioro z jednej strony, a z drugiej – na domy i las. Kilka metrów dalej rósł wysoki krzew bzu, zasłaniający szklarnię i starą studnię.

Kiedy wyszłam z zimnym różowym winem na aperitif, Olof i Tuss rozmawiali na stojąco z Gabrielem, a za nimi widziałam w oddali Harry’ego, Bonnie i Davida siedzących rzędkiem na pomoście. Wszyscy troje leniwie machali nogami w spokojnej wodzie, pochłonięci jakąś dyskusją.

Rozlałam wino do kieliszków, pierwszy podałam Tuss, kolejny Olofowi, wówczas delikatną ciszę letniego wieczoru przeciął odgłos nadjeżdżającego samochodu.

– To Jujje – stwierdził Gabriel i ruszył w kierunku furtki.

– Zaraz wracam – powiedziałam do Tuss i Olofa, po czym dołączyłam do niego.

Jujje Holm, jeden ze współwłaścicieli Stenström Agency, przez ostatnie dziesięć lat był agentem Gabriela. Jego zadanie polegało głównie na sprzedaży praw do książek zagranicznym wydawcom i negocjowaniu z nimi jak najlepszych warunków, co czynił wprawnie i skutecznie. Książki Gabriela zostały wydane w trzydziestu językach, a *Wspomnieniami* interesowało się od lat także kilku producentów telewizyjnych.

Gabriel podchodził jednak sceptycznie do adaptacji filmowej swojego popularnego utworu, twierdząc, że nie chce stracić kontroli nad opowieścią o Helene i Siv – kto wie, jak wielką szkodę mógłby jej wyrządzić żądny zysków producent telewizyjny, na przykład wywracając historię obu kobiet do góry nogami i budując z niej coś zupełnie innego, byle tylko zaspokoić gust widzów i sponsorów. Poza tym nie potrzebowaliśmy pieniędzy, radziliśmy sobie wcale nie najgorzej dzięki honorariom za książki oraz mojej pensji.

Otworzyliśmy furtkę i wyszliśmy na drogę.

O ile auto Olofa stanowiło świadectwo fałszywej skromności, kabriolet BMW Jujjego był czymś zupełnie przeciwnym: sygnalizował pasmo sukcesów i bogactwo, które tak naprawdę nie miały pokrycia w rzeczywistości. Nikt nie kwestionował, że Jujje jest na tyle efektywnym profesjonalistą, że potrafiłby sprzedać piasek Arabom, a lód Eskimosom – i bezspornie całkiem skutecznie przekonywał do kupna powieści

wybrednych wydawców na wszystkich kontynentach – w świecie literatury na próżno jednak szukać wielkich pieniędzy. I albo trzeba się z tym pogodzić i zadowolić kapitałem duchowym, albo poszukać sobie zajęcia gdzie indziej.

Alternatywna opcja to – wzorem Jujjego – żyć w wiecznej negacji i wmawiać sobie, że ma się i jedno, i drugie.

– Gabriel! – zapał Jujje, wyskakując z auta.

– Jujje! – zapisał mój mąż.

Ton jego głosu wyraźnie się podniósł i nagle brzmiał o trzydzieści lat młodziej. Gabriel padł gościowi w ramiona, ich intensywny uścisk trwał kilka sekund i zakończył się szaleńczym poklepywaniem po plecach.

Nie wiem, co takiego miał w sobie ten facet, że jego obecność zawsze wywoływała wręcz dziecinną ekscytację Gabriela, który na co dzień był przecież niezwykle zrównoważony, wręcz dostojny, jak o nim mawiano. Lecz gdy tylko pojawiał się Jujje w tych swoich lekko połyskliwych garniturach i z nieco za dużymi tatuażami, mój mąż cofał się do poziomu nastolatka, choć nawiasem mówiąc, wątpię, czy kiedykolwiek nim był.

Tak więc po obowiązkowym waleniu w plecy Jujje zauważył ogromny nadruk raka na koszuli Gabriela.

– Co to, do cholery, ma być? – zaczął, a potem parsknął śmiechem i pochyliwszy się, oparł dłonie na kolanach, jakby się bał, że się przewróci.

– Uważam, że jest stylowa – odpowiedział Gabriel z udawaną obrazą w głosie.

– Toż to, u diabła, najohydniejsza koszula, jaką w życiu widziałem. Gdzieś ty ją znalazł?

– W takim niedużym...

– Istne cudo – przerwał mu Jujje i dotknął jednego z guzików z emaliowanym czerwonym rakiem. – Po prostu, kurwa, cudo.

Następnie podszedł do mnie i szybko mnie uściskał, rozsnuwając wokół odór wody po goleniu. Potem uśmiechnął się szeroko, odsłaniając nieskazitelnie białe zęby, i poprawił sobie zbyt długie włosy, które kręciły mu się na karku.

– Zaczęliśmy dopiero przed chwilą – powiedziałam.

– Sorry – odparł Jujje. – *My bad*. Między Södertälje a zjazdem na wysokości Gnesta był gigantyczny korek. Chyba musiał zdarzyć się jakiś wypadek albo coś takiego.

Podszedł do bagażnika, poklepał go i mrugnawszy znacząco do Gabriela, otworzył klapy.

Gabriel zerknął na mnie z uśmiechem – oboje wiedzieliśmy, co tam czeka.

Jujje stęknął, podnosząc karton z butelkami szampana.

– Mam przywodzić wózek? – zasugerowałam.

– Nie, nigdy w życiu – fuknął, starając się lepiej chwycić nieporęczne pudło. – W końcu po coś się płaci całkiem spore pieniądze za tortury na siłowni.

Okolo siódmej zasiedliśmy do kolacji. Słońce zeszło niżej i wisiało jak ogromna pomarańcza tuż nad jeziorem. Drzewa rzucały smukłe niczym ołówki cienie na zmierzwioną trawę. Konie skupiły się w jednym rogu pastwiska i opędzały się od much, lekko machając ogonami.

Na stole królowały oszronione butelki wódki i piwa, tarta serowa i duże cynowe półmiski wypełnione po brzegi rakami. Między nimi stały świeczniki i świeżo zerwane kwiaty, a na każdym talerzu leżały: obowiązkowa okolicznościowa czapeczka, serwetka w raki i zeszytik z przyśpiewkami.

W miarę zniżania się słońca i znikania raków z półmisków atmosfera stawała się coraz swobodniejsza. Gabriel rozlewał wódkę, która bynajmniej nie grzała się długo w kieliszkach, pozwoliliśmy nawet, by młodzież jej spróbowała, w końcu byliśmy ludźmi kultury o szerokich horyzontach i otwartymi na świat.

Jujje wstał z ogonem raka w jednej ręce i z zabawną czapeczką na bakier na głowie.

– Bracia i siostry! – zakrzyknął. – Piosenka numer trzy!

Wszyscy sięgnęli po zeszytiki, posłusznie przewracając kartki do trzeciego tekstu, po czym zaintonowali *Małe żabki*.

Małe żabki, małe żabki,
tak śmiesznie wyglądają.
Żadnych ogonków, żadnych ogonków,
żadnych ogonków nie mają.

Za każdym razem, gdy biesiadnicy jednocześnie opróżniali kieliszki, na chwilę zalegała cisza, a potem niemal równocześnie z każdego gardła dobywało się charakterystyczne prychnięcie.

– *Perkele*⁶ – burknął po którymś toaście Olof i wytarł sobie usta serwetką.

Zgiełk przy stole przybrał na sile, było słychać pobrzękiwanie sztućców i szkła. Rozmowy falowały – nie słyszałam, o czym mówili młodzi, którzy siedzieli najdalej, u szczytu stołu, ale Olof i Jujje spekulowali, kto powinien dostać tegoroczną Nagrodę Augusta.

– Lena Andersson – oznajmił Jujje z typową dla niego pewnością.

– Nie jestem przekonany – zaoponował Olof. – Ja stawiałbym na Kjella Westö.

– Lena Andersson – powtórzył Jujje i włożył prymkę snusu do ust. – I zapamiętajcie sobie, kto powiedział to pierwszy. Wspomnicie moje słowa.

Siedzący obok siebie Tuss i Gabriel byli pogrążeni w dyskusji na temat książki, którą on właśnie pisał, powieści z wątkami autobiograficznymi.

– ...i dlatego uważam, że forma powieści jest bardziej odpowiednia – rzekł Gabriel.
– Dzięki niej jestem bliżej prawdy.

Tuss skinęła głową.

– Obecnie panuje moda na autofikcję.

Gabriel skrzywił się z niechęcią.

– Z całym szacunkiem, ale mam to w dupie.

– Jasne – rzuciła szybko Tuss i poczerwieniała.

Potem ich rozmowa zeszała na ostatni ranking bestsellerów. W miarę jak omawiali tytuł po tytule, kobieta odzyskiwała pewność siebie. Wyprostowała się, a rumieńce na jej policzkach wyraźnie zbladły.

Sięgnęłam po butelkę wódki, podniosłam się i ruszyłam wokół stołu, aby ponownie napełnić małe kieliszki.

– Nie pojmuję, jak ludzie mogą chcieć czytać taką nudną szmirę – powiedział Gabriel, kiedy z powrotem usiadłam.

– Co masz na myśli? – spytałam, stawiając butelkę obok bukietu polnych kwiatów.

Gabriel nalał Tuss wina, podczas gdy ona właśnie wychylała kieliszek, który przed chwilą jej napełniłam.

– *Pięćdziesiąt twarzy Greya*.

– Straszne gówno – wtórowała mu Tuss.

Olof odwrócił się w stronę Gabriela i pokiwał w zadumie głową, a potem palcem wskazującym poprawił rogowe okulary na nosie.

– Gdzie te lata, kiedy czytelnicy cenili literaturę wysokich lotów – wymamrotał. A po krótkiej pauzie dodał: – Śmieciowe powieści były do kupienia w kioskach, a nie w księgarniach. I co najważniejsze, ludzie znajdowali czas na to, żeby usiąść na czterech literach i poczytać, zamiast ze słuchawkami na uszach biegać z wywieszonym jęzorem i słuchać tak zwanych audiobooków.

Ostatnie słowo wypłuł jak coś gorzkiego, po czym kontynuował:

– Na szczęście to tylko taka moda. Zobaczycie, za dziesięć lat nikt nie będzie o nich pamiętał. Tak samo jak o *Pięćdziesięciu twarzach*.

– O czym mówicie? – zapytała Bonnie ze swojego miejsca przy końcu stołu.

Gabriel odwrócił się w jej stronę i przybrał poważny wyraz twarzy, jaki zawsze miał, kiedy chciał wyjaśnić coś, co sam uważał za oczywiste, ale mimo to starał się nie brzmieć protekcyjnie.

– Rozmawiamy o książce *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. I kontynuacjach, kolejnych obliczach czy stronach Greya, nie pamiętam tych tytułów.

– I według was to gówno? – dociekała Bonnie, naciągając niebieską czapkę mocniej na uszy.

Tuss zachichotała i odstawiła kieliszek z winem tak niezdarnie, że się przewrócił.

– Ups – bąknęła, szybko przyciskając serwetkę w raki do plamy.

Olof spojrzął na Bonnie.

– Jeśli chce się traktować literaturę poważnie, a uważam, że inaczej nie można, trzeba mieć odwagę przyznać, że są książki lepsze i gorsze. *Pięćdziesiąt twarzy* to nie jest literatura, to pornograficzna opowieść o Kopciuszku dla analfabetów, seksualnych frustratów i kulturalnych abnegatów klasy średniej.

– A przeczytał ją pan?

Bonnie, która wyglądała na wielce zainteresowaną, patrzyła przenikliwie na Olofa, bawiąc się kolczykiem w nosie.

– Skądże! Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby marnować czas na coś takiego.

– No właśnie – odparła Bonnie. – W takim razie skąd może pan wiedzieć, że ona nie jest dobra?

– Po trzydziestu latach w branży nie muszę czytać książki, żeby wiedzieć, że nie jest dobra.

David upił łyk piwa i postanowił wesprzeć koleżankę:

– A czy w literaturze nie ma miejsca także dla książek erotycznych, a nawet pornograficznych? Czy historia literatury nie jest pełna takich powieści? Weźmy Marguerite Duras, Henry’ego Millera, Anaïs Nin, Nabokova.

Uśmiechnęłam się, nie mogąc powstrzymać dumy, że mój syn jest taki wykształcony. David zawsze mnóstwo czytał i bardzo interesował się tym, co robię. Już w podstawówce podsuwałam mu największych klasyków i przeczytał ich wszystkich, z wyjątkiem kilku rosyjskich cegieł, których używaliśmy jako ciężarków przy suszeniu liści lub marynowaniu gravlaxa.

Sekundę później poczułam znajome ukłucie w żołądku. Zerknęłam na Harry’ego – siedział w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w swoich kolanach. Jak zwykle znalazł się w cieniu Davida.

Olof przewrócił oczami.

– Nie możesz porównywać *Lolity* z *Pięćdziesięcioma twarzami*.

– Zgadzam się z Davidem – wtrącił Jujje. – Na łące jest miejsce dla wielu kwiatów.

Kiwnęłam głową z aprobatą, niezbyt zaskoczona tym, że Jujje poparł Davida. Oni dwaj zawsze się lubili, mimo że bardzo się różnili.

Olof machnął ręką i demonstracyjnie się odwrócił.

– Natomiast Toni Morrison – powiedział po chwili niższym głosem – to pieprzone arcydzieło. To, jak udaje jej się uzyskać tyle mroku w każdym pojedynczym akapicie,

jest po prostu niepojęte. Od wielu lat mam kontakt z jej agentem. Podczas targów w Londynie zwykle jemy razem kolację, ale Bonnier⁷ najwyraźniej nie chce jej wypuścić z rąk. Co rzecz jasna można zrozumieć, no bo...

– Przepraszam – weszła mu w słowo Bonnie. – Ale czy ktoś z tu obecnych przeczytał *Pięćdziesiąt twarzy Greya*?

Wokół stołu zaległa cisza. Z oddali dobiegł krzyk ptaków – samotny i płaczliwy, odbijał się echem ponad taflą jeziora.

– Ja przeczytałam – przyznała Tuss i ponownie zachichotała.

– Chyba żartujesz? – rzucił Olof, patrząc na nią z niesmakiem.

– Podobało się pani? – spytała Bonnie.

Tuss wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przepraszająco.

– No cóż, dosyć banalna historia. Wartka, ale z... – Zrobiła pauzę i mocniej otuliwszy się swetrem, spojrzała w ciemnoniebieskie sierpniowe niebo, jakby szukała odpowiedniego sformułowania. – Jak na mój gust zdecydowanie za dużo w niej realistycznych opisów seksu. – Uniosła rękę i wykrzywiła czerwone usta. – Nie jestem bynajmniej pruderyjna – kontynuowała. – Nic z tych rzeczy. Po prostu po jakimś czasie to się robi nudne. Jakby mechaniczne. Ale oczywiście rozumiem, dlaczego ta książka tak dobrze się sprzedawała. Narracja w niej jest przewidywalna i sprawdza się dzisiaj równie dobrze jak sto lat temu. Bogacz, biedna młoda dziewczyna i tak dalej, i tak dalej. To chwytliwe. Na dodatek napisana językiem zrozumiałym dla każdej trzynastolatki czy każdego trzynastolatka.

– Jak historia z „Mitt Livs Novell”⁸ – wtrącił Olof, wkładając do ust kawałek tarty.

Wszyscy oprócz Bonnie wybuchnęli śmiechem.

– A ty ją przeczytałaś? – zwróciłam się do niej.

Pokręciła głową, owijając wokół palca długi kosmyk kasztanowych włosów.

– Nie. Ale to dla mnie trochę dziwne, że wypowiedacie się tak jednoznacznie na temat czegoś, czego nie czytaliście. Zwłaszcza że ta książka sprzedała się w niesamowitych nakładach, a cała branża zarobiła na niej kupę kasy. Czy to nie fajnie?

Olof energicznie zaprzeczył.

– Forss & Stierna nie zarobił na niej ani korony. My nigdy byśmy jej nie wydali.

Bonnie przekornie przekrzywiła głowę i poprawiła jedną szelkę swoich ogrodniczek.

– Ale książkę Lucindy Lee, tej modelki, która napisała pamiętnik o wszystkich celebrytach, z którymi spała, pan wydał? A porównywano ją przecież do *Pięćdziesięciu twarzy*.

Twarz Olofa stężała, zacisnął usta.

– Ja byłem temu zdecydowanie przeciwny – odburknął.

Zwróciłam się do Jujjego:

– A ty chętnie powitałbyś Lucindę Lee w Stenström Agency, gdyby zapukała do waszych drzwi?

– A jak myślisz? – Jujje odpowiedział mi pytaniem, jednocześnie z szerokim uśmiechem pocierając kciuk prawej ręki o dwa palce w wymownym geście. – *Beggars can't be choosers* – dodał.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Ja też. Było coś rozczulającego w tym, z jaką skwapliwością Jujje przyjmował rolę pozbawionego sumienia i skrupułów drapieżnego kapitalisty. I że tak dobrze znał swoje miejsce, jak posłuszny kundel.

Spojrzałam na Olofa, który siedział ze skrzyżowanymi ramionami na wydatnym brzuchu. Wydawał się wyraźnie zaniepokojony tą dyskusją, a ja domyślałam się dlaczego: bo chociaż był czołowym wydawcą Forss & Stierna, jego sukces zależał od tego, ile zdoła zarobić pieniędzy. A pracując z autorami piszącymi cienkie powieści i poezję, trudno liczyć na kokosy. Mówiąc krótko, ciągle miał nóż na gardle i musiał mizdrzyć się i nadskakiwać pisarzom komercyjnym, co go irytowało. Irytowały go również ogólne zmiany w branży – kurczący się rynek książek w twardej oprawie i rosnące zainteresowanie czytelników autorami znanymi głównie z rubryk towarzyskich.

Ponadto w ostatnich latach pojawiły się nowe wydawnictwa, które nie publikowały debiutantów, tylko zdawały się opierać swoją koncepcję biznesu na podkradaniu renomowanych i cenionych twórców tradycyjnym wydawnictwom – tak przynajmniej postrzegał to Olof. Ale akurat przy tym stole należało raczej to przemilczeć – to temat zbyt drażliwy, ponieważ Jujje jako agent swoją działalnością wspierał tego rodzaju proceder.

– Numer cztery! – krzyknął właśnie, starając się robić wszystko, co w jego mocy, aby rozluźnić atmosferę.

Wszyscy oprócz Olofa dołączyli do chóru.

Kilka godzin później zrobiło się całkiem ciemno, a ciepły wieczór ustąpił nocnemu chładowi przesyconemu wilgocią. Rozejrzałam się dookoła i stwierdziłam, że nasza impreza rakowa rozwinęła się dokładnie tak jak zawsze.

Harry i David wystawili na dwór zestaw stereo i spomiędzy sękatych drzew owocowych oraz przekwitłych krzaków róż dobiegał ciężki rap.

Jujje i Tuss stali na trawniku i tańczyli z kieliszkami wina w dłoniach. A właściwie tańczył Jujje, ponieważ Tuss jedynie kołysała się w miejscu z zamkniętymi oczami. Jej kardigan zsunął się z jednego ramienia i rękaw ciągnął się po trawie. Od czasu do czasu chwytala Jujjego za rękę, żeby nie stracić równowagi, a potem pokładała się ze śmiechu.

Olof popatrzył na nich z dezaprobatą, jednak nic nie powiedział.

Podczas sprząwania ze stołu w którymś momencie musiałam się oprzeć o niego, aby utrzymać się na nogach. Trochę mnie to zaskoczyło, bo chociaż z pewnością nie wypilał mało, dawniej miałam zdecydowanie mocniejszą głowę.

Po chwili podszedł Gabriel, wziął ode mnie półmisek, postawił go z powrotem na stole i zgasił papierosa w rakowej głowie. Potem objął mnie w pasie i przyciągnął ku sobie.

– Pani pozwoli?

Uśmiechnęłam się i zarzuciłam mu ręce na szyję, bynajmniej niezaskoczona silnym pociąganiem, jaki wciąż do niego czułam, którego ani mijające lata, ani dzieci nie zdołały przytłumić.

– Kocham cię – szepnął, pocałował mnie w szyję i przesunął jedną rękę na mój pośladek.

– Wiem – odpowiedziałam, przywierając do niego biodrami.

Po chwili obok przebiegli Harry i Bonnie.

– Idziemy do sauny – wysapał Harry, zanim zniknęli, pochłonięci oboje przez noc późnego lata.

– Ja też chcę do sauny – zapiszczała Tuss i potykając się, ruszyła za młodymi w stronę jeziora.

Jej czółenka zapadały się w pulchną ziemię obok wybiegu dla koni, kardigan zsunął się całkiem i został na trawie.

Jujje podążył za nią.

– Może jednak nie powinnaś... – zaczął, ale reszta zdania utonęła w muzyce.

Tuss, która zdążyła już dotrzeć do pastwiska, wyciągnęła rękę w kierunku bramki, ale straciła równowagę i zamiast klamki chwyciła się elektrycznego ogrodzenia.

– Aua, kopnęło mnie! – wrzasnęła i szybko przykucnęła.

Jujje, który ją złapał, też stracił równowagę i upadł. Oboje tarzali się po ziemi, a krzyk Tuss wkrótce przeszedł w spazmy śmiechu.

Tak, to była zupełnie normalna impreza rakowa w Wieczności.

Około trzeciej nad ranem Harry i Bonnie wrócili noga za nogą znad jeziora. Bonnie była kompletnie przemoczona, woda kapała jej z ubrania, a włosy zwisały mokrymi pasmami spod równie mokrej czapki.

– Co się stało? – spytałam.

– Ćwiczyłam pływanie w ubraniu – odpowiedziała wymijająco, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić.

– Gdzie David?

Harry rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Nad jeziorem – rzekł po chwili, drapiąc się po opalonym ramieniu. – Pewnie zaraz przyjdzie.

Po sekundzie dodał:

– Idziemy spać.

– I słusznie. My też niedługo się położymy – odpowiedziałam.

Harry zabrał odtwarzacz stereo i ruszył w kierunku małego domku.

Spojrzałam na Olofa, który z brodą opartą na piersi spał na krześle przy stole. Czerwona spiczasta czapeczka sterczała mu na czole jak róg. Okulary zsunęły się na sam czubek nosa, ale fajka wciąż tkwiła w dłoni. Kawałek dalej Jujje sikał na krzak jaśminu, który posadziliśmy kilka miesięcy wcześniej. Kołysał się powoli w przód i w tył, jak statek na pełnym morzu. Gabriel i Tuss siedzieli w hamaku pod ścianą domu i rozmawiali szeptem, jego dłoń spoczywała na jej kolanie.

Zebrałam ze stołu ostatnie rzeczy i zniosłam je do kuchni. Następnie wróciłam na dwór i podeszłam do hamaka.

Gabriel uśmiechnął się i wziął mnie za rękę, przyciągając do siebie, wskutek czego z impetem wylądowałam na jego kolanach. Hamak się zakołysał i zaskrzypiał.

– Pocałuj mnie – wybełkotał, co też uczyniłam. Kątem oka zauważyłam idącego znad jeziora Davida, który po wyjściu z pastwiska przez bramkę od razu skierował się do domku, nie mówiąc nikomu dobranoc.

– O czym rozmawiacie? – spytałam.

– O rodzinie.

– O naszej rodzinie czy tak w ogóle?

– Gabriel właśnie powiedział, że rodzina jest dla niego wszystkim – oznajmiła Tuss, która nagle jakby wytrzeźwiała.

Uśmiechnęłam się.

To nie były tylko puste słowa. Gabriel podchodził do swojej roli ojca z największą powagą od samego początku. W ciągu minionych lat zrezygnował z niezliczonych podróży i wywiadów, żeby broń Boże nie przegapić żadnych urodzin czy zakończeń roku w szkole. Jeździł z chłopcami na treningi piłki nożnej i turnieje szachowe, chodził na długie spacery po lesie, opowiadając im o drzewach i innych roślinach. A gdy ktoś – na przykład nauczyciel czy inny rodzic – ich krytykował, niesłuchanie się oburzał.

– Może powinniśmy już... – zaczął, zerknąwszy na Olofa, którego chrapanie było wyraźnie słyszalne we względnej ciszy, jaka zaległa, gdy Harry zabrał odtwarzacz.

– Tak – przyznałam mu rację. – Pora się położyć.

Pół godziny później wszyscy się rozeszli.

Tuss, Olof i Jujje ulokowali się w pokoju dla gości w domku nad jeziorem, a Gabriel, który zasnął w ubraniu, leżał jak kłoda obok mnie w naszej sypialni.

Z małego domku wciąż dochodziła muzyka. Wiedziałam, że powinnam wstać i kazać chłopcom ją wyłączyć, nie byłam jednak w stanie – bolała mnie głowa, a ciało ważyło tonę.

Niech sobie gra, pomyślałam, chociaż nie miałam wątpliwości, że Gabriel dostałby szału, gdyby obudził go hałas.

Niech sobie gra, tej nocy i tak wszyscy będziemy spać jak zabici.

10

Tik-tak, tik-tak.

Muzyka wyrwała mnie delikatnie ze snu i przeniosła z powrotem do Wieczności – ciężkie basy docierały z domku aż do sypialni.

Głowa mi pękała, w ustach pustynia. Prześcieradło wilgotne od potu.

Wyciągnęłam rękę po szklankę z wodą, którą zawsze miałam na nocnej szafce. Wypiłam kilka łyków i spojrzałam na zegarek.

Wpół do ósmej.

Gabriel spał na brzuchu z twarzą odwróconą w drugą stronę. Zrzucił z siebie kołdrę i czerwony rak na jego koszuli zdawał się świecić jaskrawo w szarym świetle sączącym się spod żaluzji. W następnej sekundzie rozległ się głuchy grzmot burzy.

Wstałam, włożyłam szlafrok i zeszłam do kuchni, żeby wziąć coś przeciwbólowego. Odór wczorajszych raków przyprawił mnie o mdłości, a na widok góry brudnych naczyń na kuchennym blacie miałam ochotę natychmiast wrócić do łóżka, co oczywiście było niemożliwe. Za jakieś dwie godziny powinnam bowiem podać śniadanie – kawę, świeżo upieczony chleb, jajecznicę i smażone kiełbaski. Miałam być w miarę idealną gospodynią, która troszczy się o swoich gości, nie ma jednak obsesji na punkcie perfekcji, ponieważ jest to głupie i płytkie, a zatem nie dla nas.

Połknęłam dwa ipreny i niemal w tej samej chwili pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły w szybę. Postanowiłam pójść do domku, jeszcze zanim burza rozpęta się na dobre, czym prędzej narzuciłam więc przeciwdeszczową kurtkę Gabriela i wsunęłam stopy w swoje wysłużone drewniaki.

W miarę zbliżania się do budynku muzyka stawała się coraz głośniejsza.

Nigdy nie pojmowałam, jak oni mogli spać w takim hałasie. Ale jakimś cudem spali. Tylko ja i Gabriel – przede wszystkim Gabriel – nie potrafiliśmy zasnąć przy muzyce.

Zapukałam i naciągnęłam na głowę kaptur, ponieważ padało coraz mocniej.

Nikt nie otworzył.

– David! – krzyknęłam, waląc w drzwi. – Harry, otwórzcie!

Brak reakcji.

Parterowy domek składał się z kuchni, dwóch sypialni i mikroskopijnej łazienki z prysznicem. Kiedy Gabriel kupił Wieczność już prawie osiemnaście lat temu, mały budynek służył jako składzik, lecz gdy chłopcy osiągnęli wiek nastoletni,

postanowiliśmy go przerobić, tak by mogli mieć własne lokum w bezpiecznej odległości od nas.

Okazało się to jedną z najlepszych rzeczy, jaką zrobiliśmy w życiu – David i Harry uwielbiali swoją małą kryjówkę i prywatność, jaką im zapewniała. Przeprowadzka sprawiła, że poczuli się dorośli, a jednocześnie byli zmuszeni nauczyć się zmywać i utrzymywać porządek.

Wczesną wiosną ubiegłego roku poprosili nas o własne klucze do domku – nie chcieli, żebyśmy weszli po ich gospodarstwie bez ich wiedzy. Zarówno Gabriel, jak i ja uznaliśmy to za całkiem zabawne, spełniliśmy jednak ich wolę, bo w gruncie rzeczy radzili sobie całkiem nieźle – pominąwszy pojedyncze talerze zarośnięte pleśnią, które od czasu do czasu znajdowaliśmy pod łózkami, i okropnie zapuszczoną toaletę, którą mimo ich protestów uparłam się wyszorować.

Przeszłam po trawie kilka kroków w bok, żeby zajrzeć do środka przez kuchenne okno. Krople deszczu skapnęły mi z czoła na dekollet.

David leżał na brzuchu na wąskiej ławie. Jego chude ramię zwisało bezwładnie nad podłogą. Miał otwarte usta, plecy unosiły się i opadały przy każdym oddechu, a pod bladą skórą sterczały ostre łopatki.

– David! – zawołałam i zapukałam w szybę.

Lekko się poruszył, ale zaraz zamarł z powrotem.

– Otwieraj!

Najpierw uchylił jedno oko, a potem drugie. Z grymasem na twarzy oparł się na łokciu.

Pomachałam mu, na co skinął głową i kilka sekund później dał się słyszeć zgrzyt klucza przekręcanego w zamku drzwi frontowych.

– O co chodzi? – burknął z rozdrażnieniem.

– Wyłącz wreszcie tę cholerną muzykę.

– Okej, wyluzuj – wymamrotał i poczłapał w kierunku odtwarzacza stojącego na małym kuchennym stole. Zatrzymał się w połowie drogi i wyciągnął kabel ze ściany, prawdopodobnie dlatego, że nie był w stanie dojść do wyłącznika.

Zaległa cisza. Słyszeć było jedynie bębnienie deszczu o dach, szum lodówki i odległy grzmot.

– To grało wam całą noc?

Przetarłszy oczy, spojrział na mnie, ale nie odpowiedział, tylko powlókł się do ławy, wyciągnął się na niej i nakrywszy się szydełkową narzutą, odwrócił twarz do ściany, tak że widać mu było tylko szyję i blond czuprynę.

– Idź już – mruknął.

Ale ja postanowiłam zajrzeć jeszcze do pokoju drugiego syna.

Był przykryty do pasa. Muskularny goły tors spoczywał bezpośrednio na materacu, a prześcieradło i poduszka wylądowały zmięte na podłodze. W dusznym powietrzu wyczuwało się słaby zapach potu, nieświeżych skarpetek i kwaśnego piwa.

Oddech – ciężki i regularny – zdradzał, że Harry śpi mocno, wyszłam więc i przemknęłam do pokoju Davida, otworzyłam drzwi i wsunęłam głowę do środka.

Bonnie leżała naga na plecach z rękami w górze. Nogi wystawały poza ramę łóżka, a stopy dotykały podłogi. Jej skóra była biała, niemal woskowa, a oczy miała otwarte. Usta uchylone w kształcie litery „o”, jakby zastygły w niemym krzyku.

I tak oto nagle spadła na nas katastrofa.

Kolejne obrazy są zamazane i zniekształcone, jak coś, co ogląda się przez brudną szybę. Pamiętam jednak, że chyba podbiegłam do Bonnie. Pamiętam, że potrząsałam zimnym ciałem i próbowałam opuścić jej rękę, żeby sprawdzić puls, ale ręka była sztywna jak u manekina.

Chyba krzyczałam, lecz dźwięk, który wydobył się ze mnie, nie przypominał odgłosu człowieka. To było przeciągłe, bezsłowne wycie, raz wyższe, raz niższe, raz wyższe, raz niższe.

Sekundę później do pokoju wszedł Harry.

– Co się... – zaczął, ale na widok Bonnie zamilkł.

Jego oczy się rozszerzyły, uniósł ramiona i wyciągnął przed siebie ręce, jakby próbował się obronić przed niewidzialnym napastnikiem.

Zaraz potem wpadł David, przepchnął się obok nas, rzucił się do Bonnie i ujął jej twarz w dłonie.

– Bonnie – szepnął, obejmując wzrokiem całe ciało. – Obudź się! Bonnie!

Uderzył ją otwartą dłonią w policzek.

– Obudź się! – powtórzył z desperacją w głosie.

Kiedy ponownie ją uderzył, złapałam go za ramię i próbowałam odciągnąć od łóżka.

– Zostaw ją, ona...

Nie potrafiłam tego wymówić, bo powiedzenie tego, co się stało, byłoby równoznaczne z przyznaniem, że to prawda. Że Bonnie, dziewczyna, którą znałam od pierwszej klasy podstawówki, leży naga i martwa w naszym małym domku.

Że Bonnie – zawsze pełna życia i skora do psot, która kochała zwierzęta i miała dość odwagi, by pouczać kogoś takiego jak Olof Forss – już nie istnieje.

David uwolnił się z mojego uścisku, opadł na kolana obok niej i delikatnie pogłaskał ją po włosach.

– Proszę cię, obudź się – kwilił. – Proszę cię, Bonnie.

Spojrzałam na Harry’ego – miał zaciśnięte pięści, z opalonej twarzy odpłynęła krew.

– Idź po tatę – powiedziałam.

Odwrócił się i gdy pędem ruszył do domu, błyskawica rozświetliła pokój, po czym zagrzmiało i rozległ się nieopisany huk, od którego zatrzęsły się szyby.

Powoli wyprowadziłam Davida z pokoju do kuchni. Posadziłam go na ławie i narzuciłam mu na ramiona koc. Płakał, nie próbując tego nawet ukryć, łzy płynęły mu po twarzy.

– Musimy zadzwonić po karetkę – zaszlochał. – Musimy. Zadzwonić.

Na chwilę zamilkł i wytarł nos w koc. Potem zaczął od nowa:

– Trzeba coś zrobić! Musimy jej pomóc. Nie możemy... Ona nie może tak po prostu...

– Tak, tak – bąknęłam, bo co miałam powiedzieć?

Na zewnątrz rozległy się kroki, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Harry, a za nim Gabriel, który był w szlafroku, a nie we wczorajszym ubraniu. Włosy miał mokre, nie wiedziałam, czy to od deszczu, czy może właśnie zdążył wziąć prysznic.

– Zostań tu – zwrócił się do Harry'ego, po czym zniknął w pokoju, gdzie znajdowała się Bonnie.

Harry usiadł przy Davidzie, jego twarz była całkowicie pozbawiona emocji. Oparł dłonie, wciąż białe od zaciskania w pięści, na kolanach.

Mniej więcej po minucie Gabriel wrócił do kuchni, zatrzymał się w drzwiach i jedną ręką oparł się o framugę. Utkwił wzrok w podłodze, oddech miał ciężki, jakby odbył szybki marsz.

– Ona nie żyje – oznajmił, tym samym stwierdzając to, co wiedzieliśmy już wszyscy.

– Pójdę do domu zadzwonić po karetkę.

Manfred

Obecnie

Nadja z grymasem odsuwa niedojedzoną kanapkę.

– Chcę na huśtawkę – mówi i zeskakuje z koca, który rozłożyliśmy w cieniu pod dużymi drzewami w Humlegården. Szybko przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, powodując kołysanie krótkiej spódniczki.

Afsaneh spogląda na mnie z rozbawieniem, przekłada długie, ciemne włosy na jedno ramię i robi taką minę, jakby chciała powiedzieć: A nie mówiłam.

- Najpierw musisz zjeść kanapkę – nie poddaję się.
- A ty wcale nie jesz kanapek – mówi Nadja, szeroko otwierając oczy.
- To dlatego, że ja...

Urywam i spoglądam na kawałki marchewek na moim papierowym talerzyku.

Czy można powiedzieć czterolatce, że się odchudzasz?

Jak jej wyjaśnić, że to, co jest tak niezbędne dla jej rozwijającego się ciała, najwyraźniej nie służy mojemu? Przynajmniej jeśli mam wierzyć naszej lekarce rodzinnej, surowej kobiecie po sześćdziesiątce, która podczas mojej ostatniej wizyty w ośrodku zdrowia zrobiła mi długi wykład o podwyższonym ciśnieniu, cukrzycy typu 2 i problemach z kolanami.

Ciśnieniem i cukrzycą nie przejąłem się zbyt, ale wzmianka o kolanach sprawiła, że skapitulowałem – przez ostatni rok rzeczywiście dawały mi się porządnie we znaki.

- No dobrze, idź się pobujac – mówię.

Gdy tylko Nadja rusza pędem w stronę huśtawki oddalonej o jakieś pięćdziesiąt metrów, Afsaneh wybucha śmiechem.

- Wiem, wiem – przyznaję skruszony.
- Och, zje później.
- Ale popatrz na nią, przecież to sama skóra i kości.
- Widocznie ma to, czego potrzebuje.

Zawsze jest tak samo – to ja najbardziej martwię się o Nadję. Od pamiętnego dnia nieco ponad rok temu, kiedy byłem z nią sam w domu, a ona wdrapała się na parapet i otworzyła okno, wokół mnie nieustannie czai się panika. Obraz, jak rzucam się do niej, chwytam jej małą rączkę, która w ułamku sekundy wyslizguje się z mojej dłoni, zawsze będzie mnie dręczyć. A potem: długie miesiące w szpitalu, niepewność, czy przeżyje.

Mimo że w pełni wyzdrowiała, mam wrażenie, że wszystko nie tylko może się zdarzyć, ale że się zdarzy, jeśli mnie nie będzie w pobliżu. Jakbym był jedyną osobą stojącą między nią a ostateczną katastrofą, ludzką tarczą chroniącą przed wszelkimi zagrożeniami życia.

W konsekwencji przez cały czas muszę się upewniać, że ona jest bezpieczna – w nocy sprawdzam po omacku, czy oddycha, najmniejszy katar powoduje, że lęk rozsada mi pierś, a drobne otarcie na jej kolanie każe mi natychmiast wlec ją do srogiej pani doktor.

Afsaneh jest znacznie spokojniejsza – chociaż była wrakiem, gdy Nadja leżała w szpitalu, potem szybko wróciła do formy. Jej wiara w życie oraz ufność, że Nadja świetnie sobie poradzi, wydają się równie silne jak moja paranoja.

To pewnie dlatego, że Afsaneh jest dużo młodsza, myślę. I że nie widziała tyle syfu, ile ja widziałem.

Praca policjanta to ciągłe konfrontowanie się z najciemniejszymi stronami społeczeństwa i życia – złem, nagłą śmiercią, wykolejonymi nastolatkami, maltretowanymi i wykorzystywanymi dziećmi. Z ludźmi, którzy są potworami, chociaż wyglądają jak nauczyciele ze szkoły niedzielnej. I z ofiarami przestępstw, które powoli, lecz nieuchronnie się staczają, aż wreszcie zamieniają się w sprawców i błędne koło zła się zamyka.

To nigdy się nie kończy.

Afsaneh wyciąga się na plecach na kocu. Mrużąc oczy, patrzy na korony drzew i po chwili zakłada okulary przeciwsłoneczne. Zrzuca sandały na trawę i porusza palcami u nóg.

– Czy nie byłoby fajnie mieć znowu maluszka? – mówi.

Kocham Nadję nad życie, ale nie lubię niemowlaków. Nie tęsknię za nieprzespanymi nocami i wiecznym przewijaniem. Poza tym przekroczyłem pięćdziesiątkę i jestem ojcem czwórki dzieci. Alba, Alexander i Stella są oczywiście dużo starsi niż moja najmłodsza córka, uważam jednak, że zrobiłem już swoje na froncie prokreacji.

– Słyszysz? – odzywa się znowu Afsaneh.

– Co takiego?

– Taką kruszynkę ze stópkami tak malutkimi, że można włożyć je do ust.

Dzwoni moja komórka, a kiedy widzę kto to, postanawiam nie odbierać.

Bodil.

Owszem, jest moją szefową, ale ostatecznie mam urlop. Cztery nieprzerwane tygodnie wolnego, pierwszy raz od wielu lat. Wynajęliśmy domek na szkiearach, będziemy się kąpać i jeść lody. Zmywać ręcznie i grillować. Debatować o nienarodzonym dziecku, o którym Afsaneh mówi coraz częściej, podczas gdy ja

wpycham w siebie słupki marchewek i plasterki ogórków – ale przede wszystkim nie chodzić do pracy.

W końcu jednak nad chęcią zignorowania Bodil zwycięża lojalność. Zresztą jak zawsze.

Odbieram, myśląc jednocześnie, że jest piekielną szczęściarą, mając tak posłusznych żołnierzyków.

Nie traci czasu na próżne wstępy.

– Witaj – zaczyna. – Wiem, że masz wakacje, ale potrzebuję twojej pomocy.

Serce niemal mi się zatrzymuje.

– Stało się coś?

Odpowiada po chwili milczenia.

– Pamiętasz zabójstwo siedemnastolatki sprzed ośmiu lat? U tego pisarza, który mieszka na posesji o nazwie Wieczność?

Pamiętam, oczywiście, że pamiętam. Tamto lato było równie upalne i piękne jak tegoroczne. Właśnie się rozwiódłem i czułem się marnie. A dziewczyna, która wtedy straciła życie – Connie? Bonnie? – miała tyle samo lat co moja Alba.

– Nazywa się Gabriel Andersen – dodaję. – Ten pisarz.

– Zgadza się – potwierdza Bodil z wahaniem. – Chodzi o to, że jego żona, Lykke Andersen...

W tle rozlega się jakiś hałas. Ktoś coś do niej mówi, może ktoś wszedł do pokoju, żeby o coś spytać.

– Przepraszam – rzuca do mnie Bodil i chyba zasłania ręką słuchawkę, ale i tak słychać czyjś podniesiony głos. Stłumione inwektywy świszczą jak wymierzony z rozmachem policzek.

– Następnym razem pukaj, do jasnej cholery – warczy moja szefowa na zakończenie.

Spoglądam na Afsaneh. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i patrzy na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Na czym stałam? – odzywa się znów Bodil, na pozór niewzruszona wymianą zdań sprzed chwili. – A, tak. Lykke Andersen jest w areszcie, prawdopodobnie podejrzana o morderstwo.

– O szlag.

– I nie chce mówić z nikim innym poza tobą. Czy mógłbyś wpaść i ją przesłuchać?

Wiodę spojrzeniem po parku, po wyschniętych trawnikach i bujnych krzewach. Patrzą na rodziny urządzające pikniki i na dzieci kopiące piłkę, ale myślami jestem gdzie indziej.

Widzę znów zapłakaną twarz Lykke Andersen i czerwone domy nad lśniącym sörmlandzkim jeziorem.

Manfred
Osiem lat wcześniej

12

Dotarliśmy do Wieczności około jedenastej przed południem, zaledwie godzinę po tym, jak lokalna policja poprosiła nas o wsparcie – był środek wakacji i brakowało im ludzi. Nam, w Krajowej Komisji do spraw Zabójstw, zresztą też, ale śledztwo miało wysoki priorytet. Ponadto Wieczność znajdowała się w niewielkiej odległości, niecałą godzinę jazdy samochodem ze Sztokholmu.

O tym, co nas tam czeka, wiedzieliśmy niewiele, jedynie tyle, że miejscowa nastolatka straciła życie w podejrzanych okolicznościach i że wszczęto wstępne dochodzenie w sprawie morderstwa.

W samochodzie siedziała obok mnie Pirjo, dopiero od niedawna obecna w naszym zespole, ale doświadczona policjantka, z kilkunastoma skomplikowanymi śledztwami w sprawie zabójstw na koncie. Pirjo była cicha i spokojna i łatwo było odnieść wrażenie, że jest flegmatyczna, a może nawet zgnuśniała – pozory jednak mylą, bo nic nie umknęło jej ostremu jak brzytwa intelektowi oraz smutnym, szarym oczom za grubymi szklami okularów. Wyróżniała ją ponadto burza loków na głowie skręconych po trwałej ondulacji na pudła.

– To chyba powinno być tutaj – powiedziała ze swoim typowym norrlandzkim zaśpiewem, po czym odłożyła mapę na kolana i mrużąc powieki, patrzyła na czerwone domy majaczące między drzewami.

Auto podskakiwało mocno na wyboistej zwirowej drodze. Zwolniłem i lawirowałem między ogromnymi sosnami i omszałymi głazami, starając się unikać dziur ziejących w poprzek drogi.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, zobaczyliśmy policyjne radiowozy i białą furgonetkę techników zaparkowane obok czarnego bmw i starego, zardzewiałego renault. Nieco dalej stało czerwone volvo.

– Na to wygląda – zauważyłem i zatrzymałem auto obok jakiegoś pniaka.

Słońce przebiło się przez ciężkie chmury, a znad zmoczonej deszczem trawy parowała wilgoć. Gdy otworzyliśmy furtkę i ruszyliśmy w stronę zabudowań, w powietrzu unosił się intensywny zapach świeżej zieleni.

Posesja składała się z dwóch drewnianych domów w kolorze faluńskiej czerwieni – większego i mniejszego – pochodzących prawdopodobnie z przełomu wieków. Szprosy w oknach i okiennice były pomalowane na biało, a otwarta weranda wychodziła na

jezioro, które rozpościerało się około stu metrów dalej. Mniejszy budynek otoczono niebiesko-białą policyjną taśmą.

Duży trawnik przed oboma domami okalały ozdobne krzewy, liczne drzewa owocowe i inne dające cień rośliny. Po jego środku, w kręgu utworzonym przez krótko skoszoną trawę, stał prowizoryczny stół w postaci płyty wiórowej opartej na kozłach. Pod nim połyskiwał w słońcu czarny foliowy worek na śmieci, do połowy wypełniony pustymi butelkami.

Pirjo się zatrzymała i objęła wzrokiem całe otoczenie, cofnęła się kilka kroków, popatrzyła na główny budynek i pociągnęła nosem jak pies tropiący.

– Co? – spytałem.

– Impreza rakowa.

Gdy zauważyłem samotny kapelusik z czerwonej folii wystający z trawy niczym świeżo rozkwitły egzotyczny kwiat, stwierdziłem, że Pirjo jak zwykle miała rację.

Z dużego domu wyszła policjantka w mundurze i zdecydowanym krokiem skierowała się ku nam.

– Mogę w czymś pomóc? – rzuciła, opierając dłonie na szerokich biodrach.

– Manfred Olsson i Pirjo Lundquist z Komisji do spraw Zabójstw – wyjaśniłem, pokazując swoją legitymację.

Kobieta skinęła krótko głową, jej napięta twarz wyraźnie się rozluźniła.

– Dobrze, że przyjechaliście – powiedziała, po czym podała nam po kolei rękę i przedstawiła się jako Nathalie Skog, komisarz lokalnej policji.

Następnie, odgarnąwszy opaloną dłońią przetykane siwizną włosy z czoła, poinformowała:

– Ofiara leży w małym domku. Patolog i technicy przeprowadzają czynności. Może chcecie się spotkać najpierw z nimi?

– Tak – potwierdziła Pirjo.

– A potem możecie porozmawiać z resztą. Są w głównym budynku.

– Kto dokładnie tam jest? – spytałem.

– Mieszkająca tutaj rodzina, nazywają się Andersenowie. I trójka ich gości, którzy nocowali w domku nad jeziorem. Wczoraj była tu impreza rakowa.

Pirjo ani nic nie powiedziała, ani nie spojrzała na mnie znacząco, by zaznaczyć, że wyciągnęła prawidłowy wniosek. To nie było w jej stylu, co w niej ceniłem.

Nawiasem mówiąc, podobało mi się u niej wiele innych rzeczy, na przykład to, że zanim otworzyła usta, wolała pomyśleć. I że traktowała każdego, nawet największego wykolejeńca, z jednakowym szacunkiem. Poza tym była obdarzona zestawem cech, których trochę jej zazdrościłem: potrafiła zachować niemal nadludzki spokój w skrajnie stresujących sytuacjach, a nudne i często ogromnie czasochłonne rutynowe

czynności wchodzące w skład pracy policyjnej – badanie billingów, sprawdzanie wyciągów z konta, porównywanie zeznań świadków – zdawały się w ogóle jej nie przeszkadzać.

Mimo to nie mogę powiedzieć, że dobrze ją znałem. Starannie skrywała swoje życie prywatne i nierzadko myślałem, że już na samym początku uznała mnie za nie dość interesującego, by chcieć zawrzeć ze mną bliższą znajomość.

Ruszyliśmy do domku razem z koleżanką, która co prawda miała na imię Nathalie, lecz ani trochę nie wyglądała jak Nathalie – o ile istnieje taki wzorzec, ale w moim wyobrażeniu imię to było równoznaczne z obrazem Francuzki w zwiewnej letniej sukience i z drinkiem w ręce. Tymczasem ona z krótko obciętymi włosami, rumianymi policzkami i wyważonym sposobem bycia bardziej przypominała Berit albo Ullę.

– Ofiara nazywa się Bonnie Högberg – wyjaśniła. – Siedemnaście lat, mieszka kilka kilometrów stąd. Jej bliscy zostali zawiadomieni, ale jeszcze ich nie przesłuchaliśmy.

Przeszła nad taśmą z zaskakującą zwinnością i każdemu z nas wręczyła komplet niebieskich foliowych ochraniaczy na buty.

– Czy ona była wczoraj jednym z gości? – spytała Pirjo.

Nathalie potaknęła.

– Jest koleżanką synów Andersenów, bliźniaków Davida i Harry’ego.

– Bliźniaków? – dopytałem.

– Mhm – potwierdziła Nathalie. – Coś nie tak?

– Nie, nie. Kto znalazł dziewczynę?

– Matka chłopców, Lykke Andersen. Przyszła do nich tuż przed ósmą rano poprosić, żeby wyłączyli muzykę. Podobno grała przez całą noc.

Pirjo naciągnęła ochraniacze, zebrała swoje skręcone jasnokasztanowe włosy w wysoki kucyk, po czym zwróciła się do policjantki:

– Jakiś podejrzany?

Nathalie lekko się zawahała.

– Wygląda na to, że przez całą noc chłopcy byli sami z Bonnie Högberg. Kiedy przyszła ich matka, domek był zamknięty od wewnątrz, podobnie okna.

Pirjo mruknęła coś cicho.

– Poradzicie już sobie, prawda? W razie czego jestem w głównym budynku – powiedziała Nathalie.

Gdy weszliśmy do domku, para techników kryminalistyki w białych kombinezonach, maseczkach i lateksowych rękawiczkach stała pochylona nad dużą walizką.

Powiedzieliśmy dzień dobry, wówczas jeden z nich, niejaki Göran, z którym pracowałem kilkakrotnie przy wcześniejszych sprawach, wskazał na rozłożone na podłodze plastikowe przezroczyste płyty.

– Chodźcie tylko po nich, okej?

Zrobiliśmy, jak powiedział.

Nieduże pomieszczenie, służące chyba jednocześnie jako hol i kuchnia, było pomalowane na delikatny niebieski kolor. Na ścianach wisiały oprawione plakaty z Moderna Museet. Pod jedną ze ścian stała ława, a pod drugą okrągły stolik z dwoma krzesłami. Niemal cały blat zajmował ogromny przenośny odtwarzacz CD. Na parapecie leżał stos książek. Niszę kuchenną zajmowały lodówka, dwupalnikowa kuchenka, zmywarka i kilka szafek.

Jak na mieszkanie nastolatków wyglądało zaskakująco schludnie – sam miałem troje nastoletnich dzieci i ich pokoje zawsze przypominały śmietnik. Nie było to też typowe miejsce zbrodni – nigdzie żadnych wywróconych krzeseł, potłuczonego szkła czy roztrzaskanych mebli. A brak pustych butelek po alkoholu, gór petów i akcesoriów związanych z narkotykami, które tak często znajdowaliśmy w takich sytuacjach, wręcz rzucał się w oczy.

– Pogadajcie najpierw z patolożką – zasugerował Göran, wkładając do walizki torebkę z jakimś kolejnym dowodem. – Chyba powinna zaraz skończyć. Drzwi po prawej.

Wskazał dłonią w rękawicze.

Przeszliśmy dalej, stąpając po płytach jak po kamieniach w strumieniu. Wyginały się niepokojąco pod moim ciężarem, skrzypiały i trzeszczały przy każdym kroku.

Drzwi były uchylone, zapukałem lekko i nieznacznie je pchnąłem.

Leżała tam.

Chociaż widziałem niezliczoną liczbę zwłok – ofiar wypadków, zbrodni i samobójstw – ścisnął mi się żołądek.

Alba, przemknęło mi przez głowę. Ona wygląda dokładnie jak Alba.

Może to marmurowo blada skóra lub rozrzucone na materacu długie kasztanowe włosy sprawiły, że pomyślałem o swojej córce, wywołały wręcz nieodparty impuls, by sięgnąć po komórkę i zadzwonić do niej, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Lekarka medycyny sądowej, która właśnie zamknęła swój kuferek, odwróciła się do nas.

– Manfred – przywitała mnie z uśmiechem.

– Cześć, Samiro – odparłem, odrywając wzrok od martwej nastolatki. – Znacie się z Pirjo?

– Miałyśmy okazję już się spotkać – potwierdziła Pirjo.

Podszedłem do łóżka.

– Bonnie Höberg – odezwała się Samira przytłumionym głosem. – Siedemnaście lat.

– Niech to szlag – rzuciłem.

– Da się coś powiedzieć o przyczynie śmierci? – spytała Pirjo, rozglądając się po pokoju.

Samira włożyła parę świeżych lateksowych rękawiczek.

– Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, dopóki nie przeprowadzę sekcji zwłok. Ale spójrz tutaj.

Nachyliła się nad ciałem, ostrożnie uniosła jedną powiekę, odsłaniając nabiegłe krwią oko.

– *Petechiae* – powiedziała. – Drobne wybroczyny w spojówce.

– Uduślenie – bąknęła Pirjo, odwracając twarz.

Samira kiwnęła głową.

– Bardzo możliwe, na razie jednak nie mogę tego potwierdzić. Znalazłam też sporo włókien w ustach. Utkwiły w aparacie ortodontycznym.

– Włókien? – spytałem.

– Sądzę, że to włókna tekstylne – odpowiedziała Samira. – Co mogłoby oznaczać, że wepchnięto jej do ust kawałek jakiegoś materiału.

– Ślady wykorzystania seksualnego? – pytałem dalej.

– Nie, ale jak już wspomniałam, całkowitą pewność będę miała dopiero po obdukcji.

Pirjo się wyprostowała.

– Coś jeszcze?

– Żadnych innych widocznych uszkodzeń, z wyjątkiem świeżego skaleczenia na prawej dłoni.

Zerknąłem na prawą rękę wyciągniętą za głowę. Palce były zaciśnięte.

– Stężenie pośmiertne uniemożliwia dokładne oględziny w tej chwili – wyjaśniła Samira. – Później przyjrzę się temu bliżej.

– Może to uszkodzenie powstałe podczas samoobrony? – dociekała dalej Pirjo.
– Niewykluczone. Albo inny rodzaj urazu odniesiony tuż przed śmiercią. Poza tym na razie nic więcej nie widzę.

– A co to jest?

Pirjo zwróciła uwagę na kilka czerwonych cętek na klatce piersiowej Bonnie.

– Sądzę, że to ślady po ukąszeniach komarów. Wyglądają na zupełnie świeże. Ma ich całkiem sporo.

Samira wskazała na tors i ramiona.

– Chyba niektóre rozdrapała – dodała.

– Hm – bąknęła Pirjo. – Kiedy według ciebie nastąpił zgon?

Patolożka lekko wzruszyła ramionami.

– Sądząc po temperaturze ciała, stężeniu pośmiertnym i wyglądzie plam opadowych, które są wprawdzie symetryczne i się zlewają, ale kiedy je nacisnąć, blakną, powiedziałabym, że... – Jej wzrok powędrował w stronę sufitu, a głowa lekko się przechyliła – ...gdzieś między trzecią a piątą rano.

Technicy kryminalistyki siedzieli w słońcu na schodku i popijali z kubków kawę, którą najwyraźniej przywieźli ze sobą w metalowym termosie z emblematem policji.

– Skończyliście? – spytałem.

Göran pokręcił głową i roześmiał się cierpko.

– Zejdzie nam jeszcze cały dzień. Co najmniej.

– Co macie? – spytała Pirjo, rozwiązując kucyk, wskutek czego jej loki pudła znów opadły prawie na ramiona.

– No cóż – zaczął z ociąganiem Göran. – Znaleźliśmy cholernie dużo odcisków palców i włókien. Analiza wykaże, czy są istotne dla śledztwa.

– Zabraliśmy też ubrania, które chłopcy mieli zeszłej nocy na sobie – uzupełnił drugi technik, młody mężczyzna z silnym trądzikiem.

– Z wyjątkiem koszuli Davida Andersena, bo nie mogliśmy jej znaleźć – dodał Göran i wychylił z białego plastikowego kubka ostatnie krople kawy.

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Chłopak twierdzi, że powiesił ją na wieszaku w łazience, ale tam jej nie było.

– Ciekawe. To gdzie ona może być?

Göran wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiemy. Zaraz przeniesiemy się do pokoju, w którym leży ofiara, może tam gdzie jest.

– A co z ubraniami denatki? – zapytała Pirjo.

– Wisiało w łazience – odpowiedział młodszy z techników, skubiąc jeden ze strupków na brodzie.

– Hm – mruknęła Pirjo.

Zwróciłem się do Görana:

– Nathalie wspomniała, że przez całą noc w domku znajdowali się tylko bliźniacy i ofiara. Czy wy też uważacie, że nie było tam nikogo innego poza nimi?

Göran chrząknął, ja zaś wyraźnie widziałem, jak zmaga się z myślami, żeby sformułować to, co chciał wyrazić, maksymalnie precyzyjnie. Jak większość techników kryminalistyki starał się, aby przekazywane przez niego informacje były dokładne co do ostatniego miejsca po przecinku. Czasami doprowadzało mnie to do szału – ich niechęć do spekulacji na temat potencjalnego przebiegu zdarzeń i wypowiedanie się w możliwie niezobowiązujący sposób nam nie pomagały.

– Nie można tego stwierdzić – odparł ze śmiertelną powagą, nie zaskakując mnie ani trochę.

Po sztucznej przerwie dodał jednak:

– Ale. Klucz tkwił od wewnętrznej strony w drzwiach, które zgodnie z informacjami były przez całą noc zamknięte. Poza tym nie zauważyliśmy żadnych uszkodzeń ani okien, ani drzwi. Tak więc...

Nie dokończył zdania.

Pirjo rzuciła mi szybkie spojrzenie, a jej szare oczy wyglądały jeszcze smutniej niż zwykle.

Czułem, co myśli, oczywiście, że tak.

Śmierć siedemnastolatki to tragedia, ale zamordowanie jednej siedemnastoletniej osoby przez inną siedemnastoletnią osobę to po prostu niewyobrażalny koszmar.

Około trzeciej – powiedziała Lykke Andersen. – Harry i Bonnie poszli spać około trzeciej.

Pociągnęła nosem i wypła trochę wody, którą podała jej Pirjo.

– A David dołączył do nich niedługo potem – dodała.

– Niedługo potem – powtórzyła Pirjo. – Co to znaczy?

– Może pięć, dziesięć minut później. Nie pamiętam.

Zainstalowaliśmy się na piętrze dużego domu, w gabinecie Gabriela Andersena. Pokój był nieduży i duszny, mimo że uchyliliśmy okno. Biurko stało bezpośrednio pod oknem, dzięki czemu osoba siedząca przy nim miała widok na ogród i jezioro. Na blacie stał komputer, leżały też stosy papierów i książek oraz kilka długopisów na jednym z nich. Obok pelargonii na parapecie stało parę kubków z zaschniętą resztką kawy na dnie.

Lykke siedziała skulona w starym fotelu uszaku, otoczywszy ramionami szczupłe nogi. Ja i Pirjo przycupnęliśmy naprzeciwko niej na sosnowych taboretach, które przynieśliśmy na górę z kuchni.

– Jacy się wydawali? – spytała Pirjo.

– Jacy się wydawali? – powtórzyła Lykke z grymasem i podrapała się po piszczeli. – Całkiem normalni. Tacy jak zawsze.

Pirjo zapisała coś w notesie.

– Nie pokłócili się?

Pokręciła głową.

– Oni nigdy się nie kłócą. Ta trójka nigdy... – Urwała, głośno pociągnęła nosem. – Byli najlepszymi przyjaciółmi. Od pierwszej klasy.

Nieco dłużej zatrzymałem na niej spojrzenie – trzydziestoosmiolatka, wysoka, szczupła, jasne włosy obcięte zawadiacko na krótko. Oczy niebieskie, opalona skóra na dekolcie miała intensywnie czerwony odcień. Piegi ciągnęły się pasmem przez oba policzki i nos.

Znoszony frotowy szlafrok, który miała na podkoszulku i bawełnianych szortach, sugerował, że wydarzenia poranka zaburzyły rytm rutynowych codziennych czynności.

– Okej – odezwała się Pirjo na swój flegmatyczny sposób. – Czyli ta trójka poszła spać około trzeciej. A reszta?

– My też położyliśmy się zaraz potem.

– O której?

– Nie wiem, nie patrzyłam na zegarek. Może o wpół do czwartej.

Pirjo ponownie coś zanotowała, po czym zadała kolejne pytanie:

– Pani i mąż spaliście tutaj, w dużym domu?

– Tak, spaliśmy w jednym łóżku. Jak to zwykle bywa w małżeństwie.

– Czy któreś z was wychodziło w nocy na zewnątrz?

Lykke pokręciła głową.

– Nie, już mówiłam. Spaliśmy, dopóki nie obudziła mnie muzyka.

– Która była już włączona, kiedy się kładliście? – wtrąciłem.

Lykke westchnęła, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w sufit.

– Szczerze mówiąc, wtedy nie miałam siły pójść do chłopców. To był długi wieczór, chciałam tylko spać.

– Dużo wczoraj piliście? – spytała Pirjo od niechcenia.

– To zależy, co pani rozumie przez dużo. Wszyscy pili wódkę. Poza tym wino i piwo. Więc tak, sporo wypiliśmy.

– Młodzież też?

Lykke wzruszyła ramionami.

– Chyba tak – powiedziała i pociągnęła za nitkę zwisającą z rękawa, zdecydowanie dla niej za długiego, może to był szlafrok męża, nie jej. – Nie mogę uwierzyć, że ona odeszła – kontynuowała, a jej wzrok powędrował za okno, ku letniemu niebu, które znowu stało się błękitne.

Pirjo spojrzała na mnie, po czym ponownie zwróciła się do Lykke:

– Czy pani i mąż macie klucze do domku?

– Nie, tylko chłopcy je mają. A drzwi były zamknięte od środka. David mi otworzył. Stałam na zewnątrz i słyszałam, jak przekręcił klucz.

– Okej – bąknęła Pirjo. – A gdy weszła pani do pokoju, w którym leżała dziewczyna, okno też było zamknięte?

– Tak, już to mówiłam. Opowiedziałam wszystko tej... policjantce...

– Nathalie? – zasugerowałem.

Lykke potwierdziła skinieniem głowy.

– A goście, którzy nocowali w domku nad jeziorem? – zacząłem. – Czy oni wychodzili w ciągu nocy?

– A skąd mam to wiedzieć? Musicie ich o to spytać.

– Porozmawiamy ze wszystkimi – odparłem. – Włącznie z Davidem i Harrym.

Kobieta zmarszczyła czoło, wyprostowała się na fotelu i postawiła obie stopy na podłodze.

– Oni nie mają z tym nic wspólnego – oznajmiła ostrym tonem. – Żaden z nich nigdy nie skrzywdziłby Bonnie.

To oczywiste, że Lykke Andersen nie wierzyła, aby któryś z jej synów zamordował swoją najlepszą przyjaciółkę, dziewczynę, którą znali od pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Żaden rodzic nie wierzy, że jego dziecko jest zdolne do czegoś takiego.

A jednak to się dzieje – każdy zabójca jest czyimś dzieckiem, a większość z nich zwykle pozostaje także w jakiejś relacji z osobą, której odbiera życie. Pirjo i ja wiedzieliśmy o tym doskonale i wiele razy byliśmy tego świadkami. Lecz by dzieci czy nastolatki pozbawiały życia siebie nawzajem – coś takiego należało do rzadkości.

Ma się rozumieć, na razie nie mieliśmy pewności, czy któryś z bliźniaków rzeczywiście był zamieszany w śmierć Bonnie, wiele jednak na to wskazywało. Sytuacja stawiała przed nami duże wyzwania – prowadzenie śledztwa w sprawie zbrodni popełnionej przez młodocianych sprawców wymaga wyjątkowej delikatności, ponadto prawo nakazuje, żeby podejrzanych poniżej osiemnastego roku życia traktować ze szczególnym wyczuciem.

Tak, byliśmy tego wszystkiego świadomi. W każdym razie starałem się pozostać jak najbardziej bezstronny i jednocześnie otwarty na alternatywne scenariusze podczas przesłuchiwania reszty rodziny i gości. Bo gdybym mógł wybierać, gdybym za sprawą jakiejś magicznej mocy miał wpływ na tragedię, jaka rozegrała się w Wieczności, wolałbym, aby to ktoś inny okazał się zabójcą, a nie siedemnastolatek mający całe życie przed sobą.

Po Lykke przesłuchaliśmy jej męża, pisarza Gabriela Andersena.

Chociaż nie jestem zagorzałym czytelnikiem książek, znałem go z gazet i z telewizji – ciemna czupryna, mocne rysy. A moja żona Beatrice – nawiasem mówiąc: wkrótce już była żona – kiedyś całe lato zaczytywała się w jego trzech powieściach o Helene i Siv. I bynajmniej na nich nie skończyła, tylko zaraz potem zamówiła więcej rzeczy Gabriela Andersena i zaczęła na bieżąco śledzić go w internecie. Dlaczego – nigdy nie mogłem tego pojąć, bo lubić czyjaś twórczość to jedno, ale czytać wszystko, co piszą o pisarzu, to zupełnie co innego.

– Chyba masz kompletną obsesję na jego punkcie – powiedziałem jej w pewnym momencie.

– Nic nie rozumiesz – odpowiedziała mi z kanapy. – On jest genialny. – W jej oczach pojawiło się rozmarzenie. – I bardzo przystojny – dodała.

Być może miała rację, lecz mężczyzna, który siedział teraz naprzeciw mnie w fotelu, wyglądał na tak zdruzgotanego, że nawet przez sekundę nie zastanawiałem się nad

jego wyglądem. Przez cały czas drżał, a na pytania odpowiadał bezbarwnym głosem ze wzrokiem zawieszonym gdzieś między mną a Pirjo.

Jego odpowiedzi brzmiały zgodnie z oczekiwaniami: nie, w czasie wieczoru nie zauważył niczego podejrzanego. Tak, położył się spać razem z żoną i nie wstawał w nocy. Jasne, że synowie byli dobrzy i troskliwi, nigdy nie skrzywdziliby Bonnie ani nikogo innego. A tak naprawdę, to dlaczego zadajemy tyle pytań o Davida i Harry'ego? Czy to nie oczywiste, że ktoś obcy musiał dostać się do domku w nocy i to on zabił Bonnie?

Kilka kolejnych godzin spędziliśmy nadal w dusznym i małym gabinecie gospodarza na piętrze. Odbyliśmy rozmowę z Olofem Forssem, sześćdziesięcioletkiem, który okazał się wydawcą Gabriela. Nie był jednoznacznie niegrzeczny, sprawiał jednak wrażenie dosyć aroganckiego gościa – najwyraźniej uważał, że nie ma obowiązku odpowiadać na nasze pytania. Ponadto wydawało się, że bardzo się spieszy i chce jak najszybciej stamtąd wyjechać.

– To chyba rozumie się samo przez się, że nikt z nas nie tknął tej dziewczyny – rzekł, po czym wziął do ręki okulary w skleionej taśmą rogowej oprawie i zaczął machać nimi jak wahadłem w powietrzu.

– Dlaczego według pana to rozumie się samo przez się? – zadała pytanie Pirjo.

Oczywiście nie potrafił na nie odpowiedzieć, ale przynajmniej potwierdził zeznania Lykke i Gabriela. W domku nad jeziorem znalazł się około wpół do czwartej i od razu się położył, podobnie jak dwójka pozostałych gości. I o ile się orientował, nikt z nich nie wychodził w nocy. Obudziła go burza, ale potem zasnął z powrotem. A wstał dopiero wtedy, kiedy przyszedł Gabriel i opowiedział, co się stało.

– Dziękuję – rzekła Pirjo, kiedy skończyliśmy go przesłuchiwać. – Proszę powiedzieć swojemu koledze, żeby zechciał przyjść do nas. Ma na imię Jujje, prawda?

– To *nie* jest mój kolega – odparł Olof z naciskiem, który nieco mnie zdziwił. Po czym się oddalił.

Następny w kolejce był Jujje Holm. Miał czterdzieści lat i przedstawił się jako agent literacki. Okazał się zdecydowanie bardziej chętny do współpracy niż Olof i ogólnie wydawał się całkiem pozbierany. Wyglądało na to, że zdążył nawet wziąć prysznic, zapach wody kolońskiej łaskotał mnie w nosie. Wilgotne długie włosy były związane w kucyk na karku, a w płątku jednego ucha błyszczało złote kółko, szyję zaś ozdabiał tatuaż w kształcie smoka.

– Agent literacki – zaczęła Pirjo, przewracając kartkę w swoim notesie. – Czyli, o ile dobrze rozumiem, nie pracuje pan w wydawnictwie?

Jujje uniósł jedną brew, strzepnął coś z błyszczącego rękawa marynarki i uśmiechnął się cierpko.

– Uhm. Nie. – A po chwili: – Wręcz przeciwnie. Pracuję w Stenström Agency, jesteśmy całkowicie niezależni.

Potem nastąpił długi wykład poświęcony branży wydawniczej oraz temu, dlaczego agenci literaccy, a przynajmniej ci niezależni, zawsze stoją po stronie autora, w odróżnieniu od wydawcy, który myśli wyłącznie o sobie.

Gdy przeszliśmy do wydarzeń minionego wieczoru, Jujje potwierdził to, co powiedzieli wcześniej Lykke, Gabriel i Olof, sprawiając, że podejrzenia wobec bliźniaków się nasiliły. Wspomniał też o czymś, co wywołało moje zainteresowanie.

– Tuss się uparła, że wykąpie się w środku nocy. Była dosyć wstawiona, więc próbowałem ją powstrzymać. I kiedy staliśmy przy pastwisku, zobaczyliśmy Bonnie, Davida i Harry’ego. Nie jestem pewny, mogłem opacznie to odebrać, ale wyglądało na to, jakby się kłócili.

– Gdzie oni wtedy byli? – spytała Pirjo.

– Na pomoście.

– Jak daleko znajdował się pan od nich? – wtrąciłem.

Wzruszył ramionami.

– Jakieś... Niech pan sam zobaczy.

Wstał i podszedł do biurka pod oknem. Ja i Pirjo zrobiliśmy to samo.

– Tam – rzekł, wskazując ręką na pastwisko, na którym pasły się dwa konie. – Widzicie furtkę?

Pirjo potaknęła.

– Tam stałem. A właściwie najpierw tam stałem i... No więc Tuss się przewróciła, a kiedy próbowałem pomóc jej się podnieść, też upadłem.

Patrzyłem na miejsce, które wskazał, jakieś siedemdziesiąt metrów od jeziora. Nietrudno sobie wyobrazić, że mógł widzieć to, co działo się na pomoście.

– Co stało się potem nad jeziorem? – spytałem.

Jujje wzruszył ramionami.

– Nie patrzyłem. Ale spytajcie Tuss, może ona wie.

Tuss, która tak naprawdę nazywała się Teresa Schwarz, wyglądała w swojej brokatowej złotej sukience zupełnie nie na miejscu. Ale przede wszystkim wydawała się w nie najlepszej formie – krótkie czarne włosy sterczały na wszystkie strony, twarz miała kredowobiałą, oczy błyszczały, a w drobnych zmarszczkach przy kącikach ust widoczne były jeszcze czerwone nitki szminki.

Zakładałem, że to, co stanowiło przyczynę jej złego samopoczucia, spowodowało także znaczne luki w pamięci.

- Nie wiem – mamrotała w odpowiedzi na większość zadawanych przez nas pytań.
- Nie pamiętam.

A kiedy Pirjo dociekała, czy widziała Harry’ego, Davida i Bonnie na pomoście nad jeziorem, jedynie ze smutkiem pokręciła głową.

- Oni stali na pomoście? Nie, nie widziałam.

Ale przynajmniej dowiedzieliśmy się od niej, gdzie pracuje i co ją łączy z pozostałymi gośćmi.

- Jestem redaktorką Gabriela, pomagam mu przy jego tekstach. Pilnuję dramaturgii, dbam o język. Takie sprawy.

Nagle całkiem głośno jej się odbiło.

- Rany boskie! Przepraszam – wybąkała, zasłaniając drżącą dłonią usta.

- Nic nie szkodzi – rzekła Pirjo, zerknąwszy na mnie.

- Czyli pani pracodawca to Forss & Stierna? – chciałem się upewnić.

Skinęła głową bez słowa.

- A więc jest pani koleżanką Olofa, ale nie... – Zajrzałem do swoich notatek.

- Jujjego – dopowiedziała za mnie Pirjo.

– Mm – mruknęła Teresa, kołysząc się nieco w przód i w tył w fotelu. Potem ponownie podniosła rękę do ust.

- Przepraszam – powiedziała, szybko wstając. – Bardzo przepraszam.

Podbiegła do drzwi, potknęła się o próg, a potem zniknęła w przedpokoju. Sekundę później z toalety dobiegły odgłosy dławienia się.

Pirjo zdjęła okulary i zwróciła się do mnie:

- Chyba zostanę całkowitą abstynentką.

Siedzieliśmy na ziemi, na okrągłym, krótko przystrzyżonym fragmencie trawnika, si jedliśmy kanapki przywiezione przez Pirjo. Kilka metrów dalej stały prowizoryczny stół i krzesła. Zasugerowałem, żebyśmy na nich usiedli, ale moja koleżanka, marszcząc brwi, przytomnie zauważyła, że być może meble ogrodowe będą chcieli potem obejrzeć technicy.

Niebawem mieliśmy przesłuchać Davida i Harry'ego Andersenów – normalnie porozmawialibyśmy z nimi oczywiście w pierwszej kolejności, chłopcy byli jednak tak wstrząśnięci, że postanowiliśmy dać im trochę wytchnienia. David przeżył to chyba najciężej, dostał jakiegoś ataku, podczas którego na przemian krzyczał i płakał, co skłoniło naszych kolegów do rozważenia opcji zawiezienia go do szpitala.

Teraz obaj czekali na nas w głównym budynku, gdzie Nathalie i inni policjanci zachowali się na tyle przytomnie, że umieścili każdego z nich w oddzielnych pokojach, aby nie mieli już okazji ze sobą rozmawiać.

Najpierw pomyślałem o nich, bliźniakach, siedemnastolatkach mających całe życie przed sobą.

A potem oczywiście o Aronie, to nieuniknione. W miarę jak kontury w moich wspomnieniach stawały się coraz wyraźniejsze, w miarę jak jego twarz stawała się coraz bardziej widoczna – chłopca, który był mną, a jednak nie – wzbierały we mnie zarówno melancholia, jak i dobrze znany mi smutek.

– O co chodzi? – odezwała się Pirjo, odgryzając kęs kanapki z jajkiem. – Wyglądasz, jakbyś się nad czymś zastanawiał.

– Nie. Ja tylko... – Odchrząknąłem i postanowiłem być szczery. – Miałem brata bliźniaka.

Pirjo utkwiała we mnie szare oczy i opuściwszy rękę z kanapką, znieruchomiała.

– Miałeś?

– Nie żyje. Zachorował na raka. Jako dwunastolatek.

Milczała.

– To coś wyjątkowego – kontynuowałem. – Bycie bliźniakiem to niezwykła rzecz. To, co pokazują na filmach, jak bliźniaki kończą nawzajem zdania i takie tam, to oczywiście klisza. Ale czasami miałem wrażenie, że potrafię czytać w jego myślach. I na odwrót. Chociaż może tylko teraz tak mi się wydaje.

Pirjo nadal siedziała cicho. Przełamała resztkę kanapki na dwie części i włożyła jeden kawałek do ust.

– Od tamtej pory minęło dużo czasu – dodałem.

– To musiało być potworne. Dzieci nie powinny umierać.

Spojrzałem na nią. Zsunęła swoje brzydkie okulary na czoło i zwróciła twarz w stronę słońca. Powoli poruszała szczękami.

Nigdy wcześniej o niej nie myślałem, ale ona naprawdę była urocza. Poza tym wydało mi się nawet atrakcyjne, że niespecjalnie przejmowała się swoim wyglądem.

W przeciwieństwie do Beatrice – dla niej to, co zewnętrzne, zawsze odgrywało dużą rolę. A dotyczyło także domu, sposobu ubierania i wychowania dzieci, co robi się w czasie wolnym i dokąd jeździ się na wakacje.

Jakie to szczęście, że w końcu znalazła mężczyznę, dla którego takie rzeczy były równie ważne.

Pirjo podniosła się z trawy.

– Może zejdziemy nad jezioro i obejrzymy domek, w którym nocowali goście?

Włożyła ostatni kęs kanapki do ust i zsunęła okulary z powrotem na nos.

– Jasne – powiedziałem, po czym wstałem mozolnie i ruszyłem w kierunku jeziora, czując ulgę i jednocześnie lekkie rozczarowanie, że atmosfera chwilowej bliskości zniknęła.

Pirjo szła kilka metrów za mną, brodząc przez wysoką trawę.

Kiedy zbliżyliśmy się do pastwiska, zatrzymałem się, utkwivszy wzrok w furtce elektrycznego ogrodzenia.

– Nigdy nie byłeś na farmie? – spytała Pirjo, odsuwając mnie na bok delikatnie, ale zdecydowanie.

To nie był żart, tylko jak najbardziej szczere pytanie.

– Tak naprawdę nie.

– Trzeba chwycić za plastikowy zaczep. O tak.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła ją w kierunku elektrozaczepu. Na swojej skórze poczułem ciepło jej dłoni, a w nosie zapach jej włosów.

– W przeciwnym razie kopnie mnie prąd?

Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, a we mnie coś, co przez długi czas, może nawet od lat, drzemało głęboko – coś w rodzaju mrowiącego oczekiwania – nagle się obudziło, choć myślałem, że nie jestem już zdolny doznać czegoś takiego.

Trwało to zaledwie moment. Gdy tylko wszedłem na pastwisko – zniknęło.

Domek stał tuż przy pomoście i składał się z dwóch części: sauny z prysznicem wychodzącej na wodę oraz czegoś w stylu magazynku od przeciwnej strony. Najpierw

zajrzeliśmy do sauny, która wyglądała jak każda inna, a następnie okrążyliśmy budynek i weszliśmy do drugiej części.

Dwa małe pokoiki łączył ciasny korytarz. W obu stały piętrowe łóżka, a wokół nich walały się różnego rodzaju rupiecie: kartony, stare rowery, stojaki na choinki i sprzęty ogrodnicze.

– To pokój Tuss – stwierdziła Pirjo, wskazując na czerwony stanik i damską torebkę leżące na dolnym pościeliu.

Zajrzałem do drugiego, w zasadzie identycznego pomieszczenia. Na podłodze obok łóżka zobaczyłem sportową torbę i szklanę z wodą. Paczka tytoniu fajkowego i portfel leżały na kartonie przewodzkowym pod oknem.

– Jak myślisz? – zacząłem. – Czy ktoś z nich mógł wymknąć się stąd w nocy i przez nikogo niezauważony dostać się do domku?

Pirjo rozejrzała się dookoła, ostrożnie pociągnęła za drzwi oddzielające pokój od korytarza. Kurz opadł z framugi, a jego strzępy wirowały w smudze słońca, które świeciło przez szybę.

– Wymknąć się stąd mógł jak najbardziej, pytanie tylko, jak dostał się do domku, tak żeby nikt go nie zobaczył.

Wyszliśmy, zamknęliśmy za sobą drzwi i ruszyliśmy z powrotem w kierunku dużego domu.

– A może ktoś mógł wejść przez okno? – zasugerowałem, patrząc na czerwony domek zajmowany przez bliźniaków. – Okna są tak nisko, że w zasadzie to żaden problem wdrapać się przez nie.

– Tyle że kiedy znaleziono Bonnie, wszystkie były zamknięte od wewnątrz.

– Bliźniacy? Mogli kogoś wpuścić?

Pirjo westchnęła.

– Wiem, do czego zmierzasz – powiedziała cicho. – Ja też wolałabym wierzyć, że to ktoś inny, a nie siedemnastolatek odebrał życie Bonnie Höberg.

Nie odpowiedziałem. Może nawet trochę się zawstydzilem, bo nagle wydało mi się ważne, co Pirjo o mnie myśli.

– Tak czy owak – kontynuowała, zatrzymując się przed werandą i podnosząc wzrok na okna na piętrze – zaraz będziemy mieli okazję o wszystko ich spytać.

– Nic – powiedział David Andersen. – Na pomoście nie robiliśmy nic specjalnego.

Ani trochę nie wyglądał na mordercę: chudy i blady, czerwone od płaczu oczy, zmierzwiłone włosy. Bez przerwy drapał się po ramieniu w miejscu, gdzie ukąsił go komar, pocierał i pocierał, aż w końcu skóra zrobiła się czerwona od krwi sączącej się między jego smukłymi palcami. Ale mimo jego wyraźnej nerwowości i smutku odniosłem wrażenie, że nie brakuje mu też pewności siebie, na nasze pytania

odpowiadał bowiem szybko, wyrażał się swobodnie, nie mając kłopotu ze sformułowaniem tego, co chciał przekazać.

– Jeden ze świadków twierdzi, że się tam pokłóciliście – rzekła Pirjo.

David nieco się wyprostował.

– Jeden ze świadków. Ma pani na myśli któregoś z gości?

Jej twarz pozostała obojętna.

– Mam na myśli kogoś, kto widział was na pomoście i uważa, że wyglądaliście tak, jakbyście się kłócili.

– Nie kłóciliśmy się.

– To co robiliście?

David wzruszył ramionami.

– Gadaliśmy. I mieliśmy iść do sauny, ale Harry zapomniał włączyć agregat, no i gównem z tego wyszło.

– Bonnie najwyraźniej kąpała się w ubraniu – kontynuowała Pirjo, przewracając kartki w notesie.

Gdy tylko wymieniła imię Bonnie, David wzdrygnął się, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

– Jej mokre rzeczy znaleziono w łazience w małym domku – dodała.

David opuścił ramiona, spojrzał na swoje dłonie.

– Jak znalazła się w wodzie? – spytała Pirjo głosem tak delikatnym jak letni deszczyk.

Nie znałem nikogo innego, kto potrafiłby poruszać tak poważne tematy, zadawać tak naładowane napięciem pytania, wygłaszać tak śmiało twierdzenia, zachowując tak łagodny ton. To było sprzeczne.

I atrakcyjne.

David wzruszył ramionami i spojrzał na nas ze smutkiem.

– Nie wiem. Po prostu wskoczyła.

– W ubraniu? – rzuciłem.

– Nie zna pan Bonnie. – Chłopak pokręcił powoli głową. – Ona była kompletnie szalona.

– Okej – powiedziałem. – Chciałbym wrócić do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Czy jesteś pewny, że nikt poza tobą, Harrym i Bonnie nie był tamtej nocy w waszym domku?

Przyglądałem mu się uważnie. Część mnie liczyła na to, że powie „Nie, nie jestem pewny, każdy mógł się dostać w nocy do środka”, otwierając tym samym możliwość, że ktoś inny, nieznamy, zabił Bonnie.

Ale nie zrobił tego.

– Przecież spałem. To skąd miałbym wiedzieć? Ale zanim położyliśmy się spać, zamknąłem drzwi od wewnątrz. I na pewno nikogo nie wpuściłem.

– A klucz? – spytała Pirjo.

– Był w drzwiach. Już mówiłem.

Wyglądał na zmęczonego. Masował sobie skronie kciukiem i środkowym palcem jednej ręki.

– Koszula, którą nosiłeś wczoraj... – zacząłem.

– Przed pójściem spać powiesiłem ją w łazience. Zawsze wiem tam swoje rzeczy. Może pan spytać Harry’ego.

– To dlaczego nie było jej tam dziś rano?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, to faktycznie idiotyczne.

Chociaż Harry Andersen to bliźniaczy brat Davida, różnili się pod każdym względem – zarówno wyglądem, jak i sposobem bycia.

Harry był wyższy i zdecydowanie ciemniejszy od brata. W przeciwieństwie do niego sprawiał wrażenie niepewnego i onieśmiałego – podczas całego przesłuchania siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, a na nasze pytania z trudem zdołał wykrztusić po parę słów. Ale to, co od niego usłyszeliśmy, w stu procentach potwierdzało wersję Davida: przyszli do domku i położyli się zaraz po trzeciej, zamknęli drzwi od wewnątrz i spali, dopóki Lykke nie zapukała do nich rano.

– Harry – zwróciłem się do niego. – Czy pokłóciliście się na pomoście? Ty i David?

Pokręcił głową.

– Dlaczego mielibyśmy się pokłócić?

– Jak to się stało, że Bonnie kąpała się w ubraniu? – spytała Pirjo.

– Może poślizgnęła się na p...p...pomoście – odpowiedział, nie odrywając wzroku od wytartych desek podłogi.

Pirjo rzuciła mi szybkie spojrzenie, a ja dostrzegłem w jej twarzy cień przygnębienia – być może już wtedy, w tym słonecznym pokoiku na piętrze, oboje zdaliśmy sobie sprawę, że nie będzie to takie proste, jak nam się wydawało.

Wróciłem do domu około siódmej wieczorem.

W przedpokoju pod ścianą stały złożone puste kartony przewodzkowe. Obok drzwi: kuchenne krzesło, które zastępowało mi stołek zabrany przez Beatrice, kiedy się wyprowadziła. Gdy otworzyłem szafę, okazała się niemal pusta – jedynie kaszmirowy płaszcz i kilka lnianych marynarek wisiało na wieszakach obciążniętych skórą. W ciasnym pomieszczeniu wyczułem słodkawy zapach jej perfum.

Przeszedłem do dużego pokoju, moje kroki odbijały się echem. Wieczne słońce sączyło się przez ładne, oprawne w ołów szyby i lśniło na parkiecie jak płynne złoto.

Ruch dostrzeżony kątem oka sprawił, że niemal podskoczyłem. Alba siedziała po turecku w samotnym fotelu pośrodku pokoju.

– Jezu, Albo! Cholernie mnie przestraszyłaś.

Nie kłamałem, od razu zaschło mi w ustach i serce waliło jak oszalałe. Lecz nie wynikało to jedynie z tego, że mnie zaskoczyła, tylko po prostu ponownie zauważyłem, jak bardzo jest podobna do Bonnie Högberg. Co z kolei mi uprzytomniło, że Bonnie – która jeszcze do wczoraj była całkiem zwyczajną siedemnastolatką, taką samą jak Alba – leży teraz w lodówce zakładu medycyny sądowej w Solnie.

Oczywiście nie mogłem tego powiedzieć mojej córce.

– Sorry, myślałam, że się ucieszysz – rzuciła i zerwała się z fotela.

Przytuliłem ją długo i mocno. Jej włosy pachniały czymś kwiatowym, jakby właśnie je umyła albo spryskała perfumami.

– Aj – jęknęła i wywinęła się z moich ramion. – Brakuje ci przytulaniek czy co?

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu – miała tylko siedemnaście lat, ale czasami potrafiła powiedzieć coś takiego, że od razu wydawała się dużo starsza. Była niesamowicie przenikliwa, czasami wręcz cyniczna. Jej komentarze zawsze trafiały w sedno, piekają trafne, niczym smagnięcie biczem. I jak uderzenie bicia pozostawiały ślady – dokuczliwe poczucie, że dostrzega we mnie coś, czego nawet ja sam nie byłem świadom.

Na przykład coś mało chlubnego.

Musiała to odziedziczyć po swojej matce, pomyślałem.

Popatrzyła na jasne prostokąty po obrazach Beatrice widoczne na ścianie. Potem podeszła do okna, spojrzała na oklapniętego fikusa benjamina i wetknęła palec w suchą ziemię.

– Mogę ci pomóc – powiedziała.

– W czym?

– W tym, żeby zrobiło się tu trochę przytulniej. Bo na razie wygląda tak, jakby nikt tutaj nie mieszkał.

– Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. A tak przy okazji, jadłaś coś?

Rzuciła mi szybkie spojrzenie i zgarnawszy długie brązowe włosy na jedno ramię, splotła je w lśniący warkocz.

– Nie mogę. Obiecałam mamie, że zjem w domu.

Pauza.

– To znaczy u mamy – poprawiła się. – Przyszłam tylko po swój kask do jazdy konnej.

– Co u Alexandra i Stelli?

Wzruszyła ramionami.

– W porządku. Chyba.

– A jak mama? – spytałem niby od niechcienia, ponieważ wciąż nie mogłem się powstrzymać od grzebania w tej ropiejącej ranie.

Spojrzała na mnie, z pewnością świetnie wiedząc, do czego zmierzam.

– Dobrze.

– A ten Hasse, czy jak mu tam, miły jest?

Popatrzyła za okno.

– Raczej tak. Ale w końcu to nie ja się z nim spotykam.

Zaległa cisza.

– Muszę się zbierać – rzekła po chwili, podniosła swój kask z podłogi i ruszyła w stronę przedpokoju.

Moja dziewczynka, pomyślałem, wiodąc wzrokiem za chudą postacią w wytartych dżinsach. Moja mała dziewczynka, która zrobiła się taka duża.

Tyle chciałbym jej powiedzieć – o sobie i o Beatrice oczywiście. Nasze małżeństwo było katastrofą, nasz rozwód – teatrem wojny, dlatego czasami mnie kusiło, by przedstawić dzieciom swój obraz przebiegu zdarzeń.

Ale chciałbym powiedzieć jej także o życiu, o wdzięczności, jaka mnie przepełnia, gdy na nią patrzę – jak stoi w wieczornym słońcu silna i pełna energii. I chciałbym przyznać jej rację, że tak, jestem spragniony fizycznego kontaktu, nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mnie dotknął, niemal do bólu tęsknię za tym, żeby pogłaskać czyjąś skórę.

Jednak to nie takiej zażyłości szuka u ojca córka.

– Widzimy się w weekend – przypomniałem.

Tej nocy sen długo nie chciał przyjść, zakradł się za to dokuczliwy niepokój i zagnieździł gdzieś w okolicy serca, przygniatając mi pierś jak ciężki kamień. A gdy tylko zamknąłem oczy, od razu widziałem znów Arona – tym razem jednak obraz był bardzo niewyraźny, kontury zamglone. Zrobiło mi się wstyd, że nie potrafię już siłą woli przywołać jego twarzy, że nie myślę o nim częściej i że nie mam naszego wspólnego zdjęcia na ścianie ani w portfelu.

Miałem brata bliźniaka.

Zasmucone oczy Pirjo, kiedy jej to powiedziałem, dłoń z kanapką zatrzymana w połowie ruchu.

Dlaczego nigdy o nim nie mówiłem? Wspomnienia i rozmowy na ich temat to przecież jedyne, co jeszcze pozostało. To mój pieprzony obowiązek, żeby zachować pamięć o nim, a nie zdołałem sprostać temu tak zwykłemu zadaniu.

Oczywiście Beatrice, a także dzieci wiedziały, że mój brat umarł. Nie przypominam sobie jednak, żebyśmy choć raz uczciwie o nim porozmawiali, abym kiedykolwiek opisał bezmiar doświadczonej tragedii, którą tak naprawdę oznacza utrata rodzeństwa.

Aron i ja dorastaliśmy na Östermalmie, w samym sercu sztokholmskiej dzielnicy zamożnego mieszczaństwa. Pamiętam nasze dzieciństwo jako beztroskie, wręcz idylliczne. Byliśmy jednojajowymi bliźniakami, niemal nie do odróżnienia nawet dla własnych rodziców i przyjaciół. Łącząca nas więź była nie tylko bliska, ale wręcz symbiotyczna – chodziliśmy do jednej klasy, mieliśmy tych samych kolegów i prawie nigdy nie robiliśmy niczego oddzielnie.

Lecz kiedy skończyliśmy dwanaście lat, Aron przestał jeść, mówił, że nie jest w stanie przełykać. Mama i tata biegali z nim po różnych lekarzach, a wszyscy twierdzili, że fizycznie nic mu nie dolega i że prawdopodobnie problem ma źródło w psychice.

Nastąpiły tygodnie terapii psychologicznej – zawsze towarzyszyłem mu w tych wizytach, nie chciałem zostawać w domu, a kiedy jednak terapeuta pragnął rozmawiać tylko z nim, cierpliwie czekałem na zewnątrz ze wzrokiem utkwionym w białych drzwiach.

Mijały tygodnie, a Aron wcale nie czuł się lepiej. Zamiast tego chudł coraz bardziej, podczas gdy ja robiłem się grubszy i grubszy.

Przypuszczam, że jadłem za dwóch.

W końcu był już tak chudy, że żebra sterczały mu pod mocno napiętą skórą na klatce piersiowej jak śledzie do namiotu. Nie miał siły na nic, większość czasu spędzał w łóżku. Napoje pił przez słomkę, aż w końcu i to stało się niemożliwe.

Dopiero wtedy rodzice wzięli go do szpitala. Już nigdy z niego nie wrócił. Okazało się, że miał złośliwego guza na tarczycy, który zaatakował też przełyk. Zmarł po dwóch miesiącach.

Pomyślałem o bliźniakach znad jeziora – o chuchrowatym, ale jednocześnie dziwnie pewnym siebie Davidzie, a także o Harrym o płochliwym spojrzeniu, jękającym się i nerwowo zaciskającym pięści.

Czy rodzina Andersenów również straci dziecko, wprawdzie nie z powodu śmierci, ale z powodu czegoś niemal równie strasznego?

O baj chłopcy twierdzą, że drzwi i okna były pozamykane od wewnątrz – powiedziała Pirjo. – A technicy nie widzą żadnych śladów włamania.

Siedzieliśmy w salce konferencyjnej komendy. Za niedużym oknem majaczyły wierzchołki drzew parku Kronoberg. Kołysały się w porywistym wietrze, przez chwilę wywołując we mnie wrażenie, że znajduję się na pokładzie statku płynącego po zielonym i dzikim morzu.

Obok siedziała Pirjo. Naprzeciwko – nasz szef Sture Grundin i prokuratorka Susanne Bauer. Z boku zajęła miejsce Nathalie Skog, którą poznaliśmy na miejscu przestępstwa i która koordynowała teraz udział policji z Gnesta w śledztwie.

– Niech to szlag – wymamrotał Sture, przenosząc spojrzenie swych wyblakłych niebieskich oczu za okno. – Niby jeszcze mają mleko pod nosem, a jednak któryś z nich musiał zabić tę dziewczynę.

Przeciągnął dłonią po niemal łysej czaszce, jakby chciał się upewnić, czy kilka kosmyków, które jeszcze na niej rosło, przypadkiem nie zniknęło. Następnie wykrzywił się z niesmakiem i ze stojącej na stole paczki z ciastkami wygrzebał „malinową grotę”.

Sture był weteranem na naszej komendzie. Pracował w policji, kiedy ja jeszcze chodziłem do przedszkola. Zostało mu już tylko parę miesięcy do emerytury, co według mnie czasami dawało się zauważyć. Energia i zapał, jakimi emanował, gdy poznałem go dziesięć lat wcześniej, ustąpiły swego rodzaju obojętności, jakby te ostatnie tygodnie oznaczały tylko niezbędną do pokonania odcinek na drodze prowadzącej go do wytęsknionego siedliska w Bergslagen, do czekającego na niego koła łowieckiego oraz do syna i wnuków w Ludvika. Jednak czego jak czego, ale doświadczenia i dociekliwości nie można było mu odmówić.

– A obszcymury oczywiście już zwęszyły trop – ciągnął, ważąc w ręce ciastko. – Przez całe przedpołudnie nie mogłem się opędzić od telefonów. Ten Gabriel Andersen to najwyraźniej prawdziwy celebryta z pierwszych stron gazet. Nie żebym kiedykolwiek o nim słyszał, ale...

Zamilkł i wnikliwie przyjrzał się nam wszystkim po kolei. Jego oczy zmieniły się w wąskie szparki.

– Czy ktoś z was czytał jego książki?

Pokręciłem głową, Nathalie również.

- Ja czytałam – odezwała się Pirjo.
- Ja też – przyznała Susanne i zachichotała.

Nie wierzyłem własnym oczom – Susanne Bauer, prokuratorka i jedna z najbardziej nienagannie zachowujących się osób, jakie znałem – chichotała. Przyjrzałem się jej uważniej. Może mi się tylko zdawało, ale wyglądało na to, że ona naprawdę miała rumieńce na policzkach jak zawstydzona uczennica.

- No proszę, proszę – mruknął Sture. – I co? To dobry pisarz?

Susanne położyła dłoń na piersi i uśmiechnęła się szeroko.

- Owszem – potwierdziła krótko, ale zabrzmiało to tak, jakby przyznała się do czegoś wstydliwego.

- Jego książki są fantastyczne – uzupełniła Pirjo. – Od powieści o Helene i Siv nie mogłam się wprost oderwać. Czytałam dzień i noc przez dwa tygodnie.

- Dokładnie – poparła ją Susanne. – *Prawda jest czerwona* to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek czytałam. Słowo daję, czułam się tak, jakby historia Siv mówiła o mnie, chociaż jesteśmy zupełnie różne.

Zapadła cisza.

Spojrzałem na Pirjo.

Skóra na jej dość skromnym dekolcie była blada i lekko piegowata. Wyglądała na niezwykle delikatną i ciepłą. Na szyi obok obojczyka pulsowała cienka żyła.

Zmarszczywszy czoło, spojrzała na mnie badawczo.

- No co? – spytała.

- Nic. Ja...

Zamilkłem.

- No proszę, proszę – powiedział Sture ponownie i w zadumie pokiwał głową, jakby właśnie potwierdziły się jego podejrzenia. –Może jednak skupilibyśmy się na zabójstwie Bonnie Högberg.

Susanne Bauer zerknęła na Pirjo. Szybki porozumiewawczy uśmiech i wymowne chrząknięcie, po czym powróciła poprawna pani prokurator, a rumieniąca się amatorka powieści zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Czy pani i pani koledzy uzyskaliście jakieś istotne informacje? – zwróciła się rzeczowo do Nathalie.

Zagadnięta policjantka postawiła plastikowy kubek z kawą na stole i przeczesawszy dłonią przetykane siwizną krótkie włosy przypominające moją szczotkę do zamiatania, zajrzała do swoich notatek.

- Powiadomiliśmy rodziców Bonnie Högberg, ale jeszcze ich nie przesłuchaliśmy – powiedziała. – Byli zbyt... zbyt wstrząśnięci.

- Pirjo i ja spotkamy się z nimi jutro – wtrąciłem.

– Rozmawialiśmy z wieloma z najbliższych koleżanek i kolegów Bonnie – kontynuowała Nathalie. – Wyślę wam protokoły mejlem. Nic specjalnego z nich nie wynika. Dziewczyna była lubiana, wysportowana, trochę taka chłopczyca. Całkiem nieźle radziła sobie w szkole. Ale nikt nie znał jej szczególnie dobrze, bo najwyraźniej większość czasu spędzała z Andersenami. Nie miała wrogów. O ile im wiadomo, nie brała narkotyków. Innymi słowy, zupełnie zwyczajna nastolatka. Oprócz tego...

Nathalie poprawiła sobie bluzę munduru, która ciasno opinała jej biust.

– ...rozmawialiśmy z sąsiadami – ciągnęła dalej. – Najbliżej mieszka starsze małżeństwo, Nyströmowie. Ich działka leży jakieś kilkaset metrów od Wieczności. To do nich należą konie, które pasą się na ziemi Andersenów. Nie zauważyli nic szczególnego poprzedniego wieczoru, oprócz głośnej muzyki i ogólnego zgiełku.

Znów przerwała i lekko przekrzywiła głowę.

– Według nich Andersenowie są trochę dziwni.

– Jak to: dziwni? – zapytała Pirjo.

– Nyströmowie mieszkają tam od zawsze. Mówią, że Andersenowie wciąż urządzają imprezy, robią dużo hałasu. Miewają podejrzanych gości, oni nazywają ich hippisami. I podobno któregoś razu ktoś z przyjaciół Andersenów jeździł na oklep na jednym z koni Nyströmów całkiem nago po okolicy.

Sture wykrzywił usta, ale nie w uśmiechu, tylko raczej w grymasie.

– No i sprawa odśnieżania.

– Odśnieżania?

Susanne Bauer wyglądała na zdezorientowaną.

– Tak, rzekomo zimą Andersenowie nie odśnieżają wspólnej drogi, a poprzedni właściciele Wieczności to robili.

– A to ci dopiero! – parsknął Sture.

– Może wam wydaje się to śmieszne – odparła sucho Nathalie, krzyżując ręce na piersi – ale na wsi takie rzeczy są ważne. Ich zdaniem Andersenowie nie zachowują się tak, jak powinni, a prawdopodobnie wynika to z tego, że sprowadzili się tam z miasta.

– Przecież mieszkają tam już od osiemnastu lat – zaprotestował Sture.

Pirjo tylko się uśmiechnęła.

– Jeszcze coś? – spytał Sture.

Nathalie pokręciła głową.

– Rozmawiałam z paroma znajomymi Andersenów – zaczęła teraz Pirjo. – Głównie z pracownikami wydawnictwa i pisarzami. Jeśli im wierzyć, cała ta rodzina to niemal sami święci. Rzekomo Gabriel... – zerknęła do swoich notatek, wydeła nieco usta i po chwili kontynuowała: – ...jest wyjątkowo błyskotliwy, empatyczny i ponadprzeciętnie

poważny. Lykke to ciepła i pracowita kobieta, fantastyczna w roli matki. A bliźniacy są uczynni, zdolni i towarzyscy.

– Jakbyśmy mówili o zupełnie innej rodzinie – prychnął Sture.

– Czyli nic nowego – zauważyłem.

– Tak – powiedziała z ociąganiem Pirjo. – Ale opinie na temat Andersenów są bardziej spolaryzowane niż zwykle.

– Opinie są jak cztery litery – westchnął Sture. – Nie chodzi mi o to, że każdy je ma, tylko że ich wartość dowodowa jest prawie żadna. Bliźniacy wydają się najbardziej prawdopodobnymi sprawcami. Albo właściwie jeden z nich.

– No dobrze, spróbujmy więc podsumować – zaczęła Susanne. – Czy chcecie powiedzieć, że to na pewno jeden z synów zabił Bonnie Högberg?

– No cóż – odezwała się Pirjo. – Ja, to znaczy my po prostu nie rozumiemy, jak ktoś inny mógłby dostać się do domku.

Prokuratorka zajrzała do swoich notatek.

– A co z pozostałym towarzystwem?

– Lykke i Gabriel Andersenowie spali w głównym budynku – wtrąciłem. – Położyli się mniej więcej jednocześnie i twierdzą, że nie wychodzili w nocy. Troje gości spało w domku nad jeziorem, oni też nie wychodzili. Tak przynajmniej twierdzą, ale wszyscy byli nieźle wstawieni, dlatego nie możemy wykluczyć, że słyszeli, a nawet widzieli, jak ktoś opuszczał domek w nocy.

Susanne pokiwała głową, zapisała coś w notesie i opaloną dłonią poprawiła sobie granatową marynarkę. Na jej palcu błysnął diament w pierścionku ślubnym.

Ponownie zwróciła się do Pirjo:

– A może chłopcy wpuścili kogoś do środka. Całkiem obcą osobę, kogoś, kto nie był na kolacji albo...

– Mówią, że tego nie zrobili – przerwał jej Sture.

– Naprawdę bierzemy pod uwagę, że w grę mogłaby wchodzić inna osoba? – wtrąciłem. – Z którą oni, albo któryś z nich, byli w zмовie?

– To cholernie naciągane – mruknął Sture, po czym odgryzł kawałek ciastka i zapatrzył się tęsknie w okno.

Lecz Susanne nie dawała tak łatwo za wygraną.

– Chodzi mi tylko o to, że niekoniecznie trzeba ufać zeznaniom chłopaków. Są podejrzani o ciężką zbrodnię, skąd więc pewność, że nie kłamią?

– Oczywiście tego nie wiemy – przyznała Pirjo. – Ale gdyby kłamali, gdyby rzeczywiście chcieli skierować podejrzenia w inną stronę, powinni powiedzieć, że drzwi były niezamknięte albo że jedno z okien było uchylone. Tymczasem oni wciąż

podtrzymują, że znajdowali się w domku sami i że był on zamknięty, co przecież tylko pogarsza ich sytuację.

– Może sama Bonnie kogoś wpuściła? – Głos Sturego brzmiał obojętnie.

– A może przestępca wszedł przez okno w jej pokoju? – zasugerowała Susanne.

– Kiedy ją znaleziono, okno było zamknięte na zasuwkę – zauważyła Pirjo.

– Mógł je zamknąć po wszystkim i wyjść drzwiami – kontynuowała prokuratorka.

– Były zamknięte od środka – przypomniałem.

– Załóżmy, że jeden z chłopców obudził się w nocy i kiedy odkrył, że drzwi są otwarte, przekręcił klucz w zamku – powiedziała prokuratorka. – Przecież byli pijani, mogą nie pamiętać. Albo może któryś z nich lunatykuje.

– Na litość boską, dajcie spokój – rzucił Sture.

– Nie jest to niemożliwe – odezwała się spokojnie Pirjo. – Ale bardzo mało prawdopodobne.

Susanne oparła się na krześle i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Okej – wtrąciła. – W takim razie jeśli chłopcy przez całą noc pozostawali w domku sami z ofiarą, trzeba poszukać odpowiedzi na pytanie, który z nich jest sprawcą. Bo chyba nie sądzimy, że popełnili to przestępstwo wspólnie?

Pirjo odgarnęła swoje loki pudła z czoła i nachyliła się nad stołem.

– Właśnie dostaliśmy nowe ekspertyzy od techników – rzekła z ociąganiem.

Sture wykonał niecierpliwy gest ręką, ona zaś popatrzyła na wydruki leżące przed nią na blacie, po czym zaczęła przerzucać kartki.

– Mam – powiedziała. – Poczekajcie.

Zmarszczka między jej brwiami pogłębiała się, w miarę jak śledziła kolejne akapity tekstu na stronie.

– David Andersen nie mógł znaleźć koszuli, którą miał na sobie przez cały wieczór. Twierdził, że przed pójściem spać powiesił ją w łazience. Ale technicy nie natrafili na nią podczas przeszukiwania domku.

– Przejdź do rzeczy – ponaglił ją niecierpliwie Sture.

Pirjo zdawała się nie zauważać jego irytacji albo po prostu się nią nie przejmowała. Niewiele mogło wyprowadzić ją z równowagi – była niczym skalista wyspa na otwartym morzu – bez względu na to, ile wielkich promów na nią trąbiło, ona ani drgnęła.

– Potem znaleźli ją zwiniętą w kłębek w szafie w pokoju Davida – kontynuowała. – Czyli tam, gdzie leżała Bonnie. Uważają, że sprawca mógł wepchnąć koszulę do ust ofierze, żeby ją uciszyć, co z kolei mogło spowodować, że dziewczyna się udusiła. W jej ustach zabezpieczono wiele włókien, które wydają się pasować. Ale technicy nie

skończyli jeszcze analizy, toteż nie wiadomo, czy rzeczywiście pochodzą ze wspomnianej koszuli. Ponadto...

Pirjo uniosła jeden palec i dodała:

– Sekcja zwłok jeszcze się nie skończyła. Na razie nie wiadomo, czy przyczyną śmierci było uduszenie.

Susanne odłożyła długopis na swój notes.

– Okej, okej. Poczekajmy zatem na ostateczne raporty od patologa i techników. Jeśli uda się potwierdzić, że koszula, którą nosił David Andersen, została użyta do uduszenia Bonnie Högberg, będziemy mieć prawdopodobną przyczynę.

Pirjo zajechała przed ceglany budynek i zaparkowała w cieniu dużego drzewa.

Gdy wysiadłem z samochodu, poczułem zapach rozgrzanego asfaltu i śmieci gnijących w oddalonym o kilka metrów koszu. Był to jeden z tych ostatnich gorących dni późnego lata, które samym swoim istnieniem przypominają, że niedługo nadejdzie jesień. Podobnie jest z życiem, pomyślałem w przystępie melancholii. Najpiękniejsze chwile – śluby, chrzty, zakończenia roku szkolnego – nieuchronnie wywołują poczucie straty, ponieważ z czasem się uczymy, że szczęście jest bardzo ulotne.

Spojrzałem na budynek. Na fasadzie widniał duży napis złożony matowymi złotymi literami: Zakład Medycyny Sądowej.

Pirjo westchnęła.

– Nie znoszę obdukcji – rzuciła, mimo to zdecydowanym krokiem ruszyła ku wejściu.

– Jest już po obdukcji – powiedziałem za jej plecami. – Przyjechaliśmy tylko porozmawiać z Samirą.

Samira Khan, współpracująca z nami patolożka, znalazła się na miejscu zbrodni jeszcze przed naszym przyjazdem.

– Tak czy inaczej, nie znoszę ich. Bo unaoczniają, że na wszystko jest już za późno.

Przytrzymała mi otwarte drzwi.

– Za późno dla niej. To prawda. Ale może nie dla kogoś innego – zauważyłem.

Nie odpowiedziała.

W budynku było chłodno i pachniało środkami czystości. Kobieta w niebieskim kombinezonie mechanicznie niczym zombie myła podłogę w korytarzu, w ogóle nie zwracając na nas uwagi.

Po kilku minutach czekania w recepcji przysłała po nas Samira.

– Witajcie – powiedziała z uśmiechem, podając nam po kolei rękę.

Chociaż była bardzo drobna, miała wyjątkowo mocny uścisk dłoni. Nierzadko zastanawiałem się, czy nie próbowała nim zrekompensować swojej kruchej powierzchowności. Na zielonym kitlu chirurgicznym jak zwykle spoczywał gruby, ciasno spleciony warkocz. Spod wyraźnie zarysowanych brwi Samira mierzyła wszystko dookoła spokojnym i czujnym spojrzeniem.

– Może przejdźmy do prosektorium, powiem wam na miejscu, do jakich doszłam wniosków – zaproponowała.

Ruszyliśmy za nią w głąb budynku. W dużej sali, w której się niebawem znaleźliśmy, dominowały nierdzewna stal i białe kafelki. Jaskrawe sztuczne światło odbijało się w lśniących powierzchniach.

Bonnie leżała na plecach na jednym z metalowych stołów pośrodku pomieszczenia. Wzdłuż boku na białej skórze widoczne były sine przebarwienia. Nacięcie w kształcie litery Y na brzuchu i klatce piersiowej zostało starannie zaszyte.

Pirjo zatrzymała spojrzenie na oknie i wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Samira, która chyba nie zauważyła jej reakcji, dała nam znak, aby podejść bliżej.

– No dobrze – powiedziała, wciągając lateksowe rękawiczki i sięgając po notes. – Zaczniemy może od określenia godziny, kiedy nastąpiła śmierć. Dziś rano, kiedy się widzieliśmy, mówiłam chyba, że doszło do niej między trzecią a piątą, i to podtrzymuję. A jeśli chodzi o przyczynę... – Przerwała i przekrzywiwszy nieco głowę, spojrzała najpierw na Bonnie, po czym kontynuowała: – Nie da się tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ale wszystko wskazuje na uduszenie. Jak może pamiętacie, zwróciłam wam wcześniej uwagę na drobne wylewy w spojówkach oczu. Podobne były w sercu. Znalazłam także tak zwane plamki Tardieu, czyli drobne podopłuczne wybroczyny krwawe występujące pośmiertnie u osób zmarłych na skutek uduszenia. I kilka niemal niewidocznych sińców na szyi. Natomiast nie zauważyłam złamania rogów chrząstki tarczowatej krtani ani kości gnykowej, ale może to wynikać z faktu, że ofiara jest młoda. Tego rodzaju uszkodzenia występują najczęściej u osób powyżej czterdziestego roku życia.

– W takim razie jeśli zmarła z powodu uduszenia, to jak dokładnie to przebiegło? – zapytałem.

– Nie sposób tego określić. Prawdopodobnie wepchnięto jej do ust jakąś szmatę, może by ją uciszyć. To mogło się przyczynić do asfiksji, czyli niedoboru tlenu. Ale ponieważ na szyi ofiary znalazłam także sińce, sądzę, że sprawca mógł również ścisnąć jej krtani.

Spojrzałem na ciało.

Rysy Bonnie Högberg się rozmyły i w następnej sekundzie na metalowym stole obdukcyjnym pojawiła się twarz Alby. Serce podeszło mi do gardła, zerknąłem jeszcze raz i potem kolejny.

Znów leżała przede mną Bonnie. A Alba była zupełnie gdzie indziej, może siedziała w słońcu ze znajomymi, a może w stajni przygotowywała swojego ulubionego konia do jazdy.

Odetchnąłem głęboko.

– Brak śladów przemocy seksualnej – kontynuowała Samira. – Żadnych innych obrażeń, z wyjątkiem wielu rozdrapanych śladów po ukąszeniach komarów na górnej części ciała i... – chwyciła prawą dłoń ofiary i wskazała na skaleczenie po wewnętrznej stronie – powierzchowna, mniej więcej dwucentymetrowa rana. Była lekko zakrwawiona, ale ją umyłam. Jeśli przyjrzyście się uważnie, zobaczycie, że krawędzie są ostre i że nie ma uszkodzeń powierzchni skóry dookoła. Domyślam się, że to jakieś cięcie, ale raczej nie od noża, powierzchnia rany jest na to zbyt nierówna. I niestety trudno jednoznacznie stwierdzić, czy powstała w wyniku samoobrony, nie da się jednak tego wykluczyć, jeśli sprawca miał jakieś narzędzie.

Delikatnie położyła rękę z powrotem na stole, lekko pogłaskała wierzch dłoni jednym palcem. Potem stała przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w Bonnie, marszcząc czoło.

– Nie lubię, kiedy ofiary są takie młode – powiedziała.

Nieco ponad godzinę później byliśmy już w drodze do rodziców Bonnie Höberg. Za oknami samochodu przesuwał się bogaty zielony krajobraz: falujące pola przeplatane lasami i łąkami, na których pasły się krowy. Tu i ówdzie stały czerwone domy i stodoły, pozornie porzucane na chybił trafił.

Spojrzałem na Pirjo – jej twarz za dużymi okularami była gładka i pozbawiona wyrazu. Dłonie lekko spoczywały na kierownicy.

- To, kurczę, dużo gorsze niż wizyta w prosektorium – powiedziałem.
- Nie jestem pewna – bąknęła, wskazując na tablicę z napisem „Vagnhärad 14”.
- Tak, to tutaj – odpowiedziałem na pytanie, które nie padło.

Skręciliśmy w szutrową boczną drogę. Minęliśmy kolejne pola, potem zagajniki, które stopniowo przeszły w gęsty las. Po kilkuset metrach drzewa się przerzedziły i po prawej stronie zobaczyliśmy gospodarstwo.

Budynek mieszkalny to prosty, pomalowany na biało drewniany dom z zielonymi futrynami i okiennicami. Kawalek dalej stały dwie ogromne czerwone stodoły. Obok nich błyszczał metalowy silos.

Pirjo wjechała na podjazd, zatrzymała się i wysiadła z auta. Kiedy otworzyłem swoje drzwi, od razu poczułem charakterystyczny zapach krowiej gnojówki. Przyjrzałem się bliżej obejściu.

Obok domu leżał stos starych opon samochodowych. Za nim rdzewiały wysłużone maszyny rolnicze, wyglądały jak czerwonawobrazowe szkielety prehistorycznych zwierząt dawno temu wyrzucone na brzeg. Pośrodku trawnika stały dwa częściowo zdemontowane auta.

- Ja cię kręcę, ale to wygląda – bąknąłem.
- Pirjo znów obrzuciła mnie jednym ze swoich wymownych spojrzeń.
- Widzę, że wcześniej miałam rację: ty nigdy nie zbłądziłeś na prawdziwą wieś.
 - A ty?
 - Ja wyrosłam w takim miejscu – odparła i ruszyła do wejścia.

Lena Höberg wyglądała na czterdziestokilkulatkę. Była mocno zbudowana, a w długich do ramion farbowanych blond włosach mocno zaznaczały się ciemne odrosty na czubku głowy. Umięśnione ręce wystające spod krótkich rękawów tiszertu z logo Adidasa miały intensywny odcień, jakby kobieta niedawno się opalała.

Zaprosiła nas do kuchni.

– Usiądźcie. Pewnie napijecie się kawy?

Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie, toteż nie czekając na odpowiedź, odwróciła się do nas plecami i sięgnęła po filtry Melitta.

Usiedliśmy obok siebie przy dużym sosnowym stole. W odróżnieniu od obejścia w domu panował porządek. Szafki kuchenne lśniły czystością, w oknach wisiały zasłonki w kwiaty, na lodówce tkwiły przyklejone taśmą wycinki z gazet.

Pośrodku stołu obok zdjęcia Bonnie w ramce paliła się świeczka.

– Stefan zaraz przyjdzie – powiedziała Lena. – Musi tylko porozmawiać ze zmiennikiem.

Napełniła filtr kawą i włączyła ekspres. Następnie postawiła na podłodze miskę z psią karmą, po czym ciężkim krokiem podeszła do stołu i usiadła naprzeciwko nas.

– Musimy postarać się o dodatkową pomoc. To znaczy... Nie czujemy się najlepiej. Ale inwentarza to nie obchodzi. Mamy sto pięćdziesiąt krów mlecznych i pięćdziesiąt cieląt. Codziennie produkujemy ponad tysiąc litrów mleka. Takie gospodarstwo samo się nie oporządzi.

Na zewnątrz rozległy się kroki i szczekanie psa. Kilka sekund później otworzyły się drzwi wejściowe i do środka wszedł mężczyzna ubrany w zielony kombinezon i w bejsbolówce na głowie. Twarz miał spaloną słońcem i pokrytą cienką warstwą kurzu, był dosyć przysadzisty, ale zadziwiająco muskularny, jak kuc szetlandzki. Za nim wbiegł czarny labrador i nie zwracając na nas uwagi, rzucił się do miski.

Mężczyzna przedstawił się jako Stefan Högberg, ojciec Bonnie. Usiadł obok żony, zdjął czapkę z logo LRF i przeciągnął dłonią po rzadkich brązowych włosach.

– Proszę przyjąć wyrazy szczerego współczucia – powiedziała Pirjo, patrząc najpierw na Lenę, a potem na jej męża.

Kobieta pokiwała głową i utkwiała wzrok w blacie stołu.

– Nie sposób to zrozumieć – rzekła.

Stefan spojrział za okno, mrugając nerwowo. Oczy w ogorzałej twarzy były wyraźnie zaczerwienione.

– Chciałabym, żebyście wiedzieli, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ująć i postawić przed sądem tego, kto zabił Bonnie – ciągnęła Pirjo.

Lena znowu pokiwała głową.

Zapadło milczenie, słychać było jedynie bzyczenie muchy objadającej się o szybę, szum ekspresu i mlaskanie psa połykającego resztki jedzenia z taką żarliwością, że w końcu metalowa miska się przewróciła.

– Oczywiście chcemy wam pomóc – odezwał się gospodarz. – O ile jakoś możemy.

– Możecie – zapewniła Pirjo. – Chcielibyśmy zadać kilka pytań na temat Bonnie. Czy to możliwe?

– Jasne – odpowiedział Stefan.

Pirjo zerknęła do notesu.

– Andersenowie – zaczęła. – Jaka relacja łączyła Bonnie z bliźniakami?

– Są przyjaciółmi. *Byli* przyjaciółmi.

– Tylko przyjaciółmi? – spytałem.

Lena otworzyła szerzej oczy i lekko pokręciła głową.

– Co pan ma na myśli? – A sekundę później: – Aha, o *to* panu chodzi. Nie, nie, nic z tych rzeczy między nimi się nie działo. Bonnie nie ma chłopaka. O ile wiem, nigdy nie miała. Bardziej interesowały ją sport, muzyka i takie tam. Nasza Bonnie zawsze była trochę dzika. Kiedy inne dziewczynki przebierały się za księżniczki, ona biegała po dworze i bawiła się w lesie z... no właśnie, z Davidem i Harrym. Zawsze tylko ona i bliźniaki Andersenów.

– Czy słyszała pani o tym, żeby kiedyś z którymś z nich się pokłóciła? – spytała Pirjo.

– Pokłóciła?

Lena pokręciła głową i popatrzyła pytająco na męża, który obracał na palcu lewej ręki ślubną obrączkę. Złoto błyszczało matowo na jego brudnej skórze.

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzekł.

Lekki powiew sprawił, że płomień świecy zatrzepotał. Lena przeniosła wzrok na zdjęcie córki. Bonnie była na nim ubrana w letnią sukienkę i szeroko się uśmiechała, być może zrobiono je podczas zakończenia roku szkolnego. Ktoś obejmował ją ramieniem, ale fotografia była ucięta w taki sposób, że nie wiadomo, kto to mógł być.

– Ona... – zaczęła Lena. – To znaczy...

Jej twarz nagle się wykrzywiła, spalone na czerwono ręce zacisnęły się w konwulsyjnym uścisku na piersi i kobieta zaczęła głośno szlochać.

– Chcę się obudzić – chlipała. – Chcę się obudzić. Z tego. Koszmaru.

Stefan otoczył ją swoim silnym ramieniem. Pirjo wstała, wzięła serwetkę z kuchennej szafki i podała ją Lenie.

Ta wytarła nos, a potem zakryła sobie oczy, jakby chciała odciąć się od świata.

– A jak dobrze znacie resztę rodziny Andersenów?

Przez chwilę zalegała cisza.

– Niezbyt dobrze – odparł wreszcie Stefan. – Głównie znamy chłopców, przychodzili tu często. Są sympatyczni, zawsze ich lubiliśmy. Ale rodzice...

Nie dokończył zdania.

Lena położyła serwetkę na stole. Zgięła ją raz, potem jeszcze raz.

– W podstawówce chodziłam z Lykke Andersen do równoległej klasy – powiedziała, ocierając samotną łzę grzbietem dłoni. – Tylko wtedy nie nazywała się Andersen, ale Svensson. – Uśmiechnęła się krzywo. – Wiem, o co chcecie zapytać – rzekła. – Ale prawda jest taka, że ja nie pamiętam jej ze szkoły. Na starych szkolnych zdjęciach w albumie na pewno ją rozpoznam, nie przypominam sobie jednak, żebyśmy kiedykolwiek ze sobą rozmawiały, chodziły na te same potańcówki czy coś w tym rodzaju. Myślę, że ona była strasznie nieśmiała. Taka, co to ani jej nie widać, ani nie słychać.

Uśmiech zniknął.

– Nie to co dzisiaj – dodała.

– A jaka jest dzisiaj? – spytała Pirjo.

– Nie mamy z nimi żadnego kontaktu – rzucił szybko Stefan.

Lena spojrzała na niego i położyła mu rękę na ramieniu. Następnie zwróciła się do Pirjo:

– Oni nie szukają kontaktu z nikim z okolicy, no i dobrze. Z nami też nie. Pewnie wolą towarzystwo swoich artystycznych przyjaciół. I lepiej niech tak zostanie, bo wygląda na to, że tam u nich jest niezły młyn. Wciąż pełno dziwnych ludzi, którzy to przyjeżdżają, to wyjeżdżają. Ciągłe imprezy. I takie tam.

Pirjo kiwała głową i robiła notatki. Mucha w oknie przykleiła się do spiralnego lepu zwisającego z futryny i nadaremnie próbowała się uwolnić. Ekspres ucichł, ale o kawie już dawno wszyscy zapomnieli. A labrador zasnął na boku przy przewróconej misce. Od czasu do czasu poruszał łapami, jakby coś mu się śniło.

– Bonnie miała małe skaleczenie na prawej dłoni, kiedy została znaleziona – odezwała się Pirjo. – Czy tego wieczoru, gdy... gdy zmarła, czymś się zraniła?

– Nic o tym nie wiem – powiedziała Lena, a po jej policzku potoczyła się łza.

Znowu zapadło milczenie. Pirjo zerknęła na mnie przelotnie i zamknęła swój notes.

Stefan poruszył się niespokojnie na krześle.

– Jeśli nie macie więcej pytań... – zaczął. – Muszę iść do krowy, która ma się ocielić.

– Na razie to wszystko – rzekłem. – Tylko jeszcze jedno pytanie: czy przychodzi wam do głowy ktoś, kto mógłby chcieć skrzywdzić waszą córkę?

Stefan odchrząknął i najpierw spojrzał na swoją żonę, potem na Pirjo i wreszcie na mnie.

Zaległa cisza. Ostatecznie przerwała ją Lena.

– Nie rozumiecie – powiedziała, wymuszając na twarzy coś w rodzaju uśmiechu. – Bonnie lubili wszyscy. Wszyscy.

Siedziałem w fotelu w dużym pokoju i oglądałem w telewizji jakiś duński film, i to był ten wieczór, kiedy wreszcie znalazłem nazwę na określenie swojego stanu.

– Głód dotyku, cierpisz na głód dotyku – powiedziała kobieta na ekranie do mężczyzny w moim wieku.

Innymi słowy, stan – po raz pierwszy zdiagnozowany przez moją córkę w przyływie wnikliwości nieproporcjonalnie głębokiej do jej wieku jako *brak przytulank* – teraz został opatrzony właściwym mianem w duńskim kryminale telewizyjnym wątpliwej jakości.

Postawiłem kieliszek z winem na podłodze – Beatrice, wyprowadzając się, zabrała ławę, podobnie zresztą jak większość mebli z mieszkania. Jedyne pomieszczenia, które pozostały nietknięte, to pokoje dzieci, ponieważ aż do minionego lata co drugi tydzień mieszkały u mnie. Potem Beatrice zdecydowała, że lepiej, jeśli będą spędzać ze mną tylko co drugi weekend, bo przecież ja tak dużo pracuję.

Chcąc nie chcąc, musiałem jakoś odnaleźć się w sytuacji, przynajmniej na pewien czas. Stella i tak wyjeżdżała na całe lato do przyjaciółki z Francji, a Alexander miał pracować w restauracji w Båstad należącej do przyjaciela nowego faceta mojej eks.

Teraz jednak dzieci były już z powrotem w domu, to znaczy u Beatrice, i tęsknota za nimi nagle stała się nie do zniesienia.

Przyglądałem się filmowemu policjantowi o imieniu Preben, którego robota kompletnie nie przypominała mojej.

Głód dotyku, pomyślałem.

Czy istnieje lekarstwo na tę dolegliwość? Mam sobie sprawić psa albo może pójść na masaże? Co robią ludzie tak bardzo spragnieni bliskości, że jej brak staje się chorobą, niepohamowanym pragnieniem?

Pomyślałem o Bonnie Högberg i bliźniakach i natychmiast przeszył mnie dreszcz. Rzecz jasna oboje z Pirjo zdawali sobie sprawę, że jeden z nich mógł mieć obsesję na punkcie tej dziewczyny, chciał dotykać jej skóry i chciał posiadać jej ciało. Oraz że cała tragedia mogła rozpocząć się od niechcianego przez nią zbliżenia, które w końcu przerodziło się w przemoc.

To było nie tylko potencjalnie możliwe, ale wręcz najbardziej prawdopodobne.

Z drugiej strony większość z nas, *głodnych dotyku*, nie zabija ludzi wokół siebie, gdy tylko poczuje potrzebę bliskości. To nie tęsknota za nią skłania do zabijania. To coś

innego, coś mroczniejszego i znacznie trudniejszego do zrozumienia.

Czy na pewno?

Sięgnąłem po stojący na podłodze kieliszek, wstałem i zacząłem chodzić tam i z powrotem po pokoju, nie mając pojęcia, co pozwoli mi uspokoić myśli.

Wyszedłem na balkon, upiłem kolejny łyk wina i spojrzałem na szybko ciemniejące niebo. Potem wygrzebałem papierosy z okrągłego drewnianego stolika i zapaliłem jednego. Zapatrzyłem się w miedziane oczko żarzące się między moimi palcami.

Już nikt nie sarkał na moje popalanie po kątach, właściwie teraz nie zasługiwało nawet na takie określenie. Nie miałem nikogo, przed kim musiałbym ukrywać swój nałóg.

W kieszeni zawibrowała komórka, szybko sięgnąłem po nią wolną ręką.

To Pirjo.

– Przeszkadzam? – spytała, kiedy odebrałem.

Chciałem odpowiedzieć, że ona nigdy mi nie przeszkadza i że naprawdę się ucieszyłem, widząc jej imię na wyświetlaczu, ale nie zrobiłem tego, ponieważ głód dotyku wiąże się z pewnym wstydem. Siedzieć w domu i popijając wino, myśleć odrobinę za dużo o koleżance z pracy, która mogłaby być całkiem atrakcyjna, gdyby tylko zdjęła te swoje ohydne okulary, to jedno. Podobnie jak zatrzymanie wzroku na bladej skórze jej dekoltu, pod którą pulsuje krew.

Ale czymś zupełnie innym jest przyznanie się do tego.

– Nie, w porządku – powiedziałem.

– Odezwało się laboratorium.

Miała na myśli centralne laboratorium kryminalistyczne, w którym dokonywano analizy większości materiałów dowodowych dostarczanych przez policję.

– No i co? – spytałem.

– No i...

Chyba szukała czegoś w papierach. Po chwili odchrząknęła i dokończyła:

– Koszula znaleziona głęboko w szafie należała do Davida Andersena. A włókna zabezpieczone między zębami Bonnie Högberg pochodzą właśnie z niej. Na koszuli stwierdzono też obecność włosów zarówno Bonnie, jak i Davida.

Przypomniały mi się słowa prokuratoroki.

„Jeśli uda się potwierdzić, że koszuli, którą nosił David Andersen, użyto do uduszenia Bonnie Högberg, będziemy mieli prawdopodobną przyczynę”.

Zaciągnąłem się po raz ostatni, a następnie zdusiłem niedopałek w pustej doniczce stojącej obok stolika.

– Samira mówiła, że bezpośrednią przyczyną śmierci było przypuszczalnie uduszenie – powiedziałem.

- A teraz mamy podstawy, aby powiązać koszulę, którą miał na sobie David Andersen, z morderstwem. To powinno wystarczyć do zatrzymania czy nawet zamknięcia w areszcie. Zadzwoń do prokuratora?

David Andersen przyłożył inhalator do ust i zrobił głęboki wdech. Sekundę później zakaszłał – ochryple, skrzekliwie, jakby jego tchawica była wypełniona piaskiem.

– Chcesz trochę wody? – spytała Pirjo.

Chłopak pokręcił głową, wciąż wpatrzony w blat w stołu.

Wyglądał na wycieńczonego i załamane, chociaż był zatrzymany dopiero od kilku godzin. I zdecydowanie sprawiał wrażenie jeszcze młodszego.

Prokuratorka wydała decyzję o jego aresztowaniu dziś rano i wkrótce potem koledzy Nathalie udali się do Wieczności wykonać swoją powinność. Według ich relacji, kiedy przybyli na miejsce, leżał w łóżku swojej matki i czytał. Na stoliku obok stał kubek gorącej czekolady. Lykke Andersen zalała się łzami, a jej mąż zagroził, że odwoła się do rzecznika praw obywatelskich.

No cóż, jestem w stanie sobie wyobrazić, jak upiorne musiało to być doświadczenie.

Jednocześnie: chociaż David Andersen wciąż jest dzieckiem, przynajmniej w rozumieniu prawa, ma wystarczająco dużo lat, żeby zamordować.

Znajdowaliśmy się w jednym z licznych pokojów przesłuchań komendy policji. Pomieszczenie było nieduże, pozbawione okien, całe pomalowane na biało. Zimne światło świetlówek odbijało się w blacie stołu. Po jednej jego stronie siedzieliśmy ja i Pirjo, po przeciwnej – David i jego obrończyni Jessica Sund.

Jessica, znana w branży, należała do nowej generacji adwokatów: była nieustępliwa i zaciekała i nie cofała się przed angażowaniem mediów, aby zwrócić uwagę na prowadzoną przez nią sprawę oraz na interes jej klienta. Poza tym prowadziła bloga, na którym pisała o prawach osób podejrzanych o popełnienie przestępstwa, ale według mnie jego celem było raczej promowanie siebie i własnych usług.

– Kiedy będę mógł wrócić do domu? – spytał chłopak, spoglądając na swoją obrończynię.

Jessica rzuciła Pirjo szybkie spojrzenie, po czym odchyliła się do tyłu i skrzyżowawszy ręce na jedwabnej bluzce, popatrzyła na nas ponuro.

Wiedziałem, co niedługo nastąpi, może jeszcze nie w tej chwili, ale z pewnością niebawem. Adwokaci zwykle robili, co mogli, aby wykorzystać młody wiek swoich klientów jako argument za łagodniejszym traktowaniem zarówno w pokoju przesłuchań, jak i poza nim.

– Jak wspomniałam – zaczęła Pirjo – w ciągu trzech dni prokurator podejmie decyzję albo o zwolnieniu, albo o złożeniu do sądu wniosku o zastosowanie dopuszczalnego aresztu. A wtedy...

– Ale przecież ja nic nie zrobiłam – przerwał jej David, a jego głos przeszedł w łamliwy falset.

– Umówmy się tak – kontynuowała Pirjo, sięgając po długopis. – Mam do ciebie jeszcze kilka pytań. Kiedy skończymy, ty i twoja obrończyni będziecie mogli zostać tu jeszcze przez jakiś czas i ze szczegółami omówić, jak może wyglądać dalsze postępowanie. Zgoda?

– Ale wy nie możecie tak po prostu... Nie można tak po prostu... Mam tu zostać aż przez kilka dni?

– To potencjalnie możliwe, choć nie musi tak być – wyjaśniła Pirjo. – Wszystko zależy od prokuratora.

– Nie mogę zostać, jutro mam turniej szachowy.

W tym momencie nachyliłem się ponad stołem w jego stronę i utkwilem w nim wzrok. Być może byłem odrobinę zirytowany, być może miałem już trochę dość tych wszystkich smarkaczy udających, że nie mają zielonego pojęcia o tym, że każde działanie ma swoje konsekwencje. David Andersen w gruncie rzeczy nie był typem początkującego kryminalisty z przedmieść. Stanowił wręcz jego zaprzeczenie. Jednak przestępstwo, za które został zatrzymany, nie należało do drobnych.

– Nie będzie żadnego turnieju szachowego – oznajmiłem może nieco zbyt ostro. – Lepiej, żebyś się z tym pogodził.

David zamrugał nerwowo. Po policzku spłynęła mu samotna łza, po chwili kolejna.

Jessica Sund zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem, zacisnęła usta w ciekawą kreskę i otworzyła swoją torebkę. Wyjęła z niej paczkę chusteczek i podsunęła ją Davidowi, nie przestając się na mnie gapić.

– Davidzie – odezwała się Pirjo, przystępując do pytań. – Jak to się stało, że twoja koszula znalazła się w szafie w pokoju, w którym spała Bonnie?

David pokręcił głową.

– Nie wiem, już mówiłem. Powiesiłem ją w łazience.

Twarz Pirjo była obojętna.

– A czy tamtej nocy poszedłeś później do pokoju Bonnie?

– Nie. Po co... Przecież już raz to wszystko powiedziałem. Może Bonnie sama wzięła koszulę z łazienki. Była w niej po mnie.

– W jakim celu miałyby to zrobić? – spytałem.

– Żeby... nie wiem. Może dlatego, że jej rzeczy były przemoczone i zdjęła je w łazience. Może nie chciała spać nago.

Na twarzy Jessiki Sund pojawił się cień uśmiechu, tak delikatny, że niemal niezauważalny. Szybko zapisała coś w swoim notesie.

Nie byłem zaskoczony jej zachowaniem, z pewnością bowiem nie uszło jej uwadze, że David właśnie przedstawił całkiem rozsądne wyjaśnienie, w jaki sposób koszula mogła znaleźć się w posiadaniu Bonnie.

Chłopak natomiast, który chyba nie zdawał sobie sprawy, jak jego komentarz zmienił rozkład sił w pokoju, wyjął chusteczkę z paczki i głośno wyczyścił nos.

– Zapytaliście Harry’ego? – rzucił. – Może on wie.

– Nie możemy cię wtajemniczać, o czym rozmawialiśmy z twoim bratem – odpowiedziała spokojnie Pirjo. – Ale skoro już wspomniałeś o mokrym ubraniu Bonnie, jak to się właściwie stało, że ona znalazła się w wodzie?

Twarz Davida spochmurniała, zamknęła się.

– Nie wiem. Chyba niechcący wpadła. Albo chciała się wykąpać. Czasami robiła takie odjechane rzeczy.

*

Sture złożył zafoliowaną mapę i pomarańczową kamizelkę myśliwską, po czym wepchnął obie rzeczy do ortalionowej torby stojącej na podłodze.

– Inauguracja sezonu? – zainteresowała się Pirjo.

– Tak – potwierdził. Następnie wyprostował się z wysiłkiem i przepchnął torbę nogą. – Jak poszło z Davidem Andersenem? – zapytał, opadając na fotel za biurkiem.

– Wyciągnęliście z niego coś sensownego?

– Nic a nic – odpowiedziałem. – Zapiera się, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Bonnie.

– I ma nawet teorię, jak jego koszula mogła trafić do pokoju, w którym spała dziewczyna – uzupełniła Pirjo i przekazała jego wersję.

Sture słuchał w skupieniu.

– I co myślicie? To może być prawda?

– Nie da się wykluczyć – odparła Pirjo. – Ubranie Bonnie wisiało w łazience. Przemoczone do suchej nitki.

Sture westchnął ciężko i obrócił kompasem na biurku. Igła zadrżała, lecz uparcie wskazywała okno.

– Ale to nie znaczy, że on jest niewinny – zauważył.

– Ani że jest winny – dodała Pirjo.

– Co z kolei oznacza, że potrzebujemy czegoś więcej – kontynuował Sture. – Albo przyznania się ze strony Davida, albo dodatkowych dowodów lub świadków. A co z wynikami z laboratorium? Dostaliście już pełny raport?

– Nie – odpowiedziała Pirjo. – Na razie skończyli badanie koszuli Davida Andersena i włókien znalezionych w ustach ofiary. Poprosiliśmy, żeby potraktowali sprawę priorytetowo. A analitycy informatyczni wciąż porównują zapisy ze stacji bazowych telefonii komórkowej z komórkami chłopaków.

Sture wyjrzał przez okno, ściskając kompas w dłoni.

– Kontynuujcie przesłuchanie. Przyciśnijcie go, może uda się coś z niego wydobyć. I sprawdźcie, czy technicy nie mają już nic w zanadrzu. Ustalcie też z Susanne Bauer, czy materiał dowodowy daje podstawy do zatrzymania go w areszcie.

Ciepły wiatr igrał w koronach drzew wzdłuż nabrzeża wyspy Kungsholmen. Powietrze było przesycone różnorodnymi zapachami: rozgrzanego asfaltu, papierosowego dymu, morza i pieczonego mięsa z licznych restauracji położonych na brzegu. W zatoce kołysało się kilka żaglówek, a przy stolikach kafejek tłoczyli się ludzie, wystawiając twarze ku ostatnim promieniom wieczornego słońca.

– Tutaj?

Pirjo wskazała na kawiarenkę nad samą wodą. Jeden z okrągłych stolików był wolny.

Potaknąłem, na co szybko usiadła i położywszy swój plecak na kolanach, objęła spojrzeniem zatokę.

– Na co masz ochotę? – spytałem.

– Kieliszek białego wina będzie okej.

Poszedłem do baru, kupiłem dla niej wino i piwo dla siebie, po czym wróciłem do stolika. Pirjo podziękowała, zdjęła sweter, popatrzyła pod słońce i upiła łyk wina.

– Muszę przyznać – zaczęła – że zrobiło mi się go dzisiaj żal.

– Davida Andersena?

Skinęła głową.

– Sama nie wiem, ale chłopak wygląda na wrażliwego. Trudno mi uwierzyć, że byłby w stanie ją zamordować. To znaczy, wiadomo, że czegoś takiego nie widać, mimo wszystko jednak...

Nie dokończyła myśli.

Usiadłem naprzeciw niej, postawiłem piwo na stole.

– Czasami mnie zadziwiasz – powiedziałem.

– Jak to? Uważasz, że jestem sentymentalna?

Wzruszyłem ramionami.

– Może.

– Kiedy patrzę na tego śmiertelnie przerażonego dzieciaka, od razu mi się przypomina, jak to było w tym wieku. Ta cała niepewność, niepokój, to ciągle zwątpienie we własne możliwości.

– Uważaj, żeby to nie wpłynęło na twoją ocenę sytuacji.

Przyglądała mi się w milczeniu, wiodąc wzrokiem po moim lnianym garniturze i jednocześnie palcem wskazującym rysując ślad na zaparowanym kieliszku.

– Wiesz, co ci powiem? – odezwała się z ociąganiem. – Czasem odnoszę wrażenie, że jesteś dosyć surowy. Wobec innych, a może i wobec siebie.

– Wykonuję swoją pracę – odparłem. – A w niej trzeba oddzielić sprawę od osoby.

Milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała:

– Gdybyście ty i twój brat bliźniak byli podejrzewani o zabójstwo, a ty zostałbyś zatrzymany, raczej nie czułbyś się z tym dobrze

– Aron miał dwanaście lat, kiedy umarł.

– Wiem – rzekła i niechcący lub świadomie dotknęła mojej dłoni.

Było to zaledwie potrącenie, lekkie jak muśnięcie motyli skrzydeł, a mimo to przeszły mnie ciarki, najpierw z zimna, a potem z gorąca. Koszula nagle wydała się ciasna i musiałem rozpiąć górny guzik.

Kontynuowała:

– Mam na myśli to, że on jest młody. I że więź łącząca bliźnięta jest wyjątkowa, sam to przyznałeś. Poza tym nie uważam, żeby odrobina empatii czyniła ze mnie gorszą policjantkę albo niekorzystnie wpływała na przebieg przesłuchania.

Przerwała, zdjęła okulary i położywszy je na stole, dwoma palcami pomasaowała sobie grzbiet nosa. Jej policzki jaśniały w wieczornym słońcu, kropla wina błyszczała w kąciку ust. Miałem ochotę jej dotknąć i przenieść na palec jak uciekającą biedronkę.

– Uważam, że wręcz przeciwnie – ciągnęła dalej. – Jestem przekonana, że dzięki temu jestem nawet lepsza, skuteczniejsza, jeśli wolisz. Gdy udaje mi się nawiązać z podejrzanym kontakt, kiedy on *czuje*, że nie jestem wobec niego wroga, może nabrać do mnie zaufania i mi się zwierzyć.

– Z pewnością masz rację. Tyle że to nie moja bajka. Moja żona, to znaczy była żona, zwykła mawiać, że... – Urwałem. – Uważała, że nie mam zbyt dobrego kontaktu ze swoimi uczuciami, cokolwiek to znaczy – powiedziałem, poprawiając żółtą jedwabną poszetkę na piersi.

Pirjo odstawiła kieliszek.

– Jesteś świeżo rozwiedziony?

Potaknąłem.

– Czy to trudne?

Zaskoczyła mnie jej bezpośredniość, to, że spytała tak wprost. Ludzie zwykle zachowują się inaczej, jakby rozwód był chorobą, którą można się zarazić, gdy się o nim mówi. Ale Pirjo jak to Pirjo – nie owijała niczego w bawełnę, choć zrobiła to z wyczuciem i szacunkiem.

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na wodę.

– Pewnego dnia, kiedy wróciłem do domu, miała już spakowane walizki. Najzwyczajniej w świecie. Zabrała dzieci i się wyniosła. Powiedziała, że za dużo

pracuję, że zawsze pracowałem za dużo. Jakby nie wiedziała, że wyszła za mąż za policjanta.

– Rzeczywiście tak było? Tak dużo pracowałeś?

– Niestety.

Popatrzyłem na swoje dłonie spoczywające na stole i pomyślałem o wszystkich kłótniach z Beatrice na ten temat. Jak staliśmy w kuchni i krzyczeliśmy na siebie, a dzieci natychmiast pogłośniały telewizor w dużym pokoju. Coraz mocniej i mocniej, żeby tylko nas nie słyszeć.

– Tak, pracowałem całkiem sporo – dodałem. – Ale zawsze myślałem, że robię to dla nas, dla rodziny.

Nie była to cała prawda. Nasz finansowy dobrostan nie zależał wyłącznie od mojej pensji, od mojej kariery. Ale przymus rozwiązywania spraw był dla mnie jak trucizna.

Beatrice o tym wiedziała. I nie znosiła tego.

Czasami podejrzewałem, że jest zazdrosna o moją pracę.

Nie wspominałem Pirjo także o tym, że moja żona poznała kogoś innego, adwokata o imieniu Hasse. Faceta, który obracał się we właściwych kręgach i miał domy letniskowe w Torekov i w Verbier. Faceta, który mógł zapewnić jej takie życie, jakiego zawsze pragnęła, bo Beatrice nigdy nie była pierwszą lepszą żoną policjanta.

Pirjo spojrzała mi w oczy i powoli pokiwała głową.

Sekundę później znów poczułem jej dłoń na swojej. Dotyk był elektryzujący, drobne impulsy rozchodziły się przez rękę aż do klatki piersiowej. Ale tym razem pozostawiła ją na dłużej i lekko uściśnięła moją rękę. Jej skóra, jej ciało, jej spokojna, oczywista troska – to wszystko sprawiło, że w mojej piersi coś zmiękło.

Tego samego wieczoru ją pocałowałem – to był niepewny, przelotny pocałunek przed nocnym sklepem tytoniowym. Jej usta okazały się miękkie i ciepłe. A w mojej głowie po raz pierwszy od długiego czasu panowała cisza. Wszystkie myśli o Beatrice, o pustym mieszkaniu i wstydliwym pragnieniu bliskości nagle się ulotniły, jakby rozwał je wiatr.

– Nie wiem, czy to teraz dobry pomysł – wymamrotała, po czym zdjęła okulary i spojrzała na mnie zatroskanym wzrokiem.

– A czy kiedykolwiek będzie dobry? – spytałem i pocałowałem ją znowu.

Następnego dnia po pocałunku przed sklepem tytoniowym David Andersen został zatrzymany w areszcie. Dla nas nie było to ani dramatyczne, ani zaskakujące, podejrzani bowiem, nawet młodociani, z reguły trafiają do aresztu. Potrafiłem sobie jednak wyobrazić, że dla niego i dla jego rodziny musiał to być szok. W końcu nigdy wcześniej nie mieli żadnych przykrych doświadczeń z wymiarem sprawiedliwości.

Zaledwie kilka godzin po wydaniu decyzji dyżurny przy wejściu zadzwonił do mnie z pytaniem, czy mogę zejść na dół. Niejaka Lykke Andersen domagała się rozmowy ze mną.

Poszedłem więc niepocieszony, wiedziałem bowiem, co mnie czeka.

Lykke stała obok funkcjonariusza, ubrana w kwiecistą sukienkę i dżinsową kurtkę. Twarz miała nabrzmiąłą od płaczu, obie ręce zaciskała kurczowo na pasku torebki przewieszanej przez ramię.

– Co wy wyprawiacie? – krzyknęła, zanim zdążyłem się do niej zbliżyć. – Czy wyście powariowali?

– Wejdźmy do środka i porozmawiajmy – zaproponowałem, wskazując na budynek komendy.

Gdy znaleźliśmy się w jednej z małych salek konferencyjnych, nagle jakby opuściła ją energia. Opadła na krzesło, upuściła torebkę na podłogę i zwiesiła głowę.

– To przecież tylko dziecko – zawodziła, targając swoje krótkie jasne włosy, które przywodziły mi na myśl spalone słońcem kępki trawy w parku Kronoberg.

– Pani Andersen – zacząłem. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby wyjaśnić, co się stało.

– Ale pan chyba rozumie, że on nic nie zrobił Bonnie – łkała. – Przecież on nie skrzywdziłby nawet muchy. Jest na to za... Boże drogi. Toż ona była jego najlepszą przyjaciółką.

Siedzieliśmy niemal godzinę, nie posuwając się ani o krok dalej.

Lykke powtarzała raz za razem, jak bardzo wrażliwy jest David i jak obca jest mu wszelka przemoc – nigdy nie brał udziału w żadnej bójce, a tym bardziej nie miał problemów z policją. Czytał książki, grał w szachy i – przynajmniej jeśli wierzyć jej słowom – był w zasadzie aniołem.

Starłem się z nią rozmawiać, oczywiście nie zdradzając żadnych szczegółów z dochodzenia. Wyjaśniłem jej rolę prokuratury, zapewniłem, że wynajęta przez nich

adwokatka należy do najlepszych, oraz podkreśliłem, że ona i jej rodzina mogą tylko zyskać na współpracy z nami.

Nie wiem, czy mnie słuchała, czy w ogóle była w stanie usłyszeć cokolwiek poprzez swój strach. Kiedy wreszcie poszła, ogarnęło mnie paraliżujące poczucie niedoskonałości.

Zastanowiłem się, jak Pirjo poradziłaby sobie z taką sytuacją. Czy położyłaby swe miękkie dłonie na rękach Lykke, zatrzymała zatroskane spojrzenie na jej twarzy i wysłuchała jej w inny, lepszy sposób, taki, który być może ukoiłby ból matki albo wręcz skłonił ją do wyjawienia Pirjo czegoś, co mogłoby pchnąć śledztwo naprzód.

Później opowiedziałem Pirjo o wizycie Lykke.

– Właściwie nie dziwię się, że się pojawiła – powiedziała. – Oni na pewno przeżywają piekło.

*

Nieco ponad tydzień po aresztowaniu Davida Andersena odbyliśmy spotkanie grupy dochodzeniowej. Oprócz mnie, Pirjo, Nathalie i Sturego obecna była też oddelegowana do tej sprawy techniczka z centralnego biura kryminalistyki. Przyjechała przedstawić nam wyniki ekspertyz i odpowiedzieć na nasze pytania. Prokuratorkę Susanne Bauer, kierującą dochodzeniem wstępnym, zatrzymały jakieś ważne zajęcia i miała dołączyć do nas później.

Było to ważne spotkanie, może nawet rozstrzygające.

Od chwili zatrzymania przesłuchiwaaliśmy Davida codziennie, nie uzyskując żadnych dalszych dowodów. Podchodziliśmy go na różne sposoby, naciskaliśmy, a Pirjo – która była trochę lepszym człowiekiem i być może również lepszym policjantem ode mnie – szczerze się starała do niego dotrzeć.

Nic to nie dało. Zamiast zmięknąć, chłopak wydawał się coraz bardziej zacięty. Cytował kodeks karny, wdawał się w filozoficzne wywody na temat dobra i zła i kwestionował nasze prawo do trzymania go w areszcie. Po jednym z kolejnych przesłuchań Pirjo stwierdziła oschle, że bez wątpienia czekałaby go wspaniała kariera adwokacka, jeśli wybrałby tę ścieżkę.

Tymczasem my dwoje zbliżyliśmy się do siebie.

Nie tylko fizycznie, ale naprawdę się poznaliśmy. Po pracy chodziliśmy na spacer – czasami docieraliśmy do Södermalmu i włączyliśmy się przez godzinę albo dwie, patrząc na zachodzące nad miastem słońce i gawędząc o życiu.

Pirjo była najstarsza z trzech sióstr. Dorastała w gospodarstwie tuż pod Övertorneå. Opowiadała, że bardzo tęskni za doliną Torne i że pewnego dnia na sto procent tam wróci. Sztokholm jest okej, jak się wyraziła, ale nic ponad to. Z czysto zawodowego

punktu widzenia jest w nim oczywiście wiele ekscytujących rzeczy do zrobienia, brakowało jej jednak dzikiej przyrody i rodziny.

Miała czterdzieści dwa lata, nigdy nie wyszła za mąż i była bezdzietna.

– Jakoś się nie złożyło – powiedziała, mimo to nie sprawiała wrażenia smutnej. – Ale kto wie, w końcu nie jest jeszcze za późno. W razie czego mam czwórkę siostrzeńców i siostrzenic.

Zastanowiłem się, jak bardzo różniła się od Beatrice. Nie było w niej ani odrobiny sztuczności. Nie próbowała i nie chciała być kimś innym, niż jest. Nie wyglądała też na aspirującą do innego życia niż to, które ma. Moja eks natomiast zawsze zmierzała gdzieś indziej, jakby tu i teraz nigdy jej nie wystarczało. Ja też jej nie wystarczałem i ostatecznie cholernie mnie to zmęczyło.

– Przestań o tym myśleć – powiedziała mi Pirjo, kiedy jej to opisałem. – Daj spokój. Odpuść sobie.

– No tak. Ale mamy trójkę dzieci, to nie takie proste.

Popatrzyła na mnie uważnie.

– Na litość boską, przecież to nie dzieci masz sobie odpuścić. Chodzi o cały ten gniew, który nosisz w sobie.

Chrząknięcie Sturego wyrwało mnie z zadumy.

– Jesteś tu? – spytał, wbijając we mnie wzrok.

– Słucham?

– Jesteś z nami? Czy właśnie rozmarzyłeś się o lepszych czasach?

– Nie, po prostu zastanawiałem się nad czymś.

Westchnął i pokręcił głową, a następnie skrzyżował ręce na piersi i zwrócił się do Marielle z centralnego biura kryminalistyki.

– Czy uporamy się z tym w pół godziny? – zapytał, zerkając na zegarek na ręce.

Marielle, pulchna trzydziestokilkulatka z kolczykiem w nosie, zamarła w połowie ruchu.

– Przygotowałam prezentację – zaczęła. – Wasz analityk operacyjny jest na zwolnieniu lekarskim, pomyślałam więc, że przedstawię i jedno, i drugie...

Sture machnął ręką w powietrzu.

– Potem możemy sobie wszystko przeczytać. Proszę powiedzieć nam tylko to, co najważniejsze.

– Ale...

Marielle spojrzała na mnie.

Skinąłem ku niej głową, mając nadzieję, że odbierze to jako gest zachęty – to przecież nie jej wina, że Sture także dziś wstał lewą nogą. I tak samo nie jej wina, że

wolały być w tym momencie w swojej chacie w Bergslagen zamiast w siedzibie policji.

– Okej – odparła Marielle, podłączając przewód do projektora.

Klikając, pominęła kilka zdjęć – ujęcia domku bliźniaków, zbliżenia drzwi wejściowych i okien oraz schemat z zaznaczonymi miejscami, gdzie tamtej nocy spali David, Harry i Bonnie.

– Nie znaleźliśmy niczego, co świadczyłoby o tym, że ktoś próbował dostać się do środka przez drzwi lub przez okna. Z drugiej strony wewnątrz roi się od odcisków palców, ale wszystkie, które są na tyle wyraźne, że można je zidentyfikować, należą do Bonnie i rodziny. Odciski bliźniaków znajdują się w każdym pomieszczeniu, podobnie ich mamy i Bonnie.

Kliknęła w kolejne zdjęcia z oznaczeniami wskazującymi, gdzie dokładnie zabezpieczono odciski.

– Odciski ojca też znajdują się wszędzie poza łazienką.

– Hm – mruknął Sture.

– Ale w niej jest za to bardzo dużo odcisków pozostawionych przez matkę. Na przykład na dolnej części sedesu i...

– Pewnie czyściła go za synów – przerwał jej Sture.

Marielle sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Błądziła spojrzeniem po stole, w końcu rozpięła sweter i zaczęła się wachlować niebieską tekturową teczką.

Nagle rozległo się krótkie puknięcie w drzwi i do środka weszła Susanne Bauer z aktówką w ręce. Miała na sobie kostium wyglądający na nowy i drogi, a bluzka widoczna pod granatowym żakietem była w subtelny kwiatowy wzorek w pastelowych kolorach.

– Dzień dobry – powiedziała i skinęła głową w stronę Marielle. – Susanne Bauer, jestem prokuratorką i kieruję dochodzeniem wstępnym. Przepraszam za spóźnienie, wracam z rozprawy w sądzie.

– Marielle Jansson – przedstawiła się trzydziestolatka, wygładzając ręką swój trochę sfilcowany sweter. – Reprezentuję centralne biuro kryminalistyczne i przygotowałam...

Zerknęła szybko na Sturego, po czym zamilkła i wskazała na ekran.

– Jeśli przyjrzymy się bliżej samemu miejscu zbrodni... – podjęła znowu; na ekranie ukazały się zwłoki Bonnie na łóżku w sypialni Davida. – ...nie widać żadnych wyraźnych oznak szarpaniny czy bójki w pokoju. Nie ma przewróconych mebli, nic nie leży na podłodze. Nie znaleźliśmy też ani krwi, ani spermy. Ale prześcieradło częściowo zsunęło się z pościeli.

Wskazała na prześcieradło leżące bezładnie w nogach łóżkach.

– No bo – wtrącił Sture – sprawca atakuje ją w łóżku, ona się broni i prześcieradło zjeżdża na ziemię.

– Albo leżało już tak, kiedy dziewczyna przyszła się położyć – powiedziała Marielle.

– Bądź też sama je skopała podczas snu. Tak więc na podstawie ustaleń dokonanych na miejscu zbrodni właściwie nie da się niczego jednoznacznie stwierdzić.

Pirjo pochyliła się do przodu i bacznie przyjrzała się zdjęciu.

– A co z koszulą Davida Andersena? – zapytała.

– Została znaleziona tutaj – odparła Marielle, wskazując na białą szafę w głębi.

Otworzyła kolejne zdjęcie, które przedstawiało zmiętoszoną koszulę wciśniętą na sam koniec górnej półki.

– Wiemy, że ta koszula została wepchnięta Bonnie do ust – zaczął Sture.

– Nie – zaprzeczyła słabo Marielle. – Wiemy, że była w ustach dziewczyny tuż przed jej śmiercią, ponieważ wciąż znajdowała się na niej wilgotna plama po jej ślinie. Ale tak naprawdę nie wiadomo, czy ktoś ją wepchnął do jej ust, to jest pana interpretacja.

Oczy Sturego wyraźnie się zwęziły, a usta wykrzywiły w czymś w rodzaju cierpkiego uśmiechu.

– Sądzi pani, że ona mogła jej użyć jako przytulanki do ssania przed zaśnięciem? I że ktoś, na przykład zabójca, odłożył ją potem do szafy?

– Ja tylko uważam, że musimy odróżnić to, co wiemy, od naszej interpretacji tego, co się wydarzyło. Choć oczywiście jako najbardziej prawdopodobne nasuwa się wyjaśnienie, że być może sprawca wcisnął koszulę do ust, żeby na przykład uciszyć ofiarę. A potem ukrył ją w szafie.

– Czyli ewidentnie brakowało mu oleju w głowie – wymamrotał Sture. – Nie pomyślał, że ją znajdziemy?

– Chłopcy są jeszcze młodzi – wtrąciłem. – Byli pijani i prawdopodobnie nie planowali zabójstwa.

W tym momencie Marielle zwróciła się do Sturego, trzymając przed sobą niebieską teczkę jak tarczę.

– Rozumiem, że jest pan niezwykle zajęтым człowiekiem – powiedziała bez cienia ironii w głosie. – Na tyle zajęтым, że nie ma pan czasu obejrzeć całej prezentacji, którą przygotowałam. Dlatego zgodnie z pana prośbą przejdę szybko do sedna. Ale przedtem powinnam jeszcze wspomnieć, że również analiza telefonów komórkowych nie wykazała nic interesującego. Obaj chłopcy wysyłali do siebie nawzajem i do Bonnie masę esemesów, żaden z nich jednak nie wydaje się podejrzany. W raporcie zawarte jest podsumowanie tej korespondencji esemesowej. Ponadto zbadaliśmy też rejestry ze stacji bazowych, w których logowały się telefony Davida i Harry’ego

Andersenów. Bliźniacy, a przynajmniej ich komórki, przez całą interesującą nas noc znajdowali się w pobliżu domu.

Pochyliła się i kliknęła w nowe zdjęcie.

– A to jest nasze najważniejsze odkrycie.

Na ekranie ukazał się jasnoszary tiszert. Wokół plam na wysokości ramion zaznaczono dwa czerwone, opatrzone numerkami kółka.

– Co to...? – bąknęła Susanne, zakładając okulary.

– To jest tylna część podkoszulka – wyjaśniła Marielle. – Na lewym ramieniu znajdują się dwie plamy krwi. Jedna ma około trzech milimetrów średnicy, druga – co najmniej centymetr.

– Czy to krew Bonnie Högberg? – spytała Susanne.

– Tak – odpowiedziała trzydziestolatka, powoli pokiwała głową i odłożyła teczkę. – Zbadaliśmy zgodność DNA. Nie ma najmniejszych wątpliwości.

Następnie wyprostowała się i obrzuciła Sturego chłodnym spojrzeniem.

– Bonnie Högberg miała skaleczenie na prawej dłoni – kontynuowała. – Jeśli sprawca zaatakował ją od przodu, a ona chwyciła go, żeby się bronić, krew z jej dłoni mogła się znaleźć na jego lewym ramieniu.

Susanne wstała z krzesła, podeszła do ekranu i oparłszy ręce na biodrach, stała przed nim przez dłuższą chwilę. W końcu się odwróciła.

– To wystarczająca podstawa do zatrzymania – stwierdziła. – Czyj jest ten tiszert?

Lykke Obecnie

Zastanawiam się, czy istniały jakieś znaki, drobne, nieistotne rzeczy, które zapowiadały to, co miało nadejść. Szukam w myślach, przewijam mgliste wspomnienia, które kłują, które parzą, które przerażają.

Pytam swoich przyjaciół, swoich wrogów, przyjaciół przyjaciół, mężczyznę będącego moim partnerem życiowym. Wszyscy udzielają mi różnych odpowiedzi, a ja myślę, że prawda nie jest, nie może być jak kostka do gry, której liczba oczek zmienia się przy każdym rzucie.

Prawda musi być stała i musi być we mnie, ponieważ dzieci są częścią mnie. Moi synowie nie mogli mieć myśli – mrocznych, złych – których ja bym nie znała. Oni nie mogli robić rzeczy, okropnych rzeczy, o których bym nie wiedziała.

Bo oni są przecież mną.

A jeśli oni zamordowali, to ja też jestem morderczynią.

Spacerniak to wąska przestrzeń w kształcie kawałka tortu na dachu więzienia Kronoberg. Ściany są betonowe, a prześwit od strony ulicy i powierzchnię nademną przesłania gruba metalowa siatka. Na ziemi wiruje na wietrze parę kawałków papieru, niedopałki piętrzą się w kątach.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie ma tu żadnych roślin, żadnych mebli. Tak naprawdę nic tutaj nie przypomina patia.

Czuję się tu jak zamknięta w klatce na dachu kilkupoziomowego garażu.

– Co ludzie tu robią? – pytam Sarę.

Wzrusza ramionami, odwraca się pod wiatr, który zwiewa jej cienkie rudoblond włosy z twarzy.

– Jedni trenują, robią pompki i takie tam. Inni siedzą na ławkach.

Wskazuje na składaną drewnianą ławkę przymocowaną do betonowej ściany.

– Dlaczego nie wstawicie choć trochę roślin? Przecież zaraz inaczej by to wyglądało. Byłoby przyjemniej.

Na jej rumianej twarzy pojawia się chytry uśmiech.

– To kwestia bezpieczeństwa. A to nie jest hotel.

– No tak, już mówiłaś.

Milkniemy, a kiedy podchodzę do jednej z ławek i ją rozkładam, ona wiedzie za mną wzrokiem.

– Mogę o coś spytać? – odzywam się po chwili.

– Jasne – odpowiada, po czym z obojętną miną opiera się o betonową ścianę.

– Czy tym, co siedzą długo, z czasem nie odbija?

Jej spojrzenie jest niezgłębione.

– Tutaj nikomu nie odbija – odpowiada, podkreślając każde słowo. – Ale zdarza się, że ci, którzy do nas przychodzą, i tak są już ześwirowani.

Dzwoni jej komórka.

– Tak. Okej – mówi do słuchawki. – Ale już, zaraz?

Rozłącza się i rusza w moją stronę.

– Masz gościa. To ten policjant, o którego prosiłaś. Manfred Olsson.

Manfred niewiele się zmienił – potężny, świetliste oczy i strój jak zawsze zbyt ekskluzywny jak na policjanta: ma na sobie trzyczęściowy garnitur z jedwabną poszetką w kolorze wiśni w kieszonce i do tego jasnoróżową koszulę.

Tyle że lata odcisnęły na nim ślad: jasne włosy są poprzetykane siwymi, a zmarszczki wokół oczu stały się głębsze. Inne jest też jego spojrzenie, wydaje się spokojniejsze, może bardziej zmęczone. Nie wiem, czy mi się tylko ubzdurało, czy też upływ czasu zniekształcił wspomnienia, ale wtedy, osiem lat temu, patrząc na niego, zawsze odnosiłam wrażenie, że jest udręczony.

Tak jak ja.

– Cześć, Lykke – mówi, po czym wstaje i podaje mi rękę.

Kiwam głową na powitanie, siadam naprzeciw niego, ale się nie odzywam.

– Powiedziano mi, że jesteś podejrzana o morderstwo – kontynuuje. Na jego twarzy maluje się zatroskanie, jakby był nauczycielem, a ja niesforną uczennicą, która niestety kolejny raz wdała się w bójkę.

Patrzę mu w oczy.

– I że chcesz ze mną porozmawiać – dodaje.

Znowu kiwam głową i rozglądam się po ciasnym pomieszczeniu nazywanym „salą widzeń”.

– Dlaczego nie zgodziłaś się, żeby był tu z nami twój obrońca? – pyta.

– Bo chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy.

Wiesza marynarkę na sąsiednim krześle i ręką wygładza przód koszuli.

– Dobrze wiesz, że to jest formalne przesłuchanie, które będzie rejestrowane. To nie spotkanie przy kawie, żeby pogawędzić o niczym.

– Jestem tego świadoma.

– Okej – odpowiada i lekko wzrusza ramionami. Następnie sięga po sprzęt nagrywający i wciska kilka przycisków. Odklepuje niezbędne formułki – podaje datę, dokładną godzinę i nasze nazwiska.

– Ostatni raz spotkaliśmy się osiem lat temu – zaczyna, a potem zakłada okulary i zagląda do swojego notesu.

– Tak.

– I znowu tu jesteśmy. Jak się czujesz?

I wtedy to się dzieje, dokładnie w tym momencie, gdy zadaje to przebiegle niewinne pytanie: Jak się czujesz?

Serce bije szybciej, fala gorąca oblewa mi twarz i gniew, który eksploduje w piersi, rozsadza fasadę samokontroli i nagle każe mi zapomnieć, że obiecałam sobie być powściągliwa.

– A jak myślisz? Jak ja mogę się czuć? – krzyczę i zrywam się z krzesła tak gwałtownie, że przewraca się do tyłu i uderza w ścianę. – Jak według ciebie my wszyscy mogliśmy się czuć przez ostatnie lata? Czy potrafisz sobie wyobrazić, co się z nami działo?

Lykke
Osiem lat wcześniej

David – mój mizerny, słaby, trochę krnąbrny syn, który kocha czytać książki i gra w szachy – oskarżony o zabójstwo swojej najlepszej przyjaciółki.

Nie sposób tego zrozumieć.

On, który był częścią mnie, którego nosiłam pod sercem – karmiłam, utulałam. Patrzyłam, jak wyrasta na młodego mężczyznę mającego życie przed sobą.

Czy zabiłby Bonnie, dziewczynę, która była jego kumpelą, powiernicą, a może kimś więcej?

Przed moimi oczami przemykają obrazy jak w pospiesznie zmontowanym filmie.

Chudziutkie, gorączkujące niemowlę, które ochryłym kaszlem nie pozwalało zasnąć całej rodzinie. Roczny brzdąc patrzący bezradnie z podłogi, jak jego brat zwinnie pełza po całym domu. Czterolatek odwieziony karetką do szpitala z ostrą niewydolnością oddechową i leczony wziewnymi lekami drażniającymi nękanie skurczami drogi oddechowe.

Mimo wszystkich swoich fizycznych problemów był dla Harry'ego ostoją. Gdy tylko stanął na nogi i zaczął chodzić, nie odstępował brata.

Pamiętam incydent, kiedy mieli dwa latka – weszłam do gabinetu Gabriela i zobaczyłam, że Harry stoi w otwartym oknie, w samej pieluszce, z jedną nogą jeszcze na blaszanym parapecie i z drugą machającą w powietrzu, jakby się zastanawiał, czy ma zrobić krok przed siebie.

Musiał wspiąć się na biurko – miał bzika na punkcie włożenia na meble i w przeciwieństwie do brata był w tym dobry.

Rzuciłam się do przodu, ale zanim zdążyłam go dopaść, David, który stał obok na podłodze, chwycił go za pieluchę i szarpnął tak mocno, że Harry stracił równowagę i z głuchym pacnięciem wylądował na pupie na biurku.

Nigdy nie mogłam pojąć, jak David, taki mały, zdołał dostrzec niebezpieczeństwo. A jednak zrobił to i zareagował błyskawicznie.

W miarę jak dorastali, ingerencje ze strony Davida stawały się bardziej wyrafinowane.

Kiedys – chłopcy mogli mieć wówczas około ośmiu lat – Harry wdał się na naszej działce w bójkę z dwiema dziewczynkami z sąsiedztwa. Akurat stałam przy zlewie i zmywałam naczynia, gdy zobaczyłam ich kotłujących się na trawniku. Już miałam

wybiec z domu, żeby zrobić z nimi porządek, kiedy zauważyłam, że David podchodzi do nich i coś im mówi.

Po kilku sekundach dziewczynki wstały, otrzepały sukienki i podreptały do siebie ze spuszczoneymi głowami.

– Co im powiedziałaś? – spytałam go potem.

– Żeby przestały się bić – odpowiedział z ociąganiem, utkwivszy wzrok w podłodze. A po chwili dodał: – Bo jak nie, to opowiem wszystkim w szkole, że ich mama siedzi w psychiatryku.

– W psychiatryku?

– Słyszałem, jak tata kiedyś coś takiego powiedział. Ale co to jest psychiatryk, mamusiu?

O tak, David już wtedy był bystry, a nawet szczwany, a czasami wydawał się wręcz beznadziejnym starym malutkim.

Któregoś razu, kiedy chłopcy byli już dwunastolatkami, odwiedził nas Jujje. On i Gabriel jak zwykle sporo wypili, leżeli na podłodze w salonie i zanosili się ze śmiechu z jakiegoś kawału opowiedzianego przez Jujjego.

David siedział na sofie i przyglądał się im z wyraźnym zainteresowaniem oraz z takim skupieniem na twarzy, jakby rozgrywał partię szachów.

Harry, który właśnie wszedł do pokoju, zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Mamo, co *robią* tata i Jujje?

Na co David, przekrzywiwszy nieco głowę, odparł za mnie:

– Jujje infantylizuje tatę.

Gabriel i nasz gość natychmiast zamilkli.

– *You've got to be kidding* – wymamrotał Jujje. – Jesteś za młody, żeby znać takie słowa, kolego. Pogadamy sobie za parę lat.

I rzeczywiście gadali: w następnych latach David i on bardzo się zbliżyli, uwielbiali dyskutować o filmach, książkach i – jak podejrzewałam – o dziewczynach.

David miał poza tym wielkie serce, przejmował się losem wszystkich żywych istot. Szybko straciłam rachubę, ile rannych dzikich zwierząt próbował ratować we własnoręcznie skleconych klatkach – były wśród nich wiewiórki, ptaki, jaszczurka bez jednej nogi i pająk z guzem. Z własnej inicjatywy zadzwonił do jakiegoś biologa z Muzeum Historii Naturalnej, który go zapewnił, że to nie guz, tylko woreczek jajowy. Po tej rozmowie pająk i jego dorastające potomstwo wynieśli się od nas, ku wielkiej uldze mojej i Gabriela.

Tak, David miał niejedną twarz – był zapalonym szachistą, czułym przyjacielem zwierząt, superbyстрыm obserwatorem i wybawicielem Harry'ego w potrzebie – ale nie był mordercą.

*

Godzinami rozmyślałam o aresztowaniu – nie mogłam spać, nie mogłam jeść.

Leżałam w łóżku i patrzyłam, jak zapada zmierzch. Z zamkniętymi oczami czekałam do świtu, kiedy chór ptaków udaremniał nawet próbę drzemki. Prawdopodobnie przysnęłam jednak na jakąś godzinę, ale i tak tego nie czułam. Nie jadłam prawie wcale, już sam widok czegokolwiek do jedzenia przyprawiał mnie o mdłości.

Czasami chodziłam do domku chłopców i siadałam na łóżku Davida – technicy zakończyli swoje czynności, ale zabrali zarówno prześcieradło, jak i materac, więc siedziałam na gołej ramie.

Wiodłam wzrokiem po pokoju. Patrzyłam na ubrania starannie złożone na krześle i na stos książek piętrzący się pod jedną ze ścian. Obok szafy leżała para brudnych skarpetek.

Wszystko takie codzienne, tak niewyobrażalnie normalne. Jediną rzeczą, która mówiła o tym, że ten pokój, pokój mojego dziecka, w rzeczywistości jest miejscem zbrodni, był kawałek taśmy policyjnej powiewający za oknem na sękatej jabłoni.

Jak ja sobie z tym poradzę? – zastanawiałam się.

Dasz radę, człowiek wytrzyma wszystko, kiedy musi. A tym, który pomagał mi się nie rozpaść, który nadawał ramy dniom, był Harry. Jego wciąż rozwijające się ciało potrzebowało pożywienia i ochoczo wzięłam na siebie to zadanie. Codziennie przygotowywałam trzy solidne posiłki, mimo że sama prawie nic nie jadłam. Pomogłam mu też przenieść jego rzeczy do dużego domu, ponieważ nie chciał spędzić już ani jednej nocy w swoim starym pokoju.

Nie miałam mu tego za złe.

Wyobrażałam sobie, że potrzebuje porozmawiać o śmierci Bonnie, że być może złagodzi to jego lęk, który niewątpliwie go dręczył. Poza tym chciałam się dowiedzieć, co się stało, *musiałam* to usłyszeć, bo niepewność była nie do zniesienia.

Lecz jeśli Harry miał jakąś teorię na temat tego, co wydarzyło się tamtej nocy, niestety nie podzielił się nią ze mną.

– Jak myślisz, co się wtedy stało? – zapytałam któregoś wieczoru, kiedy siedzieliśmy na kanapie, popijając herbatę.

Za oknami padał drobny deszcz, Gabriel właśnie spieszył do drewnutni z naręczem polan, które pozostały przy pieńku do rąbania drewna.

Harry pochylił głowę, jego twarz ukryła się za kurtyną ciemnych włosów.

– Nie wiem.

– Przecież to niemożliwe, żeby David... – zaczęłam.

Nie odpowiedział.

– Harry – zwróciłam się do niego jeszcze raz. – Chyba nie myślisz, że David...

Nie potrafiłam wymówić tego słowa, nie musiałam.

– Jasne, że nie – odparł.

Następnie wstał i wyszedł, unikając mojego wzroku. Jego kroki, ciężkie i głucho, oddaliły się w kierunku kuchni.

Siedziałam dalej na kanapie z parującym kubkiem herbaty w dłoniach.

O ile Harry starał się unikać tematu, Gabriel z kolei wydawał się rozdarty między rozpaczą a gniewem.

– To jest nie do zaakceptowania. Nie może tak być – wzdychał. – To sprzeczne z naturą. Nikt, kto ma siedemnaście lat, nie powinien umierać. A zwłaszcza ktoś taki jak Bonnie. I jeszcze utrzymywanie, że David ma coś wspólnego z tą sprawą, to przecież...

A za chwilę przechodził do krzyku:

– Dlaczego policja nic nie robi? Dlaczego nie stara się znaleźć tego, kto rzeczywiście ją zabił? Dlaczego nie przesłuchuje mętów objających się po okolicy? Dlaczego...

I tak bez końca.

Oczywiście nie mógł też pracować. Całymi godzinami siedział przy biurku w swoim gabinecie, nie dotykając komputera. Z dłońmi splecionymi na kolanach patrzył tępo przez okno. Kiedy do niego zaglądałam, najczęściej nawet tego nie zauważał, ale gdy czasami mnie spostrzegł, jego rysy łagodniały, wyciągał do mnie rękę i gładził po policzku.

– Przebrniemy przez to – powiedziałam.

– Tak, przebrniemy przez to – powtarzał za mną. – Musimy, dla rodziny.

Ale w jego oczach widziałam zwątpienie.

Kilka dni po aresztowaniu Davida przez policję wczesnym rankiem zadzwoniła komórka Gabriela. Mimo uporczywego sygnału leżał na plecach z otwartymi ustami i głośno chrapał. Poprzedniego wieczoru wypił całą butelkę amarone.

Zawsze pił trochę za dużo, ale teraz spożycie przez niego alkoholu wręcz eksplodowało. Nie mogłam go za to potępić – rodzina była dla niego wszystkim, a jego świat chwiał się w posadach. Mój też, oczywiście.

Wstałam, obeszłam łóżko i podniosłam telefon z jego szafki nocnej.

Nieznany numer.

Po chwili zastanowienia wyłączyłam dźwięk i odłożyłam aparat z powrotem na szafkę. Ktokolwiek to był, musiał poczekać. Ponadto nie miałam pewności, czy byłabym w stanie prowadzić jakąkolwiek sensowną rozmowę – czułam się otepiała, bliska płaczu i męczyły mnie mdłości.

Nieustannie prześladował mnie obraz Davida wyprowadzanego przez umundurowanych policjantów – jego chude ramiona między ich szerokimi plecami, jego na wpół otwarte usta i jego spojrzenie – pełne tłumionego przerażenia – szukające moich oczu, gdy szli do drzwi wyjściowych.

Kiedy ktoś grozi twojemu dziecku, reagujesz instynktownie, twoje ciało przygotowuje się do walki – dzieje się to w jednej chwili i nie da się tego powstrzymać. Tak właśnie stało się ze mną, ale w trakcie tego procesu moje możliwości intelektualne okazały się niestety mocno ograniczone. Miałam ochotę rzucić się na policjantów, nawet próbowałam to zrobić. Gdyby Gabriel mnie nie powstrzymał, prawdopodobnie też zostałabym zatrzymana.

Sięgnęłam po szlafrok i ledwie zdążyłam go włożyć, ciszę ponownie przeszył sygnał telefonu, tym razem mojego.

Podniosłam komórkę i zanim wyłączyłam dźwięk, zauważyłam, że połączenie też pochodziło z nieznanego numeru – być może dzwoniła do mnie ta sama osoba co do Gabriela. Potem zeszłam do kuchni zaparzyć kawę, bo mimo zawrotów głowy i paniki, która ścisnęła mi klatkę piersiową jak w imadle, uniemożliwiając przełknięcie czegokolwiek, mój organizm nieustannie domagał się kawy.

Przez okno świeciło blade słońce. Niebo przecinały cienkie smugi chmur, a w krzakach w ogrodzie świergotał chór ptaków. Nad jeziorem unosiły się delikatne woale mgły.

Gdy podeszłam do ekspresu, ktoś zapukał do drzwi.

Nie wiem, kogo spodziewałam się ujrzeć za nimi – rzadko bowiem miewaliśmy niezapowiedzianych gości. Otuliłam się szczerzej szlafrokiem i poszłam otworzyć, chociaż nie miałam najmniejszej ochoty widzieć się z nikim.

Za progiem stała kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat – blondynka, okrągława. Ubrana w dzinsy i sweter robiony na drutach. Wyglądała na sympatyczną. Uśmiechnęła się delikatnie, jakby wiedziała, jak mogę się czuć.

– Dzień dobry, nazywam się Frida Wallén – powiedziała i wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnęłam ją. – Przepraszam, że się narzucam. Ale pomyślałam sobie, że może mogłabym być w czymś pomocna? Czy ma pani czas na chwilę rozmowy?

Dotknęła lekko mojego ramienia, wywołując we mnie nieokreślony dyskomfort. Odruchowo zrobiłam krok do tyłu.

– O czym? – zapytałam, wciąż nie rozumiejąc, co się dzieje.

– O tym, co się stało z Bonnie Högberg.

Szok odebrał mi mowę.

– I o pani synu Davidzie – kontynuowała niczym niezrażona. – To musiało być dla was wszystkich potwornie trudne.

– Kim pani jest i skąd się pani tu wzięła? – spytałam.

Zamrugła i spojrzała na mnie niewinnie.

– Przepraszam, sądziłam, że się przedstawiłam. Frida Wallén z „Kvällsbadet”.

Kilka promieni słońca padło na jej głowę i w świetle zobaczyłam, że jej jasne włosy są prawie siwe.

Śliska, nachalna oszustka, pomyślałam. Padlinożerca przebrany za samarytanina, który chce się utuczyć na naszym nieszczęściu.

– Podana pani nazwisko, ale nie wspomniała pani, że jest dziennikarką. Nie udzielamy żadnych komentarzy.

Gdy chciałam zamknąć drzwi, ona w ostatniej chwili zdążyła wsunąć do środka stopę w topornym sandale. Pochyliła się do przodu i spojrzała na mnie przez wąską szparę.

– To może być korzystne – próbowała mnie przekonać. – Dla pani. Będzie pani mogła przedstawić swoją wersję wydarzeń.

Pchnęłam drzwi, omal nie dostała nimi w twarz, a potem skrzyżowałam ręce na piersi i zmierzyłam ją wzrokiem.

– Jak pani śmie tu przychodzić i tak po prostu pukać, jakbyśmy się znały? Jakim prawem pozwala pani sobie na coś takiego?

Mój głos był opanowany, ale ciało dygotało z gniewu.

– Proszę stąd odejść – dodałam. – I nigdy tu nie wracać. Czy to jasne?

Leżałam na kanapie, wciąż w szlafroku, gdy Gabriel wszedł z dwoma kubkami kawy.

– I co? Poszła sobie? – spytał.

Usiadłam i wzięłam od niego kubek.

– Tak, poszła. Po prostu tego nie pojmuję. Jak można zrobić coś takiego, nachodzić rodzinę w...

– ...kryzysie? – dokończył Gabriel i usiadł przy mnie.

Skinęłam głową, to słowo nie chciało mi przejść przez usta, chociaż całkowicie prawidłowo oddawało naszą sytuację.

Tak wielu słów teraz unikałam: kryzys, morderstwo, śmierć.

Gabriel objął mnie ramieniem. Oparłszy o niego głowę, w końcu trochę się odprężyłam.

– Nie rozumiem, że Bonnie odeszła – szepnęłam, a on nie odpowiedział, tylko pogłaskał mnie po włosach. – I nie rozumiem, jak oni mogą myśleć, że David ma z tym coś wspólnego. Pamiętasz, jak on i Harry byli mali i wybierali się na ryby, ale David nie dał rady nabić robaka na haczyk?

Gabriel parsknął – nie wiedziałam, czy śmiał się na wspomnienie tamtej chwili, czy był to wyraz ogólnej frustracji, czy też początek płaczu.

– A kiedy w końcu złapał jakąś rybę, nie był w stanie jej zabić – uzupełnił.

– Chyba nie sądzisz, że... – zaczęłam.

– Nigdy w życiu – odpowiedział z naciskiem. – Wykluczone. Nie David.

Potem zamilkł, cisza trwała zbyt długo i stała się trochę niezręczna.

– Ale? – spytałam.

Poruszył się niespokojnie na kanapie.

– A co, jeśli chłopcy nie powiedzieli nam wszystkiego? – zasugerował. – Jeśli kogoś kryją?

– Kogo mieliby kryć?

– Nie mam pojęcia. A co, jeżeli tamtej nocy w domku jednak ktoś był poza nimi, ktoś, wobec kogo chcą być lojalni? Na przykład ich przyjaciel.

– Trudno mi uwierzyć, że chcieliby chronić kogoś, kto zabił Bonnie. Niezależnie od przyjaźni.

Zastanowiłam się.

– Poza tym – kontynuowałam – trudno jest kłamać w sposób wiarygodny. Nie sądzę, żeby byli tak cyniczni.

– Hm – mruknął Gabriel.

– Co?

– Czasem odnoszę wrażenie, że nie dostrzegasz tego, jak bardzo przebiegły potrafi być David.

– Co masz na myśli?

Odsunął się nieco ode mnie, aby móc mi spojrzeć prosto w oczy.

– Pamiętasz, jak Harry miał pokryć koszty szyby, którą wybił na stacji benzynowej?

Potaknęłam w milczeniu. Harry pracował podczas wakacji na pobliskiej stacji, któregoś razu zezłościł się z jakiegoś powodu i cisnął pierwszym lepszym narzędziem prosto w okno.

– No i?

– Słyszałem, jak David zadzwonił do kierownika i przedstawił się jako Harry.

– Ale dlaczego...?

– Wyjaśnił mi, że się zdenerwował, ponieważ został przygnieciony przez podnośnik, w którym brakowało odpowiedniego zabezpieczenia. Najwyraźniej wymaganego przepisami.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywałam.

– Chcesz powiedzieć, że dlatego wycofano wtedy roszczenie o odszkodowanie?

Gabriel skinął głową.

– Oprócz tego – kontynuował – zdarza się czasami, że wysyła Harry’ego, żeby odwrócił naszą uwagę, a on w tym czasie podprowadza alkohol.

– Żartujesz? Dlaczego nic nie mówiłeś?

Gabriel znów wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Nie wiem, uważałem, że to trochę zabawne. Poza tym w gruncie rzeczy kłamstwo, oczywiście w drobnych sprawach, to całkiem przydatna umiejętność w życiu.

– Ale to nie to samo co zabicie kogoś.

Milczeliśmy.

– To *musiał* być ktoś z zewnątrz – powiedziałam i znowu się do niego przytuliłam. – To nie mógł być David.

– Jasne, że to musiał być ktoś z zewnątrz – odparł. – Nie ma innej możliwości.

*

Następnego dnia informacja eksplodowała w mediach. Nie wymieniono naszego nazwiska, co nic nie zmieniało – bo mowa była o pięćdziesięcioletnim pisarzu, ojcu dwóch nastoletnich chłopców zamieszkałych w pobliżu Vagnhärad.

Przeczytałam tytuły: „Kilkunastolatka zamordowana w domu znanego autora” i „Siedemnastolatek aresztowany za zabójstwo w domu popularnego pisarza”. Same teksty były napisane powściągliwie i w zasadzie tylko relacjonowały fakty: siedemnastoletnia dziewczyna została znaleziona martwa po imprezie rakowej, w związku z czym policja wszczęła wstępne śledztwo w sprawie morderstwa. Podejrzany jest równolatek ofiary uczestniczący w tej samej imprezie.

Minęło jeszcze kilka dni, zanim spekulacje w mediach nabrały rozpędu, i wtedy rzeczowy ton charakteryzujący pierwsze doniesienia zniknął bezpowrotnie.

Najwyraźniej dziennikarze rozmawiali z okolicznymi mieszkańcami, ponieważ w gazetach rozpisywano się o tym, jak bardzo ekscentrycznymi jesteście sąsiadami. „Anonimowe źródła” poświadczają, że jeździmy samochodem na skróty przez cudze pastwiska, mimo zakazu palimy ogniska i strasznie hałasujemy. Na dodatek ktoś od nas, pijany i nagi, jechał w środku nocy na oklep na koniu sąsiadów.

Akurat ten ostatni epizod był prawdziwy, oczywiście to Jujje odpowiadał za ten wyczyn, gorąco zachęcany do niego przez podpitego Gabriela. Anonimowe źródła nie omieszkały także dodać, że nieustannie roi się u nas od dziwnych indywiduów – rozkrzyczanych, długowłosych, może nawet naćpanych.

Gabriel i ja poświęciliśmy niewybaczalną ilość czasu na to, by spróbować wydedukować, z którymi sąsiadami rozmawiali dziennikarze.

– Jasne, że w pierwszym rzędzie z cholernymi Nyströmami – obruszył się mój mąż.

Małżeństwo Nyströmów to nasi najbliżsi sąsiedzi. Siedemdziesięciolatkiem mieszkali niecały kilometr od nas. Do nich należały konie pasące się na pastwisku przed naszym domem, a stary Åke Nyström był właśnie tą osobą, która w pewien późny letni wieczór zobaczyła Jujjego kłusującego na białej klaczy.

– Nie jestem przekonana – powiedziałam, myśląc o skromnej siwowłosej kobiecie i jej gadatliwym mężu z czerwonym nosem. – Mogli kiedyś wspomnieć o tamtym zdarzeniu komuś innemu, a ten ktoś sprzedał to dziennikarzom. Przecież znasz Åkego.

O tak, Gabriel doskonale wiedział, jaki jest Åke – większego plotkarza ze świecą szukać w całej okolicy.

W miejscowym sklepie personel obrzucał nas ciekawskimi spojrzeniami, a kiedy pojechałam do szkółki ogrodniczej, dwie starsze panie, trzymając w objęciach piękne azalie, zaczęły wskazywać mnie palcem.

Jednak plotki i ludzkie wścibstwo nie były największym problemem, jakoś dało się z tym żyć. Wystarczyło udawać i usilnie sobie wmawiać, że wszystko jest jak zwykle, wówczas na kilka sekund, albo nawet minut, niepokój ustępował.

Ale pewnych rzeczy nie sposób było zlekceważyć, niektóre wpłynęły na nasze życie znacznie silniej niż podłe plotki.

Wielki reportaż, który miał się ukazać w wieczornej gazecie w ramach promocji broszurowego wydania ostatniej książki Gabriela, odwołano niemal bez uprzedzenia. Nie podano powodu, ale Magdalena, rzeczniczka prasowa wydawnictwa Forss & Stierna, przyznała, że prawdopodobnie miało to związek z „sytuacją”. Wypowiedziała to słowo cicho i z niemal przesadną delikatnością, jakby chodziło o jakąś groźną

chorobę. A organizatorzy panelu dyskusyjnego na temat nowej literatury robotniczej poinformowali, że Gabriela zastąpił niestety inny pisarz. Wyjaśniono to „nieustannym dążeniem do większej różnorodności”, a nowa panelistka, autorka pochodząca ze spustoszonego wojną kraju na Bliskim Wschodzie, lepiej odzwierciedla ich ambicje w tej kwestii.

Koleżanki i koledzy z wydawnictwa oczywiście nas wspierali – przysyłali pokrzepiające mejle, kwiaty, a gdy kiedyś pojechałam do redakcji odebrać pocztę i parę maszynopisów, dostałam wiele serdecznych uścisków.

Ale nawet wśród nich, moich współpracowników, wyczuwałam swego rodzaju powątpiewanie, które przebijało przez uśmiechy i miłe słowa jak fałszywa nuta w utworze muzycznym.

Co oni właściwie mówią za moimi plecami? – zastanawiałam się.

To straszne, ale nie wiadomo, w co wierzyć. Nie ma dymu bez ognia, prawda?

Któregoś wieczoru dostałam mejla z informacją o spotkaniu rady rodziców w szkole.

Dziwne, pomyślałam, bo zwykle to ja, jako członkini zarządu, organizowałam i zwoływałam takie zebrania. Zadzwoiłam do Cecylia, naszej skarbniczki, aby się dowiedzieć, co się stało.

Gdy wyjaśniłam jej, dlaczego dzwonię, sprawiała wrażenie zakłopotanej, w końcu z ociąganiem spróbowała mi wytłumaczyć.

– Pomyśleliśmy, że prawdopodobnie masz dość na głowie, w tej sytuacji... – urwała.

– Po tym, co się zdarzyło – dodała.

– Dziękuję za troskę – powiedziałam. – Ale chyba mogliście zapytać, czy chcę pomóc.

W słuchawce zaległa cisza.

– Uważaliśmy, że to nie byłby dobry pomysł, Lykke.

– Przepraszam, chyba nie rozumiem.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, w końcu usłyszałam:

– Ważne jest, aby wszyscy mieli zaufanie do zarządu i czuli się bezpieczni.

Poczułam lodowate zimno w piersi.

– Co ty wygadujesz, Cecilio? Nie czujecie się ze mną bezpieczni? Zrezygnowaliście ze mnie?

Westchnęła ciężko.

– Posłuchaj. Może przyjmijmy na razie takie rozwiązanie. A potem, kiedy wszystko się uspokoi, możemy przemyśleć sprawę ponownie. Spójrz na to z jasnej strony – ominie cię mnóstwo roboty.

Spojrzyć z jasnej strony?

To, co spotkało Bonnie, a tym samym moją rodzinę, nie miało jasnej strony. Nie wynikały z tego żadne nauki, nic, co by nas budowało. Świadomość faktu, że Bonnie – dziewczyna, którą znałam od ponad dziesięciu lat i kochałam niemal równie mocno jak własnych synów – została pozbawiona życia w naszym domu, była druzgocąca. I przez wszystkie te noce, kiedy sen nie chciał przyjść, myślami byłam przy niej, obecna w jej ostatnich strasznych chwilach.

Widziałam ją przed sobą, słyszałam jej głos, czułam, jak opuszcza ją życie.

A to, że o zbrodnię oskarżono mojego własnego syna, wcale nie ułatwiało sytuacji. Nikt nas nie pocieszał, nikt nie pytał, jak się czujemy.

Przecież byliśmy sprawcami, rodziną, która pozbawiła życia niewinną dziewczynę.

Oczywiście rozumiałam, że prawdziwymi ofiarami są Bonnie oraz jej rodzice, ale nasza codzienność też stała się piekłem i dlatego zwykły gest, krótka normalna rozmowa czy poklepanie po ramieniu znaczyły dla nas nieskończenie dużo.

Na szczęście znaleźli się tacy, którzy nas wspierali i nie odwrócili się do nas plecami.

Którzy nadal byli naszymi przyjaciółmi.

Dzień po zatrzymaniu Davida odwiedził nas Jujje. Był ogromnie wstrząśnięty, ale ku mojemu zaskoczeniu nie zadawał żadnych pytań dotyczących aresztowania. Prawdopodobnie wynikało to z tego, że łączyła go z Davidem szczególna więź i dlatego głęboko poruszyło go to, co się stało.

Przywiózł torbę pełną jedzenia oraz wino i został na noc – nie wiem, czy planował to z góry, czy po prostu tak się złożyło, że nie mógł jechać do domu, ponieważ wieczorem wypił za dużo z Gabrielem.

Bez względu na przyczynę cieszyłam się z urozmaicenia. Tego dnia pojechałam na komendę niezapowiedziana. Odszukałam Manfreda Olssona, który kierował śledztwem, i błagałam go niemal na kolanach, żeby wypuścił Davida. Nie mam pojęcia, czego się spodziewałam, bo przecież nie mogli go zwolnić tylko dlatego, że przyszedłam do nich i zalewałam się łzami. Nawet ja to rozumiałam.

Następnego dnia przyjechali Olof i Tuss, też obładowani pakunkami z jedzeniem, smakołykami i winem.

Miałam nieodparte wrażenie, że wszyscy troje uzgodnili między sobą jakiś harmonogram opieki nad nami, jak nad osieroconymi dziećmi. A było przecież dokładnie odwrotnie – to nam, rodzicom, odebrano jedno dziecko.

Rodzina w kryzysie, jak powiedział Gabriel.

– Jak długo mogą trzymać go w areszcie bez dowodów? – spytał Olof, lekko drżącą ręką stawiając kubek z kawą na stole.

Wyglądał na wycieńczonego – skóra poszarzała, małe czerwone usta wydęte, policzki bardziej nabrzmiałe niż zwykle, a okulary w rogowej oprawie nie tylko tkwiły krzywo na nosie, ale na jednym szkle widniał lepki odcisk, jakby ktoś – prawdopodobnie sam Olof – dotknął go kciukiem umazanym masłem.

Pojemniki z gotowymi daniami wstawiłam od razu do lodówki.

Olof wykazał się ponadprzeciętną troską, przywiózł nam bowiem jedzenie z ulubionej restauracji na Söder, a także cztery butelki sprowadzanego przez niego prywatnie południowoafrykańskiego wina wyprodukowanego w stu procentach ze szczepu Cabernet Franc.

– Dwa tygodnie – odpowiedziałam, siadając obok Gabriela przy kuchennym stole. – Mają prawo go trzymać dwa tygodnie. Potem musi się odbyć ponowna rozprawa aresztowa. I po niej znów mogą go zatrzymać na kolejne dwa tygodnie i tak dalej.

Tuss pokręciła powoli głową.

– To przecież jakiś obłąd, on ma dopiero siedemnaście lat.

– I jest poddany surowym restrykcjom – dodałam. – Nie może widzieć się z nikim oprócz swojej obrończyni, nie może dostawać listów ani rozmawiać przez telefon. Podobno wolno mu złożyć wniosek o widzenie nadzorowane, ale adwokatka twierdzi, że on nie chce. Że teraz nie zniósłby spotkania z kimkolwiek.

Tuss zrobiła wielkie oczy.

– To wy ani razu z nim nie rozmawialiście, z waszym niepełnoletnim dzieckiem?

Pokręciłam głową, czując, jak tracę oddech. To doznanie było mi już tak dobrze znane, że stało się wręcz częścią mnie, zapisało się w pamięci mojego organizmu na zawsze.

Mój syn, najmilszy i najbardziej nieszkodliwy człowiek na świecie – jest uznawany za prawdopodobnego zabójcę swojej najlepszej przyjaciółki. To po prostu nie mieściło się w głowie. W krytycznej sytuacji każdy byłby zdolny uciec się do przemocy, pomyślałam. Każdy – Olof, Gabriel, a nawet Harry – ale *nie* David.

Wciąż miałam przed oczami jego chude, blade ciało. Przypominałam sobie jego miłość do literatury, zainteresowanie polityką, religią, filozofią. To, jak bardzo lubił godzinami dyskutować, staczać – i zwykle wygrywać – intelektualne pojedynki. Pamiętam, jak jako dziecko siedział i rysował, tworzył za pomocą kredek własne światy na papierze, światy, do których potem się przenosił, zamiast bawić się z rówieśnikami. Jakby rzeczywistość dookoła była nie dość ekscytująca, za mało wymagająca – idea istnienia wydawała mu się ciekawsza niż samo istnienie, sam obraz fascynował go bardziej niż to, co przedstawiał.

Potem próbowałam skupić się na drugiej myśli – gdy szczupłe palce Davida obejmują szyję Bonnie.

Nie udawało się, to było całkowicie niemożliwe.

Gabriel, który siedział w milczeniu, opróżnił kieliszek i popatrzył przez okno. Potem odchrząknął – myślałam, że coś jednak powie, ale sięgnął po butelkę wina i znowu sobie nalał.

– Chodzi o to... – zaczęłam, lecz nie zdołałam dokończyć zdania, ponieważ słowa utknęły za wielką gulą rosnącą mi w gardle.

Tuss położyła rękę na mojej dłoni, ścisnęła ją lekko.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością.

– Chodzi o to, że on jest bardzo wrażliwy – wyszeptałam. – Tak cholernie wrażliwy. Boję się, że sobie tam nie poradzi.

W przedpokoju rozległy się kroki i sekundę później do pokoju wszedł Harry ubrany w strój treningowy. Na widok Olofa i Tuss zatrzymał się w pół kroku, wsunął ręce do

kieszeni spodni Adidasa i uniósł nieco brodę.

– No tak – bąknął.

Olof skinął mu głową.

– Cześć, Harry – odezwała się Tuss. Następnie podeszła do niego i go przytuliła.

Najpierw stał sztywny jak kłoda, pozwalając się objąć czarnowłosej kobiecie w sukience w cętki i w czerwonych conversach. Po chwili z ociąganiem położył jedną rękę na jej ramieniu, jakby mimo wszystko postanowił jednak poddać się tej nagłej i może nieco przesadnej manifestacji czułości.

Potem Tuss wróciła do stołu, wygładziła sukienkę i usiadła.

– Idę pobiegać – poinformował Harry.

– Jasne. Kolacja będzie za jakąś godzinę – powiedziałam.

– Okej – rzucił i zniknął.

Drzwi wejściowe się zatrzasnęły, a kroki oddaliły się w błękitnym półmroku.

– Jak on się trzyma? – spytał Olof.

Gabriel parsknął oschłym, pozbawionym radości śmiechem.

– Z Harrym nigdy nie wiadomo – rzekł.

– On wszystko nosi w środku – uzupełniłam.

– Aha – bąknęła Tuss, jakby właśnie zrozumiała coś ważnego, i zaraz zamilkła.

Olof rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Chyba będziemy się zbierać – oznajmił, wkładając fajkę do kieszeni. – Ale w razie czego, gdybyście czegoś potrzebowali, dawajcie znać. A ty, Lykke, nie powinnaś teraz myśleć o pracy. Tuss chętnie zaopiekuje się twoimi autorami.

– Och, nie wiem – zaczęłam. – Chyba powinnam jednak trochę popracować. Inaczej naprawdę zwariuję.

Olof pokiwał głową.

– Zdecyduj sama.

– Chcę przygotować maszynopis Alego Hizamiego do druku. Mogłabym dokończyć redakcję, jest już prawie gotowa – powiedziałam.

Nie wspomniałam, że podobno Ali zachowuje się ostatnio dziwniej niż zwykle i że w związku z tym mam poważne obawy, czy którykolwiek z pozostałych redaktorów sobie z nim poradzi.

Olof znowu skinął głową, zdjął okulary i mrużąc oczy, spojrzał na brudne szkło ze zdeorientowaną miną, ale zaraz założył je z powrotem, nawet nie próbując zetrzeć tłustej plamy.

– A później mogłabym popracować nad nowym dziełem Theodora Bromana – ciągnęłam.

Theodor Broman był naszym najlepiej sprzedającym się autorem kryminałów. Odnosił ogromny sukces dwiema pierwszymi książkami: *Zabójcza przemoc* i *Niezamierzone*. Jego agent – przedstawiciel nowszej i bardziej agresywnej generacji w branży, z niezawodnym nosem do thrillerów z potencjałem – zapewnił wydawnictwu Forss & Stierna wielomilionowy kontrakt na szereg tomów. Ponadto książki zostały sprzedane do ponad dwudziestu krajów, a prawa do ekranizacji nabyła znana spółka producencka.

Wszyscy zatem byli zadowoleni, nie tylko sam Theodor, który szybko zrezygnował z posady szefa marketingu w firmie informatycznej, ogolił się na łyso, rozwiódł po dwunastu latach małżeństwa i kupił sobie mieszkanie w Barcelonie.

A potem coś – nie wiadomo co – się stało.

Jakby nagle uszło z niego powietrze.

Oczywiście nadal żywo interesował się swoimi finansami – kilka razy w tygodniu dzwonił do działu handlowego wydawnictwa, żeby omówić wyniki sprzedaży i kampanie promocyjne – ale z samym pisaniem, istotą twórczości, szło mu coraz gorzej. Trzecia książka *Nieznany sprawca*, która miała ugruntować jego pozycję jako jednego z najważniejszych skandynawskich autorów kryminalnych, jakoś wciąż nie mogła zostać ukończona.

Wyjaśnień, a właściwie wymówek mu nie brakowało: nie wpadł na odpowiednią story, nie przemawiały do niego postacie, no a poza wszystkim innym miał coraz mniej czasu – przecież jego konta w mediach społecznościowych nie prowadzą się same, mieszkanie w Barcelonie zostało zalane i wymagało remontu, a była żona postanowiła go pozwać.

Co więcej, pieniądze, które otrzymał z góry za trzy pierwsze książki, już się wyczerpały i teraz musiałyby, jak to określił, napisać trzecią książkę „za darmo”. Zupełnie jakby zapomniał, że wypłacone mu zaliczkowo honorarium zostało zamienione na dwupokojowe mieszkanie z widokiem na słynną La Ramblę oraz na niezliczone wizyty w restauracjach z gwiazdkami Michelina.

– Proszę bardzo – odparł z naciskiem Olof. – Weź sobie Theodora. Każdy z nas będzie szczęśliwy, jeśli się od niego uwolni.

Skrzywił się, a zaraz potem wymamrotał:

– Jeżeli wydobędziesz od niego maszynopis przed końcem roku, dostaniesz nieprzyswoicie wysoką premię.

Z ogrodu dobiegły kroki, chwilę później otworzyły się drzwi wejściowe i do kuchni wszedł Harry. Miał rozbiegany wzrok, a jego usta otwierały się i zamykały.

– Zdaje się, że chciałeś pobiegać? – spytałam.

– P... p... pol...

W jego twarzy dostrzegłam dziwną mieszaninę strachu i niedowierzania.

– Policja p...p... przy... przyjechała.

– Co takiego?

Wyszłam z kuchni do przedpokoju i wyjrzałam przez okno.

Harry miał rację – policyjny radiowóz zatrzymał się przed furtką i dwoje funkcjonariuszy szło w kierunku domu – sylwetki kobiety i mężczyzny w mundurach rysowały się wyraźnie na tle czerwieniejącego wieczornego nieba. Za nimi dostrzegłam jeszcze dwie postacie.

Wróciłam do kuchni i położyłam ręce na ramionach Harry’ego.

Dygotał.

– Spokojnie – powiedziałam. – Nie ma się czym niepokoić. Pewnie chcą tylko zadać jakieś pytania.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Gabriel poszedł otworzyć. Do kuchni dotarły strzępy ściszonej rozmowy, usłyszałam jedynie „prokuratorka” i „natychmiast”. Po chwili Gabriel wrócił, jego twarz była biała jak prześcieradło. Utkwił we mnie wzrok, jakby za pomocą swoich ciemnych oczu próbował mi przekazać jakąś wiadomość bez słów.

Zaraz za Gabrielem weszli Manfred Olsson i Pirjo Lundquist w asyście pary policjantów w mundurach.

Manfred wyjął jakieś papiery, podczas gdy Pirjo powiodła spojrzeniem po wszystkich po kolei i zatrzymała je na Harrym.

– Nie – powiedziałam. – Nie.

– Harry Andersenie – odezwał się Manfred. – Jesteś podejrzany o popełnienie zabójstwa i na mocy decyzji prokuratora zostajesz aresztowany.

*

Tak. Wszystko zaczynało się od dzieci i na nich się kończyło – bo kim byłam bez nich? Przecież to ich istnienie mnie definiowało.

Kiedy tamtego wieczoru policja zabrała Harry’ego, coś we mnie pękło. To było bardzo wyraźne i bardzo fizyczne doznanie, jakby gdzieś w ciele rozerwała się jakaś membrana czy pękło naczynie krwionośne. Osunęłam się na podłogę, przekonana, że zaraz naprawdę umrę.

Tuss natychmiast znalazła się przy mnie, przytuliła mnie, szepnęła mi do ucha słowa pocieszenia i pomogła mi się podnieść.

Rozejrzałam się bezradnie dookoła: Olof siedział na krześle, patrząc przed siebie, Gabriel stał w kącie i gapił się tępo z otwartymi ustami, niezdolny zatrzymać katastrofę, która się działa.

– Przecież nie możecie tak po prostu zabrać go ze sobą! – zwróciłam się do Manfreda. – On nic nie zrobił.

– Taka jest decyzja prokuratury.

Wybuchłam płaczem, powrócił skurcz w klatce piersiowej, który pierwszy raz pojawił się po zatrzymaniu Davida, a teraz stał się moim stałym towarzyszem.

To niemożliwe, pomyślałam. To, do cholery, niemożliwe, że to znowu się dzieje.

– Czyli teraz wypuścicie Davida? – zdołałam wykrztusić między spazmami.

Manfred rzucił szybkie spojrzenie na swoją koleżankę, a potem zerknął w papiery.

– Nie – odparł. – David Andersen też pozostanie w areszcie.

I tyle.

Obaj moi synowie byli podejrzani o zabójstwo.

Manfred

Obecnie

Podnieś krzesło – mówię. – I usiądź na nim. Inaczej wezwę strażnika.

Lykke opuszcza ramiona, poprawia więzienną bluzę i spogląda na mnie. Duże sinoczerwone plamy na szyi wydają się większe i sięgają już obojczyka.

Podnosi krzesło, które przewróciła, i siada. Kładzie dłonie na udach i wbija wzrok w podłogę. Krótkie, rozjaśniane włosy wyglądają na nieświeże. Na samym czubku głowy widać ciemne odrosty.

Próbuję ocenić sytuację, określić, czy ona stanowi dla mnie zagrożenie. Wprawdzie ta chuda kobieta naprzeciwko jest oskarżona o popełnienie morderstwa, sprawia jednak wrażenie, jakby się uspokoiła.

Afsaneh zwykle jest na mnie zła, kiedy już po czasie opowiadam jej o tego rodzaju sytuacjach, uważa bowiem, że narażam nie tylko własne bezpieczeństwo, ale także przyszłość jej i Nadji. Nie mogę mieć o to do niej pretensji, bo nie jest łatwo być żoną policjanta, który codziennie ma kontakt z niezrównoważonymi i agresywnymi ludźmi.

Jednak to część mojej pracy.

Zależy mi na tym, żeby dotrzeć do Lykke, a istnieje na to tylko jeden sposób: wycofać się i spróbować wypracować jakiś konsensus.

– Rozumiem, że to musiał być ciężki czas dla ciebie i dla twojej rodziny – mówię. – Obaj twoi synowie w areszcie, to na pewno...

– Nic nie rozumiesz – przerywa mi.

– Czego według ciebie nie rozumiem?

– Zwróciłeś moich synów przeciwko sobie. Okłamywałeś ich i manipulowałeś nimi.

Nie spieszę się z odpowiedzią, jestem bowiem świadom, że powinienem starannie dobierać słowa zarówno dlatego, że wciąż mam nadzieję na zdobycie jej zaufania, jak i – nie przeczę – z tego powodu, że rozmowa jest nagrywana.

– Wykonywałem swoją pracę.

Podnosi głowę i spogląda na mnie. Jej twarz jest obojętna, spojrzenie puste.

– Nieprawda – mówi spokojnie. – Kłamałeś i wiesz, że to było złe.

Milczę. Nic, co mógłbym powiedzieć, nie uśmierzy jej bólu ani nie poprawi mojego wizerunku w jej oczach.

– I nie przestrzegaliście obowiązujących zasad i przepisów – kontynuuje. – Wiesz równie dobrze jak ja, że przy przesłuchiowaniu nieletnich należy zachować szczególne względy. Że podejrzani i ich obrońcy mają prawo dostępu do materiałów ze śledztwa.

I że rodzice oraz przedstawiciel opieki społecznej powinni być obecni przy każdym przesłuchaniu.

Jej zarzuty wzbudzają we mnie irytację. One oraz poczucie, że zaczynam tracić kontrolę i że całe to przesłuchanie nie doprowadzi do niczego.

– To bzdura – ripostuję, być może trochę za ostro. – Zasady, o których mówisz, niekoniecznie dotyczą ciężkich przestępstw, zwłaszcza gdy omawiane są informacje wrażliwe. I na pewno masz tego świadomość, skoro jesteś już tak odczytana w temacie.

Puszcza mój komentarz mimo uszu.

– A ty wiesz, *wiedziałaś* – mówi – że nie mieliście prawa kłamać, przejawiać ani zatajać istotnych informacji podczas przesłuchania.

Zalega cisza.

Patrzy na mnie, niemal błagalnie. Jej niebieskie oczy nagle robią się wyraziste, a w rysach odbija się ból.

– A może chcesz mi powiedzieć, że ani razu nie przesadziliście? – pyta tak cicho, że niemal nie słyszę. – I że ani razu podczas przesłuchań nie pominęliście istotnych informacji, i że na bieżąco przekazywaliście pełnomocnikom chłopców wszystko, co ustalono?

Wstaję.

– Skończyliśmy – oznajmiam. – Nie mam nic więcej do powiedzenia.

*

Później.

Leżę w łóżku obok Afsaneh.

Nadja śpi – Afsaneh była z nią przez cały dzień w parku, a potem wpadła Alba i piekły razem ciasteczka. Najwyraźniej to musiał być nadmiar wrażeń dla małej, bo zaraz po kolacji zasnęła jak suseł na podłodze w swoim pokoju. Nawet nie zdążyłem poczytać jej o Fizi Pończoszance.

Afsaneh odwraca się do mnie, wyciąga rękę i dotyka mojego policzka. Płynące z jej dłoni ciepło rozlewa się po mojej twarzy.

– Czyli po prostu wyszedłeś? – pyta.

– Nie było nic więcej do powiedzenia.

– Ale przecież nawet nie zacząłeś prawdziwego przesłuchania.

Biorę ją za rękę i splatam palce z jej palcami. Potem całuję ją w grzbiet dłoni, która pachnie mydłem.

Wzdycha.

– Mogłeś chociaż spróbować, w tej sytuacji jutro też nie wyjedziemy.

Nie odpowiadam.

Afsaneh ma rację. Bodil już poleciła mi przesłuchać Lykke nazajutrz rano. A wynajęty domek na wyspie – za który zapłaciliśmy ciężkie pieniądze – stoi pusty i czeka na nas.

– Swoją drogą, dlaczego to jest takie trudne? – pyta mnie.

Zwlekam chwilę z odpowiedzią. Myślę o tamtej jesieni sprzed wielu lat, o swoim pustym mieszkaniu, o spoconym ciele Pirjo na moim, o łaskotaniu między palcami, gdy jej loki prześlizgiwały się przez nie.

– Bo ona, Lykke Andersen, w zasadzie oskarżyła mnie o wykroczenie służbowe. Uważa, że podczas przesłuchań kłamałem.

Afsaneh ziewa.

– A kłamałeś? – pyta.

Manfred
Osiem lat wcześniej

Tamtego ranka obudziłem się pierwszy.

Pirjo leżała obok, nakryta do pasa i z jedną ręką wdzięcznie ułożoną za głową. Patrzyłem na nią: chłonałem widok gładkiej, jasnej skóry, niedużych piersi i przepełnionej spokojem twarzy. Potem przybliżyłem dłoń ku bliźnie na klatce piersiowej – pamiętce po wypadku na nartach w dzieciństwie – i zatrzymałem palce centymetr powyżej. Powiodłem nimi w powietrzu wzdłuż nierównych konturów, policzyłem szwy.

Po chwili Pirjo westchnęła i delikatnie zmarszczywszy czoło, otworzyła oczy, jakby wyczuła mój wzrok.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– A jest dobry? – spytała z uśmiechem, mierzwiąc mi włosy.

Od kilku tygodni spała u mnie prawie co noc i dzięki temu pustka w dużym mieszkaniu nie była już tak dojmująca, chociaż także ona – podobnie jak Alba – uważała, że powinienem się trochę postarać, żeby zrobiło się w nim przytulniej. Zasugerowała, że na przykład w Ikei są świetne i niezbyt drogie meble, które mógłbym kupić.

Nie miałem nic przeciwko meblom z Ikei, po prostu odkąd Pirjo zaspokoili mój głód dotyku, kwestia urządzenia domu wydawała mi się już nieważna. Po raz pierwszy od odejścia Beatrice poczułem się w miarę kompletny. Ponadto śledztwo wkroczyło w intensywną fazę – aresztowano Harry’ego Andersena i właśnie dziś mieliśmy rozpocząć jego przesłuchania, które powinny doprowadzić do rozwiązania sprawy. Przynajmniej na to liczyliśmy.

Pochyliłem się nad nią i pocałowałem jej wąskie i nieco wyschnięte usta.

Wsunęła czubek języka między moje wargi, ale niemal zaraz go cofnęła.

– Która godzina? – spytała.

– Mamy czas – odpowiedziałem i pocałowałem ją znowu.

Zatrzymałem się dwie przecznice od komendy. Pirjo zachichotała i rzuciła mi szelmowskie spojrzenie. Potem wysiadła, posłała mi jeszcze buziaka i ruszyła przed siebie.

Patrzyłem na jej przygarbioną postać ze sfatygowanym plecakiem na ramionach oddalającą się Norr Mälarstrand i mającą słońce na plecach. Suche liście wirowały

wokół jej stóp w topornych, ergonomicznych butach. Jakie to proste, jakie oczywiste i jak nieskończenie wyzwalające zakochać się na nowo.

Zaparkowałem w garażu, wjechałem windą na górę, przyniosłem sobie kawę z ekspresu, wziąłem notes i poszedłem do salki konferencyjnej.

Sture, Nathalie i Susanne byli już na miejscu.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Ktoś jeszcze ma ochotę na kawę?

Sture posłał mi długie spojrzenie.

– Co z tobą, bzykałeś się z kim czy co?

Roześmiałem się, a przynajmniej spróbowałem, chociaż poczułem się trochę zszokowany, jak blisko był prawdy.

Nathalie i Susanne pokręciły głowami i tylko się uśmiechnęły.

Sekundę później do salki weszła Pirjo z tekturową teczką pod pachą.

– Cześć – rzuciła i nie patrząc w moją stronę, usiadła u szczytu białego laminowanego stołu.

Sture podniósł się z krzesła, wcisnął pięści do kieszeni i zrobił kilka kroków po pokoju. Potem stanął plecami do nas i zaczął przyglądać się osi czasu na białej tablicy i przyklejonym do niej zdjęciom.

– Mamy *jedną* szansę na rozwiązanie tej sprawy – powiedział. – Jedną szansę.

Powoli obrócił się do nas.

– Dacie radę? – spytał.

– Damy – odpowiedziałem.

– To dobrze, a co z logistyką?

– Zarezerwowaliśmy dwa pokoje przesłuchań – włączyła się Pirjo. – Leżą blisko, ale nie na tyle, aby podejrzani lub ich adwokaci mogli na siebie wpadać. Obrońcy są wezwani, przyjdą około dziewiątej. Zaczynamy, jak tylko się pojawią, i pracujemy tak długo, jak będzie trzeba. Mamy... – spojrzała na zegarek – czas do dwudziestej pierwszej. Oczywiście z godzinną przerwą dla nich na lunch.

Przepisy ściśle określają, jak długo wolno przesłuchiwać podejrzanych, a w tym przypadku, ponieważ nasi mieli więcej niż piętnaście lat, górna granica wynosiła sześć plus sześć godzin dziennie.

– Ja z Pirjo będziemy przesłuchiwać Davida i Harry’ego na przemian – uzupełniłem.

– Miejmy nadzieję, że od jednego uzyskamy informacje, które dadzą się wykorzystać podczas rozmowy z drugim.

– A pomiędzy wpadnę też ja, żeby nie rozmawiali za dużo z obrońcami – wtrąciła Nathalie.

– Urząd opieki społecznej trzymamy z daleka? – spytałem.

– Ma się rozumieć – potwierdził Sture. – Barchanowa wiedźma z socjalu to ostatnia rzecz potrzebna nam w pokoju przesłuchań.

Pirjo zerknęła na mnie przelotnie i dyskretnie uniosła brew.

– Ja tego nie słyszałam – odezwała się Susanne. – Ale z drugiej strony przestępstwo jest poważne, a śledztwo znalazło się w tak wrażliwej fazie, że wyłączenie zarówno opieki społecznej, jak i rodziców jest uzasadnione.

– Dobra – powiedział Sture, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. – Przyskrzynimy drania, który to zrobił.

Uniósł rękę i wskazał na zdjęcie Bonnie Högberg. Takie samo jak to, które stało na kuchennym stole w jej rodzinnym domu – uśmiechniętej dziewczyny w letniej sukience, na której jednym ramieniu ciężko i pewnie spoczywała nie wiadomo czyja ręka.

– Miała siedemnaście lat – dodał. – Zasługuje na sprawiedliwość. Dajmy jej to dzisiaj.

Zaczęliśmy od Harry'ego – równie dobrze mogliśmy wziąć na pierwszy ogień Davida, ale wydawało nam się najbardziej naturalne, żeby zacząć od jego brata, ponieważ nie rozmawialiśmy z nim od krótkiego, wstępnego przesłuchania, kiedy został poinformowany, że jest podejrzany o popełnienie morderstwa.

Davida natomiast przepytывaliśmy już niezliczoną ilość razy, co nie doprowadziło do żadnych rezultatów.

Gdy weszliśmy, Harry siedział skulony na krześle ze wzrokiem utkwionym w podłogę, ciemne włosy zasłaniały mu twarz.

Obok niego siedział jego obrońca Isak Saxon – szczupły czterdziestolatek o szpakowatych włosach i ze starannie przystrzyżoną brodą. Przypuszczałem, że mógł podobać się kobietom, miał bowiem tak samo znudzony wygląd jak mężczyźni z reklam wody po goleniu.

– Harry – zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami zaczęła Pirjo. – Co wydarzyło się tamtej nocy nad jeziorem?

– Nic – wymamrotał chłopak, wciąż ze spuszczoną głową.

– Coś chyba musiało się wydarzyć. Ty, David i Bonnie byliście tam co najmniej przez dwie godziny.

Wzruszył ramionami.

– Co robiliście?

– Nic specjalnego.

– To znaczy?

Harry przekrzywił głowę i obrzucił Pirjo szybkim spojrzeniem spod grzywki.

– Nie pamiętam. Siedzieliśmy na pomoście i chyba gadaliśmy. Chillowaliśmy.

– Przez cały czas?

Poprawił się na krześle.

– Nie pamiętam.

– W jaki sposób Bonnie znalazła się w wodzie?

Zaległa cisza. Harry spojrzał na Isaka, który wpatrywał się w leżącą przed nim stertę papierów.

– Nie wiem – odpowiedział. – Pewnie po prostu wskoczyła.

– *Widziałeś*, jak wskoczyła?

Głos Pirjo był spokojny, nic w jej zachowaniu nie zdradzało, jak ważne jest dla nas to przesłuchanie.

– Nie.

Włączyłem się:

– No chyba nie chcesz nam wmówić, że zapomniałeś wszystko, co działo się w czasie tamtych dwóch godzin?

Nie odpowiedział.

Pirjo lekko dotknęła mojej nogi.

– To jest twój tiszert – rzekła, kładąc na stole zdjęcie zakrwawionego podkoszulka Harry’ego. – Jak wspomnieliśmy podczas przesłuchania wstępnego, znaleziono na nim krew Bonnie. Jak możesz to wyjaśnić?

– Skaleczyła się kapslem od piwa. Próbowaliśmy, to znaczy ona próbowała otworzyć butelkę bez otwieracza.

– Wczoraj o tym nie wspomniałeś.

– Przy... przypomniałem sobie teraz. A właściwie dziś rano, jak się obudziłem.

– Okej. A w jaki sposób jej krew znalazła się na twoim tiszercie?

Harry westchnął i przeczesał dłonią włosy, zakładając je za jedno ucho.

– Tańczyliśmy. I może wtedy krew dostała się na podkoszulek. Nie wiem.

Zakląłem w duchu. Jeżeli tańczyli i Bonnie położyła skaleczoną prawą dłoń na jego lewym ramieniu, tiszert rzeczywiście mógł się ubrudzić.

– Czy ktoś jeszcze widział, kiedy ona się skaleczyła? – spytałem.

– Nie wiem.

Pirjo znów dotknęła mojej nogi, lekkie stuknięcie, które można było zrozumieć tylko w jeden sposób.

– Gdzie się znajdowaliście, gdy Bonnie się zraniła? – spytała, nieco pochylając się do przodu.

Harry oparł łokcie na stole.

– Nad wodą.

– Czyli David też to widział?

Poruszył się na krześle.

– Raczej nie.

– Ale przecież mówiłeś, że byliście nad wodą we trójkę.

– Naprawdę nie pamiętam. Może jego akurat w tym momencie nie było.

Isak zanotował coś w swoich papierach.

– Słuchaj, Harry – odezwałem się. – Jakoś tego nie kupuję.

Spojrzał na mnie, ale szybko spuścił wzrok.

– Czego?

– Tego, że nic nie pamiętasz. Jesteś na wskroś zdrowym siedemnastolatkiem, a nie starcem z demencją.

– N...n...no to już p... p...pana problem.

Zirytowałem się na siebie, bo moja uwaga była zbędna i niezbyt konstruktywna, wkurzało mnie jednak, że ten smarkacz siedział przede mną i emanował czymś, co mogłem odczytać wyłącznie jako totalną obojętność wobec tego, co się stało z Bonnie Högberg.

Przed moimi oczami znowu pojawiła się Alba.

To mogłaby być ona, pomyślałem. Co bym zrobił, gdyby ten chłopak zamordował moją córkę?

– Nie rozumiesz, do cholery – zacząłem – że nie pomożesz ani sobie, ani Davidowi, ani Bonnie, jak będziesz tu siedział i ściemniał?

Isak oderwał wzrok od swoich papierów, skrzyżował ręce na piersi i przyjrzał mi się z dystansem. Gotów lada sekunda zaprotestować, wiedziałem o tym.

Pochyliłem się w przód, unosząc wysoko dwa palce.

– *Wiemy*, że jeden z was dwóch, ty albo twój brat, zabił Bonnie – powiedziałem. – Możemy to udowodnić. Przez całą noc byliście z nią sami w domku. Kiedy kładliście się spać, ona żyła, a nad ranem jeden z was ją udusił.

Chłopak milczał i jeszcze bardziej skulił się na krześle.

– A jej krew znalazła się na twoim tiszercie – kontynuowałem.

– Ale prze...przecież mówiłem...

– Dostyc już tych bzdur. Wiem, że lubiłeś Bonnie, nie tylko jako koleżankę. Gdy David zasnął, poszedłeś do niej. Próbowałeś uprawiać z nią seks. Kiedy nie chciała, wepchnąłeś jej do ust tamtą koszulę, żeby ją uciszyć. A potem ją udusiłeś.

– Nie – krzyknął i gwałtownie się wyprostował.

Oczy miał szeroko otwarte, a jego policzki pałały pod brązową opalenizną.

Isak uniósł ręce.

– Może powinniśmy się uspokoić – wtrącił.

Tylko że ja nie potrafiłem się uspokoić. Wstałem, nachyliłem się nad stołem, moja twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Harry’ego.

Spojrzelismy na siebie i on po raz pierwszy nie odwrócił wzroku. Utkwił swoje ciemne oczy w moich.

– To mogłeś być tylko ty albo David – wycedziłem.

– To nie byłem ja – szepnął. – To m...m...musiał być David.

Pirjo dogoniła mnie w połowie drogi do drugiego pokoju przesłuchań.

– Posłuchaj – rzekła, biorąc mnie pod rękę. – To było raczej niepotrzebne.

– Czyżby? Przecież on od początku do końca kłamał, chyba to zauważyłaś? Jak chcesz to rozwiązać? Zamierzasz wysłuchiwać tych jego bredni i nie reagować?

– Nie, ale... – Zawahała się i zaraz dodała: – Myślę, że więcej zyskamy, jeśli spróbujemy zdobyć jego zaufanie.

Prychnąłem.

– Przestań być tak cholernie naiwna – rzuciłem.

Nic nie powiedziała.

David Andersen wydawał się bardziej opanowany niż Harry, prawdopodobnie po licznych i długich przesłuchaniach już się trochę zahartował. Jego obrończyni Jessica Sund natomiast wyglądała na zmęczoną i rozdrażnioną. W przypadku adwokatów nigdy jednak nie wiadomo – równie dobrze mógł to być z jej strony znak mający na celu przekazanie nam, jak bezcelowe są nasze wielogodzinne przesłuchania.

Zaczęła Pirjo, zadając te same pytania co Harry'emu o to, co we trójkę robili nad wodą, i uzyskała identyczną odpowiedź.

David nie pamiętał. Nie przypominał sobie także, aby Bonnie skaleczyła się w rękę kapslem.

– Harry twierdzi, że Bonnie się zraniła, próbując nad jeziorem otworzyć butelkę piwa.

– Może – odparł chłopak. – Ale ja tego nie widziałem.

Znowu ogarnęła mnie irytacja, nie potrafiłem nad nią zapanować.

– Jak to możliwe – włączyłem się – że zarówno ty, jak i Harry nagle zostaliście dotknięci tak gigantycznym zanikiem pamięci, że nie pamiętacie *jakichkolwiek* ważnych szczegółów z nocy, gdy została zamordowana Bonnie?

David wzruszył wąskimi ramionami.

– Było późno, trochę wypiliśmy. I nic szczególnego się nie działo. Po prostu spędzaliśmy razem czas.

Jessica Sund wydawała się zadowolona. To była właściwa odpowiedź, przynajmniej z perspektywy Davida. Nie ulegało wątpliwości, że przewyższał swojego brata błyskotliwością.

– *Wiemy*, że jeden z was zabił Bonnie – oznajmiłem. – Nikogo poza wami nie było w domu.

– A skąd to wiecie?

Chłopak przeniósł wzrok ze mnie na Pirjo i w końcu spojrzał na obrończynię. Ta skinęła głową z aprobatą i poprawiła swój blond kucyk.

– Drzwi były zamknięte od wewnątrz – odparłem. – I okna też.

David przesunął się na krześle.

– To niczego nie dowodzi – rzekł i położył dłonie na stole. – Tylko dlatego, że nie znaleźliście żadnego technicznego dowodu potwierdzającego, że ktoś inny dostał się do środka, wcale nie musiało tak być. Nie da się udowodnić, że coś *nie* istnieje. Albo że coś się *nie* zdarzyło.

– To dowodzi, że ty albo Harry zabiliście Bonnie.

– Nie – odparł stanowczo David. – Każda hipoteza musi być falsyfikowalna. Gdyby pan trochę poczytał o teorii nauki, wtedy by pan to wiedział. Tak czy inaczej, to do pana i do prokuratury należy udowodnienie, że zrobił to jeden z nas. No, proszę!

Ty mały mądrało, pomyślałem, czując, jak serce przyspiesza mi w piersi. Ty zadufany gówniarzu. A potem pomyślałem o Bonnie Högberg, o zdjęciu stojącym obok zapalanej świeczki na kuchennym stole w jej rodzinnym domu. O czerwonych od płaczu oczach jej matki i stężonej twarzy ojca, i jego brudnych palcach obracających obrączkę.

– Harry uważa, że to musiałeś być ty – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem.

David zamarł. Zaciśnął pięści, a jego i tak blada twarz jeszcze bardziej pobieleła.

– Co takiego?

To właśnie było to, czego szukaliśmy. Szczelina, którą można poszerzyć, rozepchnąć, rozwiąć, aby zrobić wyrwę i naruszyć milczące porozumienie, najwyraźniej wcześniej uzgodnione przez braci.

Spojrzałem na swoje notatki z przesłuchania Harry’ego – jeszcze nie zostały przepisane.

– Powiedziałem twojemu bratu, że to mogliście być tylko on albo ty – kontynuowałem. – I wtedy on oświadczył...

Zrobiłem sztuczną pauzę, następnie zaznaczyłem w powietrzu znak cudzysłowu i dokończyłem:

– To musiał być David.

Chłopak spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– To nieprawda. Nigdy bym nie skrzywdził Bonnie. I Harry to wie.

Powoli pokręciłem głową.

– Wygląda na to, że w to nie wierzy.

David milczał, błędząc wzrokiem między mną a Pirjo. Zakaszłał, po czym sięgnął po inhalator stojący przy szklance z wodą i zrobił głęboki wdech.

– Kłamiecie – odezwał się po chwili, lecz nie brzmiał już tak pewnie.

– Mylisz się – wtrąciła Pirjo. – Harry naprawdę powiedział, że to musiałeś być ty.

Dosyć długo siedział w milczeniu, splatając swoje chude palce. Potem skrzywił się i spojrzał na ścianę.

– Może to był Harry – rzekł.

– Dlaczego tak uważasz? – spytała Pirjo.

– Był w niej jakby zakochany. Widziałem, jak całował ją na pomoście. A on w razie czego potrafi się nieźle wkurzyć.

– Chcesz powiedzieć, że jest agresywny? – dociekała Pirjo.

Wzruszył ramionami.

– Czasem.

David mówi, że kochałeś się w Bonnie. To prawda? – zapytałem.

Po raz drugi w ciągu trzech godzin zmieniliśmy pokój. Kiedy my przesłuchiwaaliśmy Davida, Nathalie rozmawiała z Harrym, a teraz znów miało być odwrotnie.

Czułem się podekscytowany, bo pierwszy raz od rozpoczęcia śledztwa odnotowaliśmy postęp, i nie zamierzałem pozwolić, aby David i Harry się nam wywinęli, kiedy cel wydawał się w zasięgu ręki.

Pirjo była zła, co prawda w pokoju przesłuchań nie dała tego po sobie poznać, ale w przerwie wzięła mnie na bok i oznajmiła, że obrałem zbyt ostry kurs.

Uważałem, że jest za miękka i za łatwo się wzrusza, co powiedziałem jej wprost.

Pamiętam naszą rozmowę podczas pierwszego wspólnego wieczoru, kiedy usłyszałem od niej, że jestem zbyt surowy dla siebie i dla innych. Odpowiedziałem jej wtedy, że trzeba rozróżniać sprawy i osoby, ona jednak nie wyglądała na przekonaną.

W mojej piersi narastał dręczący niepokój – nie dlatego, że zgadzałem się z opinią Pirjo, według której podczas przesłuchania byłem przesadnie twardy, ale z obawy, czy ona ze mną wytrzyma.

Spojrzałem na Harry'ego. Siedział z łokciami opartymi na stole i grzebał przy paznokciach.

– Kochałeś się w Bonnie? – powtórzyłem pytanie.

– Lubilem ją – przyznał.

– David mówi, że wtedy nad jeziorem ją całowałeś.

– Słucham?

Skinąłem głową.

– Nie przesłyszałeś się. Twój brat twierdzi, że całowałeś Bonnie na pomoście.

Chłopak nabrał powietrza i nieco się wyprostował.

– Ja... – zaczął, ale zaraz zamilkł.

– Całowałeś ją? – nalegałem.

– No więc. Tak. Okej. P...p...pocałowałem ją. Albo wła...wła...właściwie to ona mnie pocałowała.

Był wyraźnie poruszony.

– Rozebraliście się?

Otworzył szeroko oczy.

– Nie! Po co mie...mielibyśmy to...

Nie dokończył zdania.

– Bonnie miała na tułowiu wiele śladów po ukąszeniu komarów – powiedziałem. – Mimo że była ubrana w sweter z długim rękawem. Jeśli zdjęliście ubrania nad jeziorem, to wyjaśniałoby, skąd te uządlenia.

Harry pokręcił głową.

– David twierdzi poza tym, że niekiedy bywasz agresywny.

– N...n...nie. T...t...to on. On p...p...pierwszy...

– Gadaj tak, żebyś cię rozumiał – przerwałem mu.

– Manfred – szepnęła Pirjo.

Isak Saxon upuścił długopis na stół.

– Wystarczy – oznajmił. – Tego rodzaju atak na mojego klienta jest nie do zaakceptowania. Poza tym już pora na przerwę.

Ale Harry uniósł rękę.

– On, D...D...David próbował mi prz... prz... przyłożyć, kiedy n...n...nas zobaczył.

– Próbował cię pobić, kiedy zobaczył, jak się całujecie? – spytała Pirjo.

Chłopak potaknął.

– Tak. Ale Bo... Bonnie nas ro...ro... rozdzieliła. I n...n...niechcący zo...zo...została po... po...popchnięta, i wpadła do w...w...wody. Wtedy ska...ska...skaleczyła się w rękę.

Przerwę w przesłuchaniach spędzaliśmy w salce konferencyjnej – przed każdym z nas stała sałatka w plastikowym pojemniku.

Pirjo skubała przezroczystą folię na wierzchu pudełka, ale wyraźnie nie zamierzała go otworzyć.

Sture i Susanne siedzieli naprzeciw nas.

– Powoli posuwamy się do przodu – powiedziałem. – Wygląda na to, że obaj kochali się w Bonnie. A David potwierdził, że widział brata i ją, jak całowali się na pomoście. Wtedy, prawdopodobnie powodowany zazdrością, zamierzył się na Harry'ego. Ponieważ Bonnie próbowała ich rozdzielić, została popchnięta i wpadła do wody. Wchodząc z powrotem po drabince, skaleczyła się w rękę.

– Dobra robota – odezwał się Sture. – Naprawdę dobra.

Pirjo milczała. Poprawiła duże okulary na nosie i spojrzała na mnie oskarżycielsko.

Susanne nabiła krewetkę na plastikowy widelec.

– Bądźcie ostrożni – powiedziała, zanurzając ją w pojemniczku z sosem Rhode Island. – Adwokaci z przyjemnością rozłożą później na czynniki pierwsze każde przesłuchanie i przeanalizują pod lupą wasze postępowanie.

Sture oparł się wygodnie na krześle.

– Jasne, jasne – rzucił, lekceważąco machając ręką. – Wszyscy to wiemy. Czego jeszcze nam brakuje? – zwrócił się wprost do prokuratorki.

Susanne odłożyła widelec i zwróciła wzrok na sufit.

– Wobec braku dowodów technicznych czegoś, co połączyłoby jednego z braci z popełnionym przestępstwem – zaczęła. – Innymi słowy: przyznania się. Ewentualnie zeznania jednego, które potwierdzałoby winę drugiego.

Tego popołudnia nie posunęliśmy się już dalej.

Harry jąkał się tak bardzo, że nie sposób było zrozumieć, co mówi, i z tego powodu musieliśmy dwukrotnie przerwać przesłuchanie. Nie ulegało wątpliwości, że czuł się wstrząśnięty, a także rozczarowany postawą Davida.

– Każdy, dokładnie każdy, u... u...uważa, że to ja z...z...zawsze jestem w...w...wszystkiemu winny. A David z...z...zawsze się jakoś wyłga – powiedział w którymś momencie.

Jeśli chodzi o Davida, jego pewna siebie postawa i mędrkowanie na temat mocy dowodów w pewnym momencie ustąpiły miejsca milczeniu i rezygnacji. Widać było także, że coraz trudniej oddycha, świszczało mu w tchawicy, a jego lapidarne odpowiedzi przerywały nieustanne ataki kaszlu.

– Harry ciągle wszystko psuje – wymamrotał. – Odkąd się urodził, wciąż musiałem ratować go przed samym sobą.

Oczywiście usiłowaliśmy wydobyć od każdego z nich przyznanie się bądź potwierdzenie, że widział albo słyszał, jak ten drugi rzucił się na Bonnie, ale nie uzyskaliśmy choćby namiastki czegoś takiego.

– Spałem – syknął David. – Nic nie słyszałem.

– Cały czas grała muzyka – powiedział Harry. – Nie m...m...mogłem usłyszeć, co robił brat.

*

Gdy tego wieczoru jechaliśmy z Pirjo do mnie, atmosfera była ponura.

– Powiedz coś – rzuciłem wreszcie, bo nie mogłem już znieść jej milczenia.

Popatrzyła na mnie bez słowa, przesunęła dłonią przez swoje loki i pociągnęła z butelki łyk coli, którą kupiła w kafeterii.

– Do jasnej cholery! – warknąłem i gwałtownie zahamowałem w zatoczce parkingowej. – Nie siedź taka nadęta.

Butelka w jej dłoni się zachybotła i brązowa zawartość rozbryzgała się na bluzce i džinsach.

– To nie było w porządku – odezwała się, próbując zetrzeć płyn z ubrania.

– Przepraszam.

Obróciła się powoli w moją stronę.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała, wskazując na swoje brudne spodnie. – Chodzi mi o twoje dzisiejsze zachowanie.

Westchnąłem i zacząłem ustawiać samochód w zatoczce.

– A ty nadal swoje.

– A dlaczego miałabym odpuścić? Zachowywałeś się jak dupek.

– Ja? To ci dwaj smarkacze odebrali życie siedemnastoletniej dziewczynie.

– *Któryś* z nich odebrał życie siedemnastoletniej dziewczynie – poprawiła mnie.

Wyjąłem kluczyk ze stacyjki i wysiadłem z auta.

– Masz zamiar tu zostać?

Wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi. Następnie wzięła swój plecak i stanęła na chodniku.

Szliśmy do wejścia w milczeniu. Wokół gęstniała ciemność jesiennego wieczoru, zaczęła padać rzadki deszcz. Sterty mokrych liści leżały w rynsztoku i błyszcząły w blasku ulicznych latarni.

Kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu, Pirjo dokładnie przyjrzała się w świetle żyrandola swojej bluzce i džinsom.

– Szlag – bąknęła i zaczęła rozpinać guziki.

– Jeszcze raz przepraszam.

– Nie obchodzą mnie plamy. Nie w tym rzecz.

Cisnęła bluzkę na podłogę i odsunęła zamek błyskawiczny w džinsach.

– To w czym?

Zrzuciła spodnie.

– Już ci mówiłam. Nie sądziłam, że jesteś taki.

– *Jaki?* Ja tylko wykonuję swoją robotę, Pirjo.

– Twoja robota, *nasza* robota to przestrzeganie obowiązujących przepisów i zasad.

Stopniowo zaczynałem tracić cierpliwość – pierwszy raz od tygodni zrobiliśmy krok do przodu, a ona nic, tylko wciąż jęczała.

– Nie łamię żadnych przepisów, ja wyłącznie...

– Odrobinę naciągam prawdę? – zasugerowała. – Wydieram się na śmiertelnie przerażonego, jękającego się siedemnastolatka, bo ma mówić tak, żebyś mógł zrozumieć jego słowa? Obraziłeś go, Manfred. To było na granicy mobbingu.

Oparła ręce na biodrach i zmierzyła mnie od góry do dołu. Wyglądało to niemal komicznie – oto ona, moja nowa miłość, wściekła jak osa, stała przede mną w samych majtkach i staniku.

– Przeszkadzam wam?

Pirjo i ja odwróciliśmy się natychmiast w stronę, skąd dobiegł głos.

W drzwiach do dużego pokoju wyrosła Alba – z rękami wciśniętymi w kieszenie dżinsów, ze wzrokiem utkwionym w butach przy wejściu. Jej policzki płonęły.

Tego wieczoru odwiozłem Albę do domu.

Siedziała w milczeniu na fotelu pasażera i przez mokrą od deszczu szybę gapiła się przed siebie.

– Zostanę w weekend u mamy – poinformowała, nie patrząc na mnie, kiedy zatrzymałem się przed domem Beatrice.

– Albo, posłuchaj. Przykro mi, że poznałaś Pirjo w taki sposób. Że widziałaś, jak się kłócimy i...

Słowa się wyczerpały, nagle nie miałem pojęcia, co tak naprawdę chciałem powiedzieć. To, że Pirjo stała na wpół naga w przedpokoju, było w tym wszystkim w gruncie rzeczy najzabawniejsze. Bo sytuacja wcale nie wyglądała na intymną.

– Przeze mnie oblała się w aucie colą – próbowałem wyjaśnić. – I dlatego...

– *Please* – szepnęła Alba, rzucając mi spojrzenie pełne obrzydzenia.

Zaległa cisza.

– To dziewczyna?

Zastanowiłem się.

– Nie da się ukryć: jest dziewczyną.

– Z którą sypiasz?

– Albo!

Wysiadła z samochodu i stanęła na chodniku z twarzą odwróconą ode mnie.

– Trzymaj się – powiedziałem. – I pozdrów mamę!

Nie odpowiedziała. Sekundę później drzwi auta się zatrasnęły.

Po powrocie do siebie zastałem w przedpokoju obok plecaka Pirjo także jej ortalionową torbę.

– Halo! – zawołałem.

W dużym pokoju rozległy się kroki i sekundę później stanęła w drzwiach, ubrana w strój treningowy. Zebrane w kucyk kręcone włosy sterczały na czubku głowy.

– Jadę do domu – oznajmiła.

Następnie przeszła do przedpokoju, podniosła torbę i spojrzała na mnie swoimi dziwnie smutnymi oczami.

– Do domu?

– To nigdy się nie uda, Manfred. Od samego początku to był zły pomysł. Jesteśmy kolegami z pracy i...

– Mnóstwo ludzi pracuje razem – przerwałem jej. – Możemy pogadać ze Sturem i poprosić, żeby jedno z nas gdzieś przeniósł.

Westchnęła.

– Nie tylko o to chodzi. Inaczej patrzymy na pewne rzeczy.

– Na jakie rzeczy?

– Przeróżne. Na przykład na obowiązki.

Opadłem na kuchenne krzesło, które wciąż stało w przedpokoju, a które już dawno powinno zostać zastąpione jakimś odpowiednim taboretym z Ikei.

– Czyli co? – zacząłem – Wyprowadzasz się, bo podniosłem głos w pokoju przesłuchań?

– Coś w tym stylu.

– Ale to przecież nie jestem ja – zaprotestowałem. – To tylko moja zawodowa rola.

Jej twarz złagodniała. Wyciągnęła rękę i dotknęła moich włosów.

– Ja nie oddzielam sprawy i osoby, Manfred.

Lykke
Obecnie

Siedzę w małej celi i patrzę na kartkę przed sobą, na ozdobne pismo wijące się po arkuszu papieru bez linijek.

Za oknem zabezpieczonym kratą zaczął się kolejny promienny poranek lata: niebo jest niebieskie i niedosięgle, mewy szybują wysoko nad dachami. Na podłodze przy nogach łóżkach stoi taca z nietkniętym śniadaniem.

Nie mogę jeść.

Wspomnienie wczorajszego przesłuchania powraca, obraz, jak Manfred nagle wstał i wyszedł. Jego mroczne spojrzenie, kiedy rozmawiał ze mną.

Potem myślę o Davidzie i Harrym, o czasie, który spędzili w areszcie.

Jakie to dziwne – teraz ja dzielę ich los. W pewnym sensie to dobrze, jestem bogatsza o kolejne doświadczenie, a ono przybliży mnie do moich dzieci.

Przykładam długopis do kartki i piszę.

Niepewność dzieli i polaryzuje – kiedy jeden kłamie, nie ufa się wszystkim.

Patrzę na moje dzieci: stały się takie dorosłe, i to tak niewyobrażalnie szybko. Dziś: mieszczące się w dłoniach główki ledwie porośnięte miękkim puszkim, krzywe nóżki, niespokojne paluszki. A jutro: prawie dojrzały mężczyźni.

Gdzie się podziały tamte lata, czas, kiedy byłam dla nich wszystkim i nawet przez myśl im nie przeszło, żeby coś przede mną ukryć?

Nie ma na to odpowiedzi, czas ma swoje tajemnice, a ja mam inne zagadki do rozwiązania.

Patrzę na ciebie.

Co się stało z miłością? – zastanawiam się. Z namiętnością, która była początkiem wszystkiego, pulsującą siłą napędową życia?

W końcu spoglądam na siebie w lustrze i zadaję pytanie: kim jest ta kobieta, która mierzy mnie tak oskarżycielsko wzrokiem?

Jakby wszystko, co się stało, było moją winą.

Odkładam długopis i wstaję. Chodzę tam i z powrotem po ciasnym pomieszczeniu.

Jak mam opowiedzieć prawdę, niczego nie zniekształcając? Jak opisać bezmiar tej katastrofy, która się wydarzyła, nie wyolbrzymiając ani nie zmieniając faktów?

To niemożliwe, to rzeczywiście całkowicie nierealne, bo przeciwieństwem prawdy nie jest kłamstwo.

Przeciwieństwem prawdy jest dramaturgicznie doskonała opowieść – nic w rzeczywistości nie dzieje się w takim samym logicznym porządku jak w fikcji. Prawda nigdy nie jest tak porywająca, wciągająca ani ekscytująca.

Prawda jest szara i prozaiczna, jak sprana ścierka.

I w tym momencie uzmysławiam sobie, że jedyna droga do prawdy – rzeczywistej prawdy – wiedzie przez pasmo kłamstw.

Lykke
Osiem lat wcześniej

Czas po zatrzymaniu Harry'ego pamiętam jako jeden wielki mrok. Mijały tygodnie. Zarówno Harry'emu, jak i Davidowi dwukrotnie przedłużono tymczasowe aresztowanie.

Za oknami jesień oznajmiała swoje przybycie ognistymi kolorami, ale ja tego nie widziałam. Nie słyszałam śpiewu ptaków, nie czułam zapachu butwiejących liści zbierających się wokół domu, nie zauważałam, że powietrze robi się coraz bardziej rześkie, aż w końcu szczypało mnie wieczorami w policzki.

W moim wnętrzu panowała ciemność.

I odnosiłam wrażenie, że zaczyna się ze mnie wydostawać, jakbym ją wydychała albo jakby sączyła się z moich porów i powoli zaciemniała również świat wokół mnie.

Gabriel, który na początku był jak sparaliżowany, po pewnym czasie otrząsnął się z bierności. Stał się moim kołem ratunkowym, a może także własnym, bo w końcu znalazł cel, jakim było ocalenie mnie.

Zajmował się wszystkimi praktycznymi rzeczami w domu i tuląc mnie, godzinami leżał ze mną w łóżku.

– Myślisz, że niedługo ich wypuszczą? – pytałam.

– Oczywiście, że tak – odpowiadał, głaszcząc moje włosy.

– A jeśli nie?

Dużo rozmawialiśmy o tym, jak obaj radzą sobie w areszcie.

– Harry zawsze sobie poradzi – twierdził Gabriel. – Jest silny.

– Ale przecież im nie wolno się spotykać nawet z innymi aresztantami. Więc jakie to ma znaczenie, że ma lepszy czas na sto metrów niż ktoś inny w szkole albo że w siłowaniu się na rękę pokonuje cię w trzy sekundy?

Nie odpowiedział.

Inne często powracające pytanie dotyczyło tego, czy możemy coś zrobić, aby im pomóc. Według Gabriela nie mieliśmy wielu możliwości. Oczywiście byliśmy w stałym kontakcie z obrońcami chłopców. Adwokatka Davida, Jessica Sund, uchodziła za niezwykle kompetentną. Wydawała się też szczerze zaangażowana w obronę młodocianych podejrzanych i prowadziła coś w rodzaju bloga na ten temat. Isaka Saxona, adwokata Harry'ego, nie zdążyliśmy lepiej poznać, ale on też był dobry, chociaż bardziej oschły i oszczędniejszy w słowach niż Jessica. I także cieszył się doskonałą opinią w środowisku.

Lecz za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy z obojgiem, słyszeliśmy tę samą śpiewkę – stosownie do okoliczności David i Harry czują się dobrze, a o samym śledztwie nie wolno im niestety nic powiedzieć.

Najgorsze dla bliskich osób aresztowanych są czekanie i życie w niepewności – dopóki trwa wstępne śledztwo, obowiązuje tajemnica, co oznacza, że ani policja, ani adwokaci nie mogli udzielać nam żadnych informacji.

To zrodziło nieznośne poczucie utraty kontroli, do czego nie byłam przyzwyczajona, bo jako matka chciałam wierzyć, że wiem o swoich dzieciach oraz o zagrożeniach, jakie na nie czyhają, wszystko.

– Jedyne, co możemy zrobić, to czekać, aby sprawiedliwości stało się zadość – powiedział pewnego wieczoru Gabriel, kiedy leżeliśmy w łóżku i po raz nie wiadomo który rozmawialiśmy o sprawie.

Nie zgadzałam się z nim, nie mogłam się zgodzić. Przecież nie było nic sprawiedliwego w tym, co się nam przydarzyło, dlaczego więc mielibyśmy siedzieć z założonymi rękami i liczyć na to, że system potraktuje nasze dzieci sprawiedliwie?

– Wiesz, co powinniśmy zrobić? – zaczęłam. – Tak naprawdę to my powinniśmy ustalić, kto zabił Bonnie.

Przeszły mnie ciarki na dźwięk jej imienia, wciąż bowiem nie mogłam się pogodzić z tym, że jej nie ma, a obraz jej nagiego, martwego ciała nieustannie nawiedzał mnie po nocach.

Gabriel przyciągnął mnie bliżej i pocałował w czoło, dokładnie między brwiami.

– Chyba żartujesz? – spytał.

– Ani trochę. Jeżeli znajdziemy zabójcę Bonnie, wtedy będą musieli wypuścić chłopców.

Już nie obejmował mnie tak mocno, a jego spojrzenie zaczęło niespokojnie błędzić po pokoju.

– Lykke. Posłuchaj.

Zamilkł i przeczesał dłonią swoje gęste, przetykane siwizną włosy. Potem ukrył twarz w poduszce i westchnął.

Przeszył mnie lodowaty dreszcz, znowu wzbierała we mnie ciemność, skupiając się w palącą kulę w piersi i niemal uniemożliwiając oddychanie.

– Ty chyba nie myślisz... – zaczęłam. – Nie *możesz* myśleć, że David albo Harry to zrobił?

Minęła chwila, zanim odwrócił głowę w moją stronę i odpowiedział, prawdopodobnie było to tylko kilka sekund, ale mnie wydały się wiecznością.

– Jasne, że nie jestem w stanie sobie wyobrazić, żeby któryś z nich był zdolny skrzywdzić... – Nie wypowiedział jej imienia, tylko zrobił głęboki wdech

i kontynuował: – Ale jeżeli tak się stało, *jeżeli* jeden z chłopców ma z tym coś wspólnego, to jestem pewien, że to musiał być nieszczęśliwy wypadek.

Usiadłam na łóżku.

– Co ty wygadujesz? Uważasz, że jeden z naszych synów jest mordercą?

Spojrzał na mnie, chwycił za rękę i próbował przyciągnąć do siebie.

Oparłam się.

– Naturalnie, że żaden z nich nie chciał jej skrzywdzić – powiedział. – Ale może, może stało się to przez przypadek. Daj spokój, przecież sama wiesz, jak oni na nią patrzyli, było widać, że nie jest im obojętna. Może któryś się zagalopował. I...

– Czyś ty, kurwa, oszalał! – krzyknęłam i wyskoczyłam z łóżka. Stałam przy oknie. Zimne powietrze sączące się przez szpary owiało mi plecy.

Gabriel zatrzymał na mnie spojrzenie, wyglądał na nieszczęśliwego – nieszczęśliwego i zrezygnowanego, a także trochę zaniepokojonego, jakby się obawiał, że jestem bliska utraty zmysłów.

– Lykke, chodź do mnie.

Poklepał dłońią w koc, posłuchałam go.

Delikatnie zmusił mnie, abym się położyła.

– Jesteśmy rodziną – mówił, podczas gdy ja gapiłam się w sufit. – To są przecież moje dzieci. Kocham je nad życie. Moja miłość jest bezgraniczna i bezwarunkowa. I nawet gdyby pozbawili życia cały autobus ludzi, kochałbym ich nadal równie mocno. Rozumiesz?

Opuściłam powieki, ponownie zapadłam się w ciemność, przynajmniej tak się czułam.

Mój mąż na serio wierzył, że jeden z naszych synów jest mordercą.

Ciągle ścigali nas dziennikarze, a my niestrudzenie się od nich opędzaliśmy. Olof, Tuss i Jujje nie przestawali nas odwiedzać. To, że ich wizyty – regularne jak w zegarku – były wspólnie uzgadniane, nie ulegało teraz najmniejszej wątpliwości.

Kiedy wpadali Olof i Tuss, wszystko przebiegało w miarę normalnie. Przyjeżdżali około szóstej po południu i zwykle siedzieli do dziewiątej, chociaż zdarzało się, że zostawali dłużej. Zazwyczaj Tuss i Gabriel wybierali się na długi spacer nad jezioro, a w tym czasie ja z Olofem – który miał problemy z biodrem – siedzieliśmy w domu, pijąc herbatę albo wino.

Jujje natomiast w swoim drogim samochodzie pojawiał się zawsze późno. Na powitanie przytulał nas mocno z wyrazem szczerego przygnębienia, za każdym razem doprowadzając tym Gabriela do łez. Ale smutek nie trwał nigdy szczególnie długo, bo w miarę opróżniania kolejnych butelek drogiego wina ich przytłumione mamrotanie i sporadyczne pochlipywania w salonie ustępowały miejsca chichotom i dzikim rykom. A potem – jakby obaj całkowicie zapomnieli o powodzie wizyty – zachowywali się jak rozbrykani mali chłopcy.

Przesiadali w saunie, kąpali się nago w jeziorze, oglądali stare filmy Woody’ego Allena i wspinali się na gruszę. Za którymś razem Gabriel spadł z drzewa i leżąc na plecach jak przewrócony chrząszcz, zanosił się śmiechem.

Ich wesołość – chociaż wiedziałam, że wynikała z nadmiaru alkoholu – mnie drażniła. Bonnie nie żyła, Harry i David siedzieli odcięci od świata w areszcie, a oni dwaj bawili się jak na kiepskim wieczorze kawalerskim.

Za każdym razem, gdy tak się działo, wychodziłam z domu. Wsuwałam stopy w drewniaki, zatrząskiwałam za sobą drzwi i wynosiłam się na łono natury.

Może sądziłam, że tam jest odpowiedź – wśród pożółkłych liści, w surowości żyznej ziemi lub w suchej, pomarszczonej korze starego dębu. Może myślałam, że jeśli tylko wystarczająco się postaram, uda mi się znaleźć odpowiedź na pytanie, co się stało Bonnie.

Układałam w głowie alternatywne scenariusze.

Pierwszy: sama doprowadziła do swojej śmierci. Była to najmniej prawdopodobna opcja, z czego zdawałam sobie sprawę. Nie potrafiłam też wymyślić żadnego sensownego wyjaśnienia, jak mogłoby do tego dojść.

Drugi: wpuściła kogoś, tak żeby chłopcy tego nie zauważyli. Może miała chłopaka, o którym nikt nie wiedział – to też mało prawdopodobne, jednak nie dało się tego wykluczyć.

Trzeci: ktoś, zupełnie nam obcy, wszedł niepostrzeżenie do domku. To mój preferowany scenariusz – ponieważ niewypowiedziane kuszące i wyzwajające było przeniesienie winy na kogoś tak dalekiego od naszej rodziny i kręgu przyjaciół, że nawet go nie znaliśmy.

Zarówno scenariusz drugi, jak i trzeci miały jeden mankament – nie istniało wyjaśnienie, jak sprawca wydostał się z domku, nie pozostawiając otwartych drzwi lub okna. Ale przecież – dedukowałam – Harry i David byli pijani, czyli mogło się zdarzyć, że drzwi były jednak otwarte, tylko któryś z nich zamknął je po wizycie intruza, a potem o tym zapomniał.

W jeden z wieczorów, kiedy Gabriel i Jujje topili smutki w nieprzyzwoicie drogim burgundzie, najwyraźniej kupionym przez Olofa na aukcji, pod furtkę podjechała stara furgonetka.

Siedziałam na werandzie, trzymając na kolanach doniczkę pelargonii, którą zamierzałam przyciąć, i ledwie zdążyłam pomyśleć, że samochód wygląda mi jakoś znajomo, drzwi kierowcy się otworzyły i wyłonił się z nich niski i muskularny mężczyzna w kombinezonie i bejsbolówce. W słabym świetle zmierzchu rozpoznanie go zajęło mi kilka sekund.

To Stefan Högberg, ojciec Bonnie.

Podniosłam się powoli, byłam tak zaskoczona, że zapomniałam odstawić doniczkę.

Mężczyzna szedł po nieściętej trawie zdecydowanym krokiem ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Złamaną gałąź, która leżała mu na drodze, kopnął tak mocno, że wylądowała w krzaku róż.

W furgonetce otworzyły się drzwi pasażera.

– Stefan! – krzyknęła jakaś kobieta.

Rozpoznałam chrypliwy głos Leny Högberg.

I za chwilę:

– Stefan, daj spokój! Wracaj!

Mężczyzna machnął niedbale ręką, jakby odganiał muchę, i nie zwalniając kroku, maszerował dalej.

Wyszłam mu naprzeciw, wciąż z doniczką w ręce. Zwiędłe liście łaskotały mi przedramiona. Minął mnie rój komarów.

Od śmierci Bonnie nie mieliśmy żadnego kontaktu z jej rodziną, z wyjątkiem krótkich kondolencji, które zostawiłam na automatycznej sekretarce.

– Stefan, tak mi przykro – odezwałam się.

Nagle zatrzymał się kilka metrów ode mnie. Pierś unosiła się gwałtownie pod brudnym kombinezonem, a wzrok utkwiony był w domu za mną.

– Daruj sobie te obłudne brednie – powiedział, po czym odchrząknął i splunął w trawę.

Lena wysiadła z furgonetki. Zaczęła biec do nas, przytrzymując jedną ręką swój ciężki biust. Rzadkie jasne włosy powiewały na wietrze.

– Stefan! – krzyknęła.

Obrócił się.

– Zostań tam! – rozkazał, ale ona go nie posłuchała.

Kiedy znów popatrzył na mnie, jego twarz pociemniała od tłumionego bólu i gniewu. Podniósł jeden palec i pomachał nim w powietrzu.

– Wy. Wy. – Zamilkł na chwilę, jakby się zaciął, ale zaraz dokończył: – Gdyby nie wy i te wasze cholerne bibki, nasza Bonnie wciąż by żyła.

Nie odpowiedziałam mu – jakkolwiek dziwnie to brzmi, nigdy nie brałam pod uwagę możliwości, że rodzice Bonnie będą oskarżać nas o jej śmierć. Dla mnie było to tak oczywiste, że moi chłopcy są niewinni, że wręcz nie potrafiłam sobie takiej opcji wyobrazić. Jasne, że gadano we wsi i że ludzie gapili się na nas w sklepie, kiedy robiliśmy zakupy. Ale przecież oni wszyscy nie mogli na poważnie myśleć, że David czy Harry mają coś wspólnego ze śmiercią Bonnie?

Drzwi domu się otworzyły, ze środka dobiegł dźwięczny głos Lou Reeda wieszczący, że to jest „*perfect day*”. Kilka sekund później na werandę wyszli w skarpetach Gabriel i Jujje.

Czułam od razu, że to może się źle skończyć, odwróciłam się więc i gdy Gabriel zbliżył się do mnie, szybko złapałam go za ramię. Odór alkoholu uderzył we mnie jak obuchem.

– Poczekaj – powiedziałam, starając się mówić najciszej i najspokojniej jak to możliwe.

Miał spoconą twarz, oczy szkliste. Jujje w koszuli rozpiętej do pasa stał kilka metrów za nim i ledwie trzymał się na nogach. W półmroku tatuaż biegnący przez jego klatkę piersiową przypominał ogromnego owada. Uniósł dłoń do ust, by stłumić beknięcie.

Stefan zrobił krok w kierunku Gabriela.

– To twoja wina – syknął. – To twoja pieprzona wina, że moja córka nie żyje.

Lena na próżno próbowała odciągnąć męża do tyłu – jednym zamaszystym ruchem uwolnił się od jej uchwytu.

Jujje – nie tylko towarzysz zabawy, ale i przyjaciel lojalny aż po grób – zataczając się, stanął między Gabrielem a Stefanem.

– Uważaj, czo mówisz – wybełkotał. – Trzeba się było lepiej zasztanowić, zanim tu przyszedłeś wygadywać takie szubrawstwa...

Bang.

Krótkie ramię Stefana wystrzeliło w gwałtownym i zdumiewająco precyzyjnym ruchu. Pięść trafiła Jujjego prosto w oko.

– Kurwa – jęknął i osunął się jak kłoda na ziemię tuż u stóp Gabriela, który się zachwiał, ale szybko odzyskał równowagę.

– Ty cholerny wsioku – wycedził przez zęby i ślamazarnie wymierzył cios.

Pozbawiony mocy klaps, który trafił przeciwnika w tors, odniósł taki sam efekt, jakby uderzył jedną z krów ze stada Högbergów – Stefan stał jak wrośnięty w ziemię i nawet nie drgnął. Jego nozdrza się rozszerzyły, zamrugał kilka razy. Następnie przypieczętował upokarzającą porażkę wroga, popychając go lekko.

Gabriel przewrócił się niczym figura szachowa – sztywno, niechybnie i zadziwiająco powoli. Wylądował z ciężkim hukiem w trawie obok Jujjego.

Doniczka wyślizgnęła mi się z rąk na ziemię i roztrzaskała na kawałki. Stefan wziął się pod boki.

– Zapłacicie nam za to – powiedział, akcentując każde słowo.

Opatrzyłam Jujjego – obrażenie nie wyglądało tak źle, jak się początkowo wydawało. Skóra trochę pękła nad brwią i na pewno niedługo pokaże się potężny siniak.

Gabriel wyszedł ze starcia bez szwanku, ale był nim tym bardziej wstrząśnięty i oburzony.

– On podniósł rękę na moją rodzinę – kipiał, maszerując tam i z powrotem po salonie. – Uderzył mnie, ten pieprzony kretyn mnie uderzył. Mnie!

Nie uderzył cię, miałam ochotę sprostować. Dał ci śmiesznego kuksańca, a ty runąłeś na ziemię jak pierwszy lepszy pijaczyna.

Ale zamiast tego powiedziałam:

– Porozmawiamy o tym jutro.

– Powinniśmy pojechać do niego – wymamrotał Jujje, przykładając do oka torebkę z lodem. – Pokazać mu, gdzie jest jego miejsce. – Ścisnął trzymaną w ręce zwiniętą w kłębek zakrwawioną koszulę.

– To byłoby najgłupsze, co moglibyście zrobić – powiedziałam, czując rosnący dyskomfort.

Oczywiście też byłam wstrząśnięta niespodziewanym zajściem, oczywiście wiedziałam, że Stefan Högberg przekroczył granice, ale z drugiej strony byłam w stanie do pewnego stopnia zrozumieć, że człowiek, który stracił jedyne dziecko, mógł zareagować irracjonalnie.

Wiedziałałam też, że przechodził przez dużo gorsze piekło niż my.

Nasi synowie żyli i pewnego dnia – już wkrótce – ich odzyskamy. Będziemy mogli ich przytulić, porozmawiać z nimi, obserwować, jak spełniają marzenia i popełniają błędy, doświadczają rozczarowań i próbują na nowo, jak spotyka ich wiele innych rzeczy, które składają się na życie.

– Cholerne prymitywy... – zaczął Gabriel płaczącym głosem.

– Nie – przerwałam mu. – To nie są prymitywy i dobrze o tym wiesz. – Po chwili dodałam: – Jak wytrzeźwiejesz, to zrozumiesz.

Tej nocy postanowiłam, że muszę na poważnie wrócić do pracy – potrzebowałam uciec z tego domu wariatów, od odrażających libacji Gabriela i Jujjego, od

nieustannych wspomnień o wszystkim, co zostało nam odebrane, od wymownych spojrzeń sąsiadów i od własnego strachu.

Praca, pomyślałam. Praca to najlepsze lekarstwo.

Skupiłam się na redagowaniu zbioru poezji Alego Hizamiego i już prawie zbliżałam się do końca. W następnym tygodniu zamierzałam wysłać maszynopis jego matce, która obiecała, że zostawi go synowi w przyczepie kempingowej przy wysypisku śmieci.

Odezwało się też kilku moich autorów.

Linn Ros, debiutantka o ambicjach literackich – mówiąc szczerze – nieproporcjonalnie dużych w porównaniu z jakością jej twórczości, była oburzona nieprzychylną recenzją w „Sydsvenskan”.

Pocieszyłam ją, że książka jest bardzo dobra i że recenzent najwyraźniej jej nie zrozumiał.

– Banalna – sapnęła z irytacją. – Napisał, że jest banalna.

– Nie, Linn. Napisał, że temat jest banalny, a nie książka. Publikując autobiograficzną historię miłosną, trzeba być na to przygotowanym. Ale poza tym uważa, że konstrukcja jest bez zarzutu, i myślę, że powinnaś się tego trzymać.

Nie odpowiedziała.

Współczułam jej, szczerze. Wiem bowiem lepiej niż ktokolwiek, jak to jest, gdy człowiek dzieli się swoimi najgłębszymi przeżyciami, a potem jest oceniany, krytykowany i – jak w tym przypadku – redukowany do rejestratora egocentrycznych banałów.

Książka *Wszystko o tobie* mówiła o jej nieodwzajemnionej miłości do starszego mężczyzny, miłości, która przerodziła się w obsesję i kosztowała ją utratę pracy i przyjaciół.

Gdy już się trochę uspokoiła, wymamrotała:

– Przepraszam. Masz rację, nie powinnam się tak gorączkować.

– Nic się nie stało.

– Posłuchaj, słyszałam co nieco. To musiało być dla ciebie trudne. Dobrze się czujesz?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Nie wiem, Linn.

Któregoś dnia późnym wieczorem zadzwonił też Theodor Broman, ale on nie odniósł się w żaden sposób do naszej sytuacji – może nie dotarło do niego, co się stało w Wieczności, albo nic go to nie obchodziło. Bądź też był na tyle delikatny, że postanowił nie podejmować tematu.

Stawiałam jednak raczej na jedną z dwóch pierwszych opcji – takt nie należał do mocnych stron Theo.

Siedziałam na werandzie, patrząc na jezioro, gdy odezwał się telefon. Gabriel poszedł na górę pracować, nie miałam jednak pewności, czy rzeczywiście pisze, bo z jego gabinetu nie dobiegał charakterystyczny stukot klawiszy komputera.

– Witaj, Theo – powiedziałam. – Jak się masz?

– Dzięki, dobrze. A ty?

– Ja... – zaczęłam, zastanawiając się, jak zareagować na pytanie. – Właśnie siedzę na werandzie i podziwiam widoki.

Cieszyłam się w duchu, że wybrnęłam z sytuacji, udzielając odpowiedzi bez odpowiedzi.

– To dobrze – odparł. – Wiesz, niedawno rozmawiałem z kumplem, który jest producentem filmowym. Jest gotowy pokazać na ekranie egzemplarz mojej najbliższej książki w kolejnym sezonie serialu telewizyjnego, nad którym pracuje. Czyli chodzi o lokowanie produktu. Myślę, że to świetna okazja.

– Interesujące. Skontaktowałeś się już z działem marketingu w tej sprawie?

– Tak, to znaczy właściwie zamierzam to zrobić. Potrzebny jest tylko krótki opis książki. Na jakieś dwie, trzy strony. On, ten mój kumpel, chce wiedzieć, o czym ona będzie, zanim zajmie stanowisko w kwestii umowy i tak dalej.

– Rozumiem. To wyślij mu go, nie widzę problemu.

Zamilkł.

– Szczerze mówiąc – odezwał się po chwili z ociąganiem – pomyślałem sobie, że może ty byś go napisała.

Zastanowiłam się. Theo nakreślił fabułę swojej przyszłej książki mającej nosić tytuł *Nieznany sprawca* w mejlu kilka miesięcy wcześniej. Ale opis był tak krótki i chaotyczny, że raczej nie nadawał się do wykorzystania gdzieś na zewnątrz.

– No nie wiem, Theo. To, co mi przysłałeś, to nie jest porządny konspekt i raczej trudno byłoby na jego podstawie rzetelnie opisać twoją przyszłą książkę.

Wpadłam na pewien pomysł.

– Ile stron już masz? – zapytałam.

Najpierw odpowiedziała mi cisza.

– No więc, jakieś... – wydawał się wahać. – Sto. Albo osiemdziesiąt.

Zakłęłam w duchu. Olof miał rację – Theo był w lesie i musiałyby się zdarzyć cud, żebyśmy mogli utrzymać pierwotny termin wydania.

A tym cudem byłam oczywiście ja.

– Świetnie – powiedziałam. – Przyślij mi je do przeczytania. I może w przyszłym tygodniu spotkalibyśmy się w wydawnictwie, żeby wszystko omówić?

Czekając, czy Theo chwyci przynętę, obserwowałam konie stojące spokojnie w rogu pastwiska. Ich ciemne sylwetki rysowały się niczym rzeźby na tle wieczornego nieba.

Kilka jaskółek przefrunęło obok, ich krzyk odbijał się echem nad łąką.

– A potem napisałabyś te dwie, trzy strony? – spytał.

– Oczywiście.

Redaktor wydawnictwa to najdziwniejszy zawód świata.

Musisz być jednocześnie coachem, językoznawcą, psychologiem, najlepszym przyjacielem, menedżerem i niewolnikiem. Musisz mieć anielską cierpliwość, ale zarazem wiedzieć, jak w razie potrzeby naciskać na autora. Musisz słuchać zwierzeń, od których włosy jeżą się na karku, ale nie możesz przekazać ich dalej. Zdarza się, że czujesz się jak śmieć, ale w żadnym razie nie wolno ci tego okazać.

Niektóre zadania są też bardzo przyziemnej natury.

Wyciągasz pijanych autorów z knajpy, pocieszasz płaczące debutantki, dzielisz się alvedonem na targach książki i na tych samych targach kupujesz prezerwatywy, niekiedy dla tego samego twórcy – i to wszystko bez mrugnięcia okiem. A jakby tego było mało, nierzadko musisz odwołać urlop i pracować w weekendy. Ale twoim udziałem są także niezwykle wrażenia z lektur i piękne chwile radości z sukcesów twoich podopiecznych. Może nawet po kryjomu czasem uronisz łzę, gdy jednemu z nich się uda, a potem cała karuzela zaczyna się od nowa.

Na dodatek wszystko to musisz znosić za relatywnie skromną pensję.

Na szczęście pieniądze nie były dla nas problemem – Gabriel zarabiał wystarczająco dużo, by starczało nam na życie i jeszcze zostawało. Poza tym ja nigdy nie angażowałam się w pracę z myślą o zarobkach. A z dziwnymi sytuacjami, z którymi nieustannie musiałam się mierzyć, nauczyłam się nie tylko sobie radzić, ale także je doceniać.

Większość z nich była zresztą do rozwiązania, a uporanie się z nimi dostarczało satysfakcji. Ponadto akurat teraz praca wydawała się świetną odskocznią od mojej ponurej rzeczywistości – zatopić się w nowym maszynopisie albo próbować wydębić tekst od leniwego pisarza to idealny sposób na chwilowe zapomnienie własnych problemów.

*

Następnego dnia po dziwnej rozmowie z Theo wybrałam się rankiem na długi spacer. Doszłam od domu aż do głównej drogi. Właśnie zaczęło padać – tu i ówdzie utworzyły się nieduże kałuże. Na powierzchni niektórych brązowa woda opalizowała od plam ropy.

Kiedy znalazłam się na rozwidleniu, przystanęłam i patrząc na spokojnie pasące się krowy po drugiej stronie drogi, zawahałam się. Gdybym skręciła w prawo, dotarłabym do stacji benzynowej, gdzie na sto procent natknęłabym się na ludzi. Mogłam ewentualnie skręcić w przeciwną stronę, ale tam z kolei leżało gospodarstwo Nyströmów, a ich też nie chciałam spotkać.

Pomyślałam o Jujjem kłusującym nago na białej klaczy i o Åkem Nyströmie gapiącym się na niego z szeroko otwartymi ustami i chwytającym się za serce. Oczami wyobraźni widziałam, jak staruszek opowiada o tym incydencie każdemu, kto tylko chciał słuchać.

I on, ten ćpun, siedział jak worek na grzbiecie biednej Blanki. Nagusieńki, jak go Pan Bóg stworzył, wolę nie myśleć, przez co musiała przejść ta nieszczęsna klacz.

I reakcje słuchaczy:

Wielkie nieba! Oni w tej Wieczności nie mają po kolei w głowie.

Ruszyłam z powrotem, ale gdy odwróciłam się plecami do krów, do moich uszu dobiegł odgłos zbliżającego się motoroweru. Przyspieszyłam kroku, lecz gdy obejrzałam się przez ramię, dostrzegłam marchewkowoczerwoną czuprynę Jonasa Sandéna wystającą spod kasku.

Jonas był jednym z nielicznych kolegów z klasy, z którym Harry i David spędzali wspólnie czas, jednak nie na tyle intensywnie, by móc nazwać to przyjaźnią.

Stałam w miejscu, grzebiąc czubkiem buta w kałuży i zastanawiając się, jak się zachować. Nie chciałam teraz iść, bo wydawałoby się to dziwne, podniosłam więc rękę i go pozdrowiłam.

Przystanął kilka metrów przede mną, wyłączył silnik i zdjął kask. Piegowatą twarz rozjaśnił uśmiech. Ale po sekundzie zniknął.

– Dzień dobry – powiedział.

– Cześć, Jonas. Co u ciebie?

– Wszystko dobrze.

Ważył niebieski kask w dłoniach i jakby się wahał.

– A jak... – zaczął, ale zaraz zamilkł.

Próbowałam mu pomóc.

– David i Harry mają się dobrze – powiedziałam.

– O. To super.

Oparł kask na siodełku i spojrzał na krowy.

– To... to jest po prostu chore – wystękał.

– Wiem.

– Nie mogę zrozumieć, że... – Wykrzywił się i dokończył: – I nie mogę uwierzyć, że Harry albo David to zrobili.

- Wiadomo, że tego nie zrobili.
- Nie, oczywiście – dodał szybko.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Przecież oni nie są agresywni – powiedziałam. – Prawda?

Jego blade oczy spojrzały w bok, a policzki przybrały czerwoną barwę – trwało to może ułamek sekundy, ale dostrzegłam wyraźną zmianę w wyrazie jego twarzy.

- Nie są – bąknął.
- Na pewno?
- No, David jest maksymalnie wyluzowany.
- A Harry?

Nie bardzo wiedział, co ma ze sobą począć.

- On. No. Nie. Nigdy nie widziałem, żeby komuś coś zrobił.

Dobór słów nie umknął mojej uwadze.

- Ale potrafi wpaść w gniew, tak? To masz na myśli?

Wzruszył ramionami i wolną ręką poprawił bluzę.

- Każdy może się zezłościć.

W drodze do domu analizowałam naszą rozmowę.

Byłam przekonana o niewinności Harry'ego – czerwone policzki Jonasa, jego błędzący wzrok i wymijające odpowiedzi tego nie zmieniły. Niepokoiło mnie jednak, co myślą o moich synach ludzie w okolicy i co mówi się o nich w szkole.

Tkwienie w środku kryzysu jest jak czekanie na narodziny dziecka – nie sposób zapomnieć o ciąży i jej nieuchronnym finale, czyli rozwiązaniu. Trudno sobie jednak wyobrazić, że potem nastąpi życie, całe lata wypełnione co najmniej równie wielkimi wyzwaniem. Teraz szłam mokrą od deszczu drogą i myślałam właśnie o tym. I po raz pierwszy od śmierci Bonnie zadałam sobie pytanie, jak będzie wyglądać życie chłopców, gdy już wrócą do domu.

Wszystko się ułoży, wmawiałam sobie. Jak tylko zostaną zwolnieni z aresztu, będzie dobrze.

Kiedy dotarłam do Wieczności, zauważyłam, że okno w gabinecie Gabriela jest otwarte i dobiega z niego znajome stukanie. Ucieszyło mnie to i może nawet napełniło nieśmiałą nadzieją, że pijackie orgie z Jujjem ustąpią miejsca bardziej konstruktywnej ucieczce od rzeczywistości.

Weszłam do domu, zdjęłam zabłocone buty i ruszyłam po starych, skrzypiących schodach na górę. Zapukałam ostrożnie do drzwi Gabriela – nie lubił, kiedy mu się przeszkadzało podczas pisania, dlatego zwykle starałam się mu nie przerywać, gdy pracował.

Ale teraz nic już nie było takie jak dawniej.

Stukanie ucichło.

– Chodź – powiedział.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Siedział na swoim stołku, ubrany w koszulę i sprane spodnie dresowe. Włosy miał zmierzwione, szkła okularów – zamglone.

– Jak ci idzie? – spytałam.

– Może to dziwne, ale całkiem nieźle. Wręcz tryska ze mnie. Jakby to wszystko... – Zatoczył w powietrzu szeroki łuk ręką. – Jakby to wszystko, co się wydarzyło, stało się katalizatorem – podsumował.

Po chwili na jego twarzy pojawił się dyskretny uśmiech.

– Piszę o tobie.

– O mnie?

– Tak, a właściwie o Lovie. Bo tak cię nazwałem.

Zamierzałam pomówić z Gabrielem o rozmowie z Jonaszem, ale nagle wydało mi się to wręcz śmieszne. Jak on powiedział?

Każdy może się zezłościć.

No właśnie, każdy z nas może się zezłościć, ale to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy zdolni odebrać drugiemu człowiekowi życie.

– Nie uważasz, że trudno jest pisać autofikcję? – spytałam.

Zmarszczył czoło.

– Dlaczego to miałoby być trudne?

– Bo mieszasz prawdę i fikcję, a jednocześnie wiesz, że czytelnicy będą wierzyć w każde słowo. Jak się z tym czujesz?

Zdjął okulary, wytarł je o koszulę i położył na stercie papierów na biurku.

– To przecież jest powieść – powiedział.

– Ale Lova to ja?

Uśmiechnął się znowu, ostrożnie, lecz zarazem trochę łobuzersko.

– Tak, Lova to ty – potwierdził. – Chociaż też nie.

Kilka dni po rozmowie telefonicznej Theo rzeczywiście przysłał mi swój maszynopis.

Po przejrzeniu go na szybko mogłam stwierdzić, że niespełna siedemdziesięciostronicowy tekst to istna katastrofa – niedbały, partacki, niespójny, pełen na pozór przypadkowych kolorowych podkreśleń i trudnych do zinterpretowania komentarzy w stylu: „niedobrze czy może dobrze?!?” albo: „podnieść napięcie, zabić czy zrobić coś gorszego?” – oczywiście od razu pomyślałam: a co może być gorszego od pozbawienia kogoś życia?

W piątek tego samego tygodnia umówiłam się z Theo w wydawnictwie na spotkanie. Jechałam tam dopiero drugi raz od śmierci Bonnie i gdy tylko znalazłam się na autostradzie, od razu oblał mnie zimny pot.

Droga, którą pokonywałam setki razy, nagle wydała mi się całkiem nieznaną. Budynek wzdłuż niej były obce i złowrogie. A myśl o firmie, w której pracowałam niemal od dwudziestu lat, przerażała mnie w niewyobrażalny sposób. Na wysokości Södertälje musiałam zatrzymać się na stacji benzynowej – kupiłam butelkę wody mineralnej i chwilę odpoczęłam, żeby uspokoić nerwy.

O co chodzi? – zastanawiałam się. Przecież to ta sama droga co zawsze, a wydawnictwo wciąż mieści się w tym samym budynku na Starym Mieście. A w małych pokojach siedzą ci sami ludzie, których znam niemal tak dobrze jak własną rodzinę.

Jednak ja nie byłam już ta sama – zmieniłam się do cna, i to mnie przerażało.

Pierwszą osobą, na którą wpadłam, był Magnus, nasz dyrektor sprzedaży. Stał w recepcji przy kserokopiarce, ubrany w spodnie od garnituru i koszulę z krótkimi rękawami. Ręce miał pokryte piegami i jasnymi włoskami, a spłowiałe od słońca włosy sterczały sztywno wstylizowane żelam.

Rozpromienił się na mój widok, jednak sekundę później jego uśmiech zgasł.

– Cześć – powiedział, zbierając plik kartek z wykresami wyplutych w tym momencie przez maszynę.

– Cześć – odrzekłam.

Rozejrzał się dookoła, jakby kogoś szukał, odchrząknął.

– Jak tam? – spytał.

– Tia, no wiesz.

Skinął głowę.

– Ciężko?

– Mm.

– No tak – bąknął nerwowo. – Muszę lecieć. O dziesiątej mam spotkanie z księgarzami, więc... – Uniósł rękę z wykresami i ruszył korytarzem.

W tym samym momencie, gdy zniknął w swoim pokoju, do recepcji weszła Tuss, dźwigając maszynopis gruby jak Biblia.

– Lykke – powiedziała i pospieszyła w moją stronę. Uścisnęła mnie mocno, przyciskając mi stertę papierów do pleców i wolną ręką głaszcząc mnie po włosach. Jej wilgotny oddech musnął mój policzek.

Poczułam się trochę zaskoczona i przytłoczona tą nagłą bliskością, zrobiłam więc krok do tyłu i spróbowałam się uśmiechnąć.

W następnej sekundzie do holu wyszedł Olof w towarzystwie Magdaleny, rzeczniczki prasowej wydawnictwa. Długie, ciemne włosy miała upięte w lśniący kok na czubku głowy. Rozszerzone u dołu nogawki czarnych spodni kończyły się w połowie łydki. Na jej nosie tkwiły duże okrągłe okulary w identycznym odcieniu czerwieni jak szminka na jej ustach oraz sandały birkenstocki.

– Super, że jesteś znowu – powiedział Olof, pocierając fajkę o sztruksowy materiał marynarki.

Magdalena tylko skinęła głową, zakładając kosmyk włosów za ucho.

– Mam się spotkać z Theo, żeby omówić jego maszynopis – wyjaśniłam.

– Ach, to dobrze – odezwała się jednak Magdalena. Prawdopodobnie ulżyło jej, że nie musi poruszać tematu, o którym wszyscy myśleli. Kiedy jakiś czas temu zadzwoniła, żeby powiedzieć o odwołaniu reportażu z Wieczności do jednej z gazet, użyła określenia „ta sytuacja”.

– Jak już mówiłem – zaczął Olof, pochyliwszy się nad starą kserokopiarką – jeżeli wydusisz z niego kompletny tekst przed końcem roku...

– To dostanę solidną premię – uzupełniłam.

Wszyscy się roześmiali, ale moje serce krwawiło.

Zachowywać się normalnie, kiedy całe życie się zawaliło, kiedy powstała *ta sytuacja*, było trudniej, niż mogłam sobie wyobrazić.

*

Theo się spóźnił i każda minuta czekania na niego okazała się dla mnie udręką. Korytarzem obok mojego pokoju nieustannie przechodzili koledzy, starając się

wyglądać na bardzo zajętych, a z kuchenki raz po raz dobiegały szepty ukradkowych rozmów.

– Wybacz – powiedział Theo, gdy wreszcie stanął w drzwiach. – To przez rzemieślników, którzy nie przyszli o umówionej godzinie.

– Nic nie szkodzi – odparłam, przyglądając się wysokiemu mężczyźnie opartemu o framugę. Promień słońca błysnął na jego ogolonej czaszce, tiszert był pomięty, a dżinsy wiszące pod okrągłym brzuchem miały spore dziury i rozdarcia – z pewnością od nowości.

W ciągu ostatnich lat nasz autor rzeczywiście przeszedł metamorfozę.

– Powinienem był się do ciebie odezwać, ale zadzwonił też prawnik mojej eks, no i wiesz, sama rozumiesz.

Nie rozumiałam, ale to nieważne.

– Spokojnie – powiedziałam. – Nie siedziałam beczynnio.

Było to zgodne z prawdą – czekając na niego, przejrzałam notatki przygotowane na spotkanie. Na podstawie tekstu przesłanego przez Theo próbowałam stworzyć oś czasu wydarzeń opisanych w książce, co okazało się trudne – miałam poważne wątpliwości, czy on sam wystarczająco gruntownie przemyślał przebieg akcji. Zrobiłam też listę głównych postaci, podsumowałam historie ich życia i osobowości.

Usiadł naprzeciwko mnie.

– Kawy? – spytałam.

– Nie, dzięki. Właśnie wypilem.

– Okej. W takim razie przejdźmy od razu do rzeczy.

Sięgnęłam po cienki plik kartek i przesunęłam go przez biurko.

Theo rzucił mi szybkie spojrzenie.

– No i co o tym myślisz? – chciał wiedzieć.

W jego oczach dostrzegłam mieszaninę niepewności i dumy – dumy, do której nie miał żadnych podstaw. Położyłam dłoń na nędznym maszynopisie i poklepałam go kilkakrotnie.

– To będzie *absolutnie* fantastyczne. Super jest to, że morderstwa zdarzają się tylko przy pełni księżyca i że zabójca ma swoje narracyjne ja. A to powieszenie się szefa firmy na własnym krawacie... – Uderzyłam ręką w blat stołu. – Jest po prostu genialne – dokończyłam.

Niepewność malująca się wcześniej na jego twarzy zniknęła jak delikatne obłoki rozwiane przez wiatr. Rozpromienił ją nieśmiały uśmiech.

– To metafora. Facet wpada w sidła własnej żądzy zysku.

– No właśnie.

Theo popatrzył na manuskrypt, ściągnął brwi i opaloną dłonią przesunął po blacie biurka.

– Wiem, że zostało jeszcze dużo pracy – powiedział.

– Wspólnie damy radę.

– No tak, jasne.

– Uważnie prześledziłam przebieg akcji – zaczęłam, wyjmując jednocześnie kartkę z narysowaną na czerwono długą kreską. – Na tej osi czasu zaznaczyłam najważniejsze wydarzenia. Przy części z nich jest znak zapytania, który oznacza, że trzeba jaśniej określić, kiedy do nich doszło.

– Wow, ale ty naprawdę się... – wymamrotał i pochylił się nad biurkiem.

Wskazawszy na jeden z punktów, ciągnęłam dalej:

– Tu komisarz Lundbeck przesłuchuje kumpla zabitego szefa firmy. Ale to dzieje się przecież, *zanim* się dowiedział, że ten kumpel próbował przejąć firmę. Bo dopiero trzy rozdziały później policjant słyszy o tym od sekretarki szefa.

Theo poruszył się nerwowo na krześle.

– To raczej nie przeszkadza, że mimo wszystko go przesłuchali? Chyba nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież oni byli kumplami.

Skrzyżował ręce na wymiętym tiszercie.

– Oczywiście, tyle że komisarz podczas przesłuchania ciągle nawiązuje do rozmowy z sekretarką. A ta rozmowa jeszcze się nie odbyła.

Theo zmarszczył czoło i zaczął masować sobie skronie palcami jednej ręki.

– Uważam, że powinieneś umieścić ten rozdział dalej – zasugerowałam. – To proste. Na osi zaznaczyłam jeszcze kilka innych rzeczy, które wymagają albo przeniesienia w inne miejsce, albo uszczegółowienia.

Nic nie powiedział, wciąż uciskając palcami skronie. Wydawało się, że nieco zapadł się na krześle.

Wyjęłam kartkę z listą postaci.

– Masz *tego* więcej? – zdziwił się.

– To same drobiazgi. Trzeba poprawić parę szczegółów związanych z bohaterami. Szef firmy został znaleziony powieszony w szatni pływalni.

– Mm.

– Co tam robił?

Znów zmarszczył czoło.

– No, pływał.

– Okej, ale w drugim rozdziale piszesz, że jako dziecko o mało nie utonął i od tamtej pory nie zbliżał się do wody.

Theo westchnął.

– Widocznie przezwyciężył traumę. Ostatecznie minęło już... – policzył na palcach
– ...około czterdziestu lat.

– Świetny pomysł – stwierdziłam. – W takim razie napisz o tym w drugim rozdziale, żeby czytelnik nie był zdezorientowany.

Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu.

– Theo – odezwałam się cicho. – To będzie świetne. Musisz tylko naprawić te drobne rzeczy i pisać w takim tempie, abyśmy dotrzyмали terminu.

Uciekł spojrzeniem w bok.

– Tylko że ja mam parę innych spraw na głowie. W mieszkaniu w Barcelonie spaliła się skrzynka rozdzielcza. Powinienem tam pojechać. No i jeszcze cały ten syf z moją byłą.

Musiałam przygryźć wargę, żeby nie okazać irytacji.

– Rzeczywiście to kłopotliwe – powiedziałam. – Jeśli potrzebujesz więcej czasu, jeśli uważasz, że nie wyrobisz się do końca roku, najważniejsze, żebyś dał nam odpowiednio wcześniej znać, abyśmy mogli przełożyć premierę.

– Ale potrzebuję też pieniędzy – wtrącił.

Pokiwałam głową.

Podobnie jak większość autorów Theo miał umowę, zgodnie z którą otrzymywał zaliczkę przy jej podpisaniu, a kolejną część honorarium dopiero po wydaniu książki.

– Dlatego byłoby dobrze, gdybyśmy zdążyli – uzupełnił.

– Pomogę ci, na ile będę mogła.

– Tak, wiem. Ale problem w tym, że teraz, kiedy wokół mnie tyle się dzieje i jest taki chaos, nie czuję się najlepiej. Ciężko mi się pisze. – Zamilkł, opuścił wzrok na kolana, po czym kontynuował: – Pomyślałem, że może udałoby się pozyskać kogoś do pomocy.

– Do pomocy?

Odwrócił głowę i powiódł wzrokiem po tanich reprodukcjach wiszących na ścianie. Następnie długim palcem podrapał się przez rozdarcie w spodniach po nodze.

– Mam na myśli to, że gdybym powiedział, co ma się dalej wydarzyć w książce, może mógłby to napisać ktoś inny.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Ktoś inny?

Westchnął ciężko.

– No tak. Na przykład ty?

Tak, redaktor w wydawnictwie to najdziwniejszy zawód świata i po latach praktyki byłam przygotowana na większość wyzwań, które się z nim wiążą.

Do czasu spotkania z Theo. I jego propozycji.

Nie miałam pojęcia, co mu odpowiedzieć. Musiałam go uprzedzić, że skonsultuję się z Olofem, ale jednocześnie podkreśliłam, że nie sądzę, aby autor widmo stanowił tu rozwiązanie.

Wbrew temu, co sądzi wielu czytelników – a czasem także krytyków – od pisarzy oczekuje się, aby sami pisali swoje manuskrypty. Oczywiście bywają wyjątki, lecz w takich przypadkach zwykle z góry decyduje się o zatrudnieniu ghostwritera.

Theo dostał ponad milion koron zaliczki – budżet nie przewidywał środków na wyręczającego go w pisaniu redaktora.

Poza tym naprawdę nie miałam ochoty przelewać na papier jego pomysłów.

Gdy się pożegnaliśmy, od razu poszłam do Olofa i opowiedziałam mu o propozycji, jaką otrzymałam. Ukrył twarz w dłoniach i westchnął ciężko, a potem skrzyżował ręce na piersi.

– Kurwa – zaklął. – Wiedziałem.

– To się jeszcze może udać. On potrzebuje pieniędzy, nie lekceważ zbawienego wpływu pustego portfela na kreatywność.

Wstał, podszedł do lukarny, zdjął okulary z nosa i w milczeniu popatrzył na dachy. Nad Sztokholmem świeciło słońce, a przez kiepsko izolowane okno z ulicy dobiegały śmiechy.

– Nie powinniśmy byli nigdy go przyjmować.

– Pierwsza książka była dobra.

– Każdy potrafi napisać *jedną* książkę – prychnął.

Po powrocie do domu opowiedziałam wszystko Gabrielowi. Siedział w swoim gabinecie przy otwartych drzwiach, mimo czwartej po południu wciąż ubrany w szlafrok, i patrzył na ogród.

– Co takiego? – dopytał z niedowierzaniem, odwracając się na krześle i mierząc mnie wzrokiem.

– Nie żartuję. Całkiem na poważnie mi zaproponował, żebym skończyła za niego książkę.

Otrząsnął się, jakby wciąż nie dowierzał własnym uszom, a sekundę później wybuchnął gromkim śmiechem i śmiał się do rozpuku.

Zachichotałam.

– Miałabyś...

Zgiął się wpół i zarykiwał się tak mocno, że nie mógł mówić. Z oczu płynęły mu łzy, jego opalone policzki poczerwieniały.

– Przepraszam – powiedział, kiedy wreszcie się opanował. – Ale to naprawdę cholernie komiczne pośród całego tego nieszczęścia. On ma się za pisarza, a nie chce dokończyć własnej książki.

Potem oboje w tym samym momencie nagle się opamiętaliśmy i popatrzyliśmy na siebie tak, jakbyśmy popełnili niewybaczalną zbrodnię, siedząc tu i się śmiejąc.

Przez twarz Gabriela przemknął cień bólu. Wyciągnął do mnie rękę, a ja ostrożnie usiadłam mu na kolanach. Gdy jego szlafrok nieco się rozsunął, delikatnie pogłaskałam owłosiony tors.

– Rozmawiałem z obrońcami Davida i Harry’ego – zaczął.

– I?

– Nic nowego. Chłopcy jakoś się trzymają.

Przymknęłam powieki.

– Ta niepewność doprowadza mnie do obłędu – szepnęłam. – Kiedy w końcu ich wypuszczą?

Zamilkł na chwilę.

– Tego mi nie powiedzieli. Ale chyba powinniśmy przygotować się na to, że jeden z nich być może...

– Co?

Gabriel objął mnie mocniej i ukrył twarz w moich włosach.

– Lykke – wyszeptał tuż przy uchu. – Tamtej nocy nie było nikogo innego w domku.

Uwolniłam się z jego ramion i skoczyłam na równe nogi.

– Przestań! – krzyknęłam. – Nie mów tak! Jak możesz nawet myśleć, że jeden z nich jest winny?

– To, co myślę, nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o fakty.

Zaczęłam krążyć po pokoju. Ze złości kopnęłam z całej siły w bieżnik na podłodze, złożył się na pół.

– W takim razie który z nich? – spytałam.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, jakby próbował znaleźć odpowiednie słowa.

– Nie mogę w to uwierzyć, że którykolwiek z nich.

– Kiedy z jednej strony twierdzisz, że żaden z nich tego nie zrobił, a jednocześnie mówisz, że któryś jednak *musiał* to zrobić, to tak, jakbyś powiedział, że obaj są winni. Milczał.

*

Noc.

Leżałam, przewracając się z boku na bok w przepoconej pościeli, gapiłam się w ciemność i czekałam na sen, który nie chciał przyjść. Oddech Gabriela obok był głęboki i miarowy. Jego znajomy zapach przenikał pokój, sprawiał, że czułam się bezpieczna – coś stałego w burzliwej egzystencji. Na dworze padał deszcz, ciężkie krople uderzały o szyby, woda szumiała w rynnach. Jesienny wiatr obijał się o ściany domu, wdzierał się przez szpary i dopełzał aż do łóżka, gdzie muskał mój policzek krótkimi, zimnymi podmuchami.

Przypomniałam sobie swoje spotkanie z Theo. Ujrzałam znów czerwoną oś czasu z precyzyjnie zaznaczonymi zdarzeniami zawartymi w jego opowieści. Przed moimi oczami tańczyły daty i godziny, świeciły w ciemności, jakby chciały przekazać jakąś ukrytą wiadomość.

Usiadłam i nagle dokładnie wiedziałam, co muszę zrobić. Sięgnęłam po szlafrok, włożyłam go i zeszałam na dół.

Oczywiście nie miałam żadnego policyjnego czy kryminalistycznego doświadczenia, nigdy się nie uczyłam, jak prowadzi się dochodzenie wstępne, a tym bardziej nie byłam obiektem zainteresowania organów ścigania. Ale wykonując swój zawód i czytając maszynopisy, dużo czasu spędzałam na śledzeniu i analizowaniu przebiegu zdarzeń, aby znaleźć ewentualne niespójności czy luki.

Dlaczego nie miałabym zrobić tego także teraz?

Ponadto w wieczór, kiedy zginęła Bonnie, byłam przecież na miejscu i znałam wszystkich gości.

Na kuchennym stole rozłożyłam kartkę, wyjęłam czerwony długopis i narysowałam długą kreskę – w blasku świecy zdawała się falować na gładkiej powierzchni papieru. Następnie zaczęłam zapisywać kolejne zdarzenia z wieczoru, kiedy zginęła Bonnie.

17.00 Przychodzi Bonnie.

18.00 Olof i Tuss przyjeżdżają razem.

ok.18.30 Przyjeżdża Jujje.

19.00 Początek kolacji.

Zastanowiłam się przez chwilę, przypominając sobie gwałtowną reakcję Bonnie na kategorię krytykę Olofa na temat *Pięćdziesięciu twarzy Greya*. A potem? Zamknęłam oczy i ujrzałam Tuss zgiętą w pół i zanoszącą się śmiechem w trawie przed ogrodzeniem pod napięciem.

Obrazy wciąż napływały: kołyszący się w przód i w tył tułów Jujjego, kiedy sikał na krzak jaśminu, Olof drzemiący na krześle z fajką w dłoni.

Pisałam dalej:

ok. 1.30 Harry, David i Bonnie schodzą nad jezioro.

ok. 3.00 Bonnie, przemoczona do suchej nitki, wraca z Harrym, idzie położyć się spać.

ok. 3.10 David wraca znad jeziora, idzie położyć się spać.

ok. 3.30 Wszyscy pozostali idą spać.

A później? Przypomniałam sobie, jak obudziły mnie muzyka i burza. I że zanim poszłam do domku, połknęłam proszek od bólu głowy.

Przyłożyłam długopis do kartki.

ok. 7.30 Budzę się.

ok. 7.40 Idę do domku. Chłopcy śpią. Drzwi są zamknięte od środka, wszystkie okna też pozamykane. B. nie żyje. Harry przyprawdza Gabriela, który potwierdza, że B. nie żyje. Gabriel wzywa policję i pogotowie.

Delikatnie przesunęłam palcem po linii, próbując pojąć to, co niepojęte, i nagle jakbym poczuła obecność Bonnie, jak gdyby stała za mną i zaglądała mi przez ramię.

Płomień świecy zatrzepotał. Przeszły mnie ciarki.

– Rozwiążemy to – szepnęłam, usiłując dostrzec jakiś schemat w swoich notatkach.

Widoczne były dwie rzeczy.

Po pierwsze, Harry i Bonnie wrócili znad jeziora przed Davidem.

Dlaczego?

Nic, co chłopcy powiedzieli po śmierci Bonnie, nie odpowiadało na to pytanie. Poza tym ona była całkiem przemoczona i chociaż twierdziła, że ćwiczyła pływanie w ubraniu, nie kupiłam tego wyjaśnienia.

Po drugie – wahałam się to przyznać – nic nie wskazywało na to, by w domku poza nimi trojgiem znajdował się ktoś jeszcze.

Przyszło mi do głowy jeszcze jedno – ironia losu sprawiła, że sytuacja przypominała klasyczny wątek kryminalny, często określany jako „zagadka zamkniętego pokoju”. Zabójstwo zostaje dokonane w zamkniętym pomieszczeniu, a tajemnica obraca się wokół tego, jak ktoś się do niego dostał i jak z niego wyszedł.

Wyjęłam laptop, włączyłam go i zaczęłam szukać.

Według Wikipedii istniało wiele utworów na ten temat. Jako pierwszy wymieniono *Morderstwo na rue Morgue*, opowiadanie Edgara Allana Poeego z połowy dziewiętnastego wieku. Inni autorzy z całkiem długiej listy to: Arthur Conan Doyle, Agatha Christie, Umberto Eco i japoński pisarz Soji Shimada, który najwyraźniej specjalizował się w tym gatunku.

Czytałam dalej, lecz gdy znalazłam fragment podsumowujący potencjalne rozwiązania zagadki zamkniętego pokoju, moje początkowe podekscytowanie szybko przerodziło się w rozczarowanie.

W książkach – przynajmniej w tych starszych – były one często tak naciągane, że w dzisiejszych czasach każdy rozsądnie myślący człowiek od razu zdyskwalifikowałby je ze śmiechem.

W jednym z przykładów artysta cyrkowy wrzucił sztylet przez otwarte okno i w ten sposób zamordował swoją ofiarę, niezauważony przez nikogo. W innym morderczynią była tresowana małpa, która wdrapała się przez okno, a w trzecim przypadku sprawca uciekł przez komin na dach.

Nie, kreacje literackie nie wydawały się właściwym kierunkiem.

Mimo to nie mogłam przestać myśleć o tym wątku.

Zalogowałam się więc do księgarni internetowej, gdzie zwykle kupowałam książki.

Po kilku minutach znalazłam to, co chciałam.

Crime Fiction and the Locked Room – the Rise and Fall of a literary Genre

Była to praca naukowa, chronologiczny przegląd literatury.

Nie zaszkodzi ją przeczytać, pomyślałam i zamówiłam książkę.

Następnie zgasłam świecę, zabrałam kartkę z chronologią zdarzeń na górę do sypialni i wsunęłam ją głęboko do szuflady mojej szafki nocnej, pod zbiór wierszy Clarice Lispector, podarowany mi przez Gabriela, kiedy chłopcy skończyli roczek.

Gdy tylko położyłam się do łóżka, ogarnęło mnie poczucie bezsilności. Nadzieja – której tak długo się trzymałam – opuszczała mnie stopniowo, w miarę jak coraz głębiej zakorzeniała się we mnie świadomość stanu rzeczy. Ciemność się pogłębiała, wdzierła się w płuca, rozsadzała je i wywoływała ból.

W Wieczności nie było żadnych miotaczy nożami ani akrobatów uciekających przez kominy. Żadna literacka fantazja nie przyniesie nam ratunku. I jeśli nawet chłopcy zostaną wypuszczeni z aresztu, fakt pozostanie faktem.

Jeden z moich synów zamordował Bonnie Högberg.

Manfred

Obecnie

Jestem z powrotem w pokoju przesłuchań w Kronobergu. Minęły dwa dni mojego urlopu, a my wciąż nie wyjechaliśmy do domku na wyspie.

Dziś rano Afsaneh była na mnie zła, zażądała, żebym postarał się dotrzeć w końcu do Lykke, i oświadczyła, że nie powinienem tak łatwo dawać się prowokować.

To ostatnie mnie zirytowało, zwłaszcza że moja szefowa Bodil zadzwoniła dziesięć minut wcześniej i powiedziała mi dokładnie to samo.

– Na litość boską, Manfred – prychnęła. – Przecież ty, z twoim doświadczeniem, nie powinieneś dopuszczać do sytuacji, żeby podejrzana prowokowała cię do tego stopnia, że w rezultacie wstajesz i opuszczasz pokój przesłuchań.

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, bo miała rację. Ale spotkanie z Lykke obudziło emocje i wspomnienia, które już dawno wyparłem: rozwód z Beatrice, romans z Pirjo i, co nie mniej ważne, śledztwo w sprawie zabójstwa dziewczyny podobnej do mojej córki.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi Lykke w towarzystwie strażniczki.

– Cześć – mówię.

Skinąwszy ku mnie głową, siada na krześle po drugiej stronie stołu.

Strażniczka, muskularna kobieta o marchewkowych włosach opadających cienkimi i tłustymi kosmykami na czoło, zwraca się do mnie:

– Proszę po mnie zadzwonić, jak pan skończy.

– Oczywiście.

Zamyka drzwi i zostawia nas samych.

Lykke wygląda na jeszcze bardziej zmęczoną i wymizerowaną niż poprzedniego dnia. Splota dłonie i kładzie je na kolanach, po czym podnosi na mnie wzrok. Jej spojrzenie jest spokojne, ale czujne.

Patrzę na duże sinoczerwone ślady na jej szyi.

– Na początku chciałbym cię przeprosić – mówię. – Moja reakcja wczoraj była nieprofesjonalna.

Kiwa głową w milczeniu.

– To musiało być straszne – kontynuuję. – Obaj twoi synowie siedzieli w areszcie, nie potrafię sobie wyobrazić, jak się czułaś.

– Nie. Nie potrafisz.

Następuje pauza.

– Chciałbym, abyś wiedziała, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby ustalić, co się stało z Bonnie Högberg.

Sprawia wrażenie, jakby się zastanawiała. Spogląda na swoje splecione dłonie i wzrusza ramionami.

– I może na tym polegał problem. Czasami tak bardzo zależy nam na robieniu tego, co właściwe, że efekt jest odwrotny.

Nagle widzę przed sobą blade palce Davida Andersena ściskające inhalator. A sekundę później: skoncentrowaną twarz Harry’ego, kiedy próbuje mówić, lecz z jego ust wydobywają się tylko pojedyncze, niezrozumiałe sylaby.

A potem słyszę własny głos, jak echo przeszłości.

Gadaj tak, żebym cię rozumiał.

Opieram się na krześle, upominając siebie, żeby zachować spokój. Wszystko jest w zasięgu ręki – przyznanie się Lykke, wakacje i szansa, by ten rozdział mojego życia pogrzebać wreszcie w najgłębszych zakamarkach zapomnienia.

– Możliwe – mówię. – Całkiem możliwe. Ale teraz musimy porozmawiać o tym, dlaczego dziś ty się tutaj znalazłaś.

Ona jednak chyba mnie nie słucha, bo odpowiada mi pytaniem.

– Dlaczego trzymaliście ich tak długo?

– No cóż. Prokuratura uważała...

Wybuch śmiechem, urywanym śmiechem, który nagle zamiera.

– Teraz zamierzasz zasłaniać się Susanne Bauer?

Znowu widzę bliźniaków, odnoszę wrażenie, jakby wręcz siedzieli tu z nami, każdy zgarbiony na swoim krześle, z wyciągniętymi przed siebie nogami. Sekundę później myślę o Pirjo. Wyobrażam ją sobie obok Lykke. Z rękami skrzyżowanymi na piersi, szare oczy patrzą na mnie z cichym wyrzutem.

Ja nie oddzielam sprawy od osoby, Manfred.

– My – zaczynam, ale nagle brak mi słów. Czuję piekący ból za mostkiem, w miejscu zarezerwowanym zwykle dla Arona. To jego prawdziwy grób, w ciemności obok mojego serca.

Manfred
Osiem lat wcześniej

Wędrowałem w kółko po ciemnym mieszkaniu w poszukiwaniu śladów. Pod łóżkiem znalazłem stary tiszert Pirjo, sprany, szaroniebieski, z małymi dziurkami wzdłuż szwów i nieczytelnym już logo na jednym rękawku – gumowaty nadruk popękał i częściowo odkleił się od materiału.

Dokuczałem jej z powodu tego podkoszulka, mówiłem, że jest brzydki. A teraz ukryłem w nim twarz i wdychałem jego zapach. W końcu poszedłem z nim do łazienki.

Pod prysznicem leżała różowa maszynka do golenia, a w szafce – mascara i opakowanie tamponów.

Zamknąłem szafkę i ruszyłem do kuchni, nie bardzo wiedząc, dlaczego się tak zadreczam.

Ślady mojego krótkiego, ale intensywnego związku z Pirjo były wszędzie: w kuchennej szafce stały płatki owsiane, które robiła sobie na śniadanie, a w lodówce dżem z czerwonej porzeczki, który uparła się kupić, chociaż kosztował o dziesięć koron więcej niż dżem marki własnej Konsumu, z kolei pod zlewem leżała nowa szczotka do naczyń z naturalnego włosia, ponieważ nie mogła znieść wszystkich plastikowych rzeczy, które miałem w domu.

Usiadłem na samotnym kuchennym krześle i zastanowiłem się nad swoją sytuacją – jeszcze kilka dni temu przyszłość wydawała się jeśli nie świetlana, to przynajmniej jasna. Niedługo jeden z bliźniaków przyzna się do zabójstwa Bonnie Högberg, byłem o tym przekonany. Dzięki Pirjo zaczęły się goić moje rany po rozstaniu z Beatrice, a Alba, która była najeżona i zła, odkąd wyprowadziła się do matki, zaoferowała nawet, że mi pomoże, żeby moje mieszkanie wyglądało przytulniej.

Teraz siedziałem w nim sam, bez Pirjo i bez towarzystwa Alby.

Minęła godzina, może dwie. Próbowałem zadzwonić do córki, ale nie odbierała. Dzwoniłem także do pozostałych dzieci, lecz Alexander odrzucił połączenie, a Stella wyjaśniła szeptem, że siedzi w bibliotece, zakuwa do egzaminów i nie ma czasu rozmawiać. Rozważałem też, czy nie zadzwonić do Pirjo, nie zdołałem się jednak przemóc.

Nie zniósłbym kolejnego odtrącenia.

Otworzyłem butelkę chianti, wyjąłem słoiczek pesto i paczkę mrożonych croissantów i z tym wszystkim poszedłem do dużego pokoju – zajadając i pijąc, można

osiągnąć swego rodzaju spokój, mój organizm wiedział to od dawna.

Zaraz będzie lepiej, powtarzałem sobie, wychylając kieliszek wina i rozprowadzając grubą warstwę zielonej pasty po na wpół odtajałym croissancie. Podniosłem z podłogi katalog Ikei i sięgnąłem po długopis. Zacząłem kartkować gruby folder, moje brudne palce zostawiały tłuste ślady na uśmiechniętych postaciach siedzących na modnych sofach lub gotujących obiad w nieskazitelnie czystych kuchniach albo popijających wino przy stołach w przystępnych cenach.

Kiedy skończyłem, wyjąłem komórkę i wstukałem numer widoczny na odwrocie katalogu.

Niemal natychmiast odezwał się kobiecy głos.

– Chciałbym zamówić trochę mebli z dostawą do domu.

Kilka minut później byłem o piętnaście tysięcy koron biedniejszy, mimo to czułem pewną satysfakcję, jakbym naprawdę rozwiązał problem egzystencjalny, konsumując wystrój wnętrz. Poszedłem do kuchni, żeby wziąć coś więcej do jedzenia, gdy zadzwoniła komórka.

To Sture.

Jak zwykle ani nie powiedział dzień dobry, ani nie zapytał, czy nie przeszkadza, tylko od razu przeszedł do rzeczy:

– Wpłynęła skarga od pełnomocników Andersenów – poinformował. – Twierdzą, że ty... – odchrząknął, ale zaraz dokończył: – że wprowadzałeś ich klientów w błąd podczas przesłuchania, a także wywierałeś na nich presję w nieodpowiedni sposób.

– Jasne, że wywierałem na nich presję. Zdaje się, że takie dostałem zadanie.

– Ale nie przez okłamywanie ich.

– Wcale ich nie okłamywałem. Sprawdź protokoły przesłuchań.

Sture westchnął głęboko.

– I co dalej? – spytałem po chwili zastanowienia.

– Nie mam pojęcia, zamierzam się dowiedzieć. Prawdopodobnie nic się nie wydarzy, jeśli jednak ich sprawa trafi do sądu, na pewno wykorzystają to przeciwko nam. Oprócz tego pełnomocniczka Davida Andersena, Jessica Sund, rozpętała jakąś cholerną kampanię w internecie.

– Kampanię?

– Zajrzyj na stronę „Aftonbladet”, to się przekonasz. Z siedemnastoma pisarzami, prawnikami i politologami napisała coś w rodzaju apelu. Wynika z niego, że oni wszyscy uważają nas za barbarzyńców.

Z komórką wciśniętą między ucho a ramię przeszedłem do pokoju, uruchomiłem komputer i otworzyłem cyfrowe wydanie „Aftonbladet”.

– Poczekaj chwilę – powiedziałem do Sturego, pochylając się nad laptopem, żeby znaleźć artykuł.

„Elita pisarzy protestuje przeciwko metodom przesłuchań przypominającym tortury – nieletni są pozbawieni praw, twierdzą czołowi politolodzy”.

*

– To niemożliwe – oznajmiła Susanne Bauer. – Nie możemy trzymać ich dłużej. Zgodnie z paragrafem dziewiętnastym kodeksu postępowania sądowego podejrzanego należy zwolnić, gdy tylko ustanie przyczyna zatrzymania.

Powiesiła żakiet na oparciu krzesła i stanąwszy tyłem do nas, przyjrzała się zdjęciu Bonnie Högberg wiszącemu na tablicy pośrodku ściany.

Dookoła niego jak płatki kwiatu przyklejone były wizerunki innych osób – rodziny, przyjaciół i znajomych dziewczyny. Fotografie Davida i Harry’ego Andersenów wisiały poniżej, połączone z jej zdjęciem grubymi czerwonymi kreskami narysowanymi na białej tablicy.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Susanne się odwróciła, a sekundę później do salki weszła Nathalie, niosąc w rękach duży notes, na którym stał kubek z kawą i leżała cynamonowa bułeczka.

– Jesteśmy już tak blisko – odezwał się Sture, zbliżając kciuk i palec wskazujący prawej dłoni na odległość paru milimetrów. – Jedyne, co jest nam potrzebne, to...

– Co? – przerwała mu Susanne.

– Czas – odparł, szeroko rozkładając ręce.

– Nie mamy czasu – powiedziała prokuratorka. – David i Harry Andersenowie są niepełnoletni, od blisko dwóch miesięcy przebywają w areszcie. W piątek odbędzie się kolejna rozprawa w sprawie przedłużenia zatrzymania dla Davida. Nie mogę się na niej pojawić z niczym i ponownie prosić o więcej czasu. Chociaż szwedzkie prawo nie określa górnego limitu okresu aresztu przedprocesowego, to coraz trudniej jest mi twierdzić, że nadal istnieją do niego podstawy. Według mnie ryzyko, że po wyjściu na wolność oni zbiegną, jest niewielkie, podobnie jak prawdopodobieństwo, że będą popełniać kolejne przestępstwa. A argument podnoszony przez obrońców, że ich klienci są w złym stanie psychicznym i tracą ważny dla nich czas w szkole, nabiera coraz większej wagi.

– Jeśli ich wypuścimy, mogą utrudniać śledztwo – wtrącił Sture.

– Oczywiście – zgodziła się prokuratorka. – Ale czy nie przesłuchaliśmy już wszystkich, którzy powinni zostać przesłuchani? I nie wykonaliśmy wszystkich ekspertyz? Prawo stanowi, że dochodzenie wstępne należy przeprowadzać *bez zbędnej zwłoki*.

– Twoim zdaniem się objaliśmy? – fuknął Sture.

– Dwa miesiące – powiedziała z naciskiem Susanne, pochylając się do przodu i unosząc dwa palce. – Mieliście dwa miesiące, żeby przygotować dowody dające podstawę do wniesienia oskarżenia. Tymczasem sytuacja jest taka, że na dzisiaj nie możemy powiązać żadnego z Andersenów z morderstwem. Bez przyznania się do winy czy wiarygodnego świadka mamy związane ręce.

– Zaraz, zaraz – wtrąciłem. – Czy to ma związek z tym apelem w „Aftonbladet”? Albo ze skargą wniesioną przez adwokatów?

Susanne uśmiechnęła się cierpko.

– Nie. Apel to nic nowego, Szwecja od lat jest krytykowana za nie do końca zgodne z międzynarodowymi normami stosowanie aresztu. Między innymi przez Komitet przeciwko Torturom ONZ. Ale oczywiście ten artykuł nie przysłużył się sprawie. Dziennikarze ścigają mnie dziś od samego rana. A jeśli chodzi o skargę obrońców... – urwała i zatrzymała spojrzenie gdzieś na wysokości mojej klatki piersiowej. – Z tym dam sobie radę – dokończyła.

Zapadła cisza.

– Sprawa Lindome – odezwał się Sture, postukując palcami w pusty kubek po kawie. – To jest wypisz wymaluj sprawa Lindome.

– Być może – powiedziała z ociąganiem Susanne.

– Czyli? – rzuciła Nathalie.

– To długa historia – zwróciła się do niej prokuratorka – ale w skrócie chodziło o to, że w Lindome pod Göteborgiem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku zamordowano starszego mężczyznę. Zatrzymano dwie osoby, które nawzajem się obwiniały. Ostatecznie obie zostały uniewinnione od zarzutu zabójstwa, ponieważ sąd nie mógł rozstrzygnąć, która z nich mówiła prawdę.

Ponownie zapadła cisza.

– Czy nie można oskarżyć zarówno Harry’ego, jak i Davida? – zapytała po chwili Nathalie.

Susanne usiadła na krześle i potoczyła wzrokiem po wszystkich obecnych. Potem pokręciła głową.

– Nie, ponieważ wtedy musielibyśmy udowodnić, że zabójstwa dokonali wspólnie, a w gruncie rzeczy nic na to nie wskazuje.

– To może dałoby się oskarżyć obu za pomocnictwo? – zasugerowała Nathalie.

– Nic z tego.

– Bo?

– Bo to byłoby równoznaczne z przyjęciem, że obaj są winni, podczas gdy jest wysoce prawdopodobne, że przynajmniej jeden z nich jest niewinny.

Susanne zebrała ze stołu swoje papiery i włożyła je do tekturowej teczki.

– Przecież to kompletny absurd – powiedziałem. – To po prostu nie do pomyślenia, żeby móc tak łatwo wywinąć się od odpowiedzialności za morderstwo. Każdy z nas wie, że zrobił to któryś z nich.

– Ale nikt nie wie który który – stwierdziła oschle Susanne, zapięła teczkę gumką i wsunęła ją do aktówki. Następnie wstała, wolną ręką wygładziła sobie bluzkę i skinęła głową ku Sturemu.

– Macie dwa dni. Postarajcie się je dobrze wykorzystać.

N...n... nie mogę s... s...sobie przypomnieć.

Opuszczona twarz Harry'ego Andersena była ogniście czerwona.

– Okej – powiedziała Pirjo, nachylając się nieco do przodu. – Nie szkodzi, Harry. Musiałem ugryźć się w język, żeby nie wejść jej w słowo.

Całe to przesłuchanie było jedną wielką farsą – Harry zagalopował się w swoim kłamstwie do tego stopnia, że chyba sam zaczął sobie wierzyć, a Pirjo mu na to pozwalała.

Siedzieliśmy z nim już kilka godzin, wcześniej równie długo rozmawialiśmy z Davidem.

Jeden z dwóch darowanych nam dni dobiegał końca.

Mimo wszystko nie przerwałem jej. Siedziałem spokojnie, mając nadzieję, że zauważy moją niemal perfekcyjną samokontrolę, którą wymachiwałem jej przed nosem jak białą flagą. Może jednak istniała jeszcze szansa, że zobaczy mnie takim, jakim chciałem być: człowiekiem nierobiącym rozróżnienia między sprawą a osobą, uznającym wyższość prawa nad racją i umiejącym budować konstruktywną relację z podejrzanym.

Isak Saxon poprawił sobie krawat.

– Wydaje mi się, że już nic więcej nie uzyskamy – stwierdził, splatając dłonie na stole.

Pirjo potaknęła.

– Wrócimy do tego jutro – powiedziała. – Porozmawiamy jeszcze raz.

– Mój klient nie ma nic do dodania – odparł Isak. – Uważam za oczywiste, że przesłuchania już do niczego nas nie doprowadzą.

Kiedy opuściliśmy pokój i wyszliśmy na klatkę schodową, przystąpiłem do ataku. Miałem nadzieję, że nie zostaną odebrani jako zbyt natrętny.

– Przy okazji, nie miałabyś ochoty wpaść dziś wieczorem?

Pirjo zwolniła kroku i spojrzała na mnie badawczo. Następnie palcem poprawiła te swoje beznadziejnie ohydne okulary.

– Nie wiem. Czy to dobry pomysł?

– Pomyślałem tylko, że... – Odsunąłem się na bok, aby ustąpić miejsca śledczemu przechodzącemu obok z naręczem segregatorów. – ...że może byś mi trochę doradziła

przy urządzaniu mieszkania – dokończyłem i niemal w tej samej sekundzie się zorientowałem, że trafiłem jak kulą w płot.

Pirjo zmarszczyła czoło.

– Nie jestem dobra w takich rzeczach – odpowiedziała, wyraźnie zasmucona.

Podniosła swój stary plecak i posłała mi nieśmiały uśmiech. Z wystrzępionego materiału zwisały nitki, a obluzowana sprzączka jednego paska dyndała w powietrzu.

– Wygląd nigdy nie był dla mnie najważniejszy – dodała, po czym chwyciła jedną z luźnych nitek i oderwała ją mocnym szarpnięciem.

Zaczeliśmy schodzić po schodach.

– Ale okej. Wpadnę na chwilę.

– Około szóstej?

– Może być.

Meble przyjechały o piątej – meble to za wiele powiedziane, w końcu zrobiłem zakupy w Ikei, więc wszystko było popakowane w płaskie brązowe kartony.

Rozewałem jeden z nich – kuchenne krzesło – i od razu rozpostarłem na podłodze instrukcję. Następnie otworzyłem małą foliową torebkę przyklejoną do drewnianej nogi i rozłożyłem przed sobą śrubki, nakrętki i klucz sześciokątny. Owca

Przeliczyłem wszystko raz, potem drugi.

Brakowało jednej śrubki, jednej pieprzonej śrubki.

Poszedłem do kuchni, spojrzałem na krewetki na półmisku, otworzyłem wino, które stało w lodówce, i nalałem sobie kieliszek.

Może zacząć od innej paczki? Może w którejś znajdzie się jedna śrubka więcej i będę mógł jej użyć do tego cholernego krzesła?

Z winem w ręce wróciłem do przedpokoju. Upiłem łyk i odstawiłem kieliszek na podłogę. Potem powiodłem spojrzeniem po wszystkich kartonach po kolei i wybrałem jeden z większych.

Okazało się, że mieścił się w nim stolik kawowy.

Gdy tylko wyjąłem blat, stwierdziłem, że jest zdecydowanie za mały – mój pokój był wielki jak sala gimnastyczna, a ten stoliczek nadawałby się raczej do pokoju dziecięcego jako mebelek dla lalek.

Dziwne, pomyślałem. W katalogu wyglądał idealnie.

Mimo to zabrałem się do roboty, położyłem blat do góry nogami na podłodze i zacząłem montować. Nie było to trudne, ale czasochłonne. Przydałyby się dodatkowe dwie ręce, żeby przytrzymywać poszczególne nogi podczas wkręcania śrub w małe, wstępnie wywiercone otwory.

Po przymocowaniu czwartej postawiłem stolik jak Pan Bóg przykazał. Nacisnąłem dłonią blat, żeby sprawdzić, czy jest wytrzymały.

Mebel się zakołysał i w tym momencie mój wzrok padł na jeszcze jedną drewnianą płytę, która leżała w kartonie. Co, do cholery? Sięgnąłem po instrukcję i patrzyłem na nią z rosnącym zdumieniem. Najwyraźniej odkryta przeze mnie płyta – półka – powinna zostać przymocowana do nóg przed zamontowaniem ich do blatu.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Podniósłszy się nie bez wysiłku, zakląłem cicho i kopnąłem w pusty karton. Sekundę później rozległ się brzęk. Schyliłem się i zobaczyłem kieliszek roztrzaskany na podłodze. Złocisty płyn rozlał się po drewnianych klepkach.

– Przepraszam – powiedziała Pirjo. – Jestem trochę wcześniej.

– Nie szkodzi – skłamałem. – Wejdz.

Odsunąłem się na bok, ustępując jej miejsca w przedpokoju.

– Oj, widzę, że jesteś zajęty.

Zatrzymała spojrzenie na zbitym kieliszku.

– Właśnie... – zacząłem, ale zaraz zamilkłem.

– Nienawidzę składać mebli – powiedziała i z wykrzywioną w grymasie twarzą postawiła plecak przy drzwiach.

Podszedłem do kieliszka, aby pozbierać potłuczone szkło.

Pirjo przykucnęła przy mnie i zaczęła mi pomagać. Ostrożnie podnosiła kawałek po kawałku z podłogi i wkładała je do jednej dłoni.

Potem wyrzuciliśmy resztki po rozbitym kieliszku do kosza na śmieci.

Zerknęła na krewetki.

– Wiesz, chyba nie mogę zostać tak długo.

– Nic nie szkodzi – rzuciłem szybko, może za szybko. – Możemy zjeść tylko trochę.

– Nie mogę – odpowiedziała po kilku sekundach wahania. – Idę później na kolację.

A po chwili dodała:

– Nie powinnam była przychodzić. To idiotyczne. Przepraszam.

Sięgnęła po ścierkę i wyszła z nią do przedpokoju. Przyglądałem się jej, jak znów przykucnęła i zaczęła wycierać rozlane wino – pochylone wąskie plecy, loki opadające na twarz, chuda ręka przyciskająca szmatę do parkietu.

Potem pomyślałem o tym, jak miękka była jej skóra pod moimi palcami, i o bliźnie biegnącej wzdłuż łuku żebrowego.

– Zostaw, daj spokój – powiedziałem.

– Nie ma sprawy – odparła i wstała.

Odwróciła twarz, ściskając szmatę w dłoni.

– Pójdę już – bąknęła.

– Ale krewetki.

Było znacznie więcej do powiedzenia, tysiące słów czekało na wypowiedzenie. Słów, które opisałyby nocie niemające końca, pustkę pełną bólu i udręki. No i do tego jeszcze dochodziło dokuczliwe poczucie, że zostałem niesprawiedliwie potraktowany – no bo czyż nie próbowałem? Czy nie milczałem dziś cierpliwie, kiedy ona na próżno próbowała dotrzeć podczas przesłuchania do bliźniaków? Czy nie kupiłem mebli, jak mi sugerowała? Nie kupiłem wina ani krewetek?

Ale czegoś takiego nie można oczywiście powiedzieć.

Bo miłość nie jest towarem.

A głód dotyku jest zbyt wstydlivy, by o nim wspominać.

Kiedy wieczorem kładłem się spać, myślałem, że nazajutrz pewnie wszystko będzie lepiej.

Ale tak się nie stało, w rzeczywistości wszystko się pogorszyło.

Ledwie się obudziłem, dostałem esemesa od Alby.

„Zostanę u mamy do końca semestru”.

„Dlaczego?” – odpisałem.

Odpowiedź przyszła po kilku minutach.

„Nie dam rady spotykać twoich panienek”.

Panienek?

Alba natknęła się na Pirjo i na nikogo więcej. Nie miałem w domu haremu.

Natomiast u Beatrice koczował Hasse, ale najwyraźniej to nie stanowiło problemu.

Widocznie jedynie ojcu nie wolno mieć romansu.

„Może umówmy się na lunch albo na kolację i pogadajmy o tym?”

Niemal natychmiast kliknęło w komórcę.

„Nie”.

Zastanowiłem się, czy nie zadzwonić do Beatrice i nie porozmawiać z nią na ten temat, postanowiłem jednak dać spokój. Ona lubiła dużo mówić, a ja spieszyłem się do aresztu na rozstrzygające przesłuchania.

Odsunąłem więc na razie myśli o córce i wyszedłem do przedpokoju.

Dzisiaj go przygwoździmy, pomyślałem, wkładając marynarkę. Przyjrzałem się swemu odbiciu w lustrze i poprawiłem poszetkę.

Dziś musimy go przygwoździć.

*

Gdy tylko zobaczyłem Pirjo przy wejściu do aresztu, od razu poznałem po jej minie, że coś jest nie tak. Poczucie upokorzenia, którego spodziewałem się na jej widok po koszu, jakiego wczoraj mi dała, o dziwo się nie pojawiło. Szybko podszedłem do niej po schodach.

– Co się stało? – spytałem.

– Chodzi o Davida Andersena – powiedziała, zniżając głos, aby nie usłyszał jej przechodzący obok funkcjonariusz. – Jest w szpitalu. Podobno pogłębiła się astma. Zawieźli go dziś rano.

– Jasna cholera.

Wzięłem Pirjo pod ramię i wyciągnąłem ją na zewnątrz na chłodne jesienne powietrze.

– Muszę zapalić – powiedziałem, sięgając po paczkę papierosów, którą teraz, zamiast trzymać gdzieś głęboko w kryjówce w mieszkaniu, mogłem spokojnie nosić w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Kiedy podniosłem papierosa do ust, Pirjo podążyła wzrokiem za moją ręką.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– Nie palę.

Ciaśniej owinęła się płaszczem i odwróciwszy się plecami do wiatru, spojrzała bez słowa na złowrogie ciemne niebo.

– Kiedy wróci? – spytałem.

– Nie wiadomo.

– Wobec tego zaczniemy od Harry’ego.

– Jasne.

Zamilkła i grzebiąc niezgrabnym butem w mokrych liściach, wpatrzyła się w ziemię.

– Jak chcesz to rozegrać? – odezwała się po chwili.

– Pozwól mi poprowadzić to przesłuchanie – poprosiłem.

Harry Andersen wyglądał na chorego – był blady i spocony, oczy pały od gorączki. Jedną ręką trzymał się za brzuch, drugą masował sobie kark.

Isak Saxon był jak zwykle dobrze ubrany i opanowany. Przybrał ponurą i nieco znudzoną minę, jakby chciał nam w ten sposób powiedzieć, jak bezcelowe jest to przesłuchanie.

– Harry – zacząłem. – Wiem, że zależało ci na Bonnie. I że dobrze jej życzyłeś.

Przestał pocierać kark, opuścił rękę i utkwiał wzrok w stole.

– Mm – mruknął.

– I na pewno uważasz, że ten, kto ją zabił, zasługuje na karę.

Skinął głową, a potem wykrzywił twarz i przycisnął obie dłonie do brzucha.

– Domyślam się, że nie było łatwo dorastać u boku takiego brata jak David – kontynuowałem. – Jemu wszystko przychodziło łatwo, prawda? Nauka, koledzy, a ty o wszystko musiałeś walczyć.

Harry poruszył się na krześle. Krople potu u nasady włosów błyszczały w ostrym świetle jarzeniowej lampy.

– Ż...ź...źle się czuję – wymamrotał.

– Rozumiem to. Przez wszystkie lata stałeś w cieniu Davida. Wciąż musiałeś słuchać, jak bardzo jest inteligentny, jaki wspaniały. A tobie nikt nie podziękował za wszystko, co dla niego zrobiłeś...

– Ja... – zaczął i zaraz zamilkł.

– A kiedy Bonnie wybrała ciebie, nie umiał się z tym pogodzić. Nie mógł ci tego darować.

Nie odpowiedział, ale wydawało mi się, że pod jego długimi czarnymi rzęsami dostrzegłem łzy.

– Już nie musisz go dłużej chronić – rzekłem. – Teraz możesz mi opowiedzieć, co zdarzyło się tamtej nocy. Ze względu na Bonnie. I dla twojego własnego dobra, bo nie zasługujesz na to, żeby tu być.

Zrobiłem zamaszysty ruch ręką i po chwili dodałem:

– Harry, masz przed sobą całe życie. Nie musisz kłamać, żeby chronić Davida.

Harry zerwał się z krzesła, obiema rękami chwycił blat stołu, przez ułamek sekundy myślałem, że zaraz go wywróci. Oczy miał otwarte szeroko jak u dzikiego zwierzęcia.

Sekundę później zwymiotował. Kaskada spienionej zielonożółtej cieczy wytrysnęła z jego ust, rozlała się po blacie i spłynęła mi na nogi.

*

Na tyle, na ile mogłem, wytarłem spodnie papierowymi ręcznikami i wyszedłem z łazienki.

Plamy zniknęły, ale odór pozostał jak uporczywe przypomnienie nieudanego przesłuchania i ogólnie mojej nędznej sytuacji życiowej.

Pirjo stała na korytarzu.

– Udało się? – spytała.

– Nic z tego. Muszę jechać do domu i się przebrać. Ale możemy najpierw zamienić parę słów?

– Jasne – odparła, zerkając na wilgotne nogawki moich spodni.

Usiedliśmy w salce konferencyjnej.

Pirjo powiodła wzrokiem po zdjęciach na białej tablicy.

– Susanne Bauer miała rację – stwierdziła. – Mamy przechłapane.

– Nie zamierzam się poddać.

Powoli pokręciła głową.

– Nikt nie mówi, że mamy się poddawać, ale wygląda na to, że na razie nie wyciągniemy nic sensownego z bliźniaków. A bez dowodów, świadków czy...

– Nie zamierzam się poddać.

Zmarszczyła brwi i zdjęła okulary. Położyła je na stole i roztarła palcem nieduży czerwony ślad na grzbiecie nosa.

– A co to dokładnie znaczy?

– Musi być coś, o czym zapomnieliśmy, jakiś element śledztwa, który jest jeszcze do wykorzystania.

– Na przykład co?

Wzruszyłem ramionami.

– Przesłuchać jeszcze więcej osób.

– Przestań, Manfred – szepnęła. – Nathalie i jej koledzy przesłuchali wszystkich. Sąsiadów, kolegów i nauczycieli ze szkoły. A my rozmawialiśmy z rodzicami Bonnie i gośćmi imprezy rakowej. Nie ma już kogo przesłuchiwać.

– Zawsze się ktoś znajdzie.

– Ale to nie w porządku. To byłoby nieetyczne, może nawet i bezprawne, gdybyśmy próbowali oszukać prokuraturę i sąd, twierdząc, że mamy więcej świadków, których trzeba przesłuchać.

– Nie w porządku wobec kogo? – zapytałem i spojrzałem na wypłowiałe zdjęcie Bonnie na ścianie.

Tak, chciałem postąpić właściwie.

Chciałem oddać dziewczynie, która już nigdy nie skończy osiemnastu lat – tej, która tak bardzo przypominała moją córkę – sprawiedliwość, bo ona sama jej już nie wymierzy. I chciałem dać jej rodzinie jedyną rzecz, jaka im pozostała: prawdę o tym, co spotkało ich córkę tamtej sierpniowej nocy.

Ale oczywiście było to bardziej skomplikowane.

Nienawidziłem przegrywać, zawsze. Poza tym nie miałem wątpliwości, że to jeden z bliźniaków jest winny zabójstwa i że to tylko kwestia czasu, jak zaczną mówić.

Po przyjściu do domu od razu zdjąłem zabrudzony garnitur. Złożyłem go ostrożnie i zapakowałem do foliowej torby – zmywanie wymiocin wodą z mydłem nie miało sensu, musiałem zanieść go do pralni chemicznej.

Potem wziąłem prysznic, ubrałem się w dżinsy i świeżą koszulę, usiadłem na sofie z laptopem na kolanach i zacząłem czytać od nowa materiały ze wstępnego śledztwa.

Pirjo miała rację, śledztwo zostało przeprowadzone dokładnie i rzetelnie. Niczego nie można było zarzucić ani badaniu miejsca zbrodni, ani ekspertyzom kryminalistycznym. A Nathalie i jej ludzie przesłuchali już chyba połowę gminy.

Przejrzałem też powtórnie protokoły przesłuchań – kolegów klasowych Andersenów, nauczycieli, pracowników stacji benzynowej, na której dorabiał Harry.

Nie znalazłem nic ciekawego.

Zamknąłem oczy.

Pojawiło się wspomnienie z pierwszego przesłuchania Davida. Jego zszokowana mina, gdy zdał sobie sprawę, że zostanie w areszcie, i jego słowa:

„Nie mogę tu zostać, jutro mam turniej szachowy”.

Jeszcze raz przekartkowałem protokół. Drżącymi palcami sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do Nathalie.

– Cześć, Manfred – powiedziała. – Streszczaj się, o piątej mam spotkanie.

– Okej. Potrzebuję twojej pomocy. Interesuje mnie pewne nazwisko i numer telefonu.

*

Manne Ljungstedt odebrał po drugim sygnale. Jego głos brzmiał jasno, melodyjnie, niemal kobieco.

Przedstawiłem się, wyjaśniłem, o co chodzi, i spytałem, czy znajdzie dla mnie kilka minut.

Nie wydawał się zaskoczony moim telefonem, wręcz przeciwnie.

– Podejrzewałem, że się pan odezwie – powiedział. – Ostatecznie w klubie szachowym spędzaliśmy razem całkiem sporo czasu, ja, David i inni członkowie.

– Jak byś opisał Davida?

Zawahał się, zanim odpowiedział.

– Niesamowicie, niewyobrażalnie inteligentny. Strategiczne myślenie. Przynajmniej jeśli chodzi o szachy.

– Jak często się widywaliście?

– W środy i piątki. W tamtym tygodniu spotkaliśmy się w piątek. Czyli dzień przed tym, jak Bonnie Högberg... To znaczy przed jej śmiercią.

Jasny głos ucichł.

– Jak się wtedy zachowywał?

– David? Był raczej taki jak zwykle. Może trochę zestresowany.

– Zestresowany?

Manne odchrząknął.

– Nie wiem, jak dobrze pan zna Davida, ale on stresuje się wieloma rzeczami.

– Na przykład?

– Różnymi – odpowiedział cicho. – Szkołą, turniejami szachowymi i takimi tam.

*

Sture odebrał od razu.

– Co tam?

– Nie przesłuchaliśmy chłopaka, który należał do tego samego klubu szachowego co David. Właśnie z nim rozmawiałem. Powiedział, że Andersen wydawał się zestresowany dzień przed zabójstwem Bonnie.

– Niech to szlag – prychnął Sture.

– Trzeba go przesłuchać. I powinniśmy pogadać też z innymi dziećmi z tego klubu.

– Już dzwonię do Susanne Bauer. To raczej wystarczy do przedłużenia aresztu.

Lykke
Obecnie

Manfred wygląda tak, jakby zapadał się na krzesło przede mną.

Promień słońca przedostaje się przez małe zakratowane okno, błyszczy na tarczy zegarka na jego nadgarstku, a potem zamienia się w drobny refleks na ścianie obok mnie.

– Lykke – mówi powoli. – To było dawno temu.

– Niedługo minie osiem lat. Dziewięćdziesiąt sześć miesięcy. Prawie trzy tysiące dni.

Obraca długopis w palcach dużej dłoni i milczy.

– Tyle czasu musieliśmy żyć z tym, co zrobiłeś – ciągnę dalej.

Odkłada długopis, poprawia go tak, aby leżał równoległe do krawędzi stołu, a potem patrzy mi prosto w twarz. Jego oczy wydają się zmęczone, to oczy starego mężczyzny.

– Przecież Harry i David wyszli z aresztu – odzywa się. – Wszystkie podejrzenia przeciwko nim zostały oddalone.

– Po dwóch i pół miesiąca.

Wzrusza ramionami.

– To nie tak strasznie długo. Wielu siedziało znacznie dłużej. Tak działa system sprawiedliwości.

– A ty – zaczynam znowu – byłeś draniem i manipulowałeś tym systemem.

Poprawia się na krzesło i przeczesuje ręką siwiejące włosy.

– To nieprawda – zaprzecza, jednak nie brzmi przekonująco. – Nie rozumiem, dlaczego założyłaś, że ja...

Wykonuje nieokreślony gest ręką.

Opieram się na niewygodnym krzesle.

– No jasne, że tego nie rozumiesz. Ponieważ sprawa nie trafiła do sądu, wstępne śledztwo nigdy nie zostało upublicznione. Ale ja zrobiłam swoje własne dochodzenie. Rozmawiałam z chłopcami, porównałam to, co każdy z nich mi opowiedział. I skonsultowałam się z ekspertem prawnym. Dlatego wiem, o czym mówię. Manipulowałeś nimi. I robiłeś wszystko, żeby zatrzymać ich w areszcie.

Nie odpowiada.

– Dwójka dzieciaków – kontynuuję. – Że też ci nie wstyd, Manfredzie Olssonie. Dwóch chłopców zamkniętych w areszcie i poddanych ostrym restrykcjom.

Śmiertelnie przerażonych i chorych. A kiedy wrócili do domu... Jak sądzisz, co się stało, kiedy wrócili do domu?

Marszczy czoło i wygląda na udręczonego.

– Powiedz mi.

– Zrobię to – mówię i myślę o tym, co napisałam dzisiaj rano.

Radość jest odurzająca, przenika ciało, ogarnia je całe jak gorączka.

Moi synowie wrócą do domu i teraz tylko to się liczy. Oczywiście przyjdą trudne chwile. Oczywiście będą czuli się źle, byłoby dziwnie, gdyby było inaczej, prawda? Ostatecznie siedzieli zamknięci przez miesiące, poddani nieludzkiemu traktowaniu, cierpieli męki, których nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

Myślę, że wszystko, czego potrzebują, to czas i miłość. Moja miłość, jedyna, jaka naprawdę się liczy.

Na pewno uda mi się ich wyleczyć... W końcu jestem ich matką.

Lykke
Osiem lat wcześniej

Wczwartek dwudziestego pierwszego listopada David i Harry zostali zwolnieni z aresztu.

Siedziałam w kuchni zajęta jakąś redakcją, gdy zadzwoniła komórka Gabriela. Odebrał w swoim pokoju na piętrze – nie słyszałam, co mówił, ale po kilku minutach zbiegł na dół z telefonem w dłoni.

Włosy miał potargane, policzki nabrały koloru. Od miesiący nie widziałam go tak rozradowanego. Albo, szczerze mówiąc, od ostatniej wizyty Jujjego.

– Co się stało? – spytałam, odsuwając na bok plik papierów.

– Wypuszczają ich z aresztu!

Serce podskoczyło mi w piersi.

– Właśnie rozmawiałem z Jessicą Sund – wyjaśnił, podnosząc mnie z krzesła. – Podejrzenia wobec Davida i Harry’ego zostały oddalone.

Położył komórkę na stole, a potem mnie objął, podniósł i zaczął obracać w kółko.

– Nasi chłopcy są wolni – mówił dalej. – Wracają do domu, Lykke. Obaj wracają do domu.

Miałam mnóstwo pytań, lecz nie zdołałam wypowiedzieć ani jednego, tylko zaczęłam płakać.

– Daj spokój, nie płacz – pocieszał mnie Gabriel. – Już po wszystkim.

Postawił mnie na podłodze i zaczął scałowywać łyzy z moich policzków.

– Ale co się stało? – spytałam między spazmami.

Gabriel zaciągnął mnie do salonu i usiadł razem ze mną na kanapie, kładąc nogi na stoliku i opierając głowę na jednej ze sfatygowanych poduszek.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi raczej o to, co się *nie* stało. Po prostu brakuje im dowodów przeciwko nim.

– Czyli nie zatrzymali nikogo innego?

Pokręcił głową, patrząc w sufit. Sekundę później zerwał się z kanapy i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

– Nareszcie – westchnął. – Znowu możemy być rodziną. Czy to nie fantastyczne?

– Tak – odpowiedziałam, bo to było niewątpliwie fantastyczne.

Czekałam na ten dzień od ponad dwóch miesięcy. Czekałam i zadręczałam się myślą, że on nigdy nie nadejdzie – że obaj, a przynajmniej jeden z nich, zostaną za betonowym murem i kratami.

Gabriel przystanął w pół kroku i wyciągnął rękę do sufitu, jakby chciał go dotknąć opuszkami palców.

– Dzięki ci, dobry Boże – wymamrotał.

– Tak, dzięki ci, dobry Boże – powtórzyłam za nim.

*

Jeszcze tego samego wieczoru pojechaliśmy do Sztokholmu ich odebrać.

Było ciemno, nad miastem padał zimny listopadowy deszcz. Ludzie przemykali pod kolorowymi parasolkami, ale my oczywiście zapomnieliśmy wziąć ze sobą parasola – byliśmy zbyt podekscytowani, żeby myśleć o tak przyziemnych rzeczach.

Przecież właśnie mieliśmy zabrać naszych synów do domu – to była chwila niemal tak wielka jak przed osiemnastoma laty, gdy się urodzili.

David wyszedł pierwszy. Przeżyłam szok, gdy pojawił się na schodach. Był tak chudy, że niemal go nie poznałam. Włosy wyglądały na matowe, a w jednym kąciku ust dostrzegłam duży czerwony strup.

Szedł niepewnym krokiem ze spojrzeniem utkwionym w mokrym czarnym asfalcie.

– David! – krzyknęłam i pobiegłam mu naprzeciw.

Przystanął i spojrzał na mnie, następnie znów opuścił głowę i z obojętną twarzą szedł dalej w moją stronę.

Rzuciłam mu się na szyję, tuląc jego wychudzone ciało.

– Synku, mój kochany synku – szeptałam gorączkowo.

– Cześć – bąknął i uwolnił się z mojego uścisku.

Pogłaskałam go po twarzy, powiodłam palcami po konturach jasnych brwi i ostrych krawędziach kości policzkowych, otarłam kilka kropli deszczu z bladego nosa i przyjrzałam się egzemie w kąciku ust.

Nie wyrywał się, ale przez cały czas patrzył na uliczną latarnię stojącą kilka metrów dalej.

– Co ci się tu stało? – spytałam, dotykając czerwonej popękanej skóry.

– To jakaś infekcja. Lekarz w szpitalu powiedział, że to przez inhalator, że coś takiego wyskakuje od zbyt dużej ilości kortyzonu. Dali mi maść.

Gabriel podszedł do nas, uściśnął Davida i zmierzwił mu nieświeże włosy.

– Cudownie mieć cię znowu, stary. – Pocałował go w czoło.

David wykrzywił twarz.

– Zaraz wyjdzie Harry – powiedziałam. – Chcesz poczekać tutaj czy wolisz w samochodzie?

Nagle David zeszywniał. Po chwili odwrócił się plecami i zdecydowanym krokiem zaczął oddalać się od nas.

– David! – krzyknęłam. – Co ty robisz? Dokąd idziesz?

Nie odpowiedział i nie zwolnił kroku.

– Wracaj! – zawołał Gabriel.

Wtedy się zatrzymał, obrócił się i popatrzył na nas.

– Poczekam w samochodzie – rzekł.

Harry wyszedł pół godziny później, nie wyglądał na tak wymizerowanego i wycieńczonego jak David, ale coś dziwnego było w jego spojrzeniu – wydawało się mroczne i dziwnie rozbiegane.

Po uściskach i nieuniknionych łzach ruszyliśmy do auta. Deszcz padał coraz intensywniej, przyspieszyliśmy więc kroku, omijając kałuże i starając się nie wejść w małe potoki, które utworzyły się pod rynnami.

Harry otworzył przednie drzwi pasażera, pochylił się, żeby wsiąść, ale na widok Davida zamarł.

– Wskakuj – powiedziałam.

Odwrócił twarz.

– M...m...mogę p... p...pojechać pociągiem.

– Opamiętaj się – mruknął Gabriel, ocierając czoło z wilgoci.

– Proszę cię, Harry – rzuciłam.

Wzruszył ramionami i usiadł na przednim siedzeniu, nie witając się z bratem.

Ruszyliśmy w deszczu w kierunku domu.

Przez cały czas paplałam, mówiłam, jak bardzo się denerwowaliśmy i jak się ucieszyliśmy, że ludzie z prokuratury i policji uznali wreszcie, że obaj są niewinni. Opowiadałam o Olofie, Tuss i Jujjem, którzy przyjeżdżali do nas z jedzeniem i winem, i o bezczelnej dziennikarce, którą odprawiłam.

– W każdym razie to już przeszłość, teraz wszystko będzie dobrze – stwierdziłam na koniec. – Oczywiście dla nas przez cały czas było jasne, że was wypuszczą, nie wiedzieliśmy tylko kiedy.

Ani David, ani Harry nie odezwali się ani słowem.

Gabriel rzucił mi szybkie spojrzenie znad kierownicy. W jego oczach dostrzegłam niepokój. Ja też go czułam. Ale reagowaliśmy na niego w różny sposób – podczas gdy on milczał, ja nie przestawałam mówić.

– Zrobiłam lasagne – oznajmiłam.

Chłopcy nie odpowiedzieli.

– Jeśli chcecie, możemy wypić po kieliszku wina – kontynuowałam.

Cisza.

Kiedy dojechaliśmy do domu, Harry wziął swoje rzeczy, wepchnął je do nylonowej torby i przewiesił ją sobie przez ramię.

– Pójdę do domku nad jeziorem – powiedział.

– Nie wygłupiaj się – rzucił Gabriel, ale on już zniknął w ciemności.

David spojrział przez ciemne okno.

– Ja prześpię się na kanapie – oznajmił, po czym poczłapał do salonu i wyciągnął się na brzuchu na wysłużonym pluszowym meblu.

Ja i Gabriel zostaliśmy w przedpokoju. Przez drzwi do kuchni zerknęłam na nakryte aluminiową folią lasagne stojące na szafce.

Gabriel pogłaskał mnie po plecach.

– Przejdzie im – szepnął.

Gabriel się mylił.

Nie przeszło, to nie był katar, którego nabawiły się moje dzieci. I żadne drobne nieporozumienie, żaden śmieszny zatarg, który byliby gotowi puścić w zapomnienie.

Dni mijały, zamieniały się w tygodnie, a my z Gabrielem nie zdołaliśmy zasypać głębokiej przepaści, jaka otworzyła się między naszymi synami.

David wstawał bardzo wcześnie, tuż przed szóstą – według mnie jedynie z tego powodu, żeby uniknąć kontaktu z Harrym, który jadł śniadanie później. Jeden brał prysznic w domu, drugi – w saunie. Kolacji też nie chcieli jeść razem – Harry zabierał jedzenie do domku nad jeziorem. A potem stawiał pusty talerz ze sztućcami i szklanke na werandzie, jak żebrak, i znikał, nie mówiąc ani dziękuję, ani dobranoc.

Obaj chodzili do szkoły, ale nie miałam pojęcia, co się tam działo. Raczej wątpliwe, by ze sobą rozmawiali.

*

Pewnego ranka, gdy chłopcy właśnie wyszli – to musiało być jakoś w grudniu – próbowałam porozmawiać z Gabrielem. Wybraliśmy się na spacer do lasu, w bladym świetle świtu sączącym się przez korony drzew ledwie dało się dostrzec ścieżkę. Ziemię pokrywała warstwa szronu, a duże korzenie przecinające szlak były zdradziecko śliskie.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedziałam. – Może pogadałbyś z Davidem? On ciebie słucha.

To prawda, Gabriel stanowił dla niego wzór. Sądzę, że uosabiał w jego oczach to wszystko, do czego sam aspirował: był intelektualistą, osobą kreatywną, cenionym pisarzem. Oraz – co najważniejsze – dostrzegał starania Davida, by stać się kimś podobnym do niego, i aktywnie go w nich wspierał.

Gabriel mruknął coś z niezbyt zadowoloną miną.

– Słucham? – dopytałam.

– Mogę spróbować.

– Nie wierzysz, że to coś pomoże?

Zatrzymał się pod dużą sosną. Przesunął dłonią po oszronionej gałęzi i zerwał kilka igieł.

– Ostatnio nic mi się nie udaje – odpowiedział po chwili.

– Co masz na myśli?

– Nie potrafię pisać – wyznał, miażdżąc igły między palcami.

Popatrzyłam na las, zrobiłam głęboki wdech i bardzo się starałam nie okazać irytacji. Przecież to nic dziwnego, że dopadł go kryzys twórczy, skoro całe jego życie wywróciło się do góry nogami.

– Ależ oczywiście, że potrafisz pisać – odparłam z przekonaniem.

Okresy zwątpienia i uzalania się nad sobą stanowiły u niego część procesu pisania. Od zawsze. I mijały, wystarczyło tylko je przeczekać.

Pokręcił głową.

– W ogóle mi nie idzie. Nie wiem, czy to przez to, co się wydarzyło, ale po prostu nie umiem. Straciłem kontakt ze swoim głosem.

Odwrócił się do mnie.

– W mojej głowie panuje cisza, Lykke. Pieprzona, kompletna cisza.

*

Tego wieczoru próbowałam porozmawiać z Harrym. Oczywiście nie po raz pierwszy, takie próby podejmowałam już wcześniej, nawet kilkakrotnie, ale w odpowiedzi zawsze słyszałam jedynie mruknięcia i burknięcia. Jeszcze tylko Jujjemu udawało się do niego jakoś docierać. Za każdym razem, gdy do nas wpadał, obaj szeptem prowadzili ze sobą długie rozmowy.

Nie wiem, czego dotyczyły. Kiedy usiłowałam się tego dowiedzieć, Harry zbywał mnie zdawkową odpowiedzią „niczego szczególnego”, a gdy pytałam Jujjego, mocno marszczył czoło i mówił co najwyżej, że Harry’emu jest ciężko i że potrzebuje się wygadać.

– Tak się dalej nie da – powiedziałam, przysiadłszy na brzegu łóżka w domku nad jeziorem.

Harry, który leżał na nim z komórką w ręce, rzucił mi przelotne spojrzenie, ale się nie odezwał. Jego palce zwinnie poruszały się po małej klawiaturze.

– Nie możesz dłużej tu mieszkać – ciągnęłam, przesuwając dłonią po wilgotnej i niezbyt czystej narzucie. – Niedługo przyjdzie mróz, ten domek nie jest przystosowany do minusowych temperatur, przenośny grzejnik nie da rady go ogrzać.

– Wszystko mi jedno.

– Raczej przestanie ci być wszystko jedno, gdy zrobi się tu zimno jak w psiarni.

Harry zacisnął usta i nie przestawał stukać w telefon.

– Okej – powiedziałam wreszcie. – Nie jestem głupia i widzę, że chodzi o brata. W takim razie przenieś się do małego domku, przecież David mieszka z nami.

Harry posłał mi długie, nieprzeniknione spojrzenie.

- Tam umarła Bonnie – wyszeptał.
- Zamknęłam oczy.
- Wszyscy musimy żyć dalej, Harry.
- David zabił Bonnie w naszym domku – dodał i opuścił komórkę.
- Sekundę później położył ją na kołdrze.
- A potem powiedział policji, że ja to zrobiłem – kontynuował.
- Nie wierzę – wykrztusiłam po chwili wahania.
- Tak m...m...mówi policja. I oczywiście oni myślą, że to ja, bo przecież David jest taki ch...ch...cholernie idealny. Zawsze wszyscy jemu wierzą.

Kiedy potem szłam w ciemności z powrotem do siebie, czułam się jak odurzona. Lodowato zimny wiatr szarpał mi włosy, buty zapadały się głęboko w błocie, ale ja niczego nie zauważałam.

David obwinił Harry'ego?

To nie mieściło mi się w głowie. Wiadomo, potrafił być przebiegły, podejrzewam, że nie raz i nie dwa udało mu się uniknąć problemów w szkole właśnie dzięki tej właściwości. Ale zawsze chronił Harry'ego, odkąd pamiętam, zwykle pomagał mu wychodzić z wszelkiego rodzaju kłopotów.

Przypęzła kolejna myśl, myśl, którą wypierałam od chwili, gdy chłopcy wrócili do domu – że jeden z nich musiał mieć coś wspólnego ze śmiercią Bonnie, nie istniało inne wyjaśnienie.

A jeżeli David mówił prawdę? A jeżeli coś wiedział, bo może słyszał, jak Harry i Bonnie...

Zatrzymałam się jak wryta, opadłam na kolana na zimną ziemię i zanurzyłam dłonie w lodowatym błocie. Wbiłam głęboko palce w tłustą breję, czując między nimi korzenie trawy. Krzyknęłam na cały głos.

Wiatr poniósł mój krzyk, połknął go w sekundę.

Potem się podniosłam, bo przecież tak robią matki, prawda?

Podnoszą się, bez względu na to, ile dostają ciosów. I idą dalej, próbują od nowa, na wszelkie dostępne sposoby.

Robią to dla swoich dzieci.

Gdy tylko się umyłam, poszłam prosto do drugiego syna – nie byłam w stanie dłużej znieść niepewności i nie mogłam już czekać, aż Gabriel zbierze się w sobie i z nim porozmawia.

David siedział na kanapie w salonie i czytał książkę. Jego szczupłe nogi leżały skrzyżowane na stoliku, głowa spoczywała na złożonym kocu. Czerwony ślad w kącie ust prawie zniknął.

– Co czytasz? – spytałam, spoglądając na regał wypełniony książkami.

Pokazał mi okładkę: *Na wschód od Edenu* Johna Steinbecka.

Zadrżałam.

Klasyczna powieść o braciach – na dodatek bliźniakach – którzy pałali do siebie nienawiścią i rywalizowali o względy ojca. Historia oparta na motywie Kaina i Abla ze Starego Testamentu. Wolałam nawet o niej nie myśleć, bo jak wiadomo, biblijna opowieść kończy się tym, że Kain zabija Abla.

Zresztą nie tylko Steinbeck zaczerpnął inspirację z tego starotestamentowego przekazu – oparli się na nim również inni znani pisarze, tacy jak William Shakespeare, lord Byron, Miguel de Unamuno i Marianne Fredriksson.

– Dlaczego czytasz akurat to? – spytałam.

David wzruszył ramionami.

– Steinbeck leżał na samym wierzchu – powiedział, wskazując na stos książek balansujący na starym stoliku na kwiaty.

Usiadłam.

– Musimy porozmawiać – zwróciłam się do niego. – I chciałabym, żebyś był ze mną szczery.

– Jasne.

– Harry mówi, że powiedziałaś policji, że to on zabił Bonnie.

David położył książkę na brzuchu, następnie dotknął palcami kącika ust i zdrapał niewielki strupek. Mała kropla krwi pojawiła się na bladej skórze.

– To nieprawda. Było dokładnie odwrotnie.

– To znaczy?

– Harry powiedział im, że *ja* to zrobiłem.

Zastanawiałam się, szukając jednocześnie jakiegokolwiek oznaki zdradzającej, że on kłamie, ale wyglądał tak jak zwykle: jego niebieskie oczy nie uciekały w bok, głos brzmiał spokojnie, a w jego sylwetce nie było napięcia.

– Czyli nigdy nie powiedziałaś, że Harry to zrobił?

– Nigdy – potwierdził, kręcąc głową. Po chwili dodał: – Ale powiedziałem im, że ja nie tknąłem Bonnie, więc jeśli miał to być jeden z nas, musiał to być Harry.

Później nie mówiliśmy już więcej o przesłuchaniach, ale tamte rozmowy zasiały we mnie ziarno wątpliwości.

– David i Harry obwiniali się nawzajem w areszcie – oznajmiłam Gabrielowi tego samego wieczoru, gdy kładliśmy się spać.

– Nie jestem tym zdziwiony.

Zastanowiłam się przez chwilę, jak powinnam to sformułować.

– Myślę, że policja to wykorzystała.

Gabriel odłożył książkę, którą zamierzał czytać, i odwrócił się do mnie.

– Jak to: wykorzystała?

– Doprowadzili do tego, że Harry myślał, że to David go oskarżył, i *vice versa*. Chyba potrafię sobie wyobrazić, jak przebiegały te przesłuchania.

Gabriel milczał przez dłuższą chwilę.

– Czy wolno im robić coś takiego? – spytał potem.

– Z całą pewnością nie. Może powinniśmy złożyć skargę?

– Tak – odparł z ociąganiem. – Tylko musielibyśmy dokładnie wiedzieć, co się działo na tych przesłuchaniach. Czy można by jakoś zdobyć protokoły?

Otuliłam się mocniej kołdrą, noc miała być zimna. Na szybach już pojawił się szron, a firanki falowały w przeciągu.

– Nie sądzę – powiedziałam. – One nie są publicznie dostępne.

Gabriel wstał z łóżka, podszedł do okna i opuścił żaluzje. Potem dotknął kaloryfera, żeby sprawdzić, czy grzeje.

– Może lepiej już w tym nie grzebać?

– Dlaczego?

– Nie wiem. A jeżeli znajdą coś nowego? Wyobrażasz sobie, że to wszystko miałyby się zacząć od nowa?

Wrócił do łóżka, przysunął się do mnie i zgasił lampkę. Wpatrzona w ciemność przysłuchiwałam się wiatrowi, który szalał za oknem.

– Ale w ten sposób nigdy się nie dowiemy – szepnęłam.

– Może trzeba zostawić to za sobą. To chyba jedyna droga, żebyśmy mogli znowu stać się rodziną.

– Chcę, żebyśmy znowu byli rodziną – powiedziałam.

Przytulił się do mnie, położył dłoń na mojej piersi, a następnie przesunął ją niżej, ku łonu. Dotyk był delikatny, niemal jak muśnięcie, ale poruszył coś w środku.

– Ja też chcę – szepnął i oparłszy się na łokciu, pocałował mnie w policzek.

Położyłam się na plecach i przyciągnęłam go mocniej do siebie.

– Chyba zwariowaliśmy – powiedziałam. – Życie jest piekłem, a my...

– Ciiii – szepnął i pochylił się nade mną.

Uznałam, że Gabriel chyba miał rację – powinniśmy spróbować zapomnieć i żyć dalej.

Ale jak zapomnieć na przykład śmiech Bonnie, jej niezwykłą osobowość, zadziorną nieustępliwość i przekorę? Jak nie myśleć o wszystkim, co mogłaby zrobić i kim mogłaby zostać, gdyby jej życie nagle nie zgasło? Jak wyprzeć z pamięci wspomnienie naturalnej bliskości Davida i Harry’ego, którą teraz zastąpiła lodowata cisza między nimi? I wreszcie wspomnienie mojego zaufania do własnych synów, na zawsze zburzonego przez wątpliwości i podejrzenia.

Jak miałam ich kochać, skoro jeden z nich zabił Bonnie?

Jak miałam ich nienawidzić, skoro jeden z nich jest niewinny?

Problem wydawał się na pozór nie do rozwiązania.

Wkrótce jednak przyszło nam się zmierzyć ze znacznie bardziej konkretnymi zmartwieniami. Któregoś dnia zadzwoniła do nas Linda, nauczycielka szwedzkiego ze szkoły. Przeprosiła, że przeszkadza, po czym wyjaśniła, że chce porozmawiać o nieobecności Harry’ego na lekcjach.

– O nieobecności? – zdziwiłam się, bo o ile mi wiadomo, od chwili zwolnienia z aresztu obaj chłopcy codziennie chodzili do szkoły.

– Harry’ego prawie nie było w tym semestrze – powiedziała Linda, przeciągając słowa.

– Nie rozumiem. Odkąd wrócili do domu z...

– David nie opuszcza lekcji – nauczycielka szybko weszła mi w słowo, jakby chciała mi oszczędzić dyskomfortu związanego z wymienieniem samej nazwy „areszt”.

Westchnęłam. Właściwie nie powinnam być zaskoczona, przecież w domu oni nawet na siebie nie patrzyli, za wszelką cenę starali się nie wchodzić sobie w drogę, dlatego więc mieliby chcieć siedzieć całymi dniami w jednej klasie?

– Porozmawiam z nim – obiecałam. – Harry ostatnio nie najlepiej się czuje.

– Rozumiem.

– A co z Davidem?

Minęło kilka sekund, zanim odpowiedziała.

– Z nauką nie ma problemów, zresztą nigdy ich nie miał. Ale jest wycofany, unika kontaktów z innymi z klasy.

Zamilkła.

- Może potrzebuje trochę więcej czasu – zasugerowałam.
- Pewnie tak. Jak wiadomo, czas leczy większość ran.

To oczywiście bzdura – czas nie leczy żadnych ran, coś takiego mogą zrobić tylko ludzie. A robią to wyłącznie wtedy, jeśli tego chcą. Przebaczenie i pójscie dalej to świadomy akt woli, zamierzony wybór drogi.

Sam upływ czasu nie jest w stanie nic zmienić.

A moi synowie nie chcieli wyleczyć swoich ran, byli zbyt pochłonięci rozgrzebywaniem ich wciąż na nowo.

– Harry – zagadnęłam go jeszcze tego samego wieczoru, gdy przyszedł po kolację, żeby zjeść ją w domku nad jeziorem.

– Mm – bąknął, nakładając sobie klopsiki i ziemniaki na talerz.

Potem jego wzrok padł na książkę leżącą obok chlebaka: *Crime Fiction and the Locked Room – the Rise and Fall of a Literary Genre*.

– Co to jest? – spytał.

– Nic. Książka o książkach.

– Mogę ją sobie pożyczyć?

Harry nie czytał dużo, zwykle musiałam go do tego zachęcać. A to było suche akademickie opracowanie literatury poświęconej zagadce zamkniętego pokoju.

Nawet ja nie zdołałam przez nie przebrnąć – mimo to dowiedziałam się tego i owego. Na przykład, że złota era tego gatunku przypadła na okres między rokiem 1920 a wybuchem drugiej wojny światowej i że za jego mistrza uchodził John Dickson Carr, a większość autorów wywodziła się z Wielkiej Brytanii.

– Jasne, proszę – odparłam. – Ale nie sądzę, by ci się specjalnie spodobała.

Mruknął coś i mimo wszystko wziął książkę pod pachę.

– Posłuchaj – zwróciłam się do niego. – Dlaczego nie chodzisz do szkoły?

Spojrzał w kierunku przedpokoju, jakby się bał, że zaraz pojawi się David.

– Bo nie. Nie mam na to siły.

– Boże drogi, Harry. Co ty robisz całymi dniami?

– Nic specjalnego.

– Czyli?

– Siedzę w kawiarni. Albo w bibliotece.

Westchnęłam.

– Rozumiem, że to trudne. Ale jeśli nie będziesz chodził do szkoły, nie dostaniesz świadectwa ukończenia liceum.

– Zawsze mogę iść do liceum dla d...d...dorosłych.

Poczułam się załamana, może nawet trochę za bardzo załamana.

– Niszczysz swoją przyszłość – powiedziałam.

– Jaką przyszłość? – odparł szybko, patrząc w talerz.

Sięgnął po butelkę keczupu i wycisnął kałużę czerwonej mazi.

– Ty chyba żartujesz? Nie rozumiesz, jakie masz szczęście? Bonnie nie żyje, a wy dwaj, ty i David, mogliście skończyć za kratkami, brakowało dosłownie tyle – oznajmiłam, trzymając kciuk i palec wskazujący w odległości centymetra – że się tak nie stało.

– To ty nic nie rozumiesz – burknął, wziął talerz w jedną rękę, a drugą włożył puszkę coli do kieszeni dresowych spodni.

– Poczekaj – poprosiłam, robiąc krok w jego stronę.

Pogłodziłam go po włosach.

Odsunął się i odwrócił do mnie plecami.

– Idę do domku nad jeziorem – powiedział.

*

Kilka dni później odwiedził nas wieczorem Olof z niespodzianką.

Właśnie próbowałam ustalić, gdzie podziały się wszystkie pierniczki ze spiżarki, kiedy na zewnątrz rozległ się klakson.

– To Olof i Signe – oznajmił Gabriel, który właśnie wszedł do kuchni.

– Nie wiesz, gdzie są pierniczki? – spytałam, przesuwając palcami po jednej z pustych półek. Dopiero po chwili dotarły do mnie jego słowa. – Kim jest Signe? – dodałam.

– A jak myślisz? Ja stawiałbym na Harry’ego. Signe to moja nowa redaktorka.

Wyszłam ze spiżarki i zamknęłam drzwi.

– A co się stało z Tuss?

– To, co zawsze – odparł odwrócony do mnie plecami. – Uważała, że jestem irytujący, że ją kontroluję. Potem dostała ofertę od Bonniersa.

Wszedł do przedpokoju, a ja za nim.

Na stopniach werandy słychać było kroki, sekundę później rozległo się pukanie do drzwi.

Gabriel otworzył.

– Cześć – rzucił Olof i wszedł z dwiema reklamówkami w rękach.

Za nim ukazała się drobna blondynka ubrana w luźne džinsy i czerwoną skórzaną kurtkę.

– Signe – przedstawiła się z uśmiechem, podając mi rękę.

Przywitałam się i rzuciwszy na nią okiem, stwierdziłam, że nie wyglądała na dużo starszą od Davida i Harry’ego.

Weszliśmy do kuchni, Olof zaczął wypakowywać torby, opowiadając ze szczegółami, co przyniósł do jedzenia.

– I tu się mylisz – zwrócił się do Gabriela. – To nie jest kurczak, tylko kapłon, wykastrowany kogut.

– A po co kastruje się te biedne koguty? – spytał Gabriel.

– Bo wtedy mięso robi się tłustsze i...

Zagadnęłam Signe:

– Nie wiedziałam, że Tuss odeszła. Co prawda też pracuję w wydawnictwie, ale nie bywam w nim często. Większość redakcji wykonuję w domu.

Tak naprawdę od śmierci Bonnie pracowałam prawie wyłącznie w domu. Założyłam, że Signe jest zorientowana w naszej sytuacji, nie miałam siły o niej mówić.

Uśmiechnęła się i poprawiła jedną ze spinek przytrzymujących jej cienkie włosy.

– Zaczęłam dopiero wczoraj – wyjaśniła.

– Super, a co robiłaś przedtem?

– Przez kilka lat pracowałam jako niezależna redaktorka. A wcześniej studiowałam literaturoznawstwo i szwedzki.

Kliknęła mikrofalówka.

– To barbarzyństwo, żeby podgrzewać takie wykwintne jedzenie w mikrofalach – wymamrotał Olof i wyjął z niej półmisek z kurczakiem niebędącym kurczakiem.

Jedliśmy kapłona, który rzeczywiście okazał się wyśmienity, i piliśmy drogie wino Olofa, które powstało z winogron dojrzewających na rozległych, bogatych w minerały południowych zboczach Doliny Loary.

– Nie, nie – zaprotestował Olof, gdy Gabriel chciał ponownie napełnić mu kieliszek.

– Muszę dziś wrócić do domu, a mam ze sobą cenny ładunek.

Poklepał Signe po głowie. Uśmiechnęła się chłodno.

– Jak się sprawy mają z książką Theodora Bromana? – zapytał Olof, zwracając się do mnie.

– Dobrze – odpowiedziałam. – Może trochę za dobrze.

Olof uniósł jedną brew. Zdjął okulary w rogowej oprawie i chuchnął na szkła.

– Za dobrze?

– Prawie ją skończył – wyjaśniłam. – Ale coś mi się nie zgadza. Wszystko jest zbyt porządne, ton tekstu wydaje się inny. W gruncie rzeczy nie poznaję jego stylu.

Olof potarł szkła o sztruksowe spodnie.

– Podejrzewasz, że...?

– Tak. Zdecydowanie. Nie zaszkodzi jednak przeczytać jeszcze raz. Znajdziesz czas?

– Hm – bąknął, po czym nałożył z powrotem okulary i przesunął dłonią po nienaturalnie wysokiej nasadzie włosów. – Nie jestem pewien, czy powinniśmy się

w to zagłębiać. To znaczy, jeśli maszynopis zostanie złożony w terminie. I będzie trzymał odpowiedni poziom.

Wykonał nieokreślony gest w powietrzu.

Signe śledziła naszą rozmowę w milczeniu, nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że rozumie, o czym mówimy. Okazała się jednak na tyle delikatna, że nie zadawała żadnych pytań ani nie komentowała tego, co usłyszała.

– A jak tobie idzie? – Olof zwrócił się do mojego męża.

– Cóż – zaczął Gabriel z ociąganiem. – Chyba właśnie zaczynam panować nad materiałem, co wcale nie było łatwe.

Olof mruknął coś niewyraźnie, wiedział równie dobrze jak ja, że Gabriel podczas pisania od czasu do czasu wpada w czarną dziurę, z której wcześniej czy później zawsze się wydostaje, ale tkwienie w niej nie należało do przyjemności.

– Tworzenie autobiografii musi być wyczerpujące – powiedziała Signe.

– Autofikcji – poprawił ją Gabriel, po czym wdał się w długi wywód na temat możliwości i ograniczeń fikcji.

Olof, który tymczasem wyjął fajkę i tytoń, pochylił się ku mnie i zniżając głos, spytał:

– Jak tak naprawdę się miewacie?

– Z każdym dniem coraz lepiej – odpowiedziałam.

Nie kłamałam, naprawdę uważałam, że nasze życie powoli wraca do jako takiej normalności.

Lecz następnego dnia znalazłam maszynopis Gabriela. I to zmieniło wszystko.

Maszynopis nie był nigdzie ukryty – leżał na samym środku biurka. Nigdy nie miałam zwyczaju czytać książek Gabriela w trakcie pisania, ponieważ on sobie tego nie życzył. Moje spojrzenie po prostu niechcący zatrzymało się na pierwszych liniijkach tekstu:

„Mówi się, że wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, ale to nieprawda. Nasze szczęście było wyjątkowe, spektakularne, wręcz sprzeczne z naturą. Budziło ciekawość, rodziło zazdrość i zaprowadziło nas na szczyt, z którego spadek jest bolesny”.

Poczułam lekki dyskomfort. Oczywiście parafraza pierwszego zdania z *Anny Kareniny* nie była niczym niezwykłym w kontekście literackim, ale w tym wypadku – przy tak wyraźnym odniesieniu do naszej rodziny – jej złowróżbny sens sprawił, że przeszły mnie ciarki.

Wzięłam do ręki plik wypełnionych tekstem kartek i usiadłam w fotelu. Gabriel był w mieście na lunchu z Kajsą Nilsson, autorką książek dla dzieci, z którą widywał się regularnie i dyskutował o literaturze. Ich spotkania zwykle się przeciągały, dlatego przewidywałam, że minie trochę czasu, zanim wróci do domu.

Zaczęłam przeglądać niespełna trzystustronicowy manuskrypt.

Gabriel nadał sobie imię Greger, ale poza tym opisał swoją przeszłość z zadziwiającą dokładnością: ojciec, odnoszący sukcesy duński biznesmen, zmarł wcześnie, a Greger – czyli on – dorastał w eleganckiej dzielnicy Sztokholmu wychowywany przez matkę. Jego młodość wyróżniała się bogactwem wszystkiego – miłości, przyjaciół, kultury i sztuki. Jedyne, czego mu brakowało, to rodzeństwo, o którym zawsze marzył, i pieniądze – matka pracowała na dwa etaty, aby utrzymać siebie i syna oraz zachować idealną fasadę.

Kartkowałam dalej, zapoznając się pobieżnie z latami młodości Gabriela. Natrafiłam na kilka krótkich opisów nieśmiałych zauroczeń, ale najwięcej miejsca w tym rozdziale zajmowała jego wielka miłość do literatury.

Byłam ciekawa, co napisał o mnie, i postanowiłam poszukać fragmentu poświęconego naszemu poznaniu. Ominęłam część dotyczącą jego wcześniejszej kariery i nieudanego małżeństwa. Sto stron dalej znalazłam swobodną relację

z imprezy firmowej w Forss & Stierna. Przeczytałam, że przez cały wieczór otaczali go jego liczni koledzy i że był pochłonięty długimi dyskusjami o literaturze i filmie.

Uśmiechnęłam się.

Pamiętałam to trochę inaczej. Gabriel stał samotnie w firmowej kuchni, ubrany w wymiętą lnianą marynarkę i szpinakowozieloną koszulę. Wtedy podeszłam do niego i powiedziałam...

„Podeszedłem do niej, wyglądała na trochę zagubioną, kiedy przycupnęła obok wentylatora z kieliszkiem wina w jednej ręce i z papierosem między palcami drugiej dłoni. Spojrzenie miała demonstracyjnie znudzone, a patrząc na nią, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że tylko bardzo młodzi ludzie mogą wierzyć, że potrafią ukryć zainteresowanie pod maską znudzenia.

– Gdzie się podziewałaś przez całe moje życie? – spytałem”.

Zaraz, zaraz, co to miało być? To przecież *on* stał sam i to *ja* wypowiedziałam te słowa, a nie odwrotnie.

Nie mogłam się zdecydować, czy uznać za zabawne, czy irytujące, że pozwala sobie na tak swobodne operowanie prawdą.

Czytałam dalej.

Pokochał mnie od pierwszej chwili – tak napisał. Byłam czuła, sympatyczna i inteligentna. Ładna chyba też, bo trzykrotnie na dziesięciu stronach porównał mnie do leśnej nimfy.

Świerbiły mnie palce, żeby chwycić czerwony długopis i zrobić z niego użytek, ale oczywiście nie mogłam. Powtórzeniami mogliśmy zająć się później. W tym momencie najbardziej mnie obruszył sposób, w jaki on mnie opisał. Ja, która zawsze byłam znacznie bardziej zdecydowana i świadoma celu niż większość ludzi, nagle jestem zamieniona w pieprzoną poetycką leśną nimfę.

Potem było jeszcze gorzej.

Dwadzieścia stron dalej na świat przychodzą bliźniacy – Adrian i Daniel. Urodzenie ich oznaczało dla mnie kolejny krok w rozwoju, moje instynkty macierzyńskie okazały się „równie naturalne co silne”, a „wyzwania rodzicielstwa podjęłam bez wahania i lęku”.

Zamknęłam oczy i cofnęłam się myślami do tamtego okresu.

Pamiętam czas niemowlęstwa chłopców jako jeden niekończący się chaos. Przez pierwsze dwa lata nie przespałam chyba ani jednej całej nocy, dom wyglądał jak po wybuchu bomby, a ja sama najczęściej chodziłam z nieumytą głową i w dresie zalatującym wymiocinami. Poza tym brak snu sprawiał, że byłam zrzędliva – wciąż wściekałam się na Gabriela, wrzeszczałam na niego bez powodu, a kiedy nie krzyczałam, to płakałam.

Ale on, który zawsze marzył o rodzinie, okazał się cudem cierpliwości. Chociaż nie napisał tego, przyznał jednak, że jego doświadczenie jako jedynaka wychowywanego przez samotną matkę prawdopodobnie przyczyniło się do tego, że chciał spędzać jak najwięcej czasu ze swoimi dziećmi, gdy dorastały.

Czytałam dalej: Gabriel ładnie uchwycił osobowości chłopców – być może nieco wyolbrzymił zarówno intelektualne ambicje Davida, jak i sportowe dokonania Harry’ego. Dzięki Bogu nic nie wspominał o jąkaniu, którego Harry tak bardzo się wstydził.

Znalazło się też miejsce dla Bonnie – miała na imię Bella i wydawała się nieco nieokreślona, jak rysunek odłożony na bok na etapie wstępnego szkicu. Była „spragniona wiedzy, ładna i ubierała się dosyć prowokująco jak na swoje pochodzenie z małej sörmlandzkiej wioski”. Trochę mnie zdziwiło, że alter ego Bonnie jest przedstawione jako całkiem płaska postać – w rzeczywistości bowiem była to silna dziewczyna o wyrazistej osobowości.

Mniej więcej w połowie maszynopisu zaczęłam zdawać sobie sprawę, że zostało jeszcze bardzo dużo tekstu jak na opowiadanie, które miało dotyczyć głównie dorastania Gabriela. Przekartkowałam więc kolejne trzydzieści stron i natrafiłam na opis sobótkowego święta.

Mój wzrok padł na zdanie pośrodku strony.

„I oto tam leżała – nasza Bella, blada, nieruchoma, z zamglonym wzrokiem utkwionym w suficie”.

Rany boskie, pomyślałam. On napisał o zabójstwie Bonnie, naprawdę to zrobił!

W ekspresowym tempie przeczytałam resztę manuskryptu – była w nim mowa o policyjnym śledztwie oraz o czasie, gdy chłopcy siedzieli w areszcie. Lektura nie należała do przyjemnych, ale jednocześnie oddawała prawdę. Został uwzględniony każdy detal, zostały odtworzone niemal wszystkie słowa, które zamieniliśmy.

I właśnie na tym polegał problem.

*

Kiedy Gabriel wrócił do domu, szybko zbiegłam na dół.

– Nie możesz tak pisać – rzuciłam jeszcze na schodach, wymachując plikiem kartek. Gabriel, ściągnąwszy czapkę i rękawiczki, spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– O czym ty mówisz? – spytał i zdjął kurtkę, a potem powiesił ją na wieszaku przy drzwiach.

– Przeczytałam twój maszynopis. Nie miałam takiego zamiaru, ale...

Położyłam go na toalecie pod lustrem.

- Ale co? – spytał.
- Przecież to jest o nas.
- To powieść.
- Która mówi o nas. To nie może nigdy się ukazać, mam nadzieję, że rozumiesz.
- Przykro mi, nie rozumiem – powiedział zmęczonym głosem.

Wszedł do kuchni, a ja za nim.

- Uważasz, że jest zła? – spytał.

Usiadłam na krześle, położyłam dłonie na starym, porysowanym blacie stołu i zastanowiłam się, jak mam to najlepiej sformułować.

- Bynajmniej.

Nalał wody do czajnika i postawił go na kuchence.

- Coś wypaczyłem?

Pokręciłam głową, nie miałam siły, by dyskutować teraz o leśnej nimfie i moim rzekomym instynkcie macierzyńskim.

- No to w czym problem?

Wyjął dwa kubki i włożył do każdego torebkę herbaty.

- Problem jest w tym, że piszesz o śledztwie i areszcie. David i Harry nie dali ci na to zgody. To moje pierwsze zastrzeżenie. A drugie jest takie, że każdy, kto będzie to czytał, pomyśli, że jeden z nich jest winny.

Zalał herbatę wrzątkiem i postawił kubki na stole.

- Nie ciekawi cię, co mam na swoją obronę? – spytał cicho.

Westchnęłam.

- Po pierwsze, to wszystko jest prawda – kontynuował. – Po drugie, jak już mówiłem, to tylko powieść.

- Daj spokój! Nic nie może być jednocześnie prawdziwe i zmyślane.

- Decyzja należy do czytelnika – odpowiedział spokojnie. – Prawda powstaje w spotkaniu tekstu z czytelnikiem.

Irytowało mnie to jego intelektualizowanie czegoś, co ja odbierałam jako niezwykle konkretny, namacalny problem.

- Nie zastanowiłeś się nad tym, co to będzie oznaczać dla chłopców? W oczach opinii publicznej to nastolatki podejrzani o zabójstwo, ale w końcu puszczeni wolno, ponieważ policja stwierdziła, że są niewinni. Po przeczytaniu twojej książki ludzie będą uważać ich za morderców.

Usiadł naprzeciw mnie.

- Nie mogę kłamać na temat tego, co się stało.

- A musisz w ogóle o tym pisać?

Poruszył się na krześle.

– Tak, Lykke. Właśnie muszę.

Spojrzał na swoje dłonie, wydawał się je badać. Następnie uniósł je przede mną.

– Jeśli nie wolno mi pisać, jestem nikim. To jedyne, co potrafię, jedyne, czego pragnę. Pisanie jest jedyną rzeczą, która nadaje sens mojemu istnieniu.

*

Dwa dni później zadzwoniłam do Olofa, aby porozmawiać o najświeższym projekcie Gabriela.

Z góry wiedziałam, że nie będzie to łatwe: książka była dobra, zainteresowanie – a raczej ciekawość – naszą sytuacją ogromne, wydawnictwo zaś czekało na pieniądze, jakie ona przyniesie.

Jednocześnie Olof to mądry i zdecydowanie bardziej empatyczny człowiek, niż mogło się na pozór wydawać. Pracowaliśmy razem od wielu lat, a dobro Davida i Harry’ego na pewno leżało mu na sercu.

– Cześć – przywitał mnie.

W tle słyszałam śmiech i szum ekspresu do kawy.

– Masz pięć minut? – spytałam. – Chciałabym pogadać z tobą o pewnym maszynopisie.

– Dawaj.

– Chodzi o nową książkę Gabriela. Tę autobiograficzną czy autofikcyjną. Zdążyłeś do niej zajrzeć?

Zamknęły się drzwi, śmiech i szum ekspresu ucichły. Słysząc było szuranie, jakby ktoś ciągnął krzesło po podłodze.

– Czytałem fragmenty. Zapowiada się obiecująco.

– Olof, proszę cię. Nie możemy jej wydać.

Zaległa cisza.

– Chodzi ci o to, co napisał o Davidzie i Harrym?

– Tak. Cały świat będzie uważał, że jeden z nich zabił Bonnie.

Znów zamilkł, a ja kontynuowałam:

– To nie w porządku. Oni nie prosili o napisanie książki o największej traumie ich życia.

– Ale przecież on nie wskazuje na żadnego z nich – odezwał się Olof.

– I właśnie już samo to stanowi problem. Wszyscy wyciągną z tego wniosek, że jeden z nich musiał to zrobić, i to dotknie ich obu.

– Hm – mruknął Olof. – Przecież Gabriel zmienił wasze imiona.

– I co z tego? I tak każdy zrozumie, każdy.

Wyobraziłam sobie, jak Olof kręci się na krześle za biurkiem zawalonym papierami.

- Posłuchaj, Lykke. Prosisz mnie o coś, czego nie jestem w stanie uczynić.
- Co masz na myśli?
- Nie mogę zablokować książki Gabriela. Oczywiście, mógłbym mu powiedzieć, że jej nie wydamy, ale to nic nie zmieni, bo on pójdzie wtedy do innego wydawcy, który nie będzie miał żadnych moralnych skrupułów i bez mrugnięcia okiem wyśle to do druku.
- Przecież... – szepnęłam, świadoma tego, że bitwa jest już przegrana.
- Tę książkę może zablokować jedynie sam Gabriel. To z nim musisz porozmawiać, Lykke.

Kiedy obudziliśmy się następnego ranka – w sobotę – ziemię, krzewy i drzewa wokół Wieczności pokrywała dziesięciocentymetrowa warstwa białego puchu. Tu i ówdzie śnieżną powłokę przecinały ślady zajęcy i ptaków. Błede zimowe słońce świeciło nad nieskalanie białym światem.

– Boże, jak pięknie – zachwycił się Gabriel, gdy zszedł do kuchni w szlafroku i grubych wełnianych skarpetach, po czym od razu włączył ekspres do kawy.

Skinęłam głową, nie odrywając wzroku od łąki, przez którą Harry zmierzał w naszą stronę. Skrzyżowane ramiona przyciskał do piersi, a jego stopy w zwykłych adidasach przy każdym kroku zapadały się po kostki w śniegu.

– Musiał nieźle przemarznąć w nocy – powiedziałam.

Gabriel pokręcił głową.

– Skoro jest tak niedorzecznie głupi, żeby się upierać przy...

Rozległy się kroki, po sekundzie w kuchni pojawił się David i Gabriel nie dokończył zdania.

– Co?

– Nic – odpowiedziałam. – Widziałeś, że spadł śnieg?

Podszedł do lodówki i otworzył ją, szeroko ziewając.

– Nie – mruknął, a potem sięgnął po sok pomarańczowy. Odkręcił małą nakrętkę i napił się prosto z kartonu.

Już miałam go poprosić, żeby wziął szklanke, gdy drzwi frontowe się otworzyły i do przedpokoju wszedł Harry. Słyszałam, jak ściąga buty, i po chwili stanął w wejściu do kuchni.

Demonstracyjnie odwrócił się od Davida.

– Na dole jest cholernie zimno – wymamrotał.

– Nikt cię nie zmusza, żebyś tam spał – powiedział Gabriel.

– Proszę cię, przenieś się tutaj albo do domku – próbowałam przemówić mu do rozsądku.

Nie odpowiedział, tylko wziął kromkę chleba do ręki i zniknął w salonie. Tymczasem David się nie spieszył. Przygotował sobie dwie kanapki z szynką, serem i plasterkami ogórka i usiadł z nimi przy kuchennym stole.

– Jak tam? Pewnie masz dzisiaj jakieś spotkanie szachowe? – spytałam.

Pokręcił głową i ugryzł kanapkę. Jego szczęki poruszały się powoli, nie odrywał wzroku od pokrytego śniegiem pola za oknem.

– Nie? – odezwałam się znowu. – Myślałam, że...

– Nie jestem już w klubie szachowym – przerwał mi.

Gabriel spojrzał na mnie.

– Dlaczego? – spytał.

David wzruszył ramionami.

– Straciłem ochotę.

– Zdawało mi się, że zależało ci na grze w szachy, że chciałeś iść wyżej – powiedziałam.

– Widocznie można zmienić zdanie – odparł.

Gdy chłopcy już poszli, a ja posprzątałam po śniadaniu, wybrałam się na górę do Gabriela.

– Wejdz – powiedział, kiedy zapukałam do drzwi jego gabinetu.

Siedział przed komputerem i patrzył przez okno. Niebo zaciągnęło się chmurami, a na ziemię spadały duże, puszyste płatki.

– Tak nie może być dłużej – zaczęłam. – Harry nie chodzi do szkoły i Bóg jeden wie, jak on wytrzyma w domku nad jeziorem, kiedy zrobiło się tak zimno. A David coraz bardziej się wycofuje. Szachy, jedyna ważna rzecz dla niego poza szkołą, też już się nie liczą. Tak ma teraz wyglądać nasze życie? Jak my spędzimy święta, skoro oni nawet ze sobą nie rozmawiają?

– Co chcesz, abym zrobił? – zapytał Gabriel, nie odwracając się do mnie.

Usiadłam w fotelu, przesunęłam dłonią po wytartym podłokietniku.

– Musimy z nimi poważnie porozmawiać. Musimy im wytłumaczyć, że to policja nastawiła ich przeciwko sobie.

Ramiona Gabriela uniosły się nieco, a sekundę później opadły.

– Tak strasznie się boję – szepnął drżącym głosem.

– Czego?

Obrócił się i spojrzał na mnie – na jego twarzy rysowała się udręka.

– A jeżeli wszystko jeszcze się pogorszy? Jeśli *my* wszystko pogorszymy?

– Czy może być jeszcze gorzej? – spytałam.

*

Ależ byłam naiwna! Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że może być gorzej. Bo przecież najgorsze już się stało – Bonnie nie żyła, a moi synowie musieli spędzić ponad dwa miesiące w miejscu tak przerażającym, że nawet nie chciałam o tym myśleć.

Jednak życie toczy się własnym torem, nie zważa na cierpienie, jakie zadaje ludziom. Rzeczy po prostu się dzieją, straszne rzeczy, rzeczy nie do pomyślenia – takie, o których zwykle tylko czyta się w gazetach albo ogląda w filmach.

Tego wieczoru próbowaliśmy jednak porozmawiać z chłopcami.

– Chcę, żebyście usiedli przy stole – powiedział do nich Gabriel, gdy przyszli do kuchni po kolację.

– Dlaczego? – rzucił David, wydymając usta.

– Bo ja tak mówię – odparł.

Wzruszywszy ramionami, David usiadł na krześle pod ścianą i grzebiąc widelcem w makaronie, wpatrzył się we własne odbicie w czarnym oknie.

Harry wciąż stał pośrodku kuchni z talerzem w ręce. Ciemne włosy, o wiele za długie, zakrywały mu twarz.

– Ty też – zwrócił się do niego Gabriel.

– Wolałbym postać.

– Nieważne, co byś wolał – powiedział Gabriel.

– Proszę cię, synku – odezwałam się. – Musimy porozmawiać.

– O czym?

– Siadaj! – poleciłam.

Usiadł na skraju krzesła, odwrócony plecami do brata.

Zadzwoiła moja komórka. Wyjęłam ją z kieszeni tylko po to, żeby odrzucić połączenie, lecz kiedy zobaczyłam, że to numer wydawnictwa, zwróciłam się do Gabriela:

– Daj mi minutkę, to chyba Olof.

Wyszłam do przedpokoju i odebrałam.

To nie był Olof, tylko Signe, nowa redaktorka Gabriela.

– Posłuchaj, jestem trochę zajęta, możemy zdzwonić się później?

– Chciałabym z tobą porozmawiać – zaczęła.

– Okej, ale...

– O tym, jak Gabriel mnie traktuje – przerwała mi. – I pozostali redaktorzy.

Zerknęłam do kuchni.

– Znam go i wiem, jaki potrafi czasem być – odpowiedziałam. – Rozumiem, że może cię to denerwować. Sądzę jednak, że lepiej będzie, jeśli przedyskutujesz to z Olofem. Poza tym teraz nie mam czasu.

– Ale... – zaprotestowała.

Rozłączyłam się i wróciłam do kuchni.

– O co chodzi? – spytał Gabriel.

Pokręciłam głową.

– To Signe. Chciała ze mną porozmawiać. O tobie.
– O *mnie*? – zdziwił się i uniósł brwi.
– Tylko mi nie mów, że znowu się w coś wpakowałeś.
– Skąd. Przynajmniej tak mi się wydaje. O ile... – Westchnął. – Porozmawiamy o tym innym razem.

Odwróciłam się do moich synów i odchrząknąwszy, zaczęłam:

– Dłużej tak nie może być. Musimy znaleźć sposób, żeby móc razem mieszkać i żyć dalej normalnie.

Ani David, ani Harry nic nie powiedzieli, jedynie grymas na twarzy Harry’ego mówił jasno, co myśli o moim apelu.

Gabriel podszedł do stołu, stanął przy jego szczycie i spojrzał najpierw na jednego, a potem na drugiego syna.

– Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, jakimi jesteśmy szczęściarzami, że mamy siebie nawzajem? Czy wiecie, ile ludzi nie ma rodziny, rodziców, rodzeństwa? Więż, która was łączy, jest wyjątkowa, wasz związek będzie trwał do końca życia. – Na chwilę przerwał, ale zaraz dodał: – O ile świadomie go nie zniszczycie.

– Od dzisiaj będziemy jadać posiłki wszyscy razem tutaj, w kuchni – oznajmiłam.

– Nie decydujecie o mnie – syknął Harry ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Gabriel pochylił się nad stołem.

– Mylisz się – powiedział i uderzył dłonią w stół z taką siłą, że podskoczyły talerze.

– Dopóki jesteście nieletni i jesteście na naszym utrzymaniu, musicie stosować się do naszych zasad.

Znowu zaległa cisza.

Wyciągnęłam krzesło stojące obok Davida i usiadłam na nim.

– My też opłakujemy Bonnie – rzekłam. – Ale nasza miłość do was jest silniejsza i nie możemy już dłużej patrzeć, jak niszcycie sobie życie. – A po chwili dodałam: – I niszcycie nam życie.

Harry zerknął na mnie spod grzywki.

– To co, mam tak po prostu pogodzić się z tym, że David mnie oskarżył?

– Nikogo nie oskarżyłem – zaprotestował David, nie odrywając wzroku od szyby w oknie.

– Właśnie że tak. Powiedziałaś, że z...z...zabiłem Bonnie. I że jestem agresywny. A tobie z... z...zawsze wszyscy wierzą, bo jesteś taki cholernie dobry, najlepszy z najlepszych.

– Kłamiesz – odpowiedział błyskawicznie David i powoli odwrócił się do Harry’ego.

Miał tak zawzięty i pełen nienawiści wyraz twarzy, że go wręcz nie rozpoznawałam.

– Przez całe życie zawsze cię ratowałem – ciągnął. – Ale tym razem nie zamierzam. Najpierw obściskiwałeś się z Bonnie, a potem ją zabiłeś.

Harry gwałtownie zerwał się z miejsca.

– Pieprzony ps...ps...psychopata – syknął. – Zazdrościsz mi, że cię nie ch...ch... chciała.

David odepchnął talerz z taką furią, że ten spadł na podłogę i się roztrzaskał. Spaghetti i sos pomidorowy rozprysnęły się po posadzce. Następnie wstał i zrobił kilka kroków w stronę Harry'ego.

– Co powiedziałaś? – wrzasnął.

Twarz Harry'ego pociemniała, zamierzył się na brata.

David uchylił się zręcznie, zakaszłał i wyszedł do przedpokoju.

– Zabiję cię, kurwa! – krzyknął Harry i ruszył za nim.

Sekundę później drzwi frontowe gwałtownie się otworzyły i obaj zniknęli w ciemności.

Razem z Gabrielem wyskoczyliśmy za nimi, ale oni mieli nad nami przewagę, bo nawet nie założyli butów, a poza tym biegali szybciej od nas.

Kiedy wypadłam na werandę, byli już w połowie drogi nad jezioro. Rozpoznawałam ich ciemne postacie na tle białego śniegu, słyszałam stłumione krzyki.

– Pospiesz się – ponagliłam Gabriela, który mocował się z butami.

Zbiegłam po schodkach, kalosze ślizgały się na śniegu, o mało się nie przewróciłam, ale nie zwalniałam tempa.

Chodziło o życie, życie moich dzieci.

Powietrze było mroźne i ostre, czułam igielki zimna na przedramionach. Pojedyncze płatki śniegu wirowały jak samotne owady w późny letni wieczór. Mniej więcej pośrodku łąki poślizgnęłam się i upadłam bezwładnie. Śnieg był miękki, ale jednym ramieniem uderzyłam o kamień. Przeszył je nagły ból.

Podniosłam się szybko i nie zawracając sobie głowy otrzepywaniem się ze śniegu, ruszyłam dalej w kierunku domku.

Sekundę później dogonił mnie Gabriel. Biegliśmy bez słowa, on pierwszy, ja za nim. Słysząc było jedynie nasze kroki i ciężkie oddechy – a także odległe ryki z brzegu jeziora, przypominające wycie rannego zwierzęcia.

Gdy zbliżyliśmy się do domku, zobaczyłam obu na pomoście.

David leżał na brzuchu, Harry stał przy nim i raz za razem kopał go w głowę.

– Harry! – wrzasnęłam. – Przestań!

Przerwał na sekundę, odwrócił twarz i spojrzał w naszą stronę. Potem wymierzył jeszcze jednego kopniaka z taką siłą, że David zsunął się na lód. Niewiele myśląc, Harry usiadł na brzegu pomostu i zaczął okładać brata nogami po plecach.

Kruchy lód pękł z trzaskiem w tym samym momencie, gdy ja i Gabriel wpadliśmy na deski. W następnej sekundzie David zniknął w czarnej wodzie.

Kilka pęcherzyków powietrza pojawiło się na powierzchni, przez chwilę się kołysały, a potem pękły.

Gabriel natychmiast wskoczył do jeziora – w tym miejscu nie było zbyt głęboko, woda sięgała mu do piersi. Przedarł się do przodu, pięściami rozbijając cienki lód, a potem zanurkował pod jego krawędź.

Zaległa cisza.

– Co ty zrobiłeś? – powiedziałam do Harry’ego.

Bez słowa odwrócił się do mnie plecami i ruszył w kierunku dużego domu. Chwilę później jego sylwetka zniknęła w ciemności, a ja stałam jak zamurowana, wpatrując się w ślady jego bosych stóp na śniegu.

Spojrzałam znowu na jezioro, utkwiłam wzrok w ziejącym czernią przerębli i w lśniącej czarnej wodzie, która pochłonęła mojego syna i męża. W następnej sekundzie łód eksplodował kilka metrów dalej i moim oczom ukazał się Gabriel z Davidem w ramionach.

Szczupłe ciało zwisało mu bezwładnie z rąk. Skóra Davida była biała jak śnieg, nad jednym okiem dostrzegłam krwawiącą ranę.

– Pomóż mi – wysapał Gabriel, brnąc między połamanym lodem w kierunku pomostu.

Podbiegłam i chwyciłam Davida za jedno ramię – było lodowato zimne.

Wspólnymi siłami wciągnęliśmy go na deski. Gabriel pochylił się nad nim i przyłożył ucho do klatki piersiowej, ale ja utkwiłam wzrok w jego oku, a raczej w miejscu, gdzie wcześniej ono się znajdowało. Teraz była tam tylko lepka, krwawa masa.

– Czy on żyje? – wyszeptałam.

Manfred

Obecnie

Patrzę na Lykke i stopniowo dociera do mnie znaczenie jej słów.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że pobyt w areszcie Harry’ego i Davida stanowił ciężką próbę zarówno dla nich samych, jak i dla całej rodziny. Sądziłem jednak, że po ich zwolnieniu życie Andersenów powróci do normy. Przecież chłopcy byli wolni i w pewnym sensie też oczyszczeni z zarzutów, ponieważ śledztwo nie doprowadziło do postawienia ich w stan oskarżenia.

Nagle ogarnia mnie wstyd, że nigdy nie zastanowiłem się nad tym, co tak naprawdę ich spotkało i czego doświadczyli. Jedyne, o czym byłem w stanie myśleć w miesiącach bezpośrednio po wypuszczeniu bliźniaków, to nasza zawodowa gigantyczna porażka. Mieliśmy stuprocentową pewność, że doprowadzimy do przyznania się jednego z nich, że prawda jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. Że wystarczy wydobyć ją na powierzchnię, odsłonić to, co wiedzieliśmy, spod warstwy kłamstw.

– Co z Davidem? – spytałem.

– Wylizał się. Tylko stracił wzrok w prawym oku. Samo oko uratowano, ale na nie nic nie widzi.

Lykke przygląda mi się i po raz pierwszy podczas przesłuchania dostrzegam w jej zmęczonym spojrzeniu coś na kształt zainteresowania, jakby z ciekawością czekała na moją reakcję.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Sądząc po opisie, to było raczej brutalne pobicie. Nie zawiadomiliście policji?

Uśmiecha się cierpko.

– Po co mielibyśmy was w to angażować? Już wystarczająco nam zaszkodziliście. Nie chcieliśmy, żeby jeden z naszych synów znów wylądował w areszcie.

Robi krótką pauzę i po chwili kontynuuje:

– W szpitalu powiedzieliśmy, że to był wypadek, że David przewrócił się na śliskim pomoście na twarz i przez lód wpadł do wody.

– I uwierzyli wam?

Wzruszyła ramionami.

– W każdym razie nie zakwestionowali naszej wersji. A David nigdy się nam nie przyznał, co tak naprawdę się stało.

– Chłopcy pogodzili się po tym?

Jej twarz jest pozbawiona wyrazu, oczy błyszczą.

– Nie, nie pogodzili się. Od ośmiu lat prawie ze sobą nie rozmawiają. Gabriel i ja próbowaliśmy, naprawdę się staraliśmy, ale... – Kręci bezradnie głową i wpatruje się w blat stołu. – David wyprowadził się z domu, jak tylko zdał maturę. Zamieszkał w Sztokholmie, przyjął moje panieńskie nazwisko i zaczął studiować medycynę. – Uśmiecha się smutno. – On, humanista z krwi i kości, przerzucił się na nauki przyrodnicze. Przypuszczam, że potrzebował odciąć się od swojego wcześniejszego życia, od dawnego ja. Ale dobrze mu to zrobiło. Już niedługo będzie lekarzem, poza tym niedawno się zaręczył. Jego dziewczyna ma na imię Fanny.

– A Harry?

Lykke odpowiada dopiero po dłuższej chwili.

– Harry. No cóż. Miał kilka ofert pracy, ale kiedy tylko pracodawca się orientował, kim on jest, przestawał być zainteresowany jego zatrudnieniem. Trudno się dziwić, ja też bym się na to nie zdecydowała, gdybym przeczytała książkę Gabriela.

– Przepraszam, nie czytałem jej – wtrącam. – Ale widziałem, że miała bardzo dobre recenzje.

Kiwa głową i spogląda za okno.

– Tak, oczywiście – odpowiada bezbarwnym głosem.

– Przypomnij mi jej tytuł...

– *Siudy*.

– *Siudy?*

– Tak, no wiesz, to takie urządzenie do noszenia wiader z wodą w dawnych czasach. Inaczej nosidło.

Opiera się wygodnie na krześle i patrzy mi w oczy.

– Harry nigdy nie doszedł do siebie – ciągnie dalej. – Przez wszystkie te lata mieszkał z nami, prawie z nikim się nie spotykał.

Zerkam na swój zegarek: kwadrans po pierwszej.

– Musimy zrobić ze dwie godziny przerwy – mówię. – Poproszę, żeby dali ci lunch, i będziemy kontynuować po południu. Okej?

Lykke kiwa głową bez słowa.

*

– Jak to? – pyta Afsaneh. – Myślałam, że do tej pory już skończycie.

Patrzę na torby, które czekają spakowane w przedpokoju. Na podłodze leżą porzucane zabawki Nadji. Lalka bez nóg tkwi głową w dół wetknięta do czerwonego wozu strażackiego. Pojemnik z żelazem do zabawy jest otwarty i zielona lepka maź wylała się na dywan.

– Muszę jeszcze wpaść tam na trochę – wyjaśniam, biorąc kęs sałatki z tuńczyka, którą Afsaneh przyrządziła specjalnie po to, żebym jadał w domu, a nie w pracy. W ten sposób łatwiej jest kontrolować kalorie.

– A możesz mi obiecać, że skończycie dziś wieczorem? – zwraca się do mnie, opierając szczupłe dłonie na biodrach.

– Nie mogę obiecać niczego.

– No jasne, wiedziałam, że tak będzie.

– To nie moja wina.

– Pewnie, nigdy nic nie jest twoją winą.

Odwraca się, otwiera zmywarkę i zaczyna wkładać do niej naczynia.

– Wiesz co? – odzywa się, stojąc tyłem do mnie. – Mam serdecznie dosyć tej twojej cholernej pracy.

Milczę, bo co mam odpowiedzieć? Mówiła to już ze sto razy, a wcześniej to samo ciągle słyszałem od Beatrice. Historia się powtarza, a ja nie jestem w stanie nic z tym zrobić.

Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Mogłybyście pojechać pierwsze – sugeruję.

Afsaneh zamyka zmywarkę, odwraca się i opada na krzesło naprzeciwko mnie.

– To chyba najlepsze rozwiązanie – wzdycha.

– Zróbcie tak, nie ma powodu, żebyście tu siedziały i czekały.

Jej ciemne oczy zatrzymują się na mnie.

– Nadja bawi się teraz u Pontusa, wróci o trzeciej, mogłybyśmy zdążyć na prom o piątej. Ale raczej nie zabiorę się z tymi wszystkimi bagażami – mówi, spoglądając na torby w przedpokoju.

– Weź tylko to, co najważniejsze, potem przywiozę resztę.

Powoli kiwa głową.

– No dobrze.

– Przepraszam, przykro mi, że tak wyszło.

Uśmiecha się ostrożnie, jej oczy nabierają blasku.

– Nie szkodzi – odpowiada.

To jedna z jej najwspanialszych cech – Afsaneh potrafi wybaczać i iść dalej, tak po prostu. Szybko wpada w złość, ale równie szybko się z niej otrząsa. Dosłownie w jednej chwili, trwa to u niej tyle, co zgaszenie lampy.

Niewielka zmarszczka na jej czole nagle się pogłębia.

– Czy na pewno wszystko w porządku? – zwraca się do mnie.

– Tak. Chociaż sam nie wiem. Ta sprawa po prostu mnie prześladowe.

– Możesz powiedzieć coś więcej?

Właściwie nie powinienem, a jednak to robię. Na każdym policjancie ciąży obowiązek zachowania tajemnicy, lecz gdybyśmy nie mieli z kim porozmawiać, wpadlibyśmy w obłąd, co sprawia, że większość z nas czasem mimo wszystko opowiada o swojej pracy najbliższemu.

Afsaneh słucha w milczeniu.

– Czyli oni prawie się pozabijali?

Potakuję.

Jej spojrzenie przenosi się na okno.

– Cholera. Ale to nie twoja wina, po prostu wykonywałeś swoją pracę.

– To zależy, jak na to spojrzeć. W gruncie rzeczy ona ma rację, nie byliśmy do końca profesjonalni podczas tych przesłuchań. A ostatnie przedłużenie aresztu miało bardzo kruche podstawy. To, że chcieliśmy porozmawiać z kolegami Davida z klubu szachowego, to ściema.

– Czy to znaczy, że nie rozmawialiście z nimi?

– Owszem, rozmawialiśmy, ale to nie wniosło nic nowego do sprawy. O czym wiedzieliśmy od początku. Chodziło nam tylko o to, żeby zatrzymać ich jeszcze dłużej w areszcie i wymusić na nich przyznanie się do winy.

– Masz na myśli swoich kolegów i prokuratorkę?

Wzdycham.

– Tak naprawdę to ja przekonałem prokuraturę i resztę, że jest to niezbędne.

– Jesteś tylko człowiekiem – mówi Afsaneh po dłuższej chwili milczenia. – Nie powinieneś być dla siebie zbyt surowy.

Jej słowa przypominają mi Pirjo. Ona też powiedziała kiedyś coś takiego – że jestem dla siebie zdecydowanie zbyt surowy.

– A ich ojciec? – kontynuuje Afsaneh. – Czy musiał opublikować tę przekłętą książkę?

– No właśnie. Oni wszyscy, całe to towarzystwo było trochę dziwne. Andersenowie i szpanerski wydawca. Nie wspominając już o agencie literackim Jujjem jakimś tam. Po każdym podaniu mu ręki czułem się tak, jakbym musiał policzyć sobie palce. Przypominał mi gości, których zgarniamy za posiadanie.

– A teraz Lykke Andersen jest aresztowana za zabójstwo.

Potaknąłem.

– I myślisz, że wyciągniesz od niej zeznanie?

– Mam nadzieję. Oby jeszcze w tym roku.

– Nie zastanawia cię, dlaczego chciała rozmawiać akurat z tobą?

Spotykam jej wzrok.

- Przypuszczam, że to dla niej wygodne, bo znam całą historię od samego początku. Osiem lat temu pracowałem przy sprawie. Nie musi tłumaczyć wszystkiego od nowa.
- Hm – bąka Afsaneh.
- Co?
- Wydaje mi się, że ona czegoś od ciebie chce.
- Na przykład czego?
- Nie wiem – odpowiada, unosząc brwi. – A co możesz jej dać?

W drodze powrotnej na komendę dzwoni do mnie Bodil.

– Jak ci idzie? – pyta.

– Tak sobie – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ona uparcie wraca do starej historii zabójstwa Bonnie Högberg. Jeszcze nie doszliśmy nawet do tego, co w ogóle wydarzyło się w noc świętojańską. Ale zaraz widzę się z nią znowu i liczę na to, że dzisiaj zakończę przesłuchiwanie.

– Też mam taką nadzieję, bo nie mogę teraz poświęcać temu więcej czasu.

– Rozumiem – odpowiadam, myśląc jednocześnie, że Bodil chociaż raz mogłaby wziąć pod uwagę moją sytuację. W końcu to ja, a nie ona, zostałem zmuszony do tego, żeby przerwać urlop i siedzieć godzinami w pokoju przesłuchań z Lykke Andersen.

– Wysłałam ci raport techników – informuje. – Przeczytaj go przed spotkaniem z nią.

– Jasne.

– Nie ma w nim większych niespodzianek. Wszystkie dowody materialne wskazują na Lykke Andersen jako sprawczynię.

*

Lykke siedzi przy stole, ręce ma oparte na blacie, jej twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Cześć – mówię po wejściu do pokoju.

Zdejmuję marynarkę, wieszam ją na oparciu krzesła i siadam naprzeciwko niej. Następnie wyciągam notes z torby.

– Cześć – odpowiada.

– Jadłaś lunch?

– Tak.

Nie wiadomo dlaczego mam ochotę ją spytać, czy jej smakował, jakby była moją znajomą czy przyjaciółką. Dziwi mnie to, bo zwykle nie odnoszę się do podejrzanych w taki sposób, tylko staram się zachowywać profesjonalnie, co oznacza, że mówię wyłącznie o rzeczach mających bezpośredni związek ze śledztwem. Ale widocznie długie godziny spędzone wspólnie w tej ciasnej salce i jej opowieść nas zbliżyły.

Zastanawiam się, czy właśnie na tym jej zależy, czy ma jakiś plan, jak zasugerowała Afsaneh.

– A ty? – pyta Lykke.

- Przepraszam?
- Czy coś jadłeś?

Otwieram notes, wyjmuję długopis i przypominam sobie coś, co powiedziała mi Pirjo, gdy prowadziliśmy śledztwo w sprawie śmierci Bonnie – że według niej ona jest skuteczniejsza w przesłuchiowaniu podejrzanych i świadków, ponieważ potrafi nawiązać z nimi kontakt.

W ciągu minionych lat wiele razy myślałem o tym, jak różnie podchodziliśmy do naszych ról w pokoju przesłuchań.

– Tak – odpowiadam. – Pojechałem zjeść do domu. Moja żona Afsaneh zrobiła sałatkę z tuńczykiem.

Spojrzenie Lykke ożywa, jej twarz się rozluźnia i pojawia się na niej cień uśmiechu.

– Sałatkę z tuńczykiem?

– Jestem na diecie.

Kiwa głową.

– Miło jest mieć kogoś, kto dla nas gotuje, kto nawet liczy za nas kalorie.

– Owszem.

– Dobrze wam ze sobą? – pyta ostrożnie.

Stąпам po cienkim lodzie, czuję to wyraźnie. Mocno ściskając w dłoni długopis, ociążam się z odpowiedzią i rozważam opcje.

– Bardzo dobrze. To moje drugie małżeństwo.

– Ach tak. Dzieci?

Potakuję, nasze spojrzenia się spotykają. Ogarnia mnie dziwne uczucie, coś w rodzaju ciepła wypełnia mi klatkę piersiową.

– Mamy córeczkę, skończyła cztery latka. Mam też troje starszych dzieci.

Szybko mruga kilka razy.

– Gdyby tak móc zacząć wszystko od nowa – mówi, opierając łokcie na stole, a na dłoniach brodę.

Nie odpowiadam. Nie przychodzi mi do głowy nic mądrego, no bo niby jak ona miałaby zacząć od nowa? Jej życie legło w gruzach, o czym wiemy oboje.

– Czy moglibyśmy... – bąkam.

Prostuje się i wyciąga ręce przed siebie.

– Tak, przepraszam. Nie powinnam zajmować ci czasu swoim gadaniem. Pewnie chcesz wiedzieć, co się stało w sobótkę?

– Tak.

Wydaje się wahać, pociera dłonie.

– Czy zdarzyło ci się kiedyś, że całe twoje życie zostało wywrócone do góry nogami, a ty musiałeś zakwestionować wszystko, co wcześniej uważałeś za niezachwiane?

Myślę o wieczorze, gdy Beatrice przyszła do domu lekko wstawiona i oświadczyła, że chce się rozwieść. A także o wiosennym poranku, gdy Nadja wypadła z okna i omal się nie zabiła.

– Oczywiście – potwierdzam.

– Właśnie coś takiego zdarzyło się w sobótkową noc.

Lykke

Tydzień wcześniej

Mogę być w tej koszuli?

Spojrzałam na Gabriela. Jasnofioletowa lniana koszula była wymięta i ciasno opinała mu pękaty brzuch. Jego bujne włosy posiwiały. Dłonie zapinające koszulę były kościste, a pod cienką skórą rysowały się nabrzmiałe żyły.

Mimo to wciąż był pięknym mężczyzną, przynajmniej w moich oczach. Lata nie pozbawiły go dawnej świetności, tylko nieco ją przyćmiły. Spojrzenie miał jasne, rysy wyraziste. A jego intelekt nadal błyszczał.

- Według mnie jest dobra – odpowiedziałam.
- Nie uważasz, że jest za ciasna?
- W takim razie weź sweter, jeśli czujesz się niekomfortowo.

Gabriel otworzył szafę i zaczął grzebać wśród rzeczy. Wyjął szary bawełniany pulower, prychnął na jego widok i odłożył go na bok.

- Sweter. Czy to nie będzie zbyt zwyczajne?
- Rany boskie, Gabriel. Przecież przyjdą tylko Olof, Jujje i chłopcy.
- I Fanny.

– Mimo wszystko. W końcu nie wybierasz się na rozmowę przed kamerami w telewizji.

Niestety nie zdążyłam ugryźć się w język. Minęły lata, odkąd Gabriel był zapraszany do telewizji, od bardzo dawna żadna warta wzmianki gazeta nie poprosiła go o wywiad. Po *Siudach* jego kariera utknęła w martwym punkcie.

Ostatnia książka *Serce z betonu* została wspomniana jedynie pobieżnie w zbiorczej recenzji – nazywanej w branżowym slangu masowym grobem. A zbiór esejów *Pływając z pawianami* sprzedał się zaledwie w pięciuset egzemplarzach.

Gdyby pokusić się o głębszą analizę, początkiem końca okazała się chyba powieść *Siudy* – co prawda wzbudziła zainteresowanie i nie zalegała na półkach księgarskich, ponieważ głód autentyczności, a raczej sensacji u czytelników wydawał się nienasycony, ale wątpliwości krytyków budziło to, co oni postrzegali jako męski egocentryzm i bezwzględność. „Nic nie jest już święte, gdy Gabriel Andersen obnaża otchłań rodziny” – napisano w „Dagens Nyheter”, dodając, że w *Siudach* „w niesmaczny sposób wykorzystuje śmierć młodej dziewczyny i jednocześnie rzuca cień podejrzewania na synów”.

Przypuszczam, że wielu czytelników zgadzało się z tą opinią.

Jedna z dziennikarek zajmujących się kulturą powiedziała w radiu, że Gabriel oddał się w tej powieści „mało zajmującej i wręcz odrażającej introspekcji”. Stwierdziła, że Knausgård zrobił to lepiej, i to dużo wcześniej od niego. A niektórzy blogerzy, w tym głównie blogerki, nazwali go „dziadersem”, ponieważ napisał, że dzięki pewnej bezimiennej pisarce doświadczył „tak gorących snów, jakich nie zaznał od młodości”.

Świat literatury jest bezlitosny – jako pisarz jesteś tak dobry jak twoja ostatnia książka – a Gabriel, który dawniej pisał bestseller za bestsellerem, ponadto był jednomyślnie wysoko oceniany przez szerokie grono krytyków, nagle został zepchnięty w najciemniejszy zakamarek wypełniony ciszą i zapomnieniem. Nie otrzymywał zaproszeń, nie przyznawano mu stypendiów. Nie wspominając o honorariach, które już dawno przestały wpływać na konto.

Jego udział w ubiegłorocznych targach książki w Göteborgu zakończył się katastrofą – zaledwie pięć osób pojawiło się w ogromnej sali seminaryjnej, gdzie on i Olof mieli prowadzić debatę opatrzoną tytułem „Postmodernizm umarł – niech żyje postmodernizm!”. Po kilku minutach jakaś starsza pani z chodzikiem opuściła zgromadzenie, informując pozostałych teatralnym szeptem:

– Przepraszam, bardzo przepraszam. Musiałam pomylić sale.

A kiedy Gabriel stał potem w holu przy małym stoliku z długopisem w dłoni za stołem książek do podpisania, raptem podbiegł mężczyzna z aparatem.

Gabriel uśmiechnął się rutynowo i podniósł jeden z egzemplarzy, ale nieznajomy szybko potrząsnął głową.

– Sorry, czy nie mógłby się pan trochę przesunąć? – spytał. – Chciałbym sfotografować ten...

Wskazał na coś za nami. Odwróciliśmy się.

Na ścianie wisiał kolorowy plakat przedstawiający jednoroźca i tęczę. Pod dumnym jednoroźcem widniał wielki napis: „KAŻDY MA PRAWO BYĆ KOCHANY!”.

Coraz częściej spotykałam w pracy autorów i ludzi z branży, którzy słysząc jego nazwisko, z wyrazem koncentracji na twarzy mówili:

– Gabriel Andersen? Gabriel Andersen? To brzmi jakoś znajomo, czy on przypadkiem nie napisał jakiejś książki?

Bądź też, jeżeli należeli do młodszego pokolenia, drapali się po głowie, a potem z zakłopotaniem przyznawali, że nigdy o kimś takim nie słyszeli.

Czy to aktor? A może polityk? Albo muzyk?

A gdy kiedyś pewnemu dwudziestolatkowi, ubiegającemu się w wydawnictwie o posadę redaktora naszej strony internetowej, Olof przedstawił mnie jako redaktorkę i żonę Gabriela Andersena, tamten od razu powiedział:

– Tego z Arsenalu, tak? Zaraz, zaraz, proszę nie mówić... – Błądził wzrokiem po suficie, jakby szukał czegoś w pamięci. – Napastnik, tak, na pewno grał jako napastnik w latach dziewięćdziesiątych?

Nigdy nie wspomniałam Gabrielowi o tych wydarzeniach. Wolałam oszczędzić mu wstydu i mierzyć się z nim zamiast niego. Poza tym jego sława i rozpoznawalność nigdy nie były dla mnie ważne, chociaż oczywiście lubiałam niektóre rzeczy związane z jego pozycją – podróże, bankiety i oszałamiające poczucie bycia wybraną.

Do pewnego stopnia sam był sobie winien – potrafił pisać, zawsze umiał to robić i być może to nadal jedyna rzecz, w której naprawdę jest dobry. Ale czytelnicy nie wykazywali już zainteresowania jego coraz bardziej eksperymentalnymi tekstami, on zaś nie wykazywał zainteresowania pisaniem tego, co dobrze się sprzedaje.

Olof niejednokrotnie mu sugerował, że powinien napisać powieść z elementami suspensu albo może powieść obyczajową poświęconą relacjom. *Wspomnieniami* udowodnił przecież, że jest mistrzem tego gatunku.

Gabriel odmawiał, co więcej, czuł się urażony.

Po pierwsze, książki o Helene i Siv nie były jego zdaniem powieściami o relacjach, tylko panoramą społeczną, gdzie związki między postaciami służyły wyłącznie jako przenośnia.

Po drugie, przecież on nie może cofać się w swoim procesie twórczym i pisać tak jak dziesięć czy dwadzieścia lat wcześniej jedynie po to, żeby sprzedać większy nakład – to byłoby okłamywanie czytelników i prostytuowanie się z jego strony, a można powiedzieć o nim wiele, ale chyba nie to, że jest prostytutką.

Spojrzałam na niego.

Zaczął rozpinać fioletową koszulę. Wyglądał na zirytowanego, lekko trzęsły mu się ręce.

Nagle ogarnęła mnie niespodziewana czułość.

– Zostaw – powiedziałam, podchodząc do niego i całując go delikatnie.

Następnie zapiełam z powrotem guziki.

Stał posłusznie w miejscu, nie mógł się jednak powstrzymać, by nie przestępować z niecierpliwością z nogi na nogę.

– Jest dobrze – zapewniłam go. – Jesteś przystojny.

Jego twarz złagodniała, przyciągnął mnie do siebie. Ujął moją lewą dłoń, a prawą ręką objął mnie w talii. Zrobił kilka tanecznych kroków.

Zachichotałam i poddałam się. Oparłam policzek o jego ramię.

Zatrzymaliśmy się pośrodku pokoju.

Nic nie mówiąc, popatrzył na mnie przez chwilę, potem nachylił się i mnie pocałował. Czubek języka wsunął się między wargi. Smakował kawą i pastą do zębów.

Odwzajemniłam pocałunek. Poczułam ciepło rozlewające się po moim wnętrzu, głaskałam go po plecach, myśląc, że miałam szczęście, iż przynajmniej jego udało mi się zatrzymać.

Straciliśmy bardzo dużo, ale nie siebie nawzajem.

Po opublikowaniu powieści *Siudy* byłam wściekła, strasznie wściekła. Potrzebowałam trzech lat wspólnej terapii, zanim mu wybaczyłam. A kiedy w końcu się na to zdobyłam, to nie dlatego, że zmieniłam zdanie na temat książki – nadal uważałam, że nie powinna być nigdy się ukazać – po prostu nie miałam już siły dłużej się kłócić. Po tylu cierpieniach chciałam zachować to, co jeszcze nam zostało: nasze dzieci, my, Wieczność.

Może też zrobiło mi się go trochę żal, może uznałam, że załamanie jego kariery to wystarczająca kara.

Przytulił się do mnie. Mocno. Czułam jego oddech na karku.

– Po tych wszystkich latach – westchnęłam.

– Tak – odpowiedział. – Po tych wszystkich latach.

Właśnie kończyłam nakrywanie stołu w ogrodzie, gdy przyjechali David i Fanny. Słyszając klakson, postawiłam stos talerzy na długim stole i wyszłam im naprzeciw.

Gdy znalazłam się przy furtce, Gabriel był już na miejscu. Uścisnął Fanny i potargał jej krótkie, ciemne włosy.

– Cześć – powiedziałam i podeszłam do Davida, aby mocno przytulić mojego syna.

Przypominający cielątko młodzieniec zmienił się w wiotkiego młodego mężczyznę. Jasne włosy miał przystrzyżone na krótko, dzięki czemu wyglądały na ciemniejsze. Blizny wokół oka zbladły, ale głębokie bruzdy i ślady po szwach wciąż były wyraźnie widoczne, zwłaszcza gdy słońce padało na twarz z boku.

– Cześć, mamó.

Sekundę później podeszła do mnie Fanny i wręczyła mi duży bukiet polnych kwiatów.

– Jaki piękny – ucieszyłam się, dotykając stokrotek.

– Pomyślałam, że można by ich użyć do udekorowania słupa majowego – zauważyła, po czym zmierzyła mnie od góry do dołu. – Boże, co za śliczna sukienka! – zachwyciła się.

– Należała do mojej mamy – powiedziałam, spoglądając na swoją kremową koronkową sukienkę wyszywaną perełkami. – Zaczęłam ją nosić na specjalne okazje dopiero po jej śmierci.

– Och, przykro mi – westchnęła Fanny.

Pokręciłam głową.

– Mama odeszła wiele lat temu – wyjaśniłam.

Fanny zerknęła na Davida i niemal w tym samym momencie uniosła prawą dłoń i szeroko się uśmiechnęła.

Nachyliłam się, aby lepiej przyjrzeć się pierścionkowi – na prostej obrączce z białego złota osadzony był nieduży brylant.

– Przepiękny – powiedziałam.

Gabriel wyciągnął rękę i palcem wskazującym dotknął go lekko.

– Stylowy – ocenił. – Ale nie ostentacyjny.

David stanął obok Fanny i też pokazał nam swoją dłoń. Jego obrączka również była z białego złota, ale całkowicie pozbawiona ozdób.

Zrobiło się melancholijnie – przypomniałam sobie swoje zaręczyny z Gabrielem: w letni dzień, podobny do dzisiejszego, rok po urodzeniu chłopców. Nie pamiętam, co wtedy myślałam, czego oczekiwałam od życia. Nie sądzę, by były to jakieś wielkie rzeczy – bogactwo, niezwykle dokonania – ale na pewno przez myśl mi nie przeszło, że moja rodzina będzie kiedyś tak podzielona, że nasi synowie wręcz nie będą mogli na siebie patrzeć.

– Jest trochę za duża – powiedział David. – Muszę ją zmniejszyć.

– Już dwa razy zsunęła mu się z palca – dodała Fanny z chichotem.

*

Fanny i David pomogli ubrać słup majowy, podczas gdy ja przygotowywałam jedzenie. Puszki ze śledziami stały rzędem, młode ziemniaki bulgotały już w garnku. Łososia ułożyłam na półmisku i udekorowałam koperkiem oraz plasterkami cytryny.

Gabriel wszedł do kuchni, oparł ręce na moich ramionach i pocałował mnie w szyję.

– Kto by pomyślał: nasz syn jest zaręczony – szepnął.

Odwróciłam się i go przytuliłam.

– Lubię ją. Podoba mi się ta dziewczyna.

Fanny i David poznali się na studiach. Byli parą od kilku lat. David niedługo zrobi już dyplom, a jej pozostały jeszcze dwa lata. W wolnym czasie Fanny uprawiała wspinaczkę górską. Próbowала namówić do tego Davida, wątpiłam jednak, czy jej się to uda – nie był typem sportowca.

– Jest idealna – stwierdził Gabriel. – Ale zawsze myślałem, że David spotka inną kobietę.

– Co masz na myśli? – zapytałam, odsuwając go, aby móc sprawdzić ziemniaki na kuchence.

– Kogoś trochę bardziej intelektualnego.

– Przecież ona jest bardzo zdolna – powiedziałam, nakłuwając ziemniak widelcem.

– To nie do końca to samo.

Odłożyłam widelec, przykryłam garnek pokrywką i odwróciłam się do Gabriela.

– Uważam, że oboje świetnie się uzupełniają.

Do kuchni wszedł Harry. Zbliżył się do okna i zaczął obserwować to, co działo się na zewnątrz – David i Fanny byli pochłonięci ozdabianiem kwiatami wieńców na słup majowy.

Milczał, jego szerokie plecy pod znoszonym tiszertem prawie się nie poruszały, a dłonie spoczywały ciężko na blacie szafki.

– Idź się przywitać, Harry – powiedziałam.

Obrzucił mnie mrocznym spojrzeniem.

– Harry – rzucił Gabriel.

Wzruszył ramionami i począpał w kierunku przedpokoju.

Gabriel popatrzył na mnie bez słowa, a potem stanął obok i wziął mnie za rękę.

Wyglądaliśmy przez okno, nic nie mówiąc – byliśmy niemymi widzami naszej własnej tragedii, tej, która się zaczęła w gorący dzień sierpnia osiem lat wcześniej.

Harry szedł powoli po trawie ze wzrokiem wbitym w ziemię i rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie dżinsów.

Gdy Fanny go zauważyła, odłożyła wieniec i ruszyła mu naprzeciw.

Przytulili się, zamienili kilka słów.

Gabriel ścisnął moją dłoń, odwzajemniłam uścisk i zamknęłam oczy.

Po tamtym zajściu, gdy Harry omal nie zabił Davida, za każdym razem kiedy chłopcy się spotykali – co nie zdarzało się często – żywiłam dziwną nadzieję, że wreszcie się pogodzą. I za każdym razem doznawałam rozczarowania.

Przez wiele lat David pojawiał się w Wieczności tylko z okazji urodzin Gabriela i moich oraz w Boże Narodzenie. Ale nawet wtedy wymagało to usilnych perswazji z naszej strony. Podejrzewałam, że to zasługa Fanny, iż zdecydował się dziś przyjechać, ta dziewczyna zdawała się mieć na niego kojący wpływ – odkąd się spotykali, wpadał do nas częściej.

Znowu wyjrzałam przez okno.

David siedział na jednym z krzeseł, które wynieśliśmy na dwór. Był pochylony nad wieńcem i trzymał w ręce pęk niebieskich dzwoneczków. Nie patrzył na Harry'ego i o ile widziałam, nic też nie powiedział.

Harry powoli odwrócił się plecami do niego i Fanny.

I wtedy napotkał moje spojrzenie.

Uciekaliśmy się do wszystkiego – rozmawialiśmy z chłopcami, błagaliśmy ich i modliliśmy się za nich, usiłowaliśmy namówić obu na spotkanie z terapeutą, żeby pomógł im rozwiązać ich problem.

Nic nie skutkowało.

Czasami kłóciłam się o to z Gabrielem.

– Zostaw ich w spokoju – mówił. – Z czasem im przejdzie.

– Przecież minęły już lata – odpowiadałam.

A niekiedy, gdy byłam naprawdę przybita i zła, nie potrafiłam się powstrzymać i wywlekałam sprawę wiadomej powieści, mimo że obiecałam sobie być ponad to.

– Nie powinienesz być nigdy napisać tej przeklętej książki – mówiłam.

– To jest powieść, ani razu nie twierdziłem, że opisałem w niej prawdę – bronił się Gabriel. – Poza tym konflikt między chłopcami sięga znacznie głębiej, ja jedynie odsłoniłem to, co i tak istniało od dawna.

I pokazałem to połowie Szwecji, dopowiadałam w myślach.

Gabriel częściowo miał rację: konflikt między naszymi synami zaczął się na długo przed wydaniem *Siudów*, tyle tylko że ta książka skomplikowała życie nam wszystkim. David chyba najbardziej konstruktywnie poradził sobie z powstałą sytuacją – wyprowadził się, zmienił nazwisko i zbudował sobie nowe, lepsze życie. Z czego szczerze się cieszyłam.

Z Harrym natomiast było gorzej – rzucił liceum i nigdy nie udało mu się dostać normalnej pracy. Próbowaliśmy znaleźć mu jakieś sensowne zajęcia w domu, ale gdy całe drewno na opał zostało porąbane i ułożone w drewnutni, klomby wypielone i samochód umyty, nie zostawało mu nic do roboty.

Książka zmieniła też codzienność moją i Gabriela.

Jeśli ktoś w wiosce przypadkiem jeszcze nie wiedział, że jeden z naszych synów jest mordercą, teraz został o tym poinformowany. W miejscowym sklepie patrzono na nas przenikliwie. Gdy tylko się zbliżaliśmy, zamierały wszelkie rozmowy, ludzie się cofali, odsuwali, jakbyśmy roznosili zakaźną chorobę. Nie obyło się oczywiście bez anonimowych telefonów i listów z groźbami – żądano, żebyśmy wyjechali i nigdy tu nie wracali.

– Nie przejmuj się nimi – powiedział Gabriel. – W końcu nigdy nie spędzaliśmy czasu z tymi ludźmi.

Rzeczywiście nie przyjaźniliśmy się z nimi, ale zanim umarła Bonnie i ukazała się książka, przynajmniej nas nie nienawidzili.

Zdarzało się, że we wsi natrafiałam niekiedy na rodziców Bonnie. Któregoś razu w sklepie spożywczym zauważyłam Lenę Högberg przy stoisku z warzywami. Wzięła bakłażana i ważyła go w pulchnej dłoni. Szybko skręciłam wózkem między półki z chipsami i przycupnęłam obok serowych chrupek z niepokojem rozsadzającym mi pierś.

Ona ma gorzej ode mnie, pomyślałam. Bonnie odeszła na zawsze.

Innym razem Stefan Högberg szedł środkiem Skeppsbron na Starym Mieście w Sztokholmie z jakąś paczką pod pachą. Nie mam pojęcia, co tam robił – ja wracałam z wydawnictwa do domu.

Zauważył mnie w chwili, gdy go zobaczyłam.

Zatrzymałam się na chodniku, mocniej ścisnęłam rączkę płóciennej torby, w której dźwigałam maszynopisy. Stał na szeroko rozstawionych nogach i obserwował mnie, nie próbując się ruszyć. Było to surrealistyczne i przerażające zarazem – staliśmy tak prawdopodobnie z dziesięć sekund i gapiliśmy się na siebie, aż w końcu miałam dość tej konfrontacji i czmychnęłam w pobliski zaułek z podkulonym ogonem.

Już potem uznałam, że powinnam była do niego podejść, może z nim porozmawiać. To nie jest zły człowiek, po prostu ojciec, który stracił jedyne dziecko. A ja nie zrobiłam przecież nic złego, czyż nie? Tylko dałam życie dwom chłopcom, dwom mężczyznom, z których jeden zabił jego córkę.

Z których jeden...

No właśnie, to była kolejna rzecz niepozwalająca mi zasnąć w godzinie wilka – wciąż nie wiedziałam, który z nich pozbawił życia Bonnie. Gdybym to wiedziała, mogłabym wybaczyć i iść dalej, nie miałam co do tego wątpliwości. Bo niezależnie od tego, co zrobili David czy Harry, kochałam ich, a moja miłość jest większa i silniejsza niż cokolwiek innego. Tymczasem ja – i Gabriel – wciąż trwaliśmy w niepewności.

– Ja przestałem to roztrząsać – oznajmił Gabriel, gdy próbowałam mu opisać, co czuję. – Po prostu zaakceptowałem fakt, że nigdy nie będziemy tego wiedzieć.

– Też bym chciała tak łatwo to odpuścić – odparłam.

– A co właściwie by to zmieniło, gdybyś poznała prawdę? – spytał, patrząc na mnie z zatroskaniem. – Bonnie i tak już nie wróci.

Nie, Bonnie już nie wróci i nie odzyska swego nieprzeżytego życia, wszystkich chwil i wszystkich lat, których nie dane było jej doświadczyć. Zmartwień, radości i nieuniknionych momentów zdenerwowania z powodu błahych rzeczy, na które tracimy tyle energii – jak szwankująca zmywarka, konflikty w pracy czy brak pomysłów na gwiazdkowe prezenty. Nigdy nie urodzi dzieci, nie zmartwi się

pierwszym siwym włosem ani po długich męczarniach nie zdecyduje się odejść ze związku, w który zainwestowała mnóstwo czasu.

Bonnie już zawsze będzie miała siedemnaście lat.

*

Jujje i Olof przyjechali niemal jednocześnie.

Gabriel i ja wyszliśmy ich przywitać, a także pomóc Olofowi, który niedawno przeszedł operację stawu biodrowego i potrzebował wsparcia przy poruszaniu się.

– Lykke – zawołał z daleka Olof, wystawiając szwedkę niczym dzidę przez otwarte okno samochodu. – Wyglądasz jak zwykle fantastycznie!

Puściłam to kłamstwo mimo uszu, wzięłam od niego kulę i zapewniłam go, że jemu też nic nie brakuje, podczas gdy on gramolił się ze swojego nowego fiata – chcąc nie chcąc, musiał go kupić, ponieważ jego stare auto zaczęło dosłownie się rozpadać.

Podał mi koszyk. Gdy uniosłam lnianą serwetkę, zobaczyłam stos cętkowanych jajeczek.

– Boże, jakie przesłodkie – powiedziałam na ich widok.

– Jajka przepiórcze – wysapał. – Pamiętasz Bernadette, redaktorkę poradników, którą zatrudnialiśmy na zlecenie, kiedy robiliśmy książki ogrodnicze?

Potaknęłam, dotykając delikatnie gładkich skorupek – w otaczającym nas upale wydawały się przyjemnie chłodne.

– W końcu to zrobiła – kontynuował, jednocześnie chowając okulary w rogowej oprawie do jednej kieszonki kamizelki, a tytoń do fajki do drugiej. – Spełniła swoje marzenie, wyniosła się na wieś i kupiła przepiórki. Wiesz, że one znoszą więcej niż jedno jajko dziennie?

– Co ty powiesz? – odpowiedziałam i podałam mu szwedkę.

W tym momencie podszedł do nas Jujje. Uśmiechnął się szeroko, poklepał Gabriela po plecach i odgarnął swoje szpakowate włosy z czoła.

Na opalonej twarzy perliły się kropelki potu, a koszula miała na piersi duże wilgotne plamy.

– Klimatyzacja mi wysiadła – wyjaśnił, widząc moje spojrzenie. – W środku jest jak w cholernej saunie. *I kid you not*, jestem pewny, że między Sztokholmem a Södertälje straciłem co najmniej dwa kilo. Człowiek wydał majątek, a to pieprzone autko nie działa jak trzeba – powiedział, wskazując na granatową teslę.

Spojrzałam na jego drogi samochód – na tylnym siedzeniu leżały dwie podstawki dla dzieci, zauważyłam też parę zabawek.

Niecałe pięć lat temu Jujje został ojcem dwóch dziewczynek, co samo w sobie nie było niczym nadzwyczajnym. Problem polegał tylko na tym, że miał je z różnymi

kobietami, a one nie miały pojęcia o swoim istnieniu. Ponadto dziewczynki urodziły się w odstępie trzech miesięcy, a żeby jeszcze bardziej skomplikować sytuację, jedna z matek była znaczącą uczestniczką debaty publicznej związanej z konserwatywnym think tankiem, druga zaś parlamentarzystką z ramienia Partii Lewicy.

Ale Jujje, przyzwyczajony do pogmatwanego życia prywatnego, wykorzystał sytuację jak najlepiej. Okazał się fantastycznym tatą i ogromnie kochał obie córki. Dziewczynki mieszkały u niego co drugi tydzień i uwielbiały się nawzajem, mimo że ich matki nie chciały się nawet poznać.

– Hm – mruknął Olof, głaszcząc się po grubym brzuchu i obrzucając tesłę nieufnym spojrzeniem. – Słyszałem, że ona może się zapalić.

– Jasne – odparł Jujje ze wzruszeniem ramion. – Jeśli wbijesz się nią prosto w skałę.

Olof prychnął z irytacją. On i Jujje nigdy za sobą nie przepadali i w miarę upływu lat nic się pod tym względem nie zmieniło. Jedyne powód, dla którego czasami znosili swoje towarzystwo, był taki, że zapraszaliśmy ich obu.

– Chodźcie – powiedziałam. – Pora postawić słup majowy.

*

Umieściłam na stole wizytówki – nie dlatego, że byliśmy jakoś szczególnie formalni, tylko po to, żeby uniknąć nieporozumień podczas kolacji. David miał siedzieć po jednej stronie, a Harry po drugiej. Dla siebie przeznaczyłam miejsce pośrodku, aby mieć pełną kontrolę nad toczącymi się rozmowami i móc interweniować, gdyby poruszano zbyt drażliwe tematy lub gdyby chłopcy zaczęli się kłócić.

Fanny pomagała mi przynieść jedzenie z kuchni, podczas gdy Gabriel i Jujje stawiali słup – wyglądał dosyć skromnie, mierzył około dwóch metrów wysokości i był pokryty brzożową korą. Kwiaty od Fanny ozdabiały dwa wieńce.

David stał z kieliszkiem wina w ręce przy krzewie bzu i rozmawiał z Olofem.

– Interna? – spytał Olof. – Znałem kiedyś kobietę, która...

Fanny postawiła na stole między dwoma bukietami dużą miskę parujących ziemniaków, wetknęła do niej sztucze do nakładania i posłała mi ciepły uśmiech.

– Pięknie wszystko urządziłaś – powiedziała.

– Dziękuję – odparłam i lekko dotknęłam jej opalonego ramienia.

Spojrzałam w stronę domu, gdzie oparty o ścianę stał Harry. Wydawało się, że ogląda paznokcie u jednej ręki, jakby sprawdzał, czy są czyste, ja jednak wiedziałam, że jego znużenie i obojętny wyraz twarzy to tylko fasada. Będąc daleko od nas, zachowując bezpieczny dystans, miał kontrolę – mógł śledzić wszystko, co się dzieje na trawniku, nie musząc uczestniczyć w rozmowach.

– O niczym nie zapomnieliśmy? – spytała Fanny, biorąc się pod boki i lekko kołysząc.

Powiodłam spojrzeniem po stole.

– Kieliszki – stwierdziłam. – Leżą w zamrażarce.

– Zaraz je przyniosę – zaproponowała Fanny i ruszyła do domu.

Szła lekkim krokiem, jej sukienka falowała wokół szczupłych łydek.

Harry przestał oglądać swoje paznokcie i zerknął na nią, gdy przechodziła obok.

Pierwsze godziny minęły na tyle normalnie, że można by uznać to spotkanie za jedno z wielu zwykłych sobótkowych przyjęć. Jedzenie znikало z półmisek, kieliszki opróżniano i napełniano na nowo. Słońce zniżyło się nad Wiecznością, a zapachy lata mieszały się z aromatem świeżo usmażonych klopsików i ostrą wonią wódki.

Zakradła się wilgoć, trawa wokół naszych stóp pokryła się rosą, a nad głowami brzęczały nam roje owadów.

Jujje i David rozmawiali o trendach na rynku wydawniczym.

– *Sick litt* – powiedział Jujje i lekko cmoknął ustami. – Teraz jest istny zalew *sick litt*.

– *Sick litt?*

David wyglądał na dezorientowanego.

– No wiesz, chorzy ludzie piszą autobiografie. Mam dwóch autorów chorych na raka i jednego, który w wypadku w pracy stracił obie nogi i obie ręce.

– Ojej – zareagował David.

– Może mógłbym wykorzystać cię jako konsultanta w kwestiach medycznych, gdyby...

Odwróciłam się w stronę Gabriela i Olofa. Oni rozmawiali o Alim Hizamim, poecie, z którym przed wieloma laty współpracowałam jako redaktorka.

– ...bardzo się zdziwiłem, kiedy został wybrany do Akademii Szwedzkiej – powiedział Olof.

– Dlaczego? – spytał Gabriel.

– No cóż, mów, co chcesz, ale to, czym on się dziś zajmuje, ma dość wąski zakres: jest na wskroś polityczne. Sądziłem, że powinni wybrać kogoś mniej...

– ...kontrowersyjnego? – zasugerował Gabriel.

Olof potaknął.

– Zwłaszcza biorąc pod uwagę ten pieprzony cyrk w Akademii ostatnio.

Rok po wydaniu *Siudów* ukazał się zbiór poezji Alego Hizamiego pod tytułem *Pochwała rentowności*. Tomik wywołał zainteresowanie i zyskał pochlebne recenzje na stronach działów kulturalnych wielu gazet. W „Svenska Dagbladet” napisano, że autor „kwestionuje warunki życia kapitalistycznego społeczeństwa, a jednocześnie zgłębia ograniczenia językowe i stawia im wyzwania”.

Ali, który właśnie opuścił przyczepę kempingową przy wysypisku śmieci i przeniósł się do domu swojej matki, był niezwykle szczęśliwy i nawet trochę się popłakał, kiedy go o tym poinformowałam.

Gabriel po kolei dolewał gościom wina.

– Nie, już dziękuję, prowadzę – powiedziała Fanny, która nie szczędziła wysiłków, by podtrzymać rozmowę z Harrym. On natomiast odpowiadał na wszystkie jej pytania lakonicznie, siedząc ze zgarbionymi plecami i z oczami utkwionymi w talerzu.

David, umiarkowanie zainteresowany zjawiskiem *sick litt*, obracał swą zbyt dużą obrączkę zaręczynową i raz za razem zerkał na Harry’ego.

Mniej więcej godzinę później półmiski i talerze opustoszały.

– ...w dzisiejszych czasach nie sposób być pisarzem, nie będąc cholernym celebrytą albo nie mając kilkudziesięciu tysięcy followersów w mediach społecznościowych – usłyszałam gderanie Gabriela.

– *O tempora, o mores* – westchnął Olof, po czym zaciągnął się fajką i pustym wzrokiem wpatrzył się w lśniące lustro wody na jeziorze.

– A wy wcale nie jesteście lepsi od innych wydawnictw – dodał Gabriel, wychyliwszy swoją setkę i głośno odstawiwszy kieliszek.

Popatrzyłam na niego. Miał stężałą twarz, na fioletowej koszuli pojawiły się na brzuchu tłuste plamy.

– Jak to? – spytał Olof, a ja od razu wyczułam w jego głosie nietypowo ostry ton.

– Przecież Forss & Stierna ma podobno wydawać tego rapera – powiedział Gabriel.

– Którego? – zainteresowała się nagle Fanny.

– Kaddego – wyjaśnił David. – Tego, który zdobył nagrody MTV.

– Jak to? – Fanny wyglądała na zaskoczoną. – Czy to nie on zastrzelił dwóch facetów?

– Nic mu *nie* udowodniono – rzekł Olof. – Nigdy nie został za nic skazany.

– Rany boskie – westchnął Gabriel. – Nie słyszałeś jego tekstów? To jebany gangster. Poza tym wydajecie też jakąś blogerkę.

– Fukme – bąknął Olof, wysuwając nieco dolną szczękę do przodu. – Ona nie jest blogerką, ma kanał na YouTube.

– Fukme – wymamrotał Gabriel. – *Fuck me*, co za kretyńska nazwa? Jaki miała tytuł ta jej książka?

Jujje, który siedział naprzeciwko mnie, nagle się ożywił.

– *A potem się potnę* – powiedział i podniósł nóż, chichocząc. Po chwili spoważniał, przesunął dłonią po nieogolonej twarzy i dodał: – Sprzedała się w stu tysiącach egzemplarzy. W twardej oprawie.

Jego oczy pały, jak zawsze, gdy mowa była o naprawdę dużych pieniądzach i niebotycznie wysokich nakładach.

– Otóż to – wtrącił Gabriel. – A dlaczego? No bo jej autorka jest celebrytką. A została nią, bo dzięki łapówkom wkręciła się w kolejny pieprzony telewizyjny reality show, w którym zgraja debilnych dwudziestolatków migdali się na jakiejś meksykańskiej wyspie.

Olof opuścił fajkę, zdawał się wahać.

– Ona całkiem nieźle pisze – zauważył po chwili.

– Daj spokój – odpowiedział Gabriel. – Słyszałem ją w radiu. Nie potrafiła sklecić jednego pełnego zdania, jak pięciolatka. Jeśli to ona napisała tę książkę, to ja jestem...

– Kochanie – przerwałam mu. – Może przyniosłbyś więcej wody mineralnej?

Zignorował mnie.

– Napisała ją od początku do końca sama – zapewnił z naciskiem Olof.

– Jak Broman? – Gabriel wypluł z siebie to nazwisko, jakby zjadł coś niesmacznego.

Podczas gdy gwiazda Gabriela zniknęła z firmamentu, Theo Broman umocnił swoją pozycję jako najlepiej sprzedający się autor wydawnictwa. Jego kryzys twórczy, którego byłam świadkiem, najwyraźniej minął i teraz, punktualnie jak w zegarku, co roku dostarczał jeden bestseller. Recenzje były zazwyczaj letnie, o ile w ogóle jakiegokolwiek się pojawiały, ale czytelnicy go uwielbiali.

A to już coś znaczyło.

Bez Theo wydawnictwo przestałoby istnieć. Ja straciłabym pracę, a Gabriel nie miałby gdzie wydawać swoich ostatnich książek – nie lubił, by mu o tym przypominano. W jego oczach Theo symbolizował wszystko to, czym gardził: boom na audiobooki, który on postrzegał jako infantyлизację branży, a także jako śmierć poważnej krytyki literackiej.

Ale w branży wydawniczej zawsze zdarzały się różne zawirowania i zakręty, tak było i prawdopodobnie tak pozostanie.

– Wszyscy wiedzą, że Theodor Broman nie pisze swoich książek sam – stwierdził Gabriel.

– I tu się mylisz – odparował szybko Olof, stukając fajką o stół. – Przyznaję, że Lykke bardzo mu pomaga, ale pisze sam.

Potaknęłam milcząco.

To prawda, że Theo potrzebował sporo pomocy, zwłaszcza w sferze językowej, ale o ile się orientowałam, nie wyręczał się nikim w pisaniu. To znaczy z wyjątkiem *Nieznanego sprawcy*, książki, która powstała w tym samym roku, gdy zginęła Bonnie. Nie miałam co do tego pewności, ale podejrzewałam, że w jej przypadku skorzystał

z czyjegoś wsparcia. W każdym razie powieść została ukończona na czas i wszyscy w wydawnictwie odetchnęli.

Jednak wbrew wcześniejszej obietnicy Olofa nie dostałam za to żadnej tłustej premii.

– Woda mineralna – przypomniałam Gabrielowi.

Jujje, który jakby nie zdawał sobie sprawy, jak napięta jest sytuacja, beztrąsko ciągnął wątek Fukme.

– Wiesz, co ona mi powiedziała, kiedy w zeszłym roku spotkałem ją na targach książki? Że to niesprawiedliwe, że nie pozwolono jej zatytułować swojej książki *LOL*.

– Akronimy kiepsko działają – wtrącił Olof, ziewając.

– Bo – kontynuował Jujje z palcem wysoko w górze – skoro Gabriel mógł wydać swoją powieść pod dziwnym i mało zrozumiałym tytułem *Siudy*, należało zaakceptować jej propozycję.

Roześmiał się głośno i długo nie mógł się opanować, aż w końcu przetarł oczy dłonią i ucichł. Grube srebrne łańcuchy wokół jego nadgarstka donośnie zabręczały.

– Wyobrażacie sobie? – dodał na koniec.

Gabriel położył sztucę na talerzu i zamrugął nerwowo. Jego twarz płonęła.

No tak, pomyślałam. Status przebrzmiałego talentu w tej branży to brutalne doświadczenie.

Wieczór przeszedł w noc, chłodną i jasną noc u progu lata.

Na tle rozświetlonego nieba rysowały się gałęzie rozłożystej gruszy. Nad jeziorem wisiał księżyc – jego okrągłe, mlecznobiałe odbicie kołysało się delikatnie na powierzchni wody. Zapaliliśmy lampiony, Gabriel przyniósł koce.

Można było odnieść wrażenie, że przyroda wokół nas wstrzymała oddech, jakby przygotowywała się na nadchodzący świt. Nie mogłam uciec przed myślą o sierpniowej nocy sprzed ośmiu lat.

Spojrzałam na Fanny – David właśnie dał jej całusa i przesunął dłonią po jej krótkich, ciemnych włosach.

Gdyby Bonnie żyła, miałyby tyle lat co ona.

Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, być może to Bonnie siedziałyby teraz z pierścionkiem na palcu i dostałyby całusa od jednego z moich synów.

Około pierwszej Fanny pojechała do domu – nazajutrz wybierała się do Borlänge do swoich rodziców i nie chciała zasnąć na poranny pociąg.

David miał przenocować w małym domku w swoim dawnym pokoju, w którym odmalowaliśmy ściany i wymieniliśmy łóżko na nowe – wszystko po to, by znowu

zrobiło się tam w miarę przytulnie. Umówił się z Jujjem, że rano zabierze się z nim do miasta.

Przytuliłam Fanny na pożegnanie.

– Jedź ostrożnie – powiedziałam. – W tych stronach kręci się dużo dzikiej zwierzyny.

– Będę uważać – obiecała, po czym pożegnała się z pozostałymi.

David szybko pocałował ją w usta i wyjął kluczyki z kieszeni.

– Widzimy się w poniedziałek – szepnął.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę w ogrodzie, niestety komary zrobiły się bardziej natrętne, poza tym powietrze było tak rześkie, że nawet koce nie chroniły przed zimnem i wilgocią.

Gabriel, który siedział obok Jujjego, rozmawiał z nim szeptem o czymś, czego nie mogłam zrozumieć. David i Olof mówili o znaczeniu nowych usług streamingowych dla przemysłu książkowego i filmowego, ale każdy odzywał się coraz rzadziej, a poszczególne wypowiedzi coraz częściej przerywały przeciągłe ziewnięcia.

Harry siedział z kilkoma źdźbłami trawy w ręce i powoli rozłupywał je na coraz mniejsze kawałki, a potem wtykał je w szparę w drewnianym stole – sterczały w niej jak ołowiane żołnierzyki ustawione w szeregu do musztry.

– Netflix – powiedział Olof, zasłaniając dłonią usta, aby ukryć kolejne ziewnięcie. – Stawiam pieniądze na tę platformę, jest najlepsza. I produkuje własne filmy. *Dziewczyny i ciemność*, nowy serial kryminalny, to jeden z najlepszych seriali, jakie w ogóle widziałem. – Zmarszczył czoło i dodał: – Mimo że to kryminał.

Po chwili się przeciągnął i powiedział:

– Wybacz, chłopcze, ale nie jestem już młodzieniaszkiem i chyba muszę się zdrzemnąć.

Wstał, skrzywił się z bólu i sięgnął po szwedkę. Gdy potem odwrócił się do mnie, jego twarz się rozjaśniła.

– Dzięki za fantastyczny wieczór. Było niesamowicie smacznie. I szalenie przyjemnie, jak zawsze.

Jujje również się podniósł.

– Ja też pójdę się położyć. Jutro z samego rana muszę jechać z tym cholernym samochodem do warsztatu.

*

Siedziałam na łóżku i wpatrywałam się w smugi światła otaczające roletę. Jasna czerwcową noc wniknęła do pokoju – wiedziałam, że nie będę mogła zasnąć.

Tuż obok słyszałam chrapanie Gabriela, a z kuchni dobiegł odgłos szurania krzesła po podłodze.

Harry nie spał, jak każdej nocy.

Nocami grał w gry komputerowe, oglądał filmy, jadł pełne posiłki – rozmawialiśmy z nim na ten temat tysiące razy, ale nie chciał, a może nie potrafił tego zmienić.

Wstałam, zarzuciłam szal na sukienkę i postanowiłam zejść na dół, żeby zrobić sobie kubek herbaty, która miała podobno uspokajające działanie.

Gdy weszłam do kuchni, Harry zdjął słuchawki z uszu i pochylił monitor laptopa.

– Co? – spytał.

Nalałam wody do czajnika i postawiłam go na kuchence. Wyjęłam z szafki kubek i saszetkę herbaty, a potem odwróciłam się do niego.

– Idź się położyć.

– Nie będę spał w domku – wymamrotał.

– Przecież sypiasz w nim od trzech lat.

Przez pierwsze pięć lat po śmierci Bonnie Harry konsekwentnie odmawiał wprowadzenia się do niego z powrotem, w końcu jednak się przełamał i zamieszkał w swoim dawnym pokoju.

Wyciągnął kabel laptopa z gniazdka i zrobił krzywą minę.

– Ale nie k...k...kiedy on tam jest.

– Na litość boską, Harry, minęło osiem lat. Chyba możecie spędzić noc pod jednym dachem.

Jak zwykle rzucił mi mroczne spojrzenie, po czym wstał, wziął komputer pod pachę i poczłapał do drzwi.

Wlałam wrzątek do kubka, zanurzyłam saszetkę w parującej wodzie i patrzyłam przez okno, jak Harry oddala się w kierunku domku. Po kilku sekundach w kuchni zapaliło się światło. Na kępy trawy i krzewy wzdłuż fasady padły szerokie złocistożółte smugi.

Wyjęłam torebkę z wrzątku i wyrzuciłam ją do kosza. Zaczęłam popijać herbatę.

Nie wiem, jak długo tam stałam, może kilka minut, gdy usłyszałam jakieś hałasy – najpierw uderzenie, potem stłumiony trzask. A po sekundzie podniesione głosy.

Odstawiłam kubek do zlewu. Przewrócił się i gorąca herbata poparzyła mi palce. Nie zważając na to, natychmiast wybiegłam do przedpokoju, wsunęłam stopy w tenisówki i popędziłam do domku.

W głowie miałam tylko jedną myśl: oni się pozabijają, tym razem się pozabijają.

Kiedy weszłam do kuchni, na podłodze leżały dwa przewrócone krzesła, a obok nich laptop Harry'ego. Monitor ledwie trzymał się reszty, kilka samotnych przewodów wystawało z niego jak ścięgnię zabitego zwierzęcia.

– Harry! – wrzasnęłam. – David!

Z dawnej sypialni Davida dobiegły krzyki.

Pospieszyłam tam.

Obaj stali pośrodku pokoju i gapili się na siebie.

– Nie waż się – syknął David.

– Przestańcie! – zawołałam i podbiegłam do nich.

Harry spojrzał najpierw na mnie, a potem na Davida.

– Rujnujcie mi życie – wyszeptałam. – Czy wy tego nie pojmujecie? Cokolwiek macie do siebie, załatwcie to gdzie indziej.

Harry cofnął się o kilka kroków ze wzrokiem utkwionym w podłodze. David wskazał drżącym palcem na niego.

– On. Jest. Jebanym. Psychopata. Popchnął mnie tak, że...

Przyłożył lewą rękę do tyłu głowy, a następnie podniósł ją na wysokość oczu i spojrzał na nią. Na dłoni była widoczna plamka krwi.

Zamilkł, wykrzywił twarz.

– To nic poważnego – stwierdziłam, oglądając jego głowę. – Prawie nie widać.

– To nie to. Chodzi o obrączkę. Zgubiłem ją.

*

– Gdzieś tutaj. – David wskazał szparę w podłodze. Podłoga była stara, mogła mieć nawet sto lat, i w niektórych miejscach przerwy między deskami dochodziły do szerokości pół centymetra. – Musiała wpaść w szczelinę – mówił dalej. – Bo nie ma jej nigdzie na wierzchu, a jeszcze przed chwilą miałem ją na palcu. Zanim ten pieprzony kretyn...

Nie dokończył zdania.

Harry wyszedł z pokoju. Usłyszałam skrzypnięcie sosnowej ławy w kuchni.

– Sprawdźmy jeszcze raz – zaproponowałam.

– Szukałem już wszędzie.

Westchnąwszy, uklęknęłam, pochyliłam głowę i próbowałam zajrzeć w jedną ze szpar.

– Cholera – wymamrotał David. – Jasna cholera. Fanny się wścieknie. Mówiła mi, żebym oddał ją od razu do poprawienia. Powiniennem był to zrobić.

– Nie denerwuj się. Znajdziemy ją. Tylko na razie nic nie widzę, bo jest za ciemno.

David włączył latarkę w komórce i poświecił w szczelinę między deskami – zmrużyłam oczy i zobaczyłam jedynie trochę kurzu. Potem przesunęłam głowę o kilka centymetrów i zajrzałam w kolejną przerwę.

Wyprostowałam plecy i popatrzyłam mu w oczy.

– Jesteś pewny, że to było tutaj?

– Tak. Gdzieś tutaj. – Westchnął ciężko. – Kurwa. Przepadła. Nigdy jej nie znajdziemy. Ja pierdołę!

Zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem. Potem zatrzymał się przy wezgielciu łóżka, przykucnął i palcami obu rąk obmacywał centymetr po centymetrze fragment podłogi. Po chwili wstał, przeszedł kilka kroków dalej i zrobił to samo.

– Deski – powiedział. – Jeśli wyciągniemy gwoździe, będzie można je podnieść. Może wystarczy usunąć tylko kilka. Nie powinno być problemu z położeniem ich z powrotem.

Zastanowiłam się.

– Okej. Załatwimy to jutro.

– Nie, muszę znaleźć ją teraz.

– Synku, błagam, jest...

– Poproszę tatę, żeby mi pomógł, jeśli ty nie możesz – przerwał mi.

Wyprostowałam się i pokręciłam głową.

– Tata już śpi i raczej nie wstanie.

– Okej, okej.

Znowu zaczął wędrować po pokoju.

– Mogłabyś mi przynieść skrzynkę z narzędziami? – spytał.

Zawahałam się. Oczywiście, że mogłam ją przynieść, stała w szafce w kuchni. Ale tak naprawdę nie rozumiałam, dlaczego aż tak mu się spieszyło. Przecież obrączka nie rozpułynie się przez noc i równie dobrze można będzie jej poszukać z samego rana.

– Proszę – szepnął.

– Okej – zgodziłam się, jednocześnie przeklinając samą siebie, że jestem taka ustępliwa. – Pójdę po nią.

Wróciłam do dużego domu, zabrałam ciężką kasetkę z narzędziami i najciszej, jak potrafiłam, zamknęłam za sobą drzwi.

David czekał na mnie przed wejściem do domku. Wziął skrzynkę i spojrzał na mnie z wdzięcznością. Harry siedział zgarbiony na ławie z uszkodzonym laptopem na kolanach.

Poszłam do pokoju za Davidem, który wyjął młotek i łom i od razu przystąpił do dzieła.

– Zaczniemy od tego miejsca – powiedział. – Tu szpary są najszersze.

– Może przesunmy trochę łóżko – zasugerowałam i przepchnęłam mebel kilkadziesiąt centymetrów w kierunku ściany.

David wyjął pierwszy gwóźdź i położył go na nocnej szafce. Przeszedł na przeciwległą stronę pokoju i zaczął usuwać drugi.

Ten siedział mocniej i poluzowanie go zajęło mu minutę albo nawet dwie. Ale potem poszło już szybko i kilka sekund później gwóźdź znalazł się w jego dłoni.

W drzwiach pojawił się Harry, najwyraźniej zaciekało go, co robimy, ale rozmawiać z nami nie chciał. Zatrzymał wzrok na bracie, który zmierzał znów do nocnej szafki, aby odłożyć na nią kolejny gwóźdź.

David popatrzył na deskę i mocno zmarszczył czoło.

– Kiedy tu ją podniosę, ty będziesz mogła... – Wskazał na drugi koniec deski i spojrzał na mnie.

Odwróciłam się do Harry'ego ze słowami:

– Może jednak byś pomógł.

Niechętnie zrobił kilka kroków do przodu.

David pochylił się, wsunął łom w szczelinę między deskami i podważył jedną z nich. Oderwała się od podłoża z trzaskiem, w powietrze wzbił się nieduży obłok kurzu, a po pokoju rozszedł się zapach wilgotnej ziemi. Harry chwycił za drugi koniec deski i razem z bratem podniósł ją i odłożył na bok.

Spojrzałam na powstały podłużny otwór – miał ze dwanaście centymetrów szerokości i około dwóch, trzech metrów długości. W regularnych odstępach pustą przestrzeń przecinały poprzeczne belki. Pomiędzy nimi dostrzegłam izolację – wióry, suchy mech i zmięte gazety. Przy jednej z belek leżało kilka papierków po cukierkach.

David przyklęknął i zaczął grzebać w tych śmieciach. Miał skupiony wzrok, a czoło wilgotne od potu po niedawnym wysiłku.

Nagle znieruchomiał, a na jego bladej twarzy pojawił się uśmiech. Sekundę później podniósł obrączkę w dwóch palcach. Błyszczała w świetle mosiężnej lampy pod sufitem.

– Nie do wiary – rzekłam.

Wsunął obrączkę na palec i spojrzał mi w oczy.

– Dziękuję – szepnął. – Dziękuję.

Następnie odwrócił się do Harry'ego, ale nic nie powiedział.

– Może zrobilibyście od razu porządek z tą podłogą? – spytałam. – Wolałabym, żeby żaden z was nie skręcił sobie nogi w cholernej dziurze.

Cofnęłam się o krok, aby zrobić im miejsce, ale w momencie gdy mieli już chwycić deskę, moje spojrzenie zatrzymało się na czymś, co w zacienionym podłużnym tunelu błyszczało metalicznie, odbijając światło sufitowej lampy.

– Poczekajcie – rzuciłam i podeszłam, aby podnieść ów przedmiot.

Był mały i okrągły, mógł mieć około centymetra średnicy i trzy, cztery milimetry grubości.

– Co to jest? – spytał David, pochylając się do przodu.

Odwróciłam srebrzysty drobiazg.

To był guzik.

Błyszczący metalowy guzik ozdobiony czerwonym emaliowanym rakiem.

Manfred

Obecnie

Nie rozumiem – mówię i patrzę na Lykke, która ma w oczach łzy i powoli kręci głową.

– Guzik – odzywa się. – Rozpoznałam go od razu. Od koszuli, w którą Gabriel ubrał się na imprezę rakową w wieczór, kiedy zamordowano Bonnie. To była ohydna koszula, naprawdę szkaradna. Ale jednocześnie oryginalna, nigdy wcześniej ani później nie widziałam czegoś podobnego.

Znów kręci głową i wykrzywia twarz z niesmakiem.

Patrzę na nią i wreszcie powoli do mnie dociera, co ona próbuje mi powiedzieć.

– To znaczy, że...?

Potakuje bez słowa, po czym sięga po jedną z papierowych serwetek leżących obok opróżnionych kubków po kawie. Wyciera w nią nos.

– Gabriel musiał go zgubić u Bonnie.

Gorączkowo szukam w pamięci, usiłuję sobie przypomnieć, co technicy znaleźli osiem lat wcześniej.

– Przecież moi koledzy gruntownie przeszukali cały domek. Spędzili w nim dwa dni. Gdyby był tam jakiś guzik, to na pewno by go nie przeoczyli.

Lykke powoli kręci głową.

– On leżał *pod* podłogą. A o ile mi wiadomo, nie zerwali jej.

Odchylam się na krzesło do tyłu, szybko rozważam różne opcje.

– Mógł tam wpaść przy innej okazji, wcześniej – zaczynam.

– Nie – ucina szybko. – Koszula była nowa. Gabriel rozpakował ją przy mnie w wieczór, kiedy organizowaliśmy imprezę.

– Może wstąpił w niej do domku podczas kolacji. Na przykład odszedł od stołu i...

– Nie wstąpił – przerywa mi. – Nikt nie mógł w nim być, bo chłopcy go zamknęli, jak zawsze. Ani ja, ani Gabriel nie mieliśmy kluczy do niego.

Powraca obraz martwego ciała Bonnie – pamiętam smutne szare oczy Pirjo, kiedy mu się przyglądała, oraz głos patolożki, gdy stwierdziła, że znalazła ślady wskazujące na uduszenie.

– Jestem przekonana, że to odbyło się mniej więcej w ten sposób – odzywa się Lykke, prostując się nieco. – Gabriel obudził się w nocy, bo pewnie przeszkadzała mu muzyka włączona przez chłopców. Poszedł do nich, żeby kazać im ją wyłączyć, ale po drodze zauważył, że okno w pokoju, w którym spała Bonnie, jest otwarte.

Milczę, nie robię żadnych notatek. Jestem zbyt skupiony na opowieści Lykke.

– Zobaczył ją, całkiem nagą na łóżku – mówi dalej. – Nie mam pojęcia, co myślał. Był kompletnie pijany, choć to niczego nie tłumaczy. Na ile go znam, nigdy wcześniej nie wykazywał skłonności do przemocy. Ale co my tak naprawdę wiemy o innych ludziach? Nawet o tych, których kochamy?

Wzrusza ramionami, a potem jakby zapada się w sobie.

– To znaczy, wydaje nam się, że kochamy – poprawia się. – Myślałam, że jest mi wierny, przez wiele lat byłam o tym całkowicie przekonana. Mimo że nie brakowało znaków – te wszystkie młode redaktorki, które przychodziły i odchodziły, pisarki, z którymi rzekomo koniecznie musiał się spotykać. Przypuszczam, że nie chciałam tego widzieć, nie chciałam rozumieć. A kiedy w końcu zrozumiałam, nie mogłam już nic na to poradzić.

Milknie, ściska dłonie i patrzy przez szybę.

– Tak więc – kontynuuje po chwili – okna w domku są nisko, bez trudu można przez nie wejść do środka. Przypuszczam, że chciał doprowadzić do czegoś w rodzaju zbliżenia, a ona próbowała się bronić. Co do tego nie mam wątpliwości, bo w jej oczach Gabriel był odrażającym starcem. Prawdopodobnie wtedy urwał się ten guzik i wpadł w szparę w podłodze.

– Ale jak to możliwe, że chłopcy niczego nie zauważyli? Nie usłyszeli?

– Muzyka – mówi i zamyka oczy. – Muzyka i pewnie alkohol.

Usiłuję wyobrazić sobie tę scenę, odtwarzam w głowie sekwencję zdarzeń i próbuję ocenić prawdopodobieństwo scenariusza, który przed chwilą usłyszałem.

– Okej – mówię po chwili. – Nie można wykluczyć, że Gabriel był w domku i zgubił guzik. Ale to jeszcze nie znaczy, że zabił Bonnie. Gdy ją znaleziono, i okna, i drzwi były zamknięte od środka. Ten, kto ją zamordował, znajdował się wewnątrz po odebraniu jej życia.

Lykke uśmiecha się smutno i robi głęboki wdech.

– Myślałam tak samo jak ty. Nie rozgryłam tego od razu. Zrobił to Harry.

Lykke

Tydzień wcześniej

Oczywiście, że tata nie... – zaczął David, ale nie dokończył zdania. Jego twarz pobraźla, pięści miał zaciśnięte.

Harry oparł się plecami o ścianę, powoli osunął się na podłogę i w końcu na niej usiadł. Odchylił głowę do tyłu i wpatrzył się w sufit.

– Ja pierdolę.

Spojrzałam na czarną dziurę w podłodze i na leżącą obok deskę. A potem na guzik, który wciąż spoczywał w mojej dłoni. Zrobił się ciepły, metal delikatnie dotykał mojej skóry. Czerwony rak niemal świecił.

– On musiał się tu znaleźć w jakiś inny sposób – powiedziałam.

– Na pewno – podchwycił skwapliwie David. – Może zgubił go gdzieś indziej, a Bonnie go znalazła i...

– Nie słyszysz, jak t...t...to kretyńsko b...b...brzmi – prychnął Harry i oparł czoło na kolanach. Jego ramiona się trzęsły, nie wiedziałam, czy płakał, czy był po prostu zszokowany.

– To nie może... – zaczął znowu David. – To niemożliwe, żeby on skrzywdził Bonnie. Drzwi były zamknięte. Okna też.

Harry powoli podniósł głowę.

– Niemożliwe? – rzucił i podniósł się z podłogi.

Podszedł do okna i otworzył je na oścież. Rozległ się głuchy łoskot, gdy jedno skrzydło uderzyło o ścianę.

– Co ty robisz? – spytałam.

Harry nie odpowiedział, tylko zamiast tego zwinnie wyskoczył na zewnątrz i stanął na ziemi po drugiej stronie. Oparłszy dłonie na framudze, popatrzył na nas.

– Policja pytała, czy ja i Bonnie rozebraliśmy się na pomoście – powiedział cicho. – Bo miała na ciele mnóstwo świeżych śladów po komarach. – Urwał na chwilę, ale zaraz potem kontynuował: – Nic takiego nie zrobiliśmy. T... t... to znaczy nie rozebraliśmy się. Myślę, że ona s...s...spała przy otwartym oknie i dlatego była taka pogryziona. A potem przyszedł... on. I tu w...w...włazł.

Harry wdrapał się z powrotem do środka. Stałam jakiś metr od łóżka i patrzyłam na niego w milczeniu.

David wzruszył ramionami.

– No dobra, dobra. To wyjątkowo odkrywczе, co wymyśliłeś. Ale jak on się stąd wydostał?

Harry odwrócił się do niego. W jego spojrzeniu nie było śladu wrogości, tylko intensywne skupienie.

– W ten sam sposób – odpowiedział i ponownie wyszedł przez okno.

Spojrzał na nas, po czym zamknął jedno skrzydło okna od zewnątrz. Zatrzasnęło się znowu z głuchym łoskotem.

– A potem – ciągnął dalej – zrobił tak.

Zamknął drugie skrzydło, przycisnął tak mocno, aby też porządnie się zatrzasnęło, i zniknął w jasnoniebieskiej nocy.

– Co on wyprawia, do cholery? – wymamrotał David.

Kroki na zewnątrz najpierw się oddaliły, a potem przybliżyły się znowu. Otworzyły się drzwi wejściowe i po kilku sekundach Harry stanął znowu w pokoju z książką w ręce.

– Teraz jest ranek następnego dnia, okej? – powiedział.

David wzruszył ramionami.

– Mama w...w...wchodzi i znajduje Bonnie, tak?

Milczeliśmy.

– I – kontynuował Harry, patrząc na mnie – okno było zamknięte. Tak czy nie?

– Tak. Było zamknięte.

– Ale zasuwka była zasunięta? – spytał Harry, podchodząc do niego.

Zastanowiłam się.

– Tego nie sprawdziłam. Widziałam tylko, że było zamknięte. I że Bonnie... Że Bonnie nie żyje.

Harry pokiwał głową.

– Powiedziałaś mi, żebym poszedł po tatę, pamiętasz?

– Tak.

– Kiedy wróciliśmy, wszedł tutaj, a t...t...ty, ja i David siedzieliśmy w kuchni.

Zamknęłam oczy. Przypomniałam sobie płacz Davida, który siedział na ławie i powtarzał:

„Trzeba coś zrobić! Musimy jej pomóc. Nie możemy... Ona nie może tak po prostu...”

A następnie widziałam znowu, jak Gabriel wpadł do domku, ubrany w szlafrok, z mokrymi włosami. I kazał nam zostać w kuchni, a sam zniknął w pokoju Davida. Zrobiliśmy tak, jak nam powiedział, posłuchaliśmy go, bo zawsze tak było. Harry usiadł na ławie obok Davida i wszyscy troje czekaliśmy, dopóki on nie wyszedł do nas znowu.

Lodowate zimno wypełniło moją pierś. Zrobiłam głęboki wdech, mimo to brakowało mi powietrza. Czułam, jak wzbierają we mnie mdłości.

Harry miał rację: w pokoju, gdzie znajdowała się Bonnie, Gabriel był sam przynajmniej przez minutę albo nawet dwie – nie pamiętam dokładnie, bo wtedy czas przestał istnieć.

– Za...za...zasunął za...za...zasuwkę – powiedział Harry. – Pewnie t...t...też ją wytarł, bo chyba nie znaleziono na niej żadnych odcisków palców. – Po chwili przerwy mówił dalej: – To on zabił Bonnie. Tata zabił Bonnie, a potem pozwolił, żeby to nas obciążono winą. I pozwoliby nam z...z...zgnieć w w...w...więzieniu, gdyby nas nie wypuścili.

Milczeliśmy. Popatrzyłam najpierw na Davida, a potem na Harry'ego, który nadal stał przy oknie z książką w dłoni.

– Jak...? – zaczęłam.

Podniósł książkę.

– Znalazłem w niej opis p...p...podobnego przypadku.

Przeczytałam tytuł.

Crime Fiction and the Locked Room – the Rise and Fall of a Literary Genre.

Biegłam przez jasną czerwcową noc. W dłoni ściskałam guzik. Za mną słychać było kroki Davida i Harry'ego.

– Mamo! – krzyknął David. – Poczekaj!

Nie zareagowałam.

Nie chciałam w to wierzyć, nie potrafiłam. Gabriel nie jest mordercą, jest moim mężem, ojcem moich dzieci, człowiekiem, który przedkłada rodzinę ponad wszystko. Pisarzem, który kiedyś odnosił zasłużone sukcesy, a dziś wiezie swe zawodowe życie w niegodnym i niesprawiedliwym zapomnieniu.

Guzik, pomyślałam. On jest kluczem do zagadki. Ale może to wcale nie jego guzik – kto wie, może istnieją całkiem podobne guziki i to ktoś inny zgubił go kiedyś w dawnym pokoju Davida.

Wbiegłam po schodkach, otworzyłam drzwi frontowe i popędziłam od razu na górę, nie zwracając sobie głowy zdejmowaniem butów.

– Mamo! – zawołał Harry, ale nie odpowiedziałam.

Na piętrze otworzyłam wąskie drzwi prowadzące na strych i ruszyłam po krzywych, skrzypiących stopniach wyżej.

W ciasnej przestrzeni było chłodno i ciemno. Nagły podmuch owiał mi plecy. Przekręciłam wyłącznik i sekundę później poddasze zalało światło. W jednym kącie pod stromym skośnym sklepieniem wyłożonym białymi panelami stał stos kartonów przewodzkowych.

Odczytywałam po kolei starannie wypisane etykiety przyklejone do każdego pudła. „Ozdoby choinkowe. Ubranka chłopców. Zabawki. Książki Gabriela 2013–2015”.

Potem zobaczyłam:

„Ubrania itp.”.

Zdjęłam jeden po drugim kartony znajdujące się na wierzchu, odstawiając je na zakurzoną drewnianą podłogę.

Pojawił się Harry, a za nim brat.

– Co ty zamierzasz? – spytał David.

Rozewałam pudło z taką siłą, że wilgotna tektura podzieliła się na dwie części. Zaczęłam po kolei wyjmować rzeczy – moja stara sukienka w kwiaty z lat sześćdziesiątych, którą dostałam od mamy. Sztuczne futerko, którego na pewno nigdy nie będę nosić, ale nie miałam serca go wyrzucić. Podarta parka Gabriela, którą zamierzałam oddać do naprawy, lecz nie znalazłam czasu, żeby pójść do krawcowej.

Sekundę później zobaczyłam to, czego szukałam – wielki rak na plecach skojarzył mi się z plamą krwi.

Rozłożyłam ją, podniosłam pod światło. Spojrzałam na guzik w mojej dłoni i porównałam go z tymi przy koszuli.

Był identyczny.

A w miejscu, gdzie powinien znajdować się górny guzik, wisiała samotna nitka.

Manfred

Obecnie

Patrzę w niebieskie oczy Lykke.

Czy to możliwe, że to, co ona opowiada, jest prawdą – że pracując nad sprawą, przeoczyliśmy coś tak fundamentalnego?

Znam odpowiedź: oczywiście, że to możliwe. Wszyscy ludzie, nawet policjanci, popełniają błędy. Różnica polega jednak na tym, że nasze uchybienia mają dalekosiężne skutki.

Myślę o Davidzie i Harrym, o godzinach spędzonych w pokoju przesłuchań, podczas których wywierałem na nich skrajną presję.

Myślę też o miesiącach, kiedy siedzieli zamknięci w areszcie, pozbawieni kontaktu ze wszystkimi oprócz śledczych i własnych pełnomocników. Nie wolno im było czytać gazet, oglądać telewizji ani nawet zadzwonić do rodziny.

I teraz rozumiem – wreszcie rozumiem, co czuje Lykke i dlaczego nalegała, żeby porozmawiać właśnie ze mną, i to bez obecności adwokata.

– Mój mąż zabił Bonnie Högberg – mówi, kładąc splecione dłonie na kolanach.

Jej głos jest niski, wzrok nieruchomy, twarz obojętna, równie dobrze mogłaby mówić o pogodzie albo o swoim aucie.

– To strasznie trudne do zaakceptowania – kontynuuje. – Ale dla mnie, jako matki, najgorsza jest nie sama zbrodnia, nie samo zabójstwo, morderstwo czy jak to nazwać.

– Co może być gorszego od pozbawienia życia siedemnastolatki?

Patrzy na mnie długo. Domyślam się, co usłyszę, jeszcze zanim otwiera usta.

– Obciążyć winą własne dzieci – mówi.

Lykke
Obecnie

Dorośle dzieci.

Wysłuchaj się w te słowa. Są sprzeczne, nieprawdaż?

Czy można być dorosłym i jednocześnie dzieckiem?

Oczywiście, stwierdziłeś. Czyjeś dziecko jest i zawsze pozostanie dzieckiem. A ty będziesz zawsze jego rodzicem, bez względu na to, ile będzie miało lat. Będziesz nosić w sobie wszystkie jego lata, będziesz widzieć małe dziecko w pomarszczonej twarzy w średnim wieku. Będziesz rozpoznawać kaczkowaty chód pięciolatka w energicznych krokach dorosłego mężczyzny zmierzającego z jednego spotkania na drugie. I będziesz w stanie wyczuć jego strach i niepokój, ponieważ one zawsze są i pozostaną takie same.

To twoim zadaniem jest im zaradzić.

Czy to potrafisz?

Kiedy to mówiłeś, pomyślałam, że jesteś wyjątkowo piękny. Uważałam, że twoje słowa wspaniale podsumowują to wszystko, w co od zawsze wierzyłam. Gdy cię poznałam, pokochałam nie tylko mężczyznę stojącego przede mną, ale także jego słowa – które uwodziły i oczarowywały.

Bycie rodzicem to najtrudniejsza praca, powiedziałeś. I dlatego to zadanie wykonują dwie osoby. Tata, mama, dziecko. Tata, tata, dziecko. Mama, mama, dziecko – nie ma większego znaczenia, jak wygląda taka konstelacja, o ile tylko jest ktoś, z kim można dzielić to wyzwanie, na kim można polegać bez reszty.

Rodzina jest fundamentem, na którym opierają się wszystkie cywilizacje – kontynuowałeś. Rodzina to początek i koniec, i wszystko pomiędzy. Jako rodzic pełnisz jedynie funkcję ogniwa między przeszłością a przyszłością, a jedyne, czego nie wolno ci zrobić, to pęknąć, bo wtedy cały łańcuch się rozrywa.

Tak mówiłeś. To twoje słowa.

A teraz myślę: pękłeś. Popełniłeś błąd. Pozwoliłeś na to i nawet nie spróbowałeś tego powstrzymać.

Chciałeś pęknąć.

Odkładam długopis i spoglądam na tekst.

Jest tyle do powiedzenia, tak wiele życia do oddania. I zamierzam to zrobić.

Kiedy wydano *Siudy*, Gabriel przejął kontrolę nad narracją, stał się właścicielem opowieści od początku do końca. Za pośrednictwem tej książki – która niby była powieścią, a jednak nią nie była – wzbudził podejrzenia wobec naszych synów u wszystkich, którzy umieli i chcieli czytać, a takich było całkiem niemało.

Teraz zamierzam pozbawić go tej władzy – napiszę własną opowieść o tym, co wydarzyło się w Wieczności.

Za drzwiami celi rozlegają się kroki, sekundę później słychać metaliczny brzęk. Klucz obraca się w zamku i uchylają się drzwi.

Do środka zagląda Sara. Rude włosy ma związane w kucyk, jej twarz wygląda na zmęczoną.

– Już wrócił – informuje. – Możecie kontynuować przesłuchanie.

Patrzę przez małe okno w pokoju przesłuchań.

Nad Sztokholmem zapadł zmierzch. Jasny letni wieczór, jedyny w swoim rodzaju, w końcu nadszedł, by zastąpić dzień.

Manfred wchodzi do środka, kiwa mi głową, następnie wysuwa krzesło, wiesz na nim swoją kurtkę i siada po drugiej stronie stołu, nieco podwijając rękawy koszuli.

Jego twarz się zmieniła, wygląda młodziej. W ogóle wydaje się mniej spięty, w spojrzeniu pojawiła się ciekawość zamiast wrogości.

– Jadłaś kolację? – pyta.

Potakuję.

– Ale nie nazwałabym jej smaczną.

Coś na kształt uśmiechu rysuje się wokół jego ust.

– Nigdy nie miałem okazji skosztować tutejszej kuchni, mogę się jednak domyślić, że nie jest wyszukana.

Wyjmuje notes, manipuluje przy magnetofonie i recytuje obowiązkowe formułki. Następnie opiera się na krześle.

– No więc – mówi.

– No więc – odpowiadam.

– Opowiesz mi, co się stało dalej?

Kiwam głową, spoglądam na swoje dłonie. Pod paznokciami wciąż coś tkwi. Nie wiem, czy to resztki krwi, czy tylko brud.

– Włożyłam koszulę z powrotem do kartonu – mówię. – A potem zeszliśmy do kuchni. David i Harry byli wstrząśnięci. Ja wciąż nie mogłam uwierzyć. Usiedliśmy przy stole i zaczęliśmy się zastanawiać. Odtwarzaliśmy w kółko przebieg wydarzeń tamtej nocy. W którymś momencie poszłam po swoje stare notatki.

– Notatki?

– Tak, kiedy chłopcy byli w areszcie, próbowałam zrekapitulować, co się stało w noc zabójstwa Bonnie. Chyba myślałam, że w ten sposób uda mi się wydedukować, kto ją zamordował.

Śmieję się cicho i kręcę głową.

– Nie mam pojęcia, dlaczego sądziłam, że znajdę odpowiedź na to pytanie, skoro wy badaliście sprawę przez wiele miesięcy i nie zdołaliście ustalić sprawcy. W każdym razie porównaliśmy moje zapiski z tym, co odkryliśmy, i doszliśmy do wniosku, że one potwierdzają naszą hipotezę.

– Co się stało potem?

Znowu patrzę przez okno. Próbuję sobie wyobrazić, jak jest teraz w Wieczności – jak róże pachną w chłodnym wieczornym powietrzu i jak chodzę boso po z pewnością już za wysokiej, wilgotnej trawie.

Lykke

Tydzień wcześniej

Jest środek nocy. Co wy, do cholery, tu robicie?

Gabriel drapał się po głowie i mrużąc oczy, wpatrywał się w nas po kolei. Miał na sobie bokserki, poduszka odcisnęła mu się na policzku.

– A jeśli już nie chce się wam spać, to moglibyście przynajmniej być trochę ciszej – dodał, opierając się jedną ręką o framugę drzwi.

Potem, jakby nagle zdał sobie sprawę z niecodzienności sytuacji – ostatecznie ja, Harry i David nie siedzieliśmy razem przy kuchennym stole już od wielu lat – zapytał:

– Stało się coś?

Nikt z nas nie odpowiedział, ale ja wyciągnęłam w jego stronę rękę i powoli otworzyłam dłoń.

Pokręcił głową i podszedł bliżej. Pochylił się i spojrzał na guzik, który nadal spoczywał w mojej dłoni.

– Nic nie rozumiem – powiedział, wzruszając ramionami.

– Przyjrzyj się uważnie – rzekłam.

Gabriel zawahał się, ale w końcu zrobił to, co mu kazałam. Wziął guzik między kciuk i palec wskazujący, podniósł go pod światło i zaczął mu się przyglądać. Następnie położył go na stole. Okrągły przedmiot potoczył się kawałek, nie spadł jednak na podłogę, zatrzymany przez głęboką szparę w drewnianym blacie.

– Guzik – stwierdził. – No i co?

– Nie poznajesz go? – zapytałam, mając jeszcze nadzieję, że zaraz przedstawi nam jakieś wiarygodne wyjaśnienie tego, co się wydarzyło.

„No tak, odpadł mi tamtego wieczoru od koszuli. Włożyłem go do kieszeni spodni. A później, dużo później, kiedy malowaliśmy pokój Davida, musiał mi się z niej wysunąć i...”

– Poznaje – powiedział. – To guzik od tej koszuli, z której wszyscy tak cholernie się nabijali. Koszuli z rakiem.

Jego wzrok błędził między nami.

– O co chodzi? – spytał.

– Wiesz, gdzie go znaleźliśmy? – zwróciłam się do niego.

– Skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? Siedzicie tu w środku nocy i wpatrujecie się w jakiś kretyński guzik jak w kryształową kulę. Skąd mam wiedzieć, gdzie go wykopaliście?

– Rzeczywiście wykopaliśmy go spod podłogi w moim dawnym pokoju – odezwał się David.

– Aha. Spod podłogi. Z jakiego powodu?

– Bo moja obrączka wpadła w szparę między deskami – kontynuował David, nie odrywając wzroku od Gabriela. – Zerwaliśmy podłogę. I tam go znaleźliśmy, musiał kiedyś potoczyć się w szczelinę w pobliżu łóżka.

Gabriel poblądł, cofnął się kilka kroków, odwrócił się do nas plecami i obiema dłońmi oparł się o szafkę.

– Zgubiłeś go u Bonnie, kiedy ją zabiłeś – ciągnął David.

Przyglądałam się mojemu synowi – wypowiedział te słowa bez najmniejszego zawahania. Był o wiele odważniejszy ode mnie.

Gabriel pokręcił głową.

– To jakiś absurd – rzekł, ale brzmiał bezradnie i bezsilnie, jakby już wiedział, że bitwa jest przegrana.

Wybuchłam płaczem.

Ciepłe, słone łzy płynęły mi po twarzy, a z piersi dobył się jęk.

– Lykke – zachrypiał Gabriel, wciąż stojąc tyłem do nas. – Kochanie. To nieprawda. Ja jej nie zabiłem. To nie było tak.

– A jak? – rzucił David.

– Ja tylko... Ja chciałem jedynie porozmawiać, poprosić ją, żeby wyłączyła tę cholerną muzykę. Ale ona wtedy zaczęła krzyczeć, jakby...

Wykonał nieokreślony gest obiema rękami i odwrócił się do nas.

I w tej sekundzie, kiedy rzeczywiście przyznał, że był u Bonnie, Harry zerwał się z krzesła. Dopadł Gabriela i cisnął go na kuchenny blat.

Gabriel upadł z hukiem do tyłu i uderzył głową o toster.

– Aj, ja pierdo... – krzyknął.

Teraz także David stanął na równe nogi i odepchnął brata na bok.

W pierwszej chwili sądziłam, że chce ich rozdzielić, ale sekundę później sam rzucił się na ojca. Z dzikim wrzaskiem uderzył go zaciśniętą pięścią w twarz.

– Przestańcie! – krzyknęłam. – Pozabijacie się nawzajem! Przestańcie!

Manfred

Obecnie

Lykke skuliła się na krześle. Siedzi pochylona do przodu i patrzy na swoje ręce.

– Musiałam ich powstrzymać – mówi. – Inaczej by się pozabijali.

– Co zrobiłaś?

– Podskoczyłam do nich i próbowałam rozdzielić. Ale to było trudne. Trzech dorosłych mężczyzn. I ja.

Wzrusza ramionami.

– Zdołałam odciągnąć Davida od Gabriela, a potem krzyknęłam do Harry’ego, żeby się cofnął. Zrobił, jak powiedziałam. Ale wtedy Gabriel zaczął mnie dusić.

Chwyciła się za szyję, na której wciąż widniały duże sińce.

– Podniósł mnie z podłogi. Zaciskał palce tak mocno, że pociemniało mi w oczach. Myślałam, właściwie byłam pewna, że to już koniec. Zaczęłam po omacku przebierać rękami wokół siebie i przypadkiem natrafiłam na nóż kuchenny, który leżał na szafce.

Milknie.

Chowa twarz w dłoniach.

– Pamiętam, że moje stopy znów dotknęły podłogi. Chyba nie miał siły trzymać mnie dłużej. Ale jego uścisk na szyi wcale nie zelżał. Zrobiłam więc jedyną rzecz, jaką mogłam, żeby uratować własne życie.

Czekam na jej wyznanie.

– Dźgnęłam go w pierś – mówi. Potem prostuje plecy i patrzy mi w oczy. – I nie żałuję tego – dodaje. – Bo gdybym tego nie zrobiła, byłabym już martwa.

*

Po wyjściu z aresztu spoglądam na zegarek: wpół do dziesiątej.

Właściwie jest za późno, żeby dzwonić do Bodil, ale z drugiej strony pewnie by chciała, żebym powiadomił ją o rezultacie przesłuchania. Poza tym ona przecież nie ma innego życia poza pracą, wszyscy to wiedzą.

Wsiadam do samochodu, wyjeżdżam z garażu i zatrzymuję się przy chodniku. Następnie sięgam po komórkę, otwieram boczne okno i wpuszczam do środka powietrze letniego wieczoru.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Jak poszło?

– Mamy to. Przyznała się.

Zapada cisza.

Patrzę na ulicę przez przednią szybę. Jakiś mężczyzna idzie z psem na spacer. Kulawy jamnik przystaje przy latarni, podnosi tylną łapę i sika.

– Świetna robota – mówi Bodil. – Super.

– Ale wszystko wskazuje na działanie w samoobronie.

– Hm. Tak podejrzewałam.

– Chciałbym jeszcze porozmawiać ze świadkami – wtrącam.

– Już ich przesłuchaliśmy.

– No tak, czytałem protokoły. Ale miałbym do nich kilka uzupełniających pytań.

– Do synów? – parska Bodil. – Przecież ich obu dotknęła totalna utrata pamięci. Nic a nic nie pamiętają.

– Próbują chronić własną matkę. Jednak to nie o nich mi chodzi. Chcę zadać parę pytań pozostałym dwóm uczestnikom sobótkowej kolacji. Wydawcy i agentowi literackiemu.

– Myślałam, że chcesz jechać na wakacje.

Patrzę na pustą ulicę, podążam wzrokiem za właścicielem psa, który znika w cieniu wielkiego klonu.

Myślę o Nadji i Afsaneh, które już są w domku na wyspie. Potem zamykam oczy i widzę przed sobą Lykke, równie wyraźnie jak pół godziny wcześniej.

Nie, to z pewnością nie tylko moja wina, że przed ośmiu laty nie udało nam się ustalić sprawcy. Nie, nie, to nie tylko moja wina, że jej rodzina tak bardzo cierpiała, ale teraz mogę przynajmniej spróbować naprawić sytuację.

Chociaż tyle mogę dla niej zrobić.

– Daj mi jeszcze kilka dni.

Bodil śmieje się cicho.

– Wiedziałam – mamrocze. – Można zakazać ci wstępu na komendę, nie da się jednak...

Nie kończę za nią zdania.

*

Z domu dzwonię do Afsaneh i mówię, że muszę zostać w mieście jeszcze przez kilka dni.

– No tak – wzdycha, choć nie wydaje się zaskoczona.

Jej reakcja trochę mnie niepokoi, czasem mam wrażenie, że ona zna mnie lepiej niż ja sam, co oznacza z kolei, że albo ma zdolności jasnowidza, albo ja nic nie wiem o sobie.

– Co u was? – pytam.

– Świetnie. Nadja przez cały dzień siedziała w wodzie.

– Ale pilnujesz jej?

– Oczywiście – odpowiada z lekkim zniecierpliwieniem.

Kąpiące się dzieci to coś wspaniałego – trwa szwedzkie lato, jest radość, życie. Ale my, którzy nie tak dawno byliśmy tak bliscy utraty naszej córeczki, powinniśmy być czujni. Otwarta woda, drzewa zapraszające do wspinaczki i wszechobecne samochody – wszędzie czyha mnóstwo niebezpieczeństw. A naszym zadaniem jako rodziców jest przewidzenie ich, aby zapobiec nieszczęściu, zanim się wydarzy.

– A ty jak się miewasz? Przestrzegasz diety?

Spoglądam na croissanta, który rozmraża się na talerzu przede mną.

– Nie najgorzej.

Chyba nie wychwytuje tonu ambiwalencji w moim głosie.

– A co w pracy?

– W porządku – odpowiadam z wahaniem. – Ona zabiła swojego męża.

– Lykke Andersen?

– Tak.

– Nie wiedzieliście tego wcześniej?

– Wiedzieliśmy, ale właśnie się przyznała.

– Rozumiem. Dlaczego?

W tle rozlega się wołanie Nadji.

– Poczekaj – rzuca Afsaneh i po chwili słyszę, jak obie rozmawiają ze sobą na odległość. Głos Nadji jest piskliwy, Afsaneh – niski i kojący.

– Okej – mówi znów do mnie. – Dlaczego go zabiła?

– Bezpośrednią przyczyną było to, że ją dusił.

– Co się dzieje z tymi ludźmi – wzdycha Afsaneh. – Ale dla mężczyzn, którzy znęcają się nad kobietami, nie mam grama empatii.

– To nie jest zawsze takie proste, jak się wydaje.

– Mylisz się, jest bardzo proste – odpowiada szybko i wdaje się w długi wywód na temat przemocy w bliskich relacjach.

Padają przekleństwa, mieszają się ze statystykami.

Afsaneh wie, o czym mówi, ponieważ dogłębnie badała to zagadnienie. Powołuje się na oficjalne dane i artykuły naukowe. Wylicza polityków, którzy podjęli karygodne decyzje, dokonuje porównań z innymi krajami i kreśli historyczne paralele.

Ale ja już nie słyszę jej słów. I nie widzę też kuchni wokół siebie, jej kontury się rozmyły i zostały wyparte przez nabrzmiałą od płaczu twarz Lykke.

– To moja wina – odzywam się w środku tyrady Afsaneh.

W słuchawce zapada cisza.

– Co mówisz? – rzuca mimochodem, jakby naprawdę nie zrozumiała mojego komentarza.

– To moja wina – powtarzam.

– Ależ oczywiście, że to nie twoja wina – protestuje, a w jej głosie wyczuwam irytację. – Niby dlaczego to miałyby być *twoja* wina?

Waham się zaledwie sekundę, a potem zaczynam opowiadać. Moje zaufanie do Afsaneh jest wręcz nieograniczone. A potrzeba spowiedzi o wiele bardziej nagłaca niż obawa, że ona może nie zatrzymać mych wyznań dla siebie.

Kiedy budzę się następnego dnia rano, poczucie winy objawia się bólem w tym samym miejscu co zawsze – za mostkiem.

To doznanie jest mi dziwnie znajome – doświadczyłem go, gdy Nadja wypadła przez okno. Ogarnia mnie też to samo paraliżujące poczucie niedoskonałości jak po śmierci Arona, którego miejsce zająłem z czymś więcej niż z przyjemnością.

– Czy mogłem temu zapobiec? – mówię głośno do siebie, krojąc kilka marchewek na kawałki i wkładając je do szklanki.

– Tak – odpowiadam sobie. – Jak najbardziej. Gdybyś tylko nie był takim egocentrycznym dupkiem. Gdybyś przez cały czas nie próbował zaimponować Pirjo, usiłując wymusić przyznanie się chłopaków. Gdybyś myślał nieszablonowo.

Biorę prysznic, ubieram się, a podczas golenia wpycham w siebie marchewki. Smakują stęchlizną i włożą między zęby, ale akurat w tym momencie uważam, że nie zasługuję na nic lepszego.

W drodze na komendę dzwonię do Samiry Khan, która przeprowadzała sekcję zwłok Bonnie Högberg.

– Cześć – mówi radośnie, słysząc mój głos. – Jak się miewasz?

– W porządku.

– A Nadja?

Kiedy moja córeczka leżała w szpitalu, pracowałem z Samirą przy śledztwie. Dzięki niej uwierzyłem, że wszystko może znowu być dobrze i że Nadja wyzdrowieje.

– Ma się świetnie.

– Dzieci są fantastyczne – mówi i niemal widzę jej uśmiech.

– O tak – odpowiadam, zdejmując jednocześnie okulary przeciwsłoneczne, ponieważ wjechałem właśnie do garażu pod komendą. – Mam do ciebie jedno pytanie.

– Jasne.

– Chodzi o śledztwo w sprawie zabójstwa Bonnie Högberg.

Przez chwilę jest cicho.

– To było dosyć dawno temu – odzywa się w końcu Samira z wyraźnym ociąganiem.

– Może powinnam zajrzeć najpierw do protokołów obdukcji.

– Nie, nie ma potrzeby. To dosyć ogólne pytanie.

– Okej. W takim razie w czym mogę ci pomóc?

*

Jujje Holm siedzi oparty na krześle i patrzy mi prosto w oczy.

Jest ubrany w wytarte dżinsy i koszulę. Przerzedzone włosy są zebrane w kucyk, a trzydniowy zarost wygląda na bardziej siwy niż brązowy.

– Dziękuję, że zechciał pan przyjść tak szybko – zaczynam.

Robi grymas.

– Miał pan szczęście. Akurat mój pieprzony samochód jest w warsztacie. W przeciwnym razie byłbym na Fårö z dziećmi.

Wyjmuję wydruki protokołów przesłuchań.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań uzupełniających dotyczących okoliczności śmierci Gabriela Andersena.

Kiwa głową i spogląda przez okno. Jedną ręką pociera duży, niewyraźny tatuaż na szyi.

– Biedny drań.

Szukam swoich notatek.

– Jeśli dobrze rozumiem, kiedy pan i Olof Forss znaleźliście się w dużym domu, była mniej więcej trzecia nad ranem.

– Tak. Obudziliśmy się. To znaczy Olof obudził się od tego hałasu i potem obudził mnie.

– Od hałasu?

Drapie się po brodzie i wciąż patrzy przez okno. Na jego palcu wskazującym lśni duży srebrny pierścień z trupią czaszką.

– Od krzyków. Wrzasków.

– I zaraz tam poszliście?

Potakuje i odwraca do mnie twarz. Jego oczy błyszczą.

– Ubraliśmy się i poszliśmy. Kiedy znaleźliśmy się w kuchni, Gabriel leżał na podłodze w... – Wyrzuca ręce przed siebie w bezsilnym geście. – ...w koszmarnej kałuży. Krwi. To wyglądało jak jakaś jatka. Nawet cuchnęło krwią. – Ociera dłonią kilka łez.

– Mam tu plan kuchni – wtrącam i rozkładam arkusz na stole.

Jujje pochyla się nad nim i przygląda się rysunkowi, na którym zaznaczony jest zarys martwego ciała Gabriela.

– Proszę mi pokazać, gdzie znajdowały się pozostałe osoby?

Lekko wzrusza ramionami.

– Lykke stała chyba mniej więcej tutaj – mówi, wskazując miejsce około dwóch metrów na prawo od ciała. – Trzymała nóż w ręce.

– A chłopcy?

– Byli pochyleni nad Gabrielem. A właściwie David siedział na nim okrakiem. Obaj próbowali go reanimować.

– Jak wyglądali? – pytam.

– Jak *wyglądali*?

– Czy mieli jakieś obrażenia? Byli zakrwawieni?

Podnosi oczy na sufit.

– Byli ubrani, jakby jeszcze w ogóle nie położyli się spać. I zakrwawieni, tak. David wykonywał masaż serca czy jak to się nazywa. Ostatecznie jest lekarzem, chyba zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby ratować ojca. Ale za każdym razem, kiedy uciskał klatkę piersiową, wypływało jeszcze więcej krwi. Jak z fontanny. Wyglądało to strasznie.

Wykrzywia twarz z odrazą i zamyka oczy.

– Ale czy mieli jakieś obrażenia?

– Chłopcy? Nie wiem. Nie mogłem tego zobaczyć. Ale niech pan spyta Olofa.

– Spytam.

– W gruncie rzeczy cała ta sytuacja ostatecznie przysłuży się i jemu, i wydawnictwu – odzywa się po chwili Jujje ze zboląłą miną.

– Nie rozumiem. Co ma pan na myśli?

Kręci głową.

– Powiedzieć panu, co się teraz stanie?

– Bardzo proszę.

– Gabriel nie był już nic wart dla wydawnictwa, przynajmniej jako żywy. Bo nie pisał już tego, czego oczekiwali czytelnicy. Ale jako martwy – to zupełnie inna historia. Mogę się założyć, że sprzedaż jego książek z backlisty eksploduje. Nic tak dobrze się nie sprzedaje jak świeżo zmarły autor.

– Co to jest backlista?

– Tytuły, które były już wydane kilka czy kilkanaście lat temu. Teraz otrzymają drugie życie. Wydawnictwo już o to zadba.

– Rozumiem – odpowiadam. – Ale wróćmy do wydarzeń z tamtej nocy. Co z Lykke? Czy była ranna?

– Naprawdę nie wiem – mówi.

– Z protokołu z poprzedniego przesłuchania wynika, że... – zaczynam i szukam w nim miejsca, które zaznaczyłem wcześniej –...że widział pan ślady na jej szyi.

– No tak. Czerwone ślady, ślady duszenia.

– Czerwone ślady czy ślady krwi?

Kręci głową i wygląda na strapionego.

– Chyba ślady krwi.

Olof Forss zjawia się tuż po wyjściu Jujjego.

- Mam dwadzieścia minut – oznajmia na wstępie i siada naprzeciw mnie.
- Niestety nie mogę panu obiecać, że nie zajmie nam to dłużej.

Obrzuca mnie wymownym spojrzeniem i niecierpliwie przebiera palcami po ustniku fajki wystającej z brustaszy.

- Tu nie wolno palić – informuję.
- Dziękuję, nie jestem idiotą.

Patrzę na niego uważnie.

Niby wygląda tak samo, a jednak inaczej. Nasada włosów jakby przesunęła się jeszcze wyżej, odsłaniając coraz znacniejszą łysinę, a policzki jeszcze bardziej obwisły. Małe czerwone usta przypominają wiśnię. Szkła okularów ma brudne, a rączka szwedki, którą oparł o ścianę, jest oklejona taśmą maskującą.

- Gabriel Andersen – zaczynam.
- Boże drogi. To dopiero tragedia.
- Co obudziło pana w noc świętojańską?
- Jakieś cholerne piekło. – Marszczy czoło. – I w pewnym momencie wydało mi się, że Lykke woła moje imię, gdzieś na dworze. Ale chyba musiało mi się śnić, bo przecież ona przez cały czas była w domu.

Zapisuję to w notesie.

- A potem?
- Potem obudziłem Jujjego. Byłem pewny, że to Harry i David się kłócą. W końcu nie byłby to pierwszy raz. Szybko obaj się ubraliśmy i poszliśmy zobaczyć, co się tam dzieje.

- I wtedy znaleźliście Gabriela?
- Tak. Martwego. W kuchni. Chłopcy próbowali go reanimować.
- A Lykke?
- Stała w pewnej odległości od niego – odpowiada, powoli kręcąc głową.
- Widział pan, czy była w jakikolwiek sposób ranna, miała jakieś obrażenia?

Przez chwilę milczy i mruga nerwowo, po czym mówi:

- Nie myślałem o tym. Panował taki chaos. Ale miała... – podnosi rękę do szyi – czerwone ślady tutaj.

- Siniaki czy krwawe ślady?
- Nie pamiętam. Wiem tylko, że coś tam było... że miała ślady.

Przypominam sobie to, co wcześniej powiedział mi Jujje Holm.

- Jakie następstwa może mieć śmierć Gabriela dla wydawnictwa?

Wzrusza ramionami.

- To oczywiście ogromna strata, zarówno dla mnie osobiście, jak i dla firmy.

- Jujje Holm uważa, że teraz sprzedaż jego książek wystrzeli w górę.
- No proszę, on tak uważa – mówi Olof i wydyma nieco swoje czerwone usta.
- Czy to prawda?

Patrzy na mnie w milczeniu. Poprawia okulary na nosie i powoli kręci głową.

– Nie – odpowiada w końcu. – Właściwie to zależy. Nigdy nie da się przewidzieć, jak śmierć autora wpłynie na sprzedaż. Ale insynuować, że okaże się dla nas korzystna, to cholernie cyniczne. I mówi więcej o Holmie niż o nas – przerywa i spogląda na zegarek na ręce. – Musi pan zrozumieć, że Jujje i ja nie mamy tych samych interesów. Kiedy spotykamy się służbowo, to najczęściej po to, żeby negocjować kontrakty, a negocjacje z nim *nie* należą do przyjemnych. A prywatnie jest on... – ponownie przerywa i mierzy mnie wzrokiem. – Nie do zniesienia – kontynuuje. – Próżny. Zadufany. Powierzchowny. Niedouczoney.

– Ojoj.

Nie odpowiada.

– A jeśli chodzi o Lykke – mówię. – Co śmierć Gabriela może oznaczać dla niej?

– No cóż – wzdycha. – Biedna, kochana Lykke, zawsze tak się starała. Rzeczywiście zasługiwała na coś lepszego.

– Lepszego od?

Wzdycha ciężko i krzyżuje ramiona na piersi, opierając je na okazałym brzuchu.

– Od Gabriela. Mam na myśli te jego romanse z kobietami. No i potem cała ta historia, przez którą przechodziła rodzina... – Kręci powoli głową. – Śmierć tamtej dziewczyny.

– Z kim Gabriel miał romans?

Olof marszczy czoło.

– Raczej z kim *nie* miał. Już kiedy poznał Lykke, kręcił z kobietą, u której wynajmował mieszkanie. Można powiedzieć, że była jego protektorką, posiadała duży dom na Djurgården i pozwalała mu w nim mieszkać prawie za darmo.

Wzdycha, ponownie kręci głową i po chwili opowiada dalej:

– Sypiał nie tylko ze swoimi redaktorkami. Ale też z niebagatelną liczbą autorek współpracujących z wydawnictwem. Albo przynajmniej próbował zaciągnąć je do łóżka, przez co stał się problemem w naszym środowisku. Miewałem wśród pisarzy już wcześniej takie oryginały, ale w jego przypadku było to podwójnie skomplikowane. Bo jako cholernie sympatycznego faceta wszyscy go wprost uwielbiali, nawet te kobiety, które uwodził i potem rzucał. Poza tym miał wartość dla wydawnictwa, nie da się ukryć. Przynajmniej dopóki nie zaczął pisać tych dziwnych książek pozbawionych treści.

Osuwa się nieco na krześle i wbija wzrok gdzieś w pustkę na prawo ode mnie, po czym kontynuuje:

- Jedna z jego redaktorek, Tuss, zaszła w ciążę i zagroziła mu, że powie Lykke.
- *Ta* Tuss? Teresa Schwarz, która była na imprezie rakowej?
- Tak, ta Tuss. W końcu jednak nie powiedziała. Poprosiłem ją, żeby nic nie mówiła.
- Słucham?
- Nie rozumie pan? Przecież rozpętałoby się piekło.

Rozumiałem doskonale. Co mnie głęboko zmartwiło.

– Tak czy owak, Tuss usunęła ciążę, dostała nową pracę w większym wydawnictwie. Ale inna z jego redaktorek, Signe, która nigdy nie dawała sobie w kaszę dmuchać, rzeczywiście próbowała dotrzeć do Lykke i opowiedzieć jej, że Gabriel zachowuje się wobec niej natarczywie. Ale wtedy zdarzyła się ta bójka między braćmi, kiedy Harry omal nie zabił Davida, i sprawa chyba jakoś się rozmyła.

– Pan nic z tym nie robił?

– A co miałbym zrobić? W gruncie rzeczy sądziłem, że Lykke jest wszystkiego świadoma i że po prostu nie chciała albo nie miała siły się w tym babrać.

– Nie wspominał pan nic na ten temat po zabójstwie Bonnie Högberg – zauważam.

– Jeśli mam być szczery, nie rozumiałem, czemu mogłoby to służyć. Gabriel był casanową, ale nie mordercą.

Patrzę na niego długo i myślę, że pewnie by się zdziwił, gdyby wiedział, co twierdzi o swoim mężu Lykke. Na razie jednak nie mogę podjąć tego wątku. Przyjdzie na to czas później, kiedy dokładnie ustalimy, jak zginął Gabriel Andersen.

Kiedy Lykke siada naprzeciw mnie w pokoju przesłuchań, wygląda na spokojniejszą. Na twarzy nie widać napięcia, oczy nie są już podpuchnięte i zaczerwienione.

– Dzień dobry – mówię.

– Cześć.

Patrzę na sprzęt rejestrujący i zamiast go od razu włączyć, postanawiam najpierw porozmawiać z nią chwilę. Nie planowałem tego, ale gdy tylko podejmuję tę decyzję, od razu czuję ulgę, niemal jakby to ktoś inny za mnie zdecydował. Ktoś mądrzejszy i bardziej przenikliwy niż ja.

– Chciałbym, żebyśmy ustalili kilka szczegółów dotyczących śmierci Gabriela – zaczynam.

– Okej.

– Czy mogłabyś opowiedzieć dokładnie, co się stało po tym, jak zaczął cię dusić?

– Uniósł mnie. Zrobiło mi się czarno przed oczami i wtedy... – Podnosi ręce i mówi dalej: – Zaczęłam szukać czegoś po omacku i natrafiłam na nóż. Prawie zaraz, może po sekundzie albo dwóch, poczułam podłogę pod stopami. Ale on nadal tak samo mocno uciskał mi szyję. Myślałam, że umrę, byłam tego pewna. I tyle.

Opuszcza głowę.

– Wbiłam mu nóż w klatkę piersiową – dodaje.

– Ile razy?

– Raz. Tylko jeden raz. Chyba musiałam źle trafić, bo nie było żadnego oporu.

– Nóż trafił prosto w serce – wyjaśniam. – Gabriel wykrwawił się w ciągu kilku minut.

Kiwa opuszczoną głową.

– To straszne – szepcze. A sekundę później dodaje: – Ale próbowałam ratować własne życie.

Przez chwilę się nie odzywam.

– Pewnej rzeczy nie rozumiem – zaczynam.

Lykke podnosi głowę i spotyka moje spojrzenie.

– Jujje zeznał, że ślady duszenia na twojej szyi były krwawe – mówię.

Nieznacznie marszczy czoło.

– Tak?

– No właśnie. A skoro Gabriel zaczął cię dusić, *zanim* został dźgnięty nożem, to skąd te ślady krwi na twojej szyi?

Mimo opalenizny blednie i przesuwa dłonią po siniakach, które już prawie zniknęły, widać jedynie zielonkawożółte przebarwienia na skórze.

– Widocznie musiałam... – zaczyna, ale niemal zaraz milknie.

Siedzimy w ciszy.

– Może Jujje się pomylił – odzywa się potem. – Mógł wziąć siniaki za krew.

– Najpierw też tak myślałem. Ale rozmawiałem z naszą patolożką, okazuje się, że potrzeba czasu, żeby po próbie duszenia pojawiły się siniaki. Poza tym Olof zeznał, że słyszał, jak go wołałaś, kiedy spał w domku nad jeziorem. Twierdzi, że brzmiało to tak, jakbyś stała na dworze.

Nie odpowiada. Jej oczy spoczywają na mojej twarzy. I w tym momencie zdaję sobie sprawę, że ona wie.

Wie, że ja wiem.

Zerka na magnetofon. Wyświetlacz jest czarny, dioda sygnalizująca, że nagrywanie jest w toku, też jest martwa.

– Może Olof się przesłyszał – mówi. – I może potem sama dotknęłam swojej szyi. A miałam przecież zakrwawione dłonie.

– Możliwe – odpowiadam. – Zanim umyłaś twarz i szyję. Bo w raporcie patologa nie ma wzmianki o żadnej krwi na nich.

*

Bodil siedzi przy biurku, ubrana w jasnożółty top i spódnicę. Jej kasztanowe włosy obcięte na pazia lśnią świeżością w przedpołudniowym słońcu zaglądającym przez okno.

Odsuwa na bok laptop i spogląda na mnie sponad okularów.

– Manfred! Wchodź, wchodź i siadaj! – Wskazuje mi krzesło dla gości.

Robię, co każe, ale muszę się wesprzeć na oparciu, bo kiedy zginam nogi, kłuje mnie w kolanie.

Bodil ściąga brwi i patrzy na mnie uważnie. Przez jej twarz przemyka cień uśmiechu.

– Zrzuciłeś parę kilogramów? – pyta.

– Widać?

Kiwa głową, po czym siada wygodnie i zdejmuje okulary.

– Na jakiej jesteś diecie? Keto? Niskowęglowodanowej?

– Marchewki, wpierniczam głównie marchewki.

– Oj, to nie brzmi atrakcyjnie.

– Odchudzanie chyba nie ma być atrakcyjne?

Bodil przekrzywia głowę i poprawia długopis na biurku – to typowe dla niej: wciąż wszystko przesuwają, układają, przekładają, usuwają drobinki kurzu, których nikt inny poza nią nie widzi.

Moja przełożona to najbardziej pedantyczna osoba, jaką kiedykolwiek spotkałem.

– Czy ja wiem – odpowiada, lekko przeciągając słowa. – Jest mnóstwo rzeczy, które są i zdrowe, i smaczne.

Milczę – ona jest chuda jak tyczka, więc co może wiedzieć o nadwadze. Równie mało co o jedzeniu i seksie, myślę, wyobrażając ją sobie, jak siedzi przed telewizorem w swoim idealnie wysprzątanym mieszkaniu z miską sałaty bez kropli dressingu na kolanach.

– Skończyłem – oświadczam. – Mam na myśli przesłuchania. Bo odchudzanie to projekt na całe życie.

– No i?

– Powoli. Przesłuchaliście po raz drugi obu Andersenów?

– Tak – odpowiada. – Potwierdzają wersję Lykke. Jak tylko usłyszeli, że ich matka się przyznała i że jej czyn może zostać uznany za działanie w samoobronie, wszystko sobie przypomnieli. Widzieli, jak zabiła ich ojca. Opowiedzieli też o guziku, który według nich dowodzi, że to Gabriel zabił Bonnie Högberg. Teraz zajmują się nim technicy w biurze kryminalistycznym. Koszulą też. Oczywiście mieli jeszcze za mało czasu, żeby przyjrzeć się bliżej, ale uważają, że guzik pochodzi z koszuli, którą miał na sobie Gabriel Andersen.

Masuję bolące kolano.

– Dochodzenie na miejscu zbrodni także potwierdza zeznania Lykke – dodaję. – Na nożu były jej odciski palców, a na jej ubraniu jest krew Gabriela. Deska w podłodze w małym domku została zerwana dokładnie tak, jak to opisała.

– Ale?

Oczy Bodil lekko się rozszerzają.

– Dostaniesz raport dziś wieczorem.

Śmieje się cicho.

– Dobry żart. Przecież wiesz, że nie mogę czekać tak długo.

– Nie możesz czy nie chcesz?

Uśmiecha się i przeciąga się jak kotka.

Lykke
Obecnie

Zabiłeś dziecko, które już niedługo miało stać się młodą kobietą. Ukradłeś jej przyszłość bez mrugnięcia okiem. Odebrałeś jej przyszłe godziny, przyszłe dni, przyszłe lata.

Zgasiłeś wszystkie nadzieje, wszystkie niepokoje, wszystkie marzenia.

A kiedy dokonałeś tego niewybaczalnego czynu, popełniłeś najohydniejszą zbrodnię i zrzuciłeś winę na nasze dzieci.

Doskonale pamiętam, co o nich mówiłeś, kiedy się urodziły – że przyszły na świat jako dar dla nas, obietnica czegoś większego niż samo życie. Mówiłeś, że byłeś nieprzygotowany. I właśnie taki nieprzygotowany nie potrafiłeś wyobrazić sobie bezmiaru miłości, trosk, lęku, który nas czekał.

To były tylko słowa, słowa i nic więcej – zwiewniejsze niż wiatr, lżejsze niż poranna mgła nad Wiecznością. Zapominamy je równie szybko jak przelotny deszcz w letni dzień.

Ale dodane do siebie, umieszczone w kontekście, słowa mogą wyjaśnić to, czego nie jesteśmy zdolni zrozumieć.

To dlatego napisałeś książkę, powiedziałeś. Tę, która przypieczętowała przyszłość naszych synów.

W niej jest prawda, mówiłeś. Może nie w każdej linijce, nie w każdym akapicie. Ale historia, którą kształtują słowa, jest tak bliska prawdy, jak to tylko możliwe.

Kłamałeś – wtedy tego nie rozumiałam i to czyni mnie współwinną.

Ludzie mi mówią, że musiałeś być szalony, że nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby zachować się tak jak ty.

Wiem lepiej.

To nie szaleństwo pchnęło cię do zabójstwa i zdrady, tylko obojętność. Obojętność na wszystko i wszystkich, którzy nie służyli tobie.

Jak nazwać coś takiego?

Ja nazwałabym to złem.

Słyszę brzęk kluczy, otwierają się ciężkie drzwi.

Kładę długopis obok zeszytu na małym stoliku i się odwracam.

Sara stoi pośrodku i patrzy na mnie.

– Wychodzisz – mówi. – Prokurator uchylił areszt. A twoja adwokatka chce, żebyś zaraz do niej zadzwoniła.

Rozglądam się po celi, patrzę na pryczę, na ubranie starannie ułożone na półce obok i wreszcie na Sarę, która sprawia wrażenie, jakby się niecierpliwiła.

– Nie rozumiem.

– Jesteś wolna – wyjaśnia, wznosząc oczy do nieba. – Możesz jechać do domu. Zrobić, co tylko chcesz.

Powoli podnoszę się z krzesła, ale serce bije mi coraz szybciej, a nogi drżą jak galareta.

– Tak po prostu?

– Tak – odpowiada Sara. – Tak po prostu. Gratuluję. No, rusz się wreszcie!

*

Godzinę później sprzed aresztu odbierają mnie David i Fanny. Nad miasto nadciągnęły ciemne chmury, duszny, gorący wiatr podrywa z ziemi parę niedopałków i pustą reklamówkę.

Fanny jest radosna, obejmuje mnie mocno i serdecznie.

David płacze, szlocha tak głośno, że nie słyszę, co mówi. Słowa giną wśród łez, a gdy go przytulam, całe jego ciało drży.

Jedno słowo dociera do moich uszu, ono jedno przenika szloch.

Mama.

Powtarza je w kółko, powtarza jak mantrę.

Fanny prowadzi, uznajemy wszyscy, że tak będzie najlepiej. Jest opanowana, mocno trzyma kierownicę i w skupieniu patrzy przed siebie. Nie ulegnie emocjom i nie wjedzie w drzewo ani nie zatrzyma się bez uprzedzenia na poboczu, żeby zwymiotować.

W drodze do domu rozmawiamy ostrożnie o tym, co się stało. Próbujemy zrozumieć to, czego nie da się zrozumieć.

– Moja adwokatka była zdziwiona – mówię, mając w pamięci rozmowę z Faribą sprzed pół godziny.

– Dlaczego? – pyta Fanny. – Przecież to oczywiste, że to musiała być samoobrona.

Patrzę na granatowofioletowe chmury kłębiące się nad pofałdowanym krajobrazem przesuwającym się za oknem. Tu i ówdzie pasą się krowy, ich duże brązowo-białe ciała wyglądają bezpiecznie i znajomo – mam wrażenie, jakby witały mnie w domu.

Na przednią szybę spada jedna kropla, potem druga. I na tym koniec. Jakby niebo bało się otworzyć swe wrota i uwolnić deszcz – burza, której się spodziewamy, nie nadchodzi.

– Możliwe – odpowiadam. – Ale według niej to był bardzo zły pomysł, kiedy oświadczyłam, że podczas przesłuchania chcę być z Manfredem Olssonem sama. Uważała, że to mogło się skończyć źle, ponieważ taka procedura nigdy nie przyniosła nic dobrego żadnemu z jej klientów.

– A dlaczego tak ci na tym zależało? – docieka Fanny ze wzrokiem utkwionym w drodze.

Zerkam na Davida, który siedzi na tylnym siedzeniu.

Nadal płacze, oczy ma zamknięte, ale po bladych policzkach wciąż płyną łzy.

– Bo jedynie on był w stanie zrozumieć – mówię.

Harry czeka na nas przy furtce, ubrany w starą flanelową koszulę w kratę i poszarpane dżinsy.

Mówi niewiele, ale przytula mnie mocno. Obejmuje też Fanny, lecz gdy podchodzi David, zamiera. Po chwili jednak obaj wyciągają ręce i się witają. Ich gest bardziej przypomina obojętne poklepywanie niż uścisk, ale najważniejsze jest to, że zbliżyli się do siebie, dotknęli jeden drugiego, z własnej woli, pierwszy raz od wielu lat.

Fanny przygotowuje kolację, wykorzystując różne resztki i to, co znalazła w zamrażarce.

Ciemne chmury wciąż wiszą nad nami, mimo to postanawiamy zaryzykować i zjeść na dworze. Harry nakrywa w ogrodzie, David otwiera butelkę wina.

Rozmawiamy swobodnie, tak jak to się dzieje, gdy świat odmienia się na zawsze. Fanny opowiada o swojej dodatkowej pracy w domu spokojnej starości, o jego sympatycznych i mniej sympatycznych mieszkańcach. Harry mówi o samochodzie, który chce kupić i który po małym remoncie będzie podobno jak nowy. David przeważnie milczy i tylko nas obserwuje.

Potem zapada zmierzch i robi się coraz później. Ciemne chmury odpłynęły i nagle jest taka sama jasna noc wczesnego lata jak przed tygodniem, a może całą wieczność temu, kiedy wszyscy zebraliśmy się tutaj, żeby świętować sobótkę.

– Dużo o nim m...m...myślisz? – pyta Harry, patrząc na mnie.

– Tak – przyznaję i przypominam sobie słowa, które pisarka Märta Tikkanen powiedziała o swoim mężu Henriku po jego śmierci: często za nim tęsknię, ale ani przez chwilę nie chciałam, żeby wrócił.

Przez wiele lat uważałam, że zapłaciłam uczciwą cenę za to, co mieliśmy z Gabrielem – za rodzinę, za uprzywilejowane bywanie w eleganckich salonach i za nasz piękny dom. Powiedziałam sobie, że nie ma znaczenia, że on jest egocentryczny i bezwzględny. Wybaczyłam mu nawet *Siudy*, a także zdrady – bo oczywiście wiedziałam, że są inne kobiety.

Ale on nigdy mnie nie opuści, myślałam. Tamte kobiety nic nie znaczą, bo on kocha tylko mnie. A rodzina jest dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego.

Nikt nic nie mówi. Fanny patrzy na jezioro, Harry dłubie w dziurce w obrusie.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że on to zrobił – odzywa się David.

– Bo to chyba nie jest możliwe do zrozumienia? – stwierdza Fanny i szczerzej otula się szalem.

Milczę, a w duchu dochodzę do wniosku, że to jest właśnie to, co wyróżnia prawdziwe zło – nie daje się go zrozumieć.

– Co teraz? – pyta Harry.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nie jestem już podejrzana o żadne przestępstwo. A jeśli chodzi o zabójstwo Bonnie, Fariba twierdzi, że policja będzie chciała nas znowu przesłuchać. Żeby ustalić, co naprawdę się wydarzyło. Ale Gabriel nie żyje, więc nie będzie żadnego oskarżenia.

Ostatnie słowa wypowiadam bardzo cicho, tak cicho, że prawie ich nie słysząc.

Mój mąż – ojciec, pisarz, kłamca, morderca – nie żyje.

Mniej więcej godzinę później wszyscy idą spać – to znaczy wszyscy oprócz mnie.

Widzę ich przez okno, jak we trójkę zmierzają do domku w jasną noc. Pierwszy Harry, a tuż za nim David z Fanny. Słyszę szmer ich głosów i chociaż nie rozumiem, co mówią, wiem, że brzmią przyjaźnie.

Dziś się nie pokłócą i nie pobiją, przemyka mi przez głowę. Prawdopodobnie już nigdy im się to nie przydarzy.

Robię sobie herbatę w kuchni, przesuвам dłonią po blacie szafki.

– Tutaj zginąłeś – szepczę pod nosem. – I zasłużyłeś na to.

Myślę o tym, co się wydarzyło w noc świętojańską. Pamiętam, jak zmienił się wyraz twarzy Gabriela, kiedy zrozumiał, że my wiemy.

„Ja tylko... Ja chciałem jedynie porozmawiać, poprosić ją, żeby wyłączyła tę cholerną muzykę. Ale ona wtedy zaczęła krzyczeć, jakby...”

Potem przypominam sobie, jak Harry zerwał się z krzesła, rzucił się na niego i pchnął go na kuchenny blat. I jak David ruszył za nim, zaledwie kilka sekund później.

Lykke

Tydzień wcześniej

Przestańcie! – wrzasnęłam. – Przestańcie, bo się pozabijacie!

Ale ani Harry, ani David zdawali się mnie nie słyszeć. Harry stał jakiś metr od Gabriela, a David wymierzył mu cios w policzek.

Czy miałam szansę ich rozdzielić? Trzech dorosłych mężczyzn gotowych walczyć ze sobą na śmierć i życie?

Nie, uznałam. Nie dam rady, muszę natychmiast sprowadzić pomoc. Czyli Olofa i Jujjego, którzy spali w domku nad jeziorem.

Wybiegłam do przedpokoju, wciągnęłam tenisówki, otworzyłam drzwi i wypadłam na dwór.

Pędząc przez łąkę, słyszałam krzyki dobiegające z kuchni. Każdy mój krok, każdy mój oddech wydawał się decydujący.

Dobry Boże, myślałam, spraw, żeby nie było za późno.

Kiedy dotarłam już niemal nad jezioro, usłyszałam nieopisany ryk z dużego domu. Zatrzymałam się i krzyknęłam z całych sił:

– Olof, Jujje! Pomocy!

Mój głos odbił się echem od wody.

W następnej sekundzie znów rozległ się dziki ryk – niepodobny do niczego, co kiedykolwiek słyszałam. Przywodził na myśl konające zwierzę. Zamarłam, a potem się odwróciłam i zawahałam.

Oni się tam zaraz pozabijają, pomyślałam. Jeśli coś stanie się chłopcom, nie wybaczę sobie tego do końca życia.

To mi wystarczyło, nie potrzebowałam żadnej głębszej analizy. Pędem ruszyłam z powrotem w kierunku domu, mając jednocześnie nadzieję, że Olof i Jujje mnie usłyszeli.

Kępy bujnej trawy były zdradliwe, wysokie źdźbła owijały się wokół moich łydek, raz czy dwa o mało nie upadłam. W piersi paliło mnie od wysiłku, z gardła wydobywał się krzyk.

Schodki werandy pokonałam w dwóch susach, wpadłam do środka.

Gabriel leżał na plecach na podłodze w kuchni w jeziorze krwi. Twarz miał bladą, usta i oczy otwarte. Obok niego zobaczyłam na podłodze długi nóż do krojenia mięsa, który kupiłam kilka miesięcy wcześniej, z tych, co to nie rdzewieją i nie wymagają

ostrzenia. Z rany w klatce piersiowej tryskała krew – z każdym uderzeniem serca albo raczej z każdym oddechem wypływała kolejna porcja, pozbawiając go życia.

David i Harry stali obok i patrzyli na niego. Obaj obrócili się w tej samej sekundzie, jak na zawołanie, i spotkali mój wzrok.

Przez chwilę obserwowałam tę scenę jakby z zewnątrz – mojego umierającego męża i moich zakrwawionych synów, którzy tyle przeszli.

– Zrób coś – powiedziałam do Davida.

Pokręcił głową.

– Za późno – szepnął. – Stracił za dużo krwi. Nóż musiał trafić prosto w serce.

Nie mam pojęcia, jak długo tak stałam – sekundy, minuty?

Szok działał paraliżująco, nie byłam w stanie się ruszyć, nie potrafiłam trzeźwo myśleć.

A potem nagle stało się tak, jakby inna część mózgu przejęła kontrolę, ta analityczna, logiczna. Uświadomiłam sobie, co będzie dalej, przecież już raz przez to przechodziliśmy. Przyjedzie policja, rozpocznie dochodzenie. Młyny sprawiedliwości zaczną się obracać, będą mleć powoli, ale nieubłagane, dążąc do wskazania winnego.

To nie będzie żaden z moich synów, pomyślałam.

Nie tym razem.

Podniosłam nóż z podłogi i wytarłam rękojeść o swoją sukienkę. Kilka koralików oderwało się z rękawa i potoczyło po posadzce.

– Harry, chodź tutaj – poleciłam.

Zawahał się, ale w końcu podszedł.

– Chwyć mnie za szyję, jakbyś chciał mnie udusić – powiedziałam i położyłam nóż na stole. – Mocno.

– Ale... – wyjąkał, bezradnie błędząc wzrokiem między mną a Davidem.

– Rób, co ci mówię.

– Ale dlaczego? – szepnął.

– Nie rozumiecie? – powiedziałam gorączkowo. – Nie mogę dopuścić do tego, żeby wina za to spadła na was. To nie w porządku, po tym wszystkim, przez co przeszliście. To musi wyglądać tak, jakby Gabriel próbował zrobić mi krzywdę.

Harry znów spojrział na Davida i pokręcił głową.

– Ja nie m...m...mogę.

– Możesz. Zaufaj mi!

Objął dłońmi moją szyję i delikatnie ucisnął. Palce były śliskie od krwi.

– Mocniej!

– A jeśli ja...

– Mocniej!

Zacisnął powieki, odwrócił twarz i ścisnął z taką siłą, że pociemniało mi przed oczami. Po kilku sekundach puścił i wybuchnął płaczem.

Chwytając łapczywie powietrze, zakaszłałam i przykucnęłam w kałuży krwi obok Gabriela. Nagle nogi się pode mną ugięły, usiadłam więc i poczułam, jak sukienka nasiąka ciepłą wilgocią.

Harry objął mnie ramieniem i pomógł mi wstać.

– Wybacz, mam – wymamrotał. – Wybacz.

– Wszystko w porządku – odpowiedziałam i znowu zakaszłałam. – Posłuchajcie mnie teraz. To stało się tak: Gabriel i ja staliśmy przed zlewem. On zaczął mnie dusić i podniósł mnie z podłogi. Ja chwyciłam nóż i wbiłam mu go w pierś.

Nic nie powiedzieli.

– Będą was przesłuchiwać – kontynuowałam z gardłem ścisniętym płaczem. – Musicie wiedzieć, co macie mówić. Pamiętajcie: on próbował mnie zabić, a ja, broniąc się, dźgnęłam go nożem.

Cisza.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, że go zabiłaś – jęknął David. – Nie mogę kłamać. A jeżeli pójdziesz do więzienia? To byłaby moja wina.

– Dlaczego mamy go chronić? – spytał bezradnie Harry, patrząc na martwe ciało Gabriela.

– To nie jego chronicie – odparłam. – Tylko mnie.

Harry i David spojrzeli na siebie.

– A teraz – kontynuowałam – macie robić, co w waszej mocy, aby go reanimować.

David potrząsnął głową.

– Przecież on już...

– Posłuchajcie mnie – przerwałam mu.

Obaj podeszli do Gabriela. David usiadł na nim okrakiem, na jego klatce piersiowej ułożył jedną dłoń na drugiej i zaczął uciskać. Za każdym razem z rany sączyło się jeszcze więcej krwi.

Podniosłam nóż ze stołu, ścisnęłam go mocno i zastanowiłam się, czy najpierw iść do domku nad jeziorem, czy od razu zadzwonić na policję. Ale nie musiałam wybierać, bo niemal w tym samym momencie rozległ się odgłos zbliżających się kroków.

Otworzyły się drzwi wejściowe.

David i Harry spojrzeli na mnie. Dostrzegłam panikę w ich oczach i dyskretnie skinęłam ku nim głową.

Pierwszy wpadł do kuchni Jujje.

– Rany boskie – rzucił na nasz widok. – Co tu się, kurwa, dzieje?

Splótł ręce na karku i zaczął chodzić w kółko. Nawet nie zauważył, że wdepnął w krew. Jego buty zostawiały lepkie ślady obok stołu, gdzie koło wazonów z letnimi kwiatami wciąż stały puste butelki po wczorajszej kolacji.

Po chwili przykuśtykał Olof.

Staął jak wryty, ale nic nie powiedział. Odwrócił twarz i tkwił nieruchomo z okularami w jednej ręce, a z drugą opartą na świeżo operowanym biodrze.

– On nie żyje – rzekłam. Podeszłam do zlewu, odłożyłam nóż na szafkę i odkręciłam kran. Następnie opłukałam twarz i szyję, bo od smrodu krwi Gabriela zbierało mi się na wymioty.

Manfred

Obecnie

Prom przybija do pomostu w Sandhamn tuż przed lunchem.

Afsaneh włożyła słonecznie żółtą sukienkę, a jej czarne włosy powiewają na wietrze. Nadja tuż przy niej podskakuje w miejscu, ma na sobie kostium kąpielowy i sandały. Pomarańczowe rękawki do pływania tkwią już na jej chudych ramionkach. Od razu domyślam się, co mnie czeka.

– Tatuś! – woła z daleka i zaczyna biec w moją stronę, gdy tylko opuszczono trap.

Macham jej, podnoszę nieporęczną walizkę i zmierzam jej na spotkanie.

– Strasznie, strasznie za tobą tęskniłam – mówi, gdy przykucam, żeby ją przytulić.

Znowu kłuje mnie w kolanie, ale nie zwracam uwagi na ból i całuję ją w oba policzki.

– A ja za tobą.

– Pójdziemy się kąpać?

Nie chcę się kąpać, chcę zjeść obiad i wyciągnąć się na hamaku, który tak zachęcająco wyglądał na zdjęciu. Ale rzecz jasna to nie ma najmniejszego znaczenia, na co ja miałbym ochotę.

– Możemy zatrzymać się na plaży – mówi Afsaneh, gdy idziemy przez wioskę. – Jest po drodze.

Patrzę na małe, pomalowane na czerwono domki. Na ludzi krzątających się w ogródkach i nakrywających do obiadu na pomalowanych na biało drewnianych stołach.

– Walizka – zauważam i spoglądam do tyłu na czarnego grzmota, który ciągnie się za mną na zdecydowanie za małych kółkach.

– Nie szkodzi, możemy zabrać ją ze sobą – stwierdza Afsaneh.

I tak robimy.

Podczas gdy Nadja pluska się w lodowatej wodzie, ja i Afsaneh siadamy w cieniu sosny na skale.

– Jak tam śledztwo? – pyta, poprawiając górną część bikini wystającą spod sukienki i dając mi całusa.

Jej usta są miękkie i mają słony smak. Skóra pachnie olejkiem do opalania.

– Zamknięte.

– Obrona własna?

– Tak.

Kiwa głową w zamyśleniu i spogląda na brzeg, gdzie Nadja najwyraźniej znalazła sobie kompana do zabawy, chłopca w jej wieku, który jest nadzwyczaj skupiony na przenoszeniu piasku z miejsca na miejsce w czerwonym plastikowym wiaderku.

Relacjonuję ostatnią rozmowę z Lykke. W miarę opowiadania wyraz zainteresowania na twarzy Afsaneh ustępuje niedowierzaniu.

– To znaczy, że ona tego nie zrobiła?

Potakuję.

– Jestem niemal pewny, że to był któryś z synów. Bo niby dlaczego miała ślady krwi na szyi? A Olof Forss zeznał, że słyszał jej wołanie na dworze. Myślę, że wybiegła, żeby sprowadzić pomoc, ale z jakiegoś powodu zawróciła. I potem razem z synami zainscenizowała te ślady po duszeniu.

– Poczekaj – odzywa się Afsaneh. – Czegoś tu nie rozumiem.

Patrzę na morze w milczeniu.

Na plaży Nadja i jej nowy kolega zrezygnowali z przenoszenia piasku i zaczęli kopać głęboki dół.

– Poczekaj – powtarza Afsaneh surowym tonem, który przybiera tylko wtedy, kiedy uważa, że zrobiłem coś naprawdę głupiego.

– Czego nie rozumiesz?

– To znaczy, że puściłeś zabójcę wolno?

Masuję sobie kolano, trochę mi spuchło w upale i ćmiący ból promieniuje w dół łydki.

– Dlaczego?

– Bo to było słuszne.

Afsaneh kręci głową i zamyka oczy.

– Jestem im to winny – kontynuuję. – Po tym wszystkim, na co zostali narażeni.

– Na litość boską, Manfred. Ona cię wykorzystała, czy ty tego nie pojmujesz? Wiedziała, że tak właśnie będziesz rozumował, i dlatego nie chciała się zgodzić, żeby przesłuchiwał ją ktoś inny.

– Mówisz teraz jak zwolenniczka teorii spiskowych. Jak wrócimy do domu, mogę ci zrobić kapelusz z folii aluminiowej.

– A jeśli ten, kto to zrobił, znowu kogoś zabije?

– Wątpię.

– A co, jeśli stracisz pracę?

– Nie stracę.

Afsaneh wzdycha ciężko i patrzy na Nadję, która niesie wodę w wiaderku.

– Niedługo będą nam potrzebne dwie pensje – mówi po chwili, a na jej twarzy rysuje się nieśmiały uśmiech.

– Jak to?

Bierze moją rękę, która wciąż spoczywa na kolanie, i kładzie ją na swoim brzuchu. Materiał letniej sukienki jest szorstki i wilgotny.

– Chcesz powiedzieć, że...?

Kiwa głową i szeroko się uśmiecha.

*

Afsaneh i Nadja śpią.

W ciemności słyszę ich spokojne oddechy – Afsaneh tuż przy mnie, Nadji nieco dalej. Właściciel domku wstawił dodatkowe łóżko, żebyśmy się pomieścili w jednej sypialni.

Myśli zalewają mnie jak fale rozbijające się głośno o skały zaledwie kilka metrów od domu.

Będę ojcem piątki dzieci, w gruncie rzeczy nigdy nie planowałem takiej gromadki, ale teraz wydaje się to nawet fajne. Ja i Afsaneh przywitamy na świecie nowego człowieka, a Nadja i starsze dzieci zyskają nową siostrę lub nowego brata.

Kolejna myśl lub może raczej wspomnienie nabiera kształtu, wyłania się i sekundę później zatracam się w nim całkowicie.

Moje życie z Afsaneh – a co za tym idzie: z Nadją i jej nienarodzonym jeszcze rodzeństwem – zaczęło się właśnie tutaj, na tej wyspie, kiedy moje dawne życie sięgnęło dna.

Jakie to niezwykłe, myślę.

Może jednak istnieje jakiś bóg.

Manfred
Osiem lat wcześniej

Komisja odpowiedzialności zawodowej? – mówię i przyglądam się Sturemu, który jest w trakcie pakowania swoich rzeczy do kartonu.

Przykucnął, lekko posapując, wcisnął kilka książek obok zdjęć wnuków, po czym podniósł się sprężyście.

– Tylko mi nie mów, że jesteś zaskoczony – powiedział.

– Oczywiście, że jestem zaskoczony. Kto złożył wniosek?

– Pełnomocnicy Davida i Harry’ego Andersenów opisali w piśmie do Hellberg stosowane przez ciebie metody przesłuchiwania podejrzanych – wyjaśnił Sture i otworzył najwyższą szufladę w swoim biurku. – A Hellberg zgłosiła to komisji.

Hellberg, czyli Rakel Hellberg, zwierzchniczka Sturego.

– Ja nie miałem z tym nic wspólnego – ciągnął. – Ani najwyraźniej rodzina Andersenów. Mogę się założyć, że to wszystko sprawka Jessiki Sund, tej wojowniczej flądry, którą dostaliśmy za nasze grzechy.

Usiadłem na krześle dla gości i spojrzałem na mojego szefa, który miał wkrótce przejść na emeryturę.

Położył na biurku całą garść długopisów i pogrzebał między nimi jednym palcem. Wybrał dwa, wrzucił do pudła, a resztę zgarnął do kosza na śmieci.

– Powinienem się niepokoić? – spytałem.

– Ani trochę. Dochodzenie to czysta formalność. Ja i pozostali koledzy z komisji stoimy za tobą murem.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo rozmawiałem z dwoma z nich.

Teraz wyjął garść monet i ważył je w dłoni. Spojrzał na karton, zmarszczył czoło i w końcu włożył je do kieszeni.

Przemknęło mi przez głowę, że cała ta komisja niewiele jest warta, skoro sprawy rozstrzygane są przy ekspresie do kawy. Ale tego nie powiedziałem.

– To przekłete cackanie się z mętami jest w dzisiejszych czasach po prostu nie do wytrzymania – dodał. – Niedługo nie sposób będzie, do cholery, w ogóle wykonywać naszą robotę. Te wszystkie szumowiny mają tyle pieprzonych praw, że głowa mała.

– Racja.

– Ale. Masz wziąć dwa tygodnie urlopu. Od dzisiaj. To polecenie służbowe.

Milczałem.

– A jak wrócisz – kontynuował – pójdziesz do psychologa.

– Ja pierdolę.

Machnął ręką w powietrzu, podszedł do okna i popatrzył na ołowianoszare niebo. Kiedy się poruszał, monety w jego kieszeni brzęczały głośno.

– Na litość boską, człowieku, czy nie możesz po prostu zrobić tak, jak ci mówią?

Wrócił do biurka, wyciągnął jeszcze jedną szufladę i popatrzył na jej zawartość. Zamknął ją z powrotem.

– Czterdzieści lat służby – mruknął, wiodąc spojrzeniem po pokoju. – I wystarczy tylko jeden karton, żeby zmieścić wszystkie rupiecie. Czy to nie dziwne?

*

Wracając od Sturego, wpadłem na Pirjo, która szła z torbą treningową na ramieniu.

– Cześć – powiedziała. – W porządku?

– Do dupy. Jestem zawieszony na dwa tygodnie.

– Ojej – rzuciła i zamrugała za przesadnie dużymi okularami. – Czy to z powodu...

– Jej głos się załamał.

– Tak. Adwokaci bliźniaków najwyraźniej znowu złożyli skargę. A Hellberg przekazała sprawę do komisji odpowiedzialności zawodowej.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Czy nie wybrałaś się ze mną na piwo po pracy? – spytałem.

Patrzyła na mnie dosyć długo.

– Myślałam, że wyraziłam się jasno – westchnęła.

Ruszyliśmy w kierunku windy.

– Tak, bardzo jasno.

– Ale pomyślałeś, że może jednak mimo wszystko się zgodzę?

– Nic z tych rzeczy.

Zatrzymała się i utkwiała wzrok w podłodze.

– W takim razie dlaczego? Z litości?

– Nie, ja tylko...

– Proszę cię, Manfred – powiedziała i zdjęwszy okulary, otarła łzę. – Nie rób sytuacji trudniejszą, niż i tak jest. – Następnie otworzyła drzwi na klatkę schodową i zniknęła.

*

Po powrocie do domu zebrałem kilka drobiazgów – rozmawiałem ze swoją ciotką Gurli, która zlitowała się nade mną i obiecała wynająć mi swój domek w Sandhamn.

– W tym roku jest jakoś pusto – powiedziała. – Tylko pamiętaj, żeby przywieźć trochę wina. Zamawianie alkoholu na wyspę jest strasznie uciążliwe. Tygodniami trzeba czekać na dostawę.

– Będę pamiętał – zobowiązałem się ciotce, która była wyraźnie bardzo spragniona.

Pakowanie nie zajęło mi wiele czasu – parę ubrań na zmianę, kosmetyki, butelki wina dla Gurli i kilka książek – to wszystko, czego potrzebowałem.

Gdy już zbierałem się do wyjścia, usłyszałem klucz w zamku.

Kiedy wyszedłem do przedpokoju, usłyszałem chichotanie za drzwiami.

To pewnie Alba, pomyślałem. Może przyszła wreszcie, żeby ze mną porozmawiać.

Ale to nie była Alba. Sekundę później w przedpokoju stanęła Beatrice w towarzystwie Hassego.

Hasse był przysadzistym pięćdziesięciokilkulatkiem o siwych, falujących włosach i o pełnym samozadowolenia uśmiechu przyklejonym do pulchnej twarzy. Pracował jako adwokat, ale oczywiście nie zajmował się prawem karnym, bo to nie było dość lukratywne, tylko przeprowadzał fuzje, pomagał przedsiębiorcom mnożyć kapitał, a spółkom minimalizować podatki poprzez stosowanie skomplikowanych rozwiązań, często z udziałem firm z siedzibą na wyspie Jersey albo w Indiach Zachodnich.

Tak, przyznaję, prześwietliłem go. Ostatecznie sypiał z matką moich dzieci.

– Ups – bąknął Hasse i był na tyle taktowny, że od razu wycofał się na klatkę schodową.

– Nie sądziłam, że jesteś w domu o tej porze – powiedziała Beatrice, zerkając na zegarek Cartiera, który dostała ode mnie w prezencie ślubnym.

Czasem myślałem, że powinienem ją poprosić, żeby mi go zwróciła. Bo mówiąc szczerze, nie wypełniła swojej części umowy.

– Jestem na urlopie – odpowiedziałem.

– Aha. Chciałam tylko zabrać parę rzeczy.

– Jasne. Ale następnym razem zadzwoń wcześniej.

Postawiła torebkę na podłodze.

– Nie będzie żadnego następnego razu – odparła, odwracając twarz.

Zapadła cisza.

– Co u dzieci? – spytałem.

– Wszystko dobrze.

A sekundę później dodała:

– Może powinieneś odezwać się do Alby, jest chyba trochę zła na ciebie. Podobno wpadła tu na kogoś... Na nagą kobietę.

– Rany boskie, Beatrice. Ona wcale nie była naga. A do Alby dzwonię bez przerwy, tylko ona nie odbiera i nie oddzwania.

- Nie wiedziałam. W takim razie nie dzwoń.
- Podniosłem swoją torbę podróżną z podłogi.
- Spieszę się na prom. Nie zapomnij zamknąć drzwi, jak będziesz wychodzić. A on niech poczeka na zewnątrz. Ostatecznie teraz to jest mój dom.

*

Kiedy dotarłem do Sandhamn, zrobiło się zimno i wietrznie. A w domku ciotki Gurli było chłodno i wilgotno jak w ziemiance. Pościel załatywała pleśnią, w lodówce śmierdziało kwaśnym mlekiem, a w sedesie straszyły zaschnięte brązowe plamy wiadomego pochodzenia.

Postanowiłem iść do miejscowej gospody na piwo i poczekać, aż kaloryfer chociaż trochę ogrzeje zapuszczoną małą chatkę z przełomu wieków.

Uwielbiałem przyjeżdżać do Sandhamn zimą – było coś dziwnie pociągającego w tym odosobnieniu, jakie oferowała ta wyludniona wyspa wśród szkierów. Port świecił pustkami, a morze lśniło w półmroku, gdy przechodziłem brzegiem. Nieliczni goście w gospodzie to stali mieszkańcy, małomówni i bezprzykładnie powściągliwi.

Zamówiłem piwo, potem drugie i zacząłem zastanawiać się nad swoją sytuacją.

Przekroczyłem czterdziestkę, żona mnie zostawiła, moje dzieci – a przynajmniej Alba, bo nie miałem pewności, czy poinformowała też rodzeństwo, jakim jestem draniem – nie mogły mnie znieść. Natomiast kobieta, która prawdopodobnie mogłaby mnie chcieć, bez męża, pieniędzy i stylu, nie zgodziła się nawet pójść ze mną na drinka po pracy.

A do tego wszystkiego moja sprawa trafiła przed oblicze komisji odpowiedzialności zawodowej i czekało mnie obowiązkowe pójście do psychologa.

Popatrzyłem przez okno – zrobiło się ciemno i drobny deszcz uderzał o szybę. Za pomostami majaczyła czerń wody. Spoglądając na nią, pomyślałem, jak łatwo byłoby po prostu zniknąć i już nigdy nie wrócić. Zanurzyć się w zimnej nicości i dać się ponieść prądom.

Podniosłem rękę w kierunku barmana.

– Proszę jeszcze jedno piwo.

– Nie powinno się pić samotnie – odezwał się czyjś głos tuż obok.

Odwróciłem się powoli.

Była ciemna i piękna, ubrana w żółtą przeciwdeszczową pelerynę. Mogła mieć około dwudziestu pięciu lat, ale tak naprawdę nie wiadomo. Na czarnych włosach osiadły niezliczone krople deszczu, lśniły w świetle padającym z baru.

– Wolno ci w ogóle pić? – spytałem.

– Myślę, że tak – odparła z uśmiechem. W jej uśmiechu było coś, co od razu do mnie przemówiło. Wydawał się wyjątkowo szczery, ciepły i beztroski, a jednocześnie ani trochę wyniosły.

– W wielu krajach nie wolno nawet pić alkoholu – dodała. – Mam zamiar skorzystać z przysługujących mi tu praw obywatelskich.

– W takim razie czego się napijesz?

– Piwo będzie super.

– Manfred – przedstawiłem się i wyciągnąłem rękę.

Podąła mi swoją i znów się uśmiechnęła.

– Afsaneh – powiedziała.

Lykke
Obecnie

Olof kładzie okulary na biurku i poprawia leżący przed nim maszynopis, tak aby stos kartek leżał równo.

– To jest pasjonująca lektura – mówi. – Bez dwóch zdań. Czytałem z zapartym tchem, i to nie tylko dlatego, że mam – że tak powiem – własny udział w tej historii.

Wznosi oczy na sufit i wydyma swoje małe czerwone usta.

– To znacznie więcej niż autobiografia – ciągnie. – To boleśnie szczerą spowiedź, dokument czasu i całkiem niezłe rozliczenie z branżą wydawniczą.

– To jest powieść, nie autobiografia.

– Oczywiście – odpowiada szybko i poklepuje plik papierów, jakby to był posłuszny piesek, który właśnie podał łapę na komendę.

– Ale jest w niej prawda. Może nie w każdej linijce, nie w każdym akapicie. Jednak opowieść ubrana w słowa jest tak bliska prawdy, jak to tylko możliwe.

Uśmiecha się i w tym momencie wiem, że nie tylko rozpoznaje to zdanie, ale także przeczytał moją książkę od początku do końca.

– Masz niewyobrażalną łatwość formułowania myśli – dodaje, głaszcząc się w zadumie po brodzie. – I niezwykłą zdolność nadawania wagi rzeczom zwykłym i przybliżania tego, co przerażające.

Doskonale znam ten ton Olofa – drzenie głosu mające sygnalizować, jak bardzo jest poruszony.

Używa go zawsze wtedy, gdy próbuje przyciągnąć do siebie nowego pisarza. I jest w tym naprawdę dobry, sprawia, że rzeczywiście czuję się wybrana i nadzwyczaj utalentowana.

– Powiedz mi – zwraca się do mnie – od jak dawna piszesz?

– Od zawsze – odpowiadam. – A właściwie może nigdy.

– Hm – bąka i zdaje się zastanawiać nad moją odpowiedzią. – Tak to jest z redaktorami.

– No właśnie.

Znowu wyrównuje kartki maszynopisu, żeby ani jedna nie wystawała poza krawędź stosu, po czym odchrząkuje głośno.

– Posłuchaj, Lykke, to byłby dla mnie zaszczyt, gdybym mógł wydać twoją książkę.

Tak, używa słowa „książka”, a mnie, której przez głowę nie przeszło, że to, co napisałam, miałyby się ukazać w jakimś poważnym wydawnictwie, robi się gorąco.

– Pytanie tylko – kontynuuje, unosząc nieco jedną rękę – czy jesteś *gotowa* ją opublikować?

– Co masz na myśli?

Uśmiecha się cierpko i wyciąga z pliku kartkę z zagiętym rogiem. Następnie zakłada okulary i zaczyna czytać kilka podkreślonych zdań.

– Branża wydawnicza to hiena w tiulowej sukni, a wraz z każdą sztywną, wykrochmaloną warstwą tej sukni, którą usuwasz, staje się coraz bardziej oczywiste, że kryje się pod nią hiena, ciągle głodna, nienasycona, wiecznie szukająca nowych historii do wykorzystania. – Urywa i patrzy na mnie w milczeniu. Następnie kontynuuje: – Ta branża to cyrk, w którym nie ma czasu na przerwy, który wciąż gra. Gdy tylko jeden artysta schodzi z areny, wpuszczany jest następny, zdeterminowany, by wykonać jeszcze bardziej karkołomny numer, który skutecznie przykuje uwagę zblazowanych czytelników.

Odkłada okulary na biurko i opiera się na krześle.

– Czy na pewno chcesz występować w tym cyrku, Lykke?

– Ten opis jest oczywiście nieco przejawskrawiony, bo przecież nie brakuje wydawców szczerze oddanych swoim autorom, krytyków traktujących własną pracę z maksymalną powagą i odpowiedzialnością oraz księgarzy i bibliotekarzy, którzy po prostu kochają książki – odpowiadam mu.

– Hm – bąka znowu Olof i sięga po fajkę. – Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zakurzę?

– Ani trochę.

Przykłada zapalną do główki i mocno się zaciąga.

– Taką rzecz – mówi, wskazując palcem na mój maszynopis – zwykliśmy nazywać tytułem pijarowym. Jak sama wiesz, warunkiem wydania takiej książki jest zgoda autora na udzielanie wywiadów, występowanie w telewizji, uczestniczenie w owym cyrku, który opisałaś w tak malowniczy sposób. Jak się na to zapatrujesz?

– Nie ma problemu.

– Pytań na pewno będzie wiele i będą one oczywiście bardzo osobiste. Zostaniesz zmuszona do opowiedzenia od nowa, jak... – po chwili zawahania uzupełnia: – jak zabiłaś Gabriela. Jak wyglądało wasze małżeństwo. Jak sobie radzą i jak sobie radziły twoje dzieci.

– Wiem. Właśnie między innymi dlatego napisałam tę książkę. Chcę przejąć kontrolę nad prawdą, tą rzeczywistą. Bo dopóki milczę, obowiązuje prawda Gabriela. A on kłamał. Za co ja i chłopcy zapłaciliśmy wysoką cenę.

– Rozumiem – mówi Olof. – Wobec tego przygotuję kontrakt i wyślę ci mejlem.

– W porządku.

Po chwili zastanowienia pytam:

– Nie uważasz, że to może być ryzykowne od strony prawnej?

Olof potrząsa głową.

– Nie sędzę. Gabriel nie żyje, nie ma krewnych, którzy mogliby wnieść sprzeciw. O ile dobrze rozumiem, historia jest zgodna z ustaleniami policji. Poza tym sama mówisz, że to jest powieść. Zmieniłaś imiona i nazwiska głównych postaci. Ale i tak wszyscy będą wiedzieli, o co chodzi.

Spogląda na pierwszą stronę maszynopisu i zaciąga się fajką.

– I wiesz, co ci jeszcze powiem? Tytuł jest fantastyczny.

Pochylam się nad biurkiem i czytam odwrócone do góry nogami słowa:

Wieczność to miejsce.

Siedzę na pomoście w jesiennym słońcu.

Zdjęłam buty i macham gołymi stopami we wciąż jeszcze ciepłej wodzie. Żółte liście unoszą się na powierzchni wzdłuż brzegu, wysoko nad nami przelatuje klucz wędrownych ptaków.

Fanny leży na plecach obok mnie, ubrana w podwinięte do pół łydki džinsy i tiszert. Pod głową ma złożony na pół gruby sweter. Kciukiem lewej dłoni pociera pierścionek zaręczynowy, a drugą rękę opiera na nagrzanym słońcem deskach pomostu.

David i Harry płyną do małej tratwy zakotwiczonej jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu. Chyba rywalizują ze sobą, tak jak w dzieciństwie. Oczywiście Harry prowadzi, ale kilka metrów przed celem zwalnia, ogląda się przez ramię, przebiera rękami w miejscu i czeka na brata.

Dopływają do tratwy jednocześnie, wciągają się na nią i siadają blisko siebie. Blask słońca pada na ich mokre ramiona.

– Chodźcie! – woła Harry do mnie i do Fanny. – Wcale nie jest zimno!

– Nie, dzięki! – odpowiadam, a Fanny bez słowa odmownie macha ręką w powietrzu.

Po paru sekundach obaj stają na tratwie, dwie ciemne postacie na tle zachodzącego słońca. Dwaj chłopcy, którzy zdążyli dorosnąć i odwrócili się od siebie, ale którzy, na co mam nadzieję, są na dobrej drodze, by odnaleźć dawną bliskość.

Patrzę na nich i widzę dwa noworodki spoczywające w moich ramionach na szpitalnym łóżku, zaczerwienione, o pergaminowo cienkiej skórze. Widzę czterolatków bawiących się w ogrodzie – Harry zwinnie wspina się na jabłoń, a David siedzi w trawie i pokasłując, patrzy szeroko otwartymi oczami na brata. I widzę nieopierzonych nastolatków na pomoście w towarzystwie Bonnie, pogrążonych w rozmowie, której nie słyszę.

Jeden z moich synów jest mordercą, myślę.

Jeden z moich synów zabił własnego ojca, a ja nie wiem który. I nie chcę tego wiedzieć – nie pytałam ich o to, zresztą nie sądzę, by mi powiedzieli, gdybym zadała im takie pytanie.

Przez wszystkie lata, kiedy żyłam w przeświadczeniu, że jeden z nich odebrał życie Bonnie, dręczyła mnie niepewność. To była moja zmora, która stopniowo

podkopywała zaufanie do nich. Niszczyła i zrywała wszystkie niewidzialne łączące nas nici, składające się na delikatną tkaninę nazywaną miłością.

Nie miałam pojęcia, czy i jak miałabym kochać mordercę.

A teraz wiem, że można, i to bez kłopotu, kochać osobę, która pozbawiła życia kogoś innego.

Teraz wiem, że to możliwe, pod warunkiem że nie chodzi o zło, tylko – jak w tym przypadku – sprawiedliwą zemstę.

Domyślałam się od początku, że nie będzie łatwo przekonać policję. Mnóstwo rzeczy mogło się nie udać – technicy kryminalistyki mogli znaleźć dowody przeczące naszej wersji, David czy Harry mogli złamać się podczas przesłuchania, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich wcześniejsze doświadczenia z wymiarem sprawiedliwości.

Mimo wszystko wierzyłam jednak, że damy radę.

Jeszcze przed przyjazdem policji ułożyłam w głowie cały plan. Postanowiłam, że będę się domagać rozmowy z Manfredem Olssonem – w końcu miał wobec nas dług. A ponieważ wydawał się uczciwym człowiekiem, spodziewałam się, że zechce go spłacić.

Odwracam twarz do słońca, zamykam oczy i wciągam głęboko zapach smoły i butwiejących liści.

Książka ukaże się przed Bożym Narodzeniem, skłamałabym, gdybym powiedziała, że się na to cieszę. Lecz kiedy już wyjdzie, a potem opadnie całe zamieszanie, będziemy mogli żyć dalej. Historia zostanie napisana na nowo i nikt już nas nie zmusi do dźwigania winy, która nie jest nasza.

Prawda należy bowiem do tego, kto ma władzę i możliwość sformułowania jej.

Prawa do ekranizacji *Wspomnień* – których Gabriel tak mocno strzegł – ja i chłopcy sprzedaliśmy szwedzko-duńskiej firmie produkcyjnej. Na podstawie książek o Siv i Helene ma powstać serial telewizyjny, na którym całkiem nieźle zarobimy.

Producent zapytał mnie, czy chcemy uczestniczyć w pracach nad scenariuszem, na co mu odpowiedziałam, że nie zamierzamy angażować się w projekt – mogą robić, co chcą, mają wolną rękę.

– No chodź, mamó! – woła teraz David. – Nie bądź taka mimoza!

Wzdycham, po czym podnoszę się i zdejmuję sukienkę. Poprawiam kostium kąpielowy i staję na samym skraju pomostu. Poruszam palcami stóp i mrużę oczy pod słońce.

A potem zanurzam się w połyskujących zielonkawo wodach Wieczności.

Podziękowania

Pragnę serdecznie podziękować wszystkim, którzy swoim zaangażowaniem przyczynili się do powstania *Witajcie w Wieczności*. W szczególności wyrażam wdzięczność mojej redaktorce Katarinie Ehnmark Lundquist i wydawczynie Sarze Nyström z wydawnictwa Wahlström & Widstrand, a także mojej agentce Christine Edhäll oraz jej koleżankom i kolegom z Ahlander Agency.

Ponadto słowa podziękowania należą się także Åsie Torlöf i Christerowi Axlingowi za pomoc w kwestiach dotyczących pracy policji, Annie Stråth, która wspaniałomyślnie podzieliła się ze mną wiedzą prawniczą, i Martinowi Csatlosowi, który wsparł mnie w zakresie problematyki medycyny sądowej.

Na koniec dziękuję rodzinie i przyjaciołom za wyrozumiałość i słowa otuchy podczas pracy nad powieścią. Bez Waszej miłości i cierpliwości nie byłoby żadnej książki!

-
- ¹ Nagroda Augusta (Augustpriset) – nagroda przyznawana corocznie przez Szwedzkie Stowarzyszenie Wydawców autorom najlepszych książek wydanych w Szwecji w języku szwedzkim. Wyróżnienie zostało nazwane na cześć Augusta Strindberga. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- ² Mejan – potoczna nazwa Królewskiej Akademii Sztuki w Sztokholmie.
- ³ Mowa o Västerbottenpaj, tarcie z popularnym żółtym serem Västerbotten; to danie jest niezbędnym elementem rakowej imprezy.
- ⁴ Zielona fala (den grona vågen) – panująca w latach 70. XX w. w Szwecji tendencja do wyprowadzania się z dużych miast na wieś lub do mniejszych miejscowości. Popularna szczególnie wśród młodych rodzin.
- ⁵ Szwedzka pisarka (1890–1964), żona Harry’ego Martinsona.
- ⁶ *Perkele* (fiń.) – do diabła, niech to diabli.
- ⁷ Chodzi o Bonnierförlagen, największy dom wydawniczy w Szwecji.
- 8 Szwedzkie pismo młodzieżowe wydawane w latach 1964–1998, przeznaczone głównie dla nastolatków.